



WANDA BALICKA

BOSE ANIOŁY Z ULICY HENRIETTY



WANDA BALICKA

bose
anioły
z ulicy
Henrietty

WYDAWNICTWO



MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektowała

MONIKA MORYSIŃSKA

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1960.

Wydanie I

Nakład 30 000 egz.

Objętość 14 ark.

wyd., 9,875 ark, druk.

Papier druk, mat. VII kl. 70 g. (z fabryki w Myszkowie),

format 70 X100/32.

Oddano do składu 7.1.60 r.

Podpis, do druku 18.III.60 r.

Druk ukończono w sierpniu 1960 r.

Zam, rur. 2022.

Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie

C-84

Cena zł 20.–

I

Nigdy przedtem nie byłam na ulicy Henrietty. I nigdy już tam nie wrócę – obiecałam to mojemu mężowi. Tak bardzo chcielibyśmy zapomnieć o jej istnieniu! Ale są kobiety, które mają na imię Henrietta, Cmentarz Południowy jest największy w naszym mieście, a kino, koło którego codziennie przechodzimy, wyświetla od tygodni film „Kamienny anioł”...

Pierwszy raz usłyszałam nazwę tej ulicy 17 sierpnia zeszłego roku. Byłam pewna, że Ryszard zadzwoni, i od chwili powrotu z biura czekałam na telefon w takim napięciu, że bałam się zamieszać herbatę, by nie uderzyć łyżeczką o szkło i nie zagłuszyć sygnału. Ryszard nie zawsze dzwonił w rocznicę tego dziwnego i rozkosznego dnia, kiedy poznaliśmy się i od razu zrozumieliśmy – z tych wszystkich znaków, jakie niebo, wiatr i rzeka dają zakochanym nie tylko w powieściach, ale i naprawdę – że zaczęło się szczęście. Trwało ono dwa szybkie lata, ale następne cztery też się nie dłużyły, bo nadzieja i oczekiwanie, chociaż nie skracają czasu, wprowadzają – na miejsce dni, tygodni i miesięcy – własny rytm mijania i czynią z czasu coś tak niepodzielnego i ciągłego, że często zapomniałam nie tylko o dacie bieżącego dnia, ale nawet nie zauważałam pory roku. Od poprzedniego telefonu Ryszarda minęły właśnie dwa lata, dokładnie:

dwa lata i jeden dzień, bo ostatnim razem zadzwonił 16 sierpnia, a nie 17. Było już wtedy późno, dochodziła jedenasta; pośród ciszy dzwonek telefonu wydał mi się tak pełen obietnicy, że zanim podniosłam słuchawkę, wiedziałam, czyj głos usłyszę. Na próżno chciałam potem przypomnieć sobie dokładnie słowa Ryszarda, pamiętałam tylko swoją radość i bicie serca, ale nie wiedziałam, czy powiedział: „Już niedługo skończę swoją pracę”, czy: „Już niedługo i zobaczymy się”. A to było ważne, później okazało się, że wszystko jest ważne.

Słowami tymi żyłam przez dwa następne lata – do 17 sierpnia zeszłego roku.

Był to dzień upalny, duszny i chmurny. Oczekiwana burza nie nadchodziła, nie spadła ani jedna kropla deszczu, tylko wiatr unosił ku górze kłęby kurzu, aż gdzieś koło południa ustał, a cisza, która po nim nastąpiła, była już całkiem nie do zniesienia. Ryszard prawdopodobnie nie wiedział, że pracuję do piątej (dawniej, kiedy nie mieliśmy przerwy obiadowej, wychodziłam z biura o dwie godziny wcześniej) i bałam się, czy nie zadzwonił zaraz po trzeciej. Wyobrażałam sobie sygnał telefonu rozbrzmiewający w pustym mieszkaniu, wiedziałam zmarszczone brwi Ryszarda. On tak nie znosił najmniejszego zawodu! Ale mogło być jeszcze gorzej, mógł pomyśleć, że poznałam kogoś, z kim chodzę do baru na obiad. Gdyby coś takiego pomyślał, oczywiście nie próbowałby już dzwonić drugi raz. O czwartej byłam tak zrozpaczona, że poprosiłam mego szefa, samego Beniamina Polly, by pozwolił mi wyjść wcześniej i zabrać robotę do domu. Około ósmej usłyszałam kroki Małgorzaty, położyłam się i zgasiłam światło. Małgorzata zawołała z przedpokoju: „Śpisz czy wyszłaś?”, poczekała chwilę, a potem poszła do siebie. Do jedenastej

miałam nie tracić nadziei – tak postanowiłam jeszcze rano. Jeżeli ostatnim razem Ryszard dzwonił około jedenastej, to i w tym roku mogło tak się ułożyć, że wcześniej z jakichś powodów byłoby to dla niego niemożliwe. Ale naprzeciw powoli gasły światła w oknach i każdy znikający prostokąt zabierał ze sobą strzępek nadziei.

Dokładnie za pięć jedenasta usłyszałam dzwonek; zerwałam się z tapczanu, upредиła mnie jednak Małgorzata, która właśnie przechodziła przez przedpokój do łazienki. „Do ciebie” – powiedziała oddając mi słuchawkę i w tej samej chwili straciłam wszelką nadzieję. Wiedziałam, że to Ryszard, i wiedziałam, że tym razem znowu nic się nie stanie, że tylko zacznie się nowy rok oczekiwania. „Słucham” – powiedziałam ochryłym głosem.

– To ja. Musisz natychmiast przyjść do mnie – Ryszard mówił spokojnie i stanowczo, jak zwykle – musisz mi pomóc. Nie mogę liczyć na nikogo poza tobą.

– Nie wiem... dokąd – zabrakło mi nagle najprostszych słów. – Nie wiem, gdzie mieszkasz.

– Henrietty 5, koło Cmentarza Południowego. Weź taksówkę i jedź aż do placu Gwiazdzistego. Potem pójdziesz ulicą Parkową do końca, ostatnia przecznica na lewo to właśnie ulica Henrietty. Albo nie, zrób inaczej: wysiądź koło Savoyu, przejdź przez Pasaż, weź drugą taksówkę i jedź do placu Gwiazdzistego. Po drodze nie pytaj nikogo o ulicę Henrietty, rozumiesz? Pamiętaj: ostatnia przecznica po lewej stronie. Skręcisz i pójdziesz znowu lewą stroną, mój dom jest trzeci od rogu, zorientujesz się łatwo, bo zaraz za nim stoi jedyny na tej ulicy wysoki budynek. Zresztą będę czekać na ciebie przed domem. Tylko śpiesz się, nie mam ani chwili do stracenia. Czy wszystko rozumiałaś?

- Tak – odpowiedziałam.
- Więc pośpiesz się, bardzo cię proszę.

Uwierzyłam w to, co mi opowiadano o dziwnym trybie życia, ja-ki Ryszard prowadził, odkąd zrezygnował z pracy na uniwersytecie. Musiał doprawdy żyć jak pustelnik i nie wychodzić latami poza swoje przedmieście, skoro nie wiedział, że nie ma już ani Savoyu, ani Pasażu. Przed wojną był to najruchliwszy punkt miasta, Savoy należał do najdroższych hoteli, a w Pasażu mieściły się wytworne sklepy, kawiarnie i dwa kina. Drugi jego wylot prowadził do starej, gęsto zabudowanej dzielnicy, gdzie było jeszcze tłoczniej niż na placu przed hotelem. Bombardowania oszczędziły tylko Savoy i część Pasażu, poza nimi ciągnęły się kikuty ceglanych ruin, które nagle odsłoniły cieniste ogrody o pięknych starych drzewach, dawniej niewidoczne spoza otaczających je oficyn i przybudówek. Powoli miasto odbudowało się, powstały nowe dzielnice, nowe centra handlowe, Savoy z Pasażem znalazły się nagle na uboczu i nigdy już nie odzyskały dawnej świetności. Z czasem w Pasażu, na miejscu dawnych sklepów, zaroilo się od kramów, gdzie sprzedawano jarzyny, owoce, używaną odzież, brzydkie zabawki i wieczne pióra, które psuły się po paru dniach. Savoy też cieszył się nie najlepszą sławą, grała tam hałaśliwa orkiestra, przed hotelem przechadzali się młodzi ludzie o dziwnym wyglądzie, ale ruch był dość ożywiony, i dlatego, w czasach gdy przechodziłam tamtędy z Ryszardem, o taksówkę było rzeczywiście łatwo. Ale przed trzema laty wszystko się zmieniło. Savoy, powiększony o dwa skrzydła, zamieniono na Dom Profesorów, Pasaż znikł, po otaczających go ruinach nawet ślad nie

został. Wokół ciągnęły się trawniki poprzecinane klombami i niedawno posadzonymi szpalerami młodych drzewek; tylko gdzieś wysokie drzewa i gęste kępy bzów – pozostałość dawnych ogrodów – przypominały, że przez blisko pięć wieków kłębiło się tu życie i mieszkało tysiące ludzi. W dzień na Skwerze Profesorów – ta nieoficjalna nazwa szybko się przyjęła, bo przechadzali się tam profesorowie, większość ze swymi pieskami – było przyjemnie, a w nocy trochę straszno, pusto i ciemno. Latarni było niewiele; pod korony starych lip i topól światło ich w ogóle nie docierało. A Ryszard myślał, że o jedenastej w nocy znajdzie tam taksówkę!

Narzuciłam deszczowiec i gdybym nie wróciła do pokoju po torebkę, może uniknęłabym rozmowy z Małgorzatą. Otwierałam już drzwi, gdy stanęła na progu łazienki jak posąg Zdziwienia, który rozpuścił włosy, bo miał myć głowę.

– Dokąd idziesz? – Małgorzata, jak zwykle gdy czegoś nie rozumiała, zapomniała zamknąć usta, z których zrobiło się różowe kółko.

– Do Anny – odpowiedziałam (to jest moja kuzynka) – jej mąż dzwonił i prosił...

– To oni się przeprowadzili? – różowe kółko powiększyło się, z czego natychmiast skorzystałam, zamknęłam drzwi i szybko wybiegłam na ulicę. Dopiero wtedy zrozumiałam, jak bezmyślnie postąpiłam: od naszego domu do najbliższego postoju było dość daleko, powinnam była zadzwonić po taksówkę, zyskałabym wtedy kilka minut. Ale było już za późno, nie mogłam wrócić na górę i narazić się na pytania Małgorzaty. Zresztą okazało się to niepotrzebne; zza rogu wyjechała taksówka, zatrzymała się przed sąsiednim domem,

ktoś wysiadł. Podbiegłam i zapytałam, czy wolna. Szofer nic nie mówiąc otworzył tylne drzwi.

- Savoy – powiedziałam.
- Nieboszczyk Savoy – poprawił mnie i ruszył.

Wysiadłam u podjazdu oświetlonego mlecznymi kulami, spoczywającymi na wyciągniętych dłoniach dwóch marmurowych figur – pozostałość dawnego przepychu Savoyu. Taksówka odjechała, zostałam sama i nie wiedziałam, co robić. Mało było nadziei, by o tej porze zjawilo się tu jakieś auto, zresztą Ryszard wyraźnie powiedział mi, żebym przeszła przez Pasaż i dopiero po tamtej stronie wsiadła do drugiej taksówki. Oczywiście nie miało sensu liczyć się z jego poleceniem, skoro Pasaż już nie istniał, ale i czekać tam, przed Domem Profesorów, też nie było po co. Najprościej byłoby przejść przez skwer, za którym zaczynała się nowo wybudowana dzielnica, były kina i teatr, więc i taksówkę mogłam łatwiej znaleźć. W ten sposób straciłabym jednak dziesięć minut, może nawet więcej, a poza tym, jak już wspomniałam, skwer był źle oświetlony, o czym z oburzeniem pisały gazety, kiedy przed trzema tygodniami – opowiadała mi to Małgorzata, która nie umiała zjeść kolacji bez wieczornego wydania – napadnięto tu, ogłuszono i obrabowano jakąś dziewczynę. Nie mogłam jednak stać tak bez końca u stóp masywnej bogini, Ryszard przecież wyraźnie powiedział, że nie ma ani chwili do stracenia. Przeszłam na drugą stronę jezdni; nic nie nadjeżdżało. W końcu zdecydowałam się: ścisnęłam mocno rączkę torby i ruszyłam przez skwer. Szłam szybko, wybierałam najlepiej oświetlone ścieżki, a omijałam kępy starych drzew. Opodal zaskrzypiał żwir, zaczęłam biec. Okrążyłam jeszcze jedną kępę i nagle uderzył mnie blask neonów,

usłyszałam trąbki autobusów, już tylko jezdnia dzieliła mnie od teatru Nowej Operetki. Widocznie przedstawienie niedawno się skończyło: na stopniach teatru i na chodniku pełno było ludzi. Zajechał właśnie autobus, tłum skierował się ku niemu; pobiegłam jeszcze szybciej, bo przypomniałam sobie, że odchodzi stamtąd szóstka, która jedzie przez plac Gwiazdzisty. Byłam kilka metrów od przystanku, kiedy zobaczyłam wolną taksówkę. Skręciłam ku niej, szarpnęłam drzwi – nie ustąpiły; rozglądnęłam się, nigdzie nie widziałam szofera. W tej samej chwili ruszył autobus. Pewnie wyglądałam strasznie bezradnie, bo jakiś przechodzień uśmiechnął się i powiedział: „Postój jest tam, za panią”. Obejrzałam się: rzeczywiście przy drugim rogu stało kilka taksówek. Znowu musiałam biec; coraz to któraś z nich ruszała, wciąż jeszcze napływała publiczność z teatru. Potrąciłam kogoś i nie przeprosiłam, ale za to wsiadłam do przedostatniej wolnej taksówki.

– Plac Gwiazdzisty – powiedziałam do szofera – tylko błagam pana, szybko!

Nic go to nie wzruszyło, jechał tak powoli, że nawet autobus nas przegonił. Chciałam trochę przypudrować się i przyczesać, ale byłam zbyt podniecona, by móc coś znaleźć w torebce. Kiedy wysiadłam na placu Gwiazdzistym, na oświetlonej tarczy zegara Dyrekcji Kolei Żelaznych duża wskazówka minęła właśnie ósemkę. Nie mogłam wierzyć, że to już za dwadzieścia dwunasta. Plac był pusty i ciemny, ostatni przechodnie znikali w bramach, a sześć ulic wychodzących z tego olbrzymiego kręgu, otoczonego wielopiętrowymi gmachami, czyniło zeń jakiegoś przedpotopowego potwora, bezradnie rozkładającego swoje skamieniałe kończyny. Z jednej z ulic wyjechał autobus,

okrążył plac i znikł po przeciwległej stronie. Zdawało mi się, że tam jest właśnie Parkowa, przebiegłam jezdnią na ukos, ale to była ulica Św. Męczenników, dochodziło się nią do jednej z bram Cmentarza Południowego, Parkowa musiała więc być bardziej na prawo. Zawróciłam, minęłam ulicę Szeroką i aleję Pasteura, kiedy przypomniałam sobie, że Parkowa nie ma przecież wylotu na plac Gwiazdzysty. Jak mogłam do tego stopnia stracić orientację! Powinnam była pójść właśnie ulicą Męczenników, która tuż za placem rozwidła się pod ostrym kątem – i to jest właśnie Parkowa! Znowu zawróciłam; aż do rogu Męczenników i Parkowej prawie biegłam. Tam przystanęłam: musiałam zapalić papierosa. Na zegarek wołałam nie patrzeć, i tak wiedziałam, że straciłam dużo czasu. Było jeszcze duszniej niż w dzień, zdjęłam deszczowiec i skręciłam w Parkową. Wkrótce po prawej stronie skończyły się domy, szłam teraz wzdłuż kraty Południowego Parku, sponad której nisko zwisały gałęzie. Wydało mi się, że ktoś idzie za mną, przystanęłam: nie było nikogo, to tylko stukot moich wysokich i cienkich obcasów sprawiał takie wrażenie w tej ciemnej ciszy. Coś miękkiego i chłodnego musnęło mnie po czole, wiedziałam, że to liście, ale wołałam przejść na drugą stronę. Jezdnia była wyłożona nierówną kostką i nagle ten niewielki wysiłek zmęczył mnie bardziej niż cała droga, którą dotychczas przebyłam. Nigdy dotąd nie zawiodłam Ryszarda, nigdy nie spóźniłam się na żadne spotkanie, a Parkowa ciągnęła się bez końca, przecznice zdarzały się coraz rzadziej, zza parkanów nie błyskało żadne światło, zgadywałam tylko, że za nimi są jakieś domy. Pierwszy raz byłam w tej części Parkowej, bo choć w dzieciństwie chodziłam z ciotką do Południowego Parku, żadna z jego bram nie wychodziła

na tę stronę. Odrzuciłam papierosa, który dawno już zgasł, a szkoda mi było czasu na szukanie zapalek. Nagle w oddali zamajaczyło coś jeszcze ciemniejszego od drzew parku. Domyśliłam się, że to mur cmentarza, kraniec Parkowej, i że gdzieś niedaleko, na lewo, musi już być ulica Henrietty. Parę kroków dalej skończył się parkan, w głębi czarnej pustki zobaczyłam światło latarni – stałam na rogu ulicy, przy której mieszkał Ryszard, i za chwilę miałam go zobaczyć.

II

Dopiero wtedy, na ciemnym rogu ulicy Henrietty, wróciło w całej sile przerażenie, które w ciągu czterech lat naszej rozłąki zdołało utracić swoją obezwładniającą moc, ale które czaiło się zawsze pod osłoną nadziei i oczekiwania. Spełniła się nadzieja i skończyło się oczekiwanie, ale przerażenie trwało, tak samo dławiące jak wtedy, w małej cukierce koło uniwersytetu, gdzie Ryszard i prawie wszyscy profesorowie mieli swoje stałe miejsca i gdzie piliśmy w to wrześniowe popołudnie kawę, a ja nie wiedziałam, że to już ostatni raz i że Ryszard powie te straszne, nieoczekiwane słowa:

„Przez pewien czas nie będziemy się mogli widywać. Obawiam się, że to potrwa długo. Zrezygnowałem z wykładów, nie mam czasu do stracenia. Nigdy nie ukończę swojej pracy, jeżeli nie zerwę z tym trybem życia. Muszę być sam i mieć spokój. Jak tylko będę mógł, zadzwonię do ciebie. Nie masz do mnie zału?”

„Nie” – odpowiedziałam i patrzyłam, jak Ryszard podchodzi do kasy, płaci za kawę, odwraca się, zdejmuje kapelusz z wieszaka, wychodzi.

Cisza i ciemność na tej ulicy były tak głębokie i wydawały się tak ostateczne, jak by ni wet światło dnia nigdy ich nie miało rozproszyc. Po drugiej stronie paliła się co prawda gazowa latarnia, ale jej migocący płomień ginął w gęstwinie palczastych liści kasztanu. Raczej czułam, niż widziałam, że rosną tu wysokie, rozłożyste drzewa i że wzdłuż ulicy ciągną się żywopłoty. Domów nie było widać, dopiero po chwili dostrzegłam w głębi ulicy coś, co było odrobinę mniej ciemne od otoczenia. Nikt nie nadchodził; zrozumiałam, że Ryszard przestał już spodziewać się mnie i wrócił do domu. Nagle usłyszałam czyjeś śpieszne kroki, ale nie byłam pewna, czy to nie jest bicie mego serca. A jednak to były kroki, rytm ich zwolnił się: jeden krok przypadał teraz na pięć uderzeń serca. Widocznie zapaliłam wtedy papierosa, bo Ryszard ujął mnie nagle za ramię i powiedział:

– Zgaś.

Nic więcej nie potrafię powiedzieć o naszym spotkaniu; ciemność, jaka dzieli tę chwilę od wejścia do oświetlonego pokoju, to nie tylko mrok nocy, to w jeszcze większej mierze mrok mojej świadomości. Czułam nie znany mi, inny niż dawniej, zapach Ryszarda i w pewnej chwili, może przechodziliśmy wtedy za ogrodzenie, domyśliłam się, że on ma płaszcz narzucony na ramiona – to wszystko. Dziś, oczywiście, potrafię odtworzyć wiele innych szczegółów, ale to są już późniejsze nawarstwienia, powstałe w tych dniach, gdy tak często zachodziłam na ulicę Henrietty. Tak więc dziś wiem, że szliśmy wyboistym chodnikiem, że Ryszard nie musiał otwierać furki, bo od dawna zwisała na jednej tylko zawiasie, na pół leżąc między bzami, które rosły wzdłuż parkanu, wiem, że ścieżka była niegdyś

wykładana cegłą, że ze ścieżki weszliśmy na koślawe schodki prowadzące na werandę o wybitych szybach, a potem był wąski korytarzyk zastawiony połamanymi meblami i w końcu oświetlony naftową lampą pokój.

– Musisz mi pomóc zabrać ją stąd – słowa te powiedział wysoki, chudy mężczyzna w przybrudzonej koszuli, której lewy rękaw był pusty i zatknięty za pasek spodni; prawą ręką wskazał na to, co leżało na łóżku i o czym ani przez sekundę nie pomyślałam: „młoda kobieta”, ale od razu, jeszcze w progę: „ciało młodej kobiety”. – Tylko nie zemdlej. Wszystko zależy od ciebie, sam nie dam rady, widzisz przecież...

Tak, oczywiście, widziałam, że Ryszard stracił rękę, i rozumiałam, po co mnie wezwał, nie znaczyło to jednak, bym miała uznać za rzeczywistość to, co było najpotworniejszym snem, jaki mi się kiedykolwiek przyśnił. Ale była we mnie jakaś cząstka, która szybciej od mojej świadomości pojęła, że to nie sen.

– Dlaczego? – nie wiem, czy usłyszał moje pytanie, czy tylko domyślił się, o co pytam, bo ja tych słów nie usłyszałam.

– Matyldo, przysięgam ci, że to nie ja ją zabiłem. Ale mnie posądzą, bo wszyscy wiedzą, że byłem zazdrosnym mężem. Groziłem, że ją zabiję; i zrozumiem: jeszcze dwa, trzy miesiące, a skończę swoją pracę.

Na szczęście człowiek, który to powiedział, szybko znikł i zabrał ze sobą resztę, cały pokój i cały świat; na ich miejsce przyszła szara mgła, dobra i szczelna nicość, pośród której nie byłam jednak samotna, bo słyszałam czyjś szept: „To wszystko nieprawda. Nic się nie stało”. Ale słowa Ryszarda były głośniejsze:

– Tylko nie zemdlej.

I świat wrócił, podszedł do mnie nagle, przyskoczył do oczu: musiałam wszystko zobaczyć. Kobieta miała chude dziewczęce nogi, skarpetki były białe, z mankiecikami we wzorek, pocerowane kolorową przędzą. Łóżko było żelazne, spod brudnej pluszowej kapy widać było róg poduszki i czerwoną kołdrę, z której wychodziły kłaki szarej waty. Ale źrenic nie widziałam, tylko białka i otwarte usta.

– Zakryj ją – to ja powiedziałam te słowa, choć zdawało mi się, że za oknem jest ktoś, kto drwi sobie ze mnie posługując się moim własnym głosem.

Ryszard owinął ją swoim płaszczem i podniósł z łóżka. Rękawy zawisły bezwładnie, jeden z nich strącił coś ze stolika stojącego u wezglowia, usłyszałam brzęk szkła. Na podłodze leżał rozbity słoik, wokół niego rozsypało się coś białego. Schyliłam się, by to zebrać; wydawało mi się, że nie ma nic ważniejszego na świecie ponad uprzątnięcie rozbitego szkła.

– Zostaw, to cyjanek!

Nigdy nie udało mi się przypomnieć sobie, czy rzeczywiście Ryszard tak wtedy zawołał, czy też przeczytałam napis na etykietce i sama te słowa pomyślałam.

W ogrodzie było ciemniej niż na ulicy, szłam za Ryszardem, potykałam się, ale wiedziałam, że jasny kształt mający przede mną to zwisająca spod płaszcza ręka jego żony, kobiety, o którą był tak zazdrosny.

– To tu, poczekaj.

Ryszard położył zwłoki na ziemi, u stóp wysokiego muru, wzdłuż którego zaczął się powoli posuwać. Przywykłam już do ciemności i zrozumiałam, co on robi. Okna były czymś zabite albo

okratowane, a on szukał takiego, przez które dałoby się ją tam wrzucić; pewnie budynek był opuszczony. Podniosłam głowę do góry: ponad wysokim parterem były jeszcze trzy piętra, ostatnie przedzielała na dwoje jakaś ogromna, groźna plama. To tylko niebo – pomyślałam – wyrwa po bombie, nic straszego.

– Chodź – powiedział Ryszard podnosząc ciało.

Podeszliśmy pod ostatnie, narożne okno. Teraz widziałam całym wyraźnie kratę, jeden pręt był wyłamany i do połowy wygięty; o niego właśnie zaczepił się rękaw płaszcza. Upadła cicho, miękko. Dopiero wtedy zaczął padać deszcz. Ryszard znów szedł pierwszy.

– Uważaj – powiedział, ale już było za późno, potknęłam się o coś twardego, upadłam i uderzyłam się boleśnie w kolano. Wstać oczywiście mogłam, tylko nie chciałam, bo nie było po co; leżałam na chłodnej, wilgotnej płycie, objęłam ją ramionami, obok rosły jakieś krzewy, słyszałam szelest kropli tuż nad głową.

– Nie możesz wstać? – szepnął Ryszard.

Nie odpowiedziałam. Zapalił latarkę, przysłonił ją palcami i pochylił się nade mną. Jego palce były różowo przezroczyście, zakończone czarną obwódka brudu pod paznokciami. Odwróciłam głowę. Światło latarki rozjaśniało niewielki krąg, a liście nie rosły tuż nad ziemią; człowiek, który ukrył się w krzewach, nie pomyślał widocznie o tym; wyraźnie widziałam jego nogi w wąskich spodniach bez mankietów, bardzo długich, zachodzących nisko na spiczaste buciki. Chwyliłam rękę Ryszarda i szybko wstałam.

– Napijesz się kawy, nim wyjdiesz – powiedział, gdy wróciliśmy do pokoju. – Nie mam ani chwili do stracenia, muszę zaraz wrócić. Co godzinę stempluję kartę przy automacie, a brak mi już dwóch stempli.

– Tylko nie tu – odpowiedziałam.

Zabrał ze sobą naftową lampę i zaprowadził mnie do drugiego pokoju, równie brudnego i dusznego. Na stole stała flaszka rumu, przy niej dwa kieliszki. Ryszard przyniósł kawę w dzbanku i szklankę. Mimo obrzydzenia wypiałam kawę łapczywie; była letnia, gorzka i bardzo mocna.

– Tu są jakieś papierosy – powiedział podsuwając mi zabrudzone pudełko samsonów. – Zapal teraz, a na ulicy nie pal, bo ktoś może zauważyć.

Nie tknęłam tych papierosów, ale Ryszard tego nie zauważył, mówił dalej, spokojnie, zwięźle, jak by nic się nie stało, albo jak by to, co się stało, było z rzędu spraw, które przy odrobinie ostrożności i dbałości dadzą się załagodzić, a potem można będzie zapomnieć o nich.

– Teraz musisz jak najszybciej wrócić do domu, ale ja nie mogę pójść z tobą, rozumiesz? Muszę unikać wszystkiego, co by było jakąś poszlaką przeciwko mnie, i tak już jest źle, że brakuje mi dwóch stempli i że dzwoniłem do ciebie z budki strażniczej, gdzie każda rozmowa jest rejestrowana, bo prywatne są zabronione. Czy twoja ciotka już spała?

– Ciotka nie żyje, ze mną mieszka teraz Małgorzata, a ona... ktoś tu jest! – krzyknęłam i zerwałam się z krzesła, coś ciepłego przesunęło się koło moich nóg, wydało mi się, że ktoś pełza pod stołem i że czuję jego gorący oddech.

– Nie bój się, to tylko Wiktor! – tak dobrze mi znanym ruchem, którym podnosił za fałd na karku Putę, jamnika profesora Woytisa, kiedy była jeszcze całkiem małym szczeniakiem i w cukierni koło uniwersytetu przesiadywała pod stolikiem,

Ryszard podniósł z ziemi wspaniałego, ciemnoszarego królika angorę. – Za domem jest królikarnia, a Wiktor to nasz ulubieniec, na noc zostaje tutaj, przyzwyczał się spać razem z nami w łóżku.

Nagle zrozumiałam, że obcy, nie znany mi zapach Ryszarda to był zapach tego mieszkania, zapach brudu, kurzu, nie zmienianej bielizny i nie wietrzonych pokoi, zmieszany z odorem klatki zwierzęcej. Zrobiło mi się słabo. Ryszarda nie było już w pokoju, chciałam jak najszybciej wyjść, nim jednak doszłam do drzwi, wrócił niosąc moją torebkę i deszczowiec. Nie przeszliśmy przez tamten pokój, Ryszard wyprowadził mnie do korytarzyka, a stamtąd na werandę i do ogrodu. Przy furtce zatrzymał się i nie żegnając się powiedział:

– Matyldo, teraz już naprawdę tylko kilka miesięcy... Ale ty pewnie nie zechcesz... po tym wszystkim?

III

Koło rogu Henrietty i Parkowej zauważyłam, że świat się trochę zmienił i że zmienia się nadal. Brnęłam po kostki w wodzie, której stale przybywało; chodnik i jezdnia znikły pod taflą czarnej, chlupczącej wody, taka sama czarna woda lała się z góry, a szum jej był tak jednostajny, że chwilami nie było go słyszeć. Parkowa była wartkim strumieniem spływającym w dół, ku placowi Gwiazdźzistemu. Nagle zgasły latarnie, a potem było tak, jak bym złamała prawą nogę; od razu stała się krótsza i utykałam na nią, choć bólu nie czułam. Gdy znowu zaświeciły się latarnie, okazało się, że to tylko obcas odleciał, zdjęłam więc pantofle i tak było nawet wygodniej. Przy którejś z przecznic zrobiło się jaśniej, usłyszałam jakieś inne

chlupotanie, ale nie od razu zrozumiałam, że to taksówka i że szofer dziwi się, skąd ludzie mają takie szczęście, by o takiej porze, w taką pogodę i, w takiej dzielnicy znaleźć taksówkę. Kazał mi szybko wejść, ruszył i dopiero potem zapytał, dokąd ma jechać. Przestraszyłam się, że nie pojedzie tak daleko i że będę musiała wysiąść gdzieś w śródmieściu.

– Podzamcze 11 – powiedziałam. – Czy pan tam dojedzie?

– Jak nas nie zatopi, to zajedziemy. A te szpilki do niczego, prawda? Można to naprawić, jak się złamie? – zapytał trochę drwiąco i trochę współczująco.

Wyjęłam papierosa, pogrzebałam trochę w torebce i od razu znalazłam zapalnik, tylko cygarniczka jakoś nie podchodziła mi pod palec. Po chwili przypomniałam sobie, że jest w kieszeni deszczowca. Mimo że była gorzka i mokra, papieros smakował mi ogromnie. Skręciliśmy właśnie w lewo i zatrzymaliśmy się pod jakimś sklepieniem.

– Co to? – zapytałam.

– Poczekamy chwilę, może woda trochę spłynie – powiedział fraszobliwie wyglądając przez okno.

Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, gdzie jesteśmy i jaką trasą jechaliśmy, w każdym razie byłam pewna, że placu Gwiazdzistego jeszcze nie minęliśmy.

– To tunel pod wiaduktem – pocieszył mnie – jest już pani jak by w domu.

Z tunelu rzeczywiście było niedaleko do nas i nie sądziłam, że ujechaliśmy już taki kawał drogi, bo nawet papierosa nie zdążyłam wypalić. Dopiero wtedy zauważyłam, że zgaś.

Tak, to było wszystko, co wtedy zauważyłam: że zgasł papieros. Dziś, gdy o tym myślę, wydaje mi się nieprawdopodobne, że ani wtedy, ani później, przejeżdżając i przechodząc tą trasą: ulica Henrietty – Podzamcze (czy w odwrotnym kierunku), nie zauważyłam tego, co było zasadnicze, istotne, a zawsze tylko nic nie znaczące, obojętne szczegóły. Być może, gdybym nawet domyśliła się wtedy czegoś, i tak nie przydałoby się to na nic. A jeśliby udało mi się uratować jedno życie ludzkie, to czy tak byłoby lepiej? Nie wiem, nic nie wiem, nawet dziś nie mogę uchwycić chwili, kiedy rozpoczął się prolog tej tragedii. Może pierwsze jego słowa wypowiedzieliśmy oboje, Ryszard i ja, w małej cukierence koło uniwersytetu?

– Mam suchsze – powiedział szofer widząc, że szukam zapalek. Wyciągnął paczkę ascotów i włączył radio.

Muzyka była cicha, może to były skrzypce i wiolonczela, może ktoś towarzyszył im na fortepianie, nie wiem, ale stało się tak, jak by ktoś podał mi rękę i powoli, ostrożnie wyprowadził poza rozpacz i przerażenie, potem pozwolił chwilę odpocząć i znowu podał mi rękę, gdy zaczęła się melodia nadziei i szczęścia. Nie wszystko jeszcze było stracone, skoro Ryszard kochał mnie i ufał mi tak bardzo, tak głęboko, tak niezmiennie, że w owej strasznej chwili tylko o mnie pomyślał. Wszystko zrozumiałam: kiedy stracił rękę, wydało mu się, że nie ma już do mnie prawa. Wyobrażałam go sobie w szpitalu, złamanego, zrezygnowanego. Czy sądził, że wiem o jego nieszczęściu i mimo to nie przychodzi? Ale to było wykluczone, nie mógł tak o mnie myśleć! Musiał zdawać sobie sprawę, że nic nie wiem, i mimo to nie zawiadomił mnie. Był zbyt ambitny, nie chciał mojego współczucia – to było jedyne wytłumaczenie. Mogło też być inaczej:

o ile stracił rękę w jakiejś katastrofie, kronika wypadków prawdopodobnie o tym wspomniała. Mogła to być nawet jakaś głośna katastrofa, o której pisały wszystkie gazety. Czy Ryszard mógł wiedzieć, że od lat nie czytywałam gazet, bo nie było po co, nie pisały o nim? Więc jednak mogło być tak: on czekał, może długo czekał, a gdy nie przyszłam, nie napisałam – spotkał tę kobietę. I dlatego od dwóch lat nie dzwonił do mnie! A ta kobieta była niegodna Ryszarda – powiedział przecież, że był zazdrosnym mężem. On, który w ogóle nie znał tego poniżającego uczucia! Kim była ta kobieta, która nie wiedziała, że nie naraża się na upokorzenie takiego człowieka jak Ryszard, a jeżeli nawet nie zdawała sobie sprawy, kim on jest, to jak mogła zdradzać kalekę? Skrzypce znowu podjęły melodię szczęścia, to było to szczęście, którym miałam wynagrodzić Ryszardowi czas upokorzenia i bólu. Mimo wszystko szczęście wydawało mi się wtedy bliższe niż parę godzin wcześniej, kiedy czekałam na telefon. Jeszcze tylko kilka miesięcy... Dźwięki skrzypiec rozsypały się, melodia zamknęła się ostatnim tonem jak gdyby cienką kreską. Szofer przekręcił gałkę.

– Przystało łąć – powiedział – ale woda wali w dół, chyba nie przejeździemy tędy.

Wyszedł z wozu, usłyszałam chlupot i soczyste przekleństwo. Potem wrócił, zapalił papierosa i roześmiał się.

– W domu pewnie martwią się o panią – mówiąc to odwrócił się ku mnie kładąc rękę na oparciu; prawie dotykał nią moich włosów – mamusia czeka, może mąż też czeka?

Pomyślałam o Małgorzacie: chyba już spała i nie wiedziała, że jeszcze nie wróciłam. Ale Ryszard pewnie niepokoił się o mnie.

Teraz już rozumiałam, dlaczego kazał mi zmienić taksówkę koło Savoyu i nie pozwolił pytać o ulicę Henrietty. Bał się, żeby ktoś mnie nie śledził, żeby nie było świadków, nie chciał mnie narazić. Bo to byłoby równocześnie świadkowie tego, co zrobił. A on musiał to zrobić, bo ktoś zabił jego żonę. Wiedziałam nawet, w jaki sposób to zrobił: otrują ją cyjankiem.

– No to jedziemy, jak pani taka – szofer zapuścił motor, ale nie od razu ruszyliśmy. Zdążyłam jeszcze zdać sobie sprawę, że coś z tego, co myślałam, powiedziałam głośno, bo jak inaczej zrozumieć dziwne słowa szofera? Ale może tylko tak mi się wydało i może szofer też nic nie powiedział. Znowu stanęliśmy. Wyjrzałam przez okno: staliśmy przed moją bramą. A licznik był zepsuty: wybił tak śmiesznie małą sumę, że nie czekając na tłumaczenia szofera, wyjęłam pierwszy banknot, jaki mi się nawinął, i szybko wyszłam z wozu.

– Niechże pani tak nie rozruca pieniędzy! Przydadzą się na nowe pantofelki! – śmiejąc się chwycił mnie za rękę, włożył resztę i zamknął mi palce. – Dobranoc!

Równocześnie zapluskawa woda pod kołami i usłyszałam, jak ktoś nade mną otworzył okno.

– Bój się Boga, ja już nie wiem, co robić i co myśleć! – krzyczała Małgorzata, a po jej zatkanym nosie poznałam, że płakała od dłuższego czasu.

Więc już jest dwóch świadków: szofer, który z pewnością zapamięta dziwną pasażerkę ze złamanym obcasem, i Małgorzata, która wiedziała, kiedy wyszłam z domu i kiedy wróciłam. Zrozumiałam, że nigdy nie można postępować zbyt ostrożnie, bo nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Przede wszystkim nie powinnam była wrócić taksówką, to był straszny błąd, i jeżeli Ryszard nie ostrzegł

mnie przed nim, to tylko dlatego, że zbytnio zaufał mojej inteligencji. Następnie, nie powinnam była zamieszkać z Małgorzatą: wszystko w niej – kręcone rude włosy, splecione, jak zawsze po myciu, w dwa krótkie sztywne warkoczyki, piegi na zapuchłej od płaczu i jeszcze idealniej okrągłej niż zwykle twarzy, płaski, za mało wyrosnięty, a na samym końcu niespodziewanie zadarty nos, mrugające oczy i nawet rowki na szyi, zupełnie jak by była jeszcze niemowlęciem – wszystko świadczyło, że jeżeli nawet przysięgnie na rzeczy najświętsze, to i tak do rana zapomni i wygada się przed pierwszą spotkaną osobą. Miała na sobie mój czarny jedwabny szlafrok; zawsze wkładała moje rzeczy, kiedy była zdenerwowana albo zmartwiona.

– Nie masz pojęcia, co ja przeżyłam – mówiła ściągając ze mnie deszczowiec. – O Boże, pewnieś sobie nogi przemoczyła! Zaraz, jak zobaczyłam, że wychodzisz w tej samej bluzce co do biura, to pomyślałam sobie, że stało się jakieś nieszczęście, ale do dwunastej wytrzymałam i sama w sobie to przeżywałam. Potem zasnęłam trochę i zbudziłam się, patrząc: pierwsza. Nie chciałam ciebie zbudzić, tylko z progu zawołałam: „Mat, wróciłaś już?“, a ty nic, ani słowa. No to już nie wiedziałam, co robić, i zadzwoniłam do Anny. Podchodzi jej mąż, pytam go, dlaczego się przeprowadzili i po co tak długo zatrzymują ciebie, że już późno. A on na to, że rzeczywiście późno i żebym na drugi raz nie dzwoniła przez sen, i w ogóle był bardzo nieuprzejmy, nic się ostatnio nie zmienił. Poczekalam jeszcze parę minut i zadzwoniłam do inspektora Clarka...

Odepchnęłam Małgorzatę, wbiegłam do pokoju i rzuciłam się na tapczan. Wszystko przepadło, Ryszard nigdy już nie ukończy swojej

pracy, policja była na naszym tropie. Bo właśnie Michał Clark był jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział, do kogo mogłam pójść 17 sierpnia o 11 w nocy.

IV

Inspektora Michała Clarka znałam od dwóch lat.

Odkąd Ryszard postanowił poświęcić się wyłącznie swojej pracy, przestałam wyjeżdżać na urlop latem, wolałam jesień albo wiosnę. Ryszard nie znosił zgiełku i przepelnienia w letniskowych miejscowościach, lipiec i sierpień spędzał zawsze w mieście, prawie pustym o tej porze. Nie miało więc sensu wyjeżdżać z miasta wtedy, kiedy on z całą pewnością w nim przebywa i kiedy opustoszałe kawiarnie, skwery i parki zwiększały możliwość przypadkowego spotkania.

Owej wiosny pojechałam do „Jaskólczego Dworu”, bo spodobała mi się jego nazwa. Pensjonat stał nieco na uboczu, prawie u skraju wydm; nawet przy zamkniętych oknach słyszało się szum morza. Właścicielka, pani Konstancja, przejmowała się każdym gościem, zwłaszcza jego apetytem. Podczas podwieczorku siadała przy okrągłym stoliku, na którym leżały czasopisma, i w delikatny sposób plotkowała o swoich pensjonariuszach. Robiła to bardzo aluzyjnie: „Panno Matyldo, inspektor Clark o mało mnie nie zabił dziś przed obiadem. A przecież nie zrobiłam mu nic złego! Myślałam, że mu niewygodnie koło okna, i zaproponowałam inne miejsce przy stole. Na śmierć zapomniałam, że byłby o parę centymetrów dalej od pani”.

„Jaskółczy Dwór” to stary drewniany budynek, wszystko w nim trzeszczy, a stopnie schodów są niby klawisze, czułe na najłżejsze dotknięcie stopy i wygrywają własną melodię. Po trzech dniach odróżniałam już kroki inspektora Clarka od wszystkich innych. Gdy rano stawał pod moim oknem i pytał, przekrzykując morze, czy już schodzę, nigdy nie byłam nawet w połowie gotowa, bo było mi zbyt dobrze, żeby mi się chciało cokolwiek robić. We wsi kwitły jabłonie, jaskółki lepiły gniazda i odpoczywały na drutach telegraficznych. Chodziliśmy po wydmach, zapadaliśmy się w piasku i mieliśmy słone od morskiego wiatru wargi. Tam właśnie, na wydmach, Michał wymyślił genialny skrót mego imienia: „Mat”, na co nie wpadł przedtem nikt z mojej rodziny. I do końca naszych urlopów nie rozwiązaaliśmy tej dziwnej zagadki: dlaczego pościel w „Jaskółczym Dworze” pachniała kremem waniliowym. W mieście Michał podbił serce mojej ciotki (właściwie była moją cioteczną babką) tak całkowicie, że dla niego wyzbyła się swego uprzedzenia do telefonu. Samodzielnie nakręcała numer tylko po to, by zapytać Michała o zdrowie i upewnić się, czy będzie u nas wieczorem. Dzięki Michałowi czekałam spokojniej na Ryszarda, nie biło już mi tak szaleńczo serce, gdy na ulicy zobaczyłam z daleka jakiegoś wysokiego mężczyznę o atletycznej postawie. Ale to nie trwało długo, nadszedł ten piątek, 16 sierpnia, kiedy Ryszard zadzwonił do mnie późno w nocy, a ja byłam tak wzruszona i szczęśliwa, że nie zapamiętałam jego słów. Potem była sobota, 17 sierpnia, nie powinnam była umówić się z Michałem na taki dzień, ale gdyśmy się umawiali, był dopiero czwartek i zupełnie zapomniałam, że w sobotę będzie siedemnasty. Poszliśmy do kina, a potem na lody.

– Powiedz, Mat – zapytał Michał po drugiej porcji – czy rozstanie z firmą Benjamin Polly i Ska sprawiłoby ci wielką przykrość?

– Dlaczego miałabym stamtąd odejść? – zdziwiłam się. – Zdaje mi się, że Polly jest ze mnie zadowolony.

– Bo widzisz, Mat – mówiąc to Michał nie wykazywał bynajmniej odwagi, jaka powinna cechować inspektora Wydziału Śledczego, przeciwnie, głos mu drżał, a i w oczach było trochę strachu – nie chciałam, żeby moja żona mówiła „szefie” do takiego grubasa i w ogóle żeby do kogokolwiek mówiła „szefie”.

Opowiedziałam mu wtedy wszystko o Ryszardzie, także to, że właśnie poprzedniego dnia dzwonił i obiecał, że już niedługo, a kiedy skończyłam, Michał powiedział tylko: „Przepraszam, Mat, nie wiedziałem”, i nigdy już do tego tematu nie wrócił. Następnego dnia była niedziela; nigdzie nie wyszłam, trochę płakałam, bo mi było przykro, że uraziłam Michała, ale poza tym byłam szczęśliwa i chwilami śmiałam się sama do siebie przyglądając się w lustrze, by sprawdzić, czy rzeczywiście mogłam podobać się Michałowi. Pod wieczór zrobiło mi się smutniej, byłabym chciała usłyszeć od Michała trochę inne słowa, na przykład: „Mat, strasznie cię kocham”, albo: „Mat, nigdy w życiu nie kochałem nikogo tak Jak ciebie”, chociaż nie wiedziałam, co bym mu na to odpowiedziała. Potem był poniedziałek, jeden z najgorszych dni w moim życiu. Gdy wróciłam z biura, zastałam ciotkę nieprzytomną. Lekarze nie robili mi żadnej nadziei. Całe popołudnie spędzałam w szpitalu przy łóżku chorej, która nie wypuszczała mojej ręki i godzinami wpatrywała się we mnie bez słowa: po wylewie krwi do mózgu mówienie sprawiało jej

wielką trudność. Ciotka umarła z końcem października i nie wiem, jak bym wtedy podolała wszystkim sprawom, gdyby nie pomógł mi Michał, który okazał się naprawdę nieocenionym przyjacielem. To on właśnie, widząc moje przygnębienie, poradził mi, żebym nie mieszkała sama. Coś się jednak zmieniło w jego sposobie bycia, stale wydawało mi się, że czegoś oczekuje, albo że czegoś nie rozumie. Zresztą spotykaliśmy się coraz rzadziej, a gdy już poszliśmy dokądś, Michał był często przygnębiony i mało rozmowny. Pewnego razu zapytał, czy widuję się z Ryszardem; odpowiedziałam mu, że nie, bo czekam na jego telefon. Czy mógł więc wątpić, do kogo poszłam nocą 17 sierpnia? To nie był tylko strach, w każdym razie już po paru sekundach zdałam sobie sprawę, że to, co odczuwam, to przede wszystkim straszne upokorzenie: Michał, który nigdy nie widział Ryszarda, gdy był on pełnym sił mężczyzną, aż do przesady pedantycznym, miał zobaczyć teraz ten brud i nędzę, tego kalekę o czarnych obwódkach pod paznokciami i miał dowiedzieć się, że Ryszard był zazdrosny o żonę, którą ktoś zabił. Wiedziałam aż na- zbyt dobrze, że Michał nigdy w to nie uwierzy.

– Woda na herbatę wygotowała się – powiedziała Małgorzata wchodząc do pokoju i przekręcając kontakt – nie wiem dlaczego, ale na dnie nic nie ma. Nastawiłam, jak tylko zbudziłam się i usłyszałam, że nic nie mówisz. Więc jak mąż Anny tak mi odpowiedział, co miałam robić? Zadzwoiłam do inspektora Clarka, żeby zaczął ciebie szukać. O Boże, ależ ty masz brudne nogi! Pewnie błoto na ulicy. Więc zadzwoiłam do niego raz. – i nic. Myślę sobie: jeszcze nie wrócił. Zagrzałam wodę w łazience i dzwonię drugi raz – nic.

Gdzie on może być o tej porze? – myślę sobie, aż tu nagle słyszę, jak by jakieś auto zatrzymało się przed naszą bramą. Wkładam twój szlafrok, bo byłam w samej koszuli, i wyglądam przez okno: a to ty. Ależ ty całkiem mokra jesteś! Rozbieraj się szybko i wykąp się, zanim zrobię herbatę; ciotka naszego kierownika umarła zeszłego roku na gripę, a zaczęło się tak samo jak u ciebie; położyła się w mokrej...

– Dobrze, Małgorzatko, wykąpię się i napiję się herbaty z aspiryną. A w ogóle to chciałam ci powiedzieć, żeś schudła. – Z radości nie wiedziałam, jak odwdzińczyć się Małgorzacie za to, że Michał jednak nic nie wie.

– Sądzisz? – w głosie Małgorzaty było więcej triumfu niż wątpiewania, ale i tak otworzyła szafę, by zobaczyć się w dużym lustrze. – Mnie też tak się ostatnio wydawało, wszystko jakoś leci ze mnie... A dla ciebie mam niespodziankę, tylko że teraz nic ci nie powiem, rano sama zobaczysz. Już widzę, jakie oczy zrobisz.

W wannie obmyśliłam plan działania. Szofera zlekceważyłam zupełnie: skoro nie wiedział nic o istnieniu Ryszarda, nie mógł nam w niczym szkodzić, nawet gdyby komuś opowiedział o dziwnej pasażerce. Najważniejsza była Małgorzata, jej ciekawość należało natychmiast zaspokoić. Weszła właśnie do łazienki, z moją spódnicą przewieszoną przez ramię.

– Popatrz, coś zrobiła – powiedziała z goryczą kobiety, która nie zdążyła zmierzyć jakiejś części garderoby swojej przyjaciółki – jeszcze nie ma tygodnia, jak ją kupiłaś.

Poprzez dziurę w mojej spódnicy wysunęła się tłusciutka pięść Małgorzaty, tak dziwnie zaciśnięta, że też wyglądała na zmartwioną,

a duży palec otoczony plastrem sterczał w górę jak uosobienie żalu.

– Co ci się stało w palec? – zapytałam, żeby zyskać na czasie i coś wymyślić.

– Mnie w palec? Nie wiem. Coś wyskoczyło na nim, to go za-
lepiłam plastrem.

– Nie zgadniesz, gdzie byłam – jeszcze sekunda i byłoby z
pewnością za późno; Małgorzata zaczęłaby dopytywać się, gdzie
rozdarłam spódnice.

– Nie zgadnę – zgodziła się ze mną Małgorzata.

– Więc, wyobraź sobie, jeden z klientów Beniamina miał jutro
podpisać umowę, opowiadałam ci już o nim, ten z Indii, no i dziś
wieczór dostał telegram, że żona urodziła bliźniaki, więc on już nie
mógł wytrzymać i rano ma odlecieć, rozumiesz? Musiałam pojechać
do niego do hotelu, żeby jeszcze złapać jego podpisy, tymczasem
zaczęło lać i on zaprosił mnie na kolację...

– Z białym winem? – drżącym głosem zapytała Małgorzata.

– No wiesz! – oburzyłam się. – Przy bliźniakach? Z szampa-
nem! Sery, owoce, muzyka, w ogóle wszystko, jak się należy. Ale
zrobiło się strasznie późno, nie mogłam dłużej czekać...

Z milczenia Małgorzaty domyśliłam się, że nic lepszego nie mo-
głam znaleźć. Nawet przy herbacie nie powiedziała ani słowa. Do-
piero otulając mnie kołdrą zapytała swoim najbardziej zamyślonym
głosem:

– Chłopcy?

– Nie. Chłopak i dziewczynka. Tylko nie zapomnij zgasić świa-
tła.

Małgorzata jakiś czas jeszcze się krzątała, słyszałam, jak spluki-
wała wannę, potem wszystko ucichło i nagle powoli uchyliły się

drzwi. Po chwili szpara powiększyła się, zaczęła rosnać, aż stała się wystarczająco szeroka, by przepuścić Małgorzatę.

– Nie martw się o spódnicę – powiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem, żeby mnie nie zbudzić. – Można będzie wyciąć kawałek zakładu i wstawić, a jak fałdzik przesuniesz trochę na bok, to nikt nawet nie zauważy. – Małgorzata wycofała się tyłem i cicho zamknęła drzwi.

Nikt nie zauważył! Z pewnością ktoś zauważył. Szary strzęp zwisa uczepiony jakiejś gałęzi, ale czy na podstawie takiego niewielkiego kawałeczka wełny można znaleźć właścicielkę spódnicy? Nagle przypomniałam sobie: spódnicę rozdarłam nie o gałąź krzewu, ale wtedy gdy upadłam i zobaczyłam nogi człowieka ukrytego za krzakami. Ten będzie milczeć, nie ma obawy, bo to był właśnie mężczyzna, z powodu którego Ryszard był tak zazdrosny o swoją żonę, że ją zabił. I właśnie dlatego nie wspomniałam mu o człowieku w krzakach. A wszystko inne było kłamstwem. Na próżno łudziłam się, że nic nie powiedziałam Ryszardowi, bo bałam się o niego, bałam się, że rzuci się na kochanka swojej żony i że nie potrafi obronić się, bo jest kaleką. A to było kłamstwo, takie sobie usprawiedliwienie, żeby być w porządku ze sobą. Prawda była inna: i wtedy w ogrodzie, i później w pokoju, kiedy piłam kawę, nic mu nie powiedziałam, bo pragnęłam tylko jednego: wyjść stamtąd, wydostać się z tego zaduchu i brudu, tej ohydy i potworności, a o bezpieczeństwie Ryszarda w ogóle nie myślałam, nic on mnie nie obchodził, budził we mnie tylko wstręt, nie był już zresztą prawdziwym Ryszardem, był teraz tylko brudnym, zaniedbanym mężczyzną o nie ogolonej od wielu dni twarzy i czarnych obwódkach przy paznokciach, był strasznym,

obcym mężczyzną, który spał na brudnej pościeli ze swoją żoną i królikami, który wciągnął mnie w swoje ohydne sprawy i zrobił ze mnie współniczkę zbrodni, bo od razu zrozumiałam, że to on ją zabił, otrął ją cyjankiem, poznałam przecież słoiczek i etykietkę. Dawniej, gdy Ryszard mieszkał w pensjonacie pani Munde przy ulicy Nadrzecznej, w pokoju o meblach tak błyszczących od ciągłego czyszczenia, że odbijał się w nich most i kamienice z drugiego brzegu, słoik ten stał na półce biblioteki, zasłonięty grubymi tomami encyklopedii, a gdy go tam przypadkowo znalazłam, Ryszard powiedział mi: „Zawsze trzeba mieć przy sobie cyjanek”.

Świtało już, gdy zbudziłam się, by odnaleźć przykrą myśl, która nie dawała mi śnić o ciemnym, lśniącym kawałku czekoladowego tortu leżącym na białym koronkowym kartoniku w cieniu palmy, zza której połyskiwało w słońcu olśniewająco niebieskie morze. Myśl była ogromnie przykra, ale zdawało mi się, że dam sobie z nią radę, gdy tylko ją odnajdę, a potem usiądę znowu przy stoliku pod palmą. Chodziło o Beniamina Polly. Czy on zechce zatrzymać u siebie w biurze osobę, która zrobiła coś tak niesłychanego? Raczej nie zechce, ale w końcu była to sprawa zupełnie nieważna, nawet nie drugoplanowa, najgorsza myśl tyczyła Małgorzaty. Ciotka nie była podejrzliwa, mogłam wracać do domu, kiedy chciałam, zresztą tak rzadko zdarzało mi się wrócić późno, Ryszard nigdy nie miał czasu, by dokądś się wybrać. Teraz jednak, kiedy już skończy swoją pracę, będzie całkiem inaczej, i ciekawość Małgorzaty stanie się nie do zniesienia. Jeszcze jednej rzeczy chciałam uniknąć: podziękowań i wdzięczności Ryszarda. Naprawdę nie miało sensu, żeby on tak

mówił: „Matyldo, gdyby nie ty...”, przecież zrobiłam to wszystko nie dla niego, tylko dla siebie, z czysto egoistycznych pobudek, i musiałam mu to wytłumaczyć: „Bo życie bez ciebie nie miałooby sensu, najmniejszego sensu, rozumiesz?”

V

Byłam sama w pokoju; koło flakonu z astrami leżała złożona gazeta, na niej fotografia. Gazetę przyniosła Małgorzata razem z bułkami i powiedziała, że kobiety w sklepie mówiły tylko o strasznym oberwaniu chmury i o nowej tajemniczej zbrodni, którą popełniono tej nocy. Potem wyszła, a ja zostałam sama ze złożoną gazetą i fotografią. Siedziałam przy stole, paliłam papierosy i patrzyłam na olbrzymie nagłówki: OBERWANIE CHMURY, trochę niżej: KATASTROFALNY, a pod spodem: ZNOWU ZBRODNIA. Gazeta była złożona, więcej nie było widać. Nie rozkładałam jej, bo i tak wiedziałam, że zakończenie ostatniego tytułu brzmi: PRZY ULICY HENRIETTY. Paliłam więc papierosa za papierosem i czekałam na nich. Wydało mi się, że słyszę jakiś hałas dochodzący z ulicy. To mogli być oni, mogli przyjechać po mnie autem policyjnym; nie miałam pojęcia, jak oni to robią zazwyczaj. Ale nikt nie wszedł na schody. Po chwili hałas się wzmógł, ktoś krzyknął „Ostrożnie!”, i znowu wszystko ucichło, nikt nie wchodził na nasze piętro. Podeszłam do okna, otworzyłam je i wychyliłam się: naprzeciw stał wóz meblowy, z bramy wynoszono oleandry w zielonych skrzynkach; sąsiadka z naprzeciwka, pani Cotty, wyszła ze swoim pieskiem,

który zatrzymał się zaraz za bramą, przy rynnie, obojętny na pociągnięcia smyczy. Wąskim prostokątem pomiędzy dachami chmury płynęły tak nisko, że nie było widać wieży kościoła św. Marcina. Był zwykły cichy dzień na naszej cichej ulicy. Piesek pani Cotty pozwolił jej w końcu podejść do kiosku; wyjęła z kieszeni szlafroka monetę i położyła ją koło okienka. Z kiosku wysunęła się ręka ze złożoną gazetą, którą pani Cotty natychmiast rozłożyła. Nie widziałam twarzy pani Cotty, ale zdawało mi się, że słyszę, o czym mówi właścicielka kiosku: obie spojrzały w moją stronę. Cofnęłam się za firankę. Z bramy wynoszono szafę, piesek pani Cotty pociągnął ją w tym kierunku, szamotała się z nim chwilę i weszła do swojej bramy. Znowu wychyliłam się z okna, mogli nadjechać każdej chwili, wolałam zobaczyć ich z daleka. Ale nic się nie działo, nie nadjeżdżało żadne auto ani żaden obcy człowiek nie zjawił się na naszej ulicy. Tylko pani Cotty otworzyła okno i zabrała się do sprzątanania.

– Dzień dobry, panno Matyldo – powiedziała trzepiąc ściereczkę – ale dało nam szkołę wczoraj, prawda? Niech pani nic nie mówi na tę wilgoć, wiem od panny Małgorzaty, że Dani jest przeziębiona po tym wczorajszym deszczu. Czytała pani, że piwnice zalało? I lepiej niech pani zamknie okno, właśnie przed chwilą mówiłam o tym, że wietrzenie może częściej zaszkodzić niż pomóc.

Zamknęłyśmy równocześnie okna. Widocznie o mnie jeszcze nie pisano. Ryszard mnie nie wydał. Jak mogłam choć przez sekundę myśleć, że on mnie wyda! To znaczyło, że mam trochę czasu; oni nie zaraz przyjadą po mnie. Wiedzą tylko to, że była tam jakaś kobieta, bo znaleźli strzęp szarej wełny na płycie w ogrodzie; sfotografowali

także ślady damskich pantofli i zdjęli odciski ze szklanki. Ale wciąż jeszcze nie wiedzą, kim była ta kobieta, która pomogła ukryć zwłoki! Dopiero szofer im powie. Teraz on śpi, jeździł przecież całą noc, to jasne; wstanie koło południa, przeczyta gazetę i wtedy domyśli się, kogo wioził z ulicy Parkowej na Podzamcze. Miałam więc trochę czasu, mogłam spalić spódnicę i pantofle, a gdyby mnie skonfrontowano z szoferem, mogłabym powiedzieć, że pierwszy raz w życiu go widzę, i poprosić, żeby zrobiono u mnie rewizję; jak znajdą podartą spódnicę i pantofel ze złamanym obcasem, to wtedy się przyznam, ale nie wcześniej. Tylko, że to wszystko nie miało sensu. Nie tylko to nie miało sensu, nic już nie miało sensu.

Najprościej byłoby napisać, że rozpacz moja i strach były zbyt wielkie, bym mogła zdobyć się na wysiłek logicznego myślenia. A jednak nie byłoby to prawdą, w każdym razie nie byłyby to całkowita prawda. Choć może to wydać się dość dziwne, dominującym uczuciem w tych okropnych chwilach oczekiwania był – wstyd. Wstydziałam się swojego porannego uniesienia, wstydziałam się słów, które szeptałam, na progu snu, do nieobecnego Ryszarda. Nikt ich co prawda nie słyszał, ale ja je pamiętałam. Kochałam mordercę – na to nie było rady, nie przestaje się kochać kogoś dlatego, że zabił. Ale nie rozumiałam, jak mogłam choć przez chwilę łudzić się, że wszystko będzie jak dawniej, byleby tylko Ryszard ukończył swoją pracę i znalazł trochę czasu dla mnie! Nawet gdyby jego zbrodni nigdy nie wykryto! Jak mogłam łudzić się, że pójdziemy jeszcze kiedyś do małej cukierni koło uniwersytetu i będziemy pić kawę,

gdy w ruinach przy ulicy Henrietty rozkładać się będzie powoli ciało tamtej kobiety!

Była jeszcze fotografia; leżała na stole przy złożonej gazecie. Profil Ryszarda nie był całkiem ostry, ale i tak widać było wystające kości policzkowe i głęboką bruzdę biegnącą od nosa ku ustom. Nie znałam tej bruzdy ani wyrazu uporu i rozgoryczenia, w nocy niczego nie zauważyłam. Nosił ciemne okulary – pewnie było silne słońce w chwili, gdy go sfotografowano – i uniformową kurtkę. Już podczas rozmowy z nim domyśliłam się, że pracuje jako nocny stróż, ale nie wiedziałam, że strażnicy noszą takie kurtki – wydało mi się to upokarzające. Za Ryszardem chylił się ku tyłowi jakiś mur, dziwnie pofałdowany czy splekany. Tuż nad głową wychodziło z muru pięć rur o nierównych przekrojach. Nic mi to nie mówiło, nie wiedziałam, gdzie zrobiono to zdjęcie. Taka była niespodzianka, o której w nocy powiedziała mi Małgorzata. Przez tyle lat nie miałam ani jednego zdjęcia Ryszarda – nigdy go zresztą o to nie prosiłam, zawsze w ostatniej chwili brakowało mi odwagi, bo wiedziałam, że nie znosi fotografów – i dostałam je właśnie teraz...

Zdjęcie przyniósł Joel, narzeczony Małgorzaty, z którego od paru tygodni usiłowała zrobić fotografa. Biedaczka nie miała szczęścia do narzeczonych; pierwszy pożyczył od niej dość dużą sumę i znikł, drugi ożenił się z jej kuzynką, trzeci – właśnie Joel – studiował prawo, ale nie bardzo miał za co, zwłaszcza że studiował je dość długo. Przez jakiś czas pracował jako agent ogłoszeniowy, tracił jednak za dużo pieniędzy na przejazdy i zelówki, by mu się to opłacało. Stąd pomysł Małgorzaty, by chwilowo przerzucił się na fotografię. Stałby sobie w jakimś ruchliwym punkcie i robił zdjęcia. Jej szef obiecał

zatrudnić Joela, gdy tylko nauczy się czegoś, i dał mu nawet niesamowity, skrzyniowaty aparat do nauki. Nie wynikało to bynajmniej ze szlachetności jego charakteru, po prostu bał się, że Małgorzata odejdzie do konkurencyjnego zakładu, a była specjalistką nie do zastąpienia: robiła grupowe zdjęcia rodzinne – ślubne, pogrzebowe, rocznicowe i jeszcze straszniejsze – w tak przedziwny sposób, że każda rodzina wychodziła jak rój kochających się aniołów, a panny młode, w pożyczonych welonach i z bukietami sztucznych kwiatów na tle blaszanych palm, wyglądały jak modelki rewii mód. Tak więc Joel codziennie rano przed wykładami, czasem już od piątej godziny, biegał ulicami i fotografował swoje stałe modele: śmieciarzy, zamiataczy ulic, gosposie wyprowadzające pieski, rozwozicieli mleka, wszystkich absolutnie jednakowo: z profilu, na tle walącego się muru albo uciekającego w tył drzewa, jakoś mu tak zawsze wychodziło, sam nie wiedział dlaczego. Za to nauczył się samodzielnie robić odbitki, ale filmy wywoływała Małgorzata podczas przerwy obiadowej, z nie słabnącą nadzieją, że w końcu ukaże się jedno możliwe zdjęcie. I poprzedniego dnia nagle ukazał się na taśmie Ryszard.

Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku; tak jak przypuszczałam, tym razem Małgorzata wróciła do domu na obiad. Szybko położyłam się na tapczanie, narzuciłam na siebie pled i udawałam, że śpię. Wiedziałam, co mi powie: że dzwoniła do Beniamina Polly, powiedziała mu, że nie przyjdę, bo źle się czuję, a on w ogóle nic nie rozumiał, o żadnym kliencie i bliźniakach nic nie słyszał i nigdzie mnie w nocy nie posyłał. Kłamać trzeba konsekwentnie; nie pomyślałam o tym,

gdy poprosiłam rano Małgorzatę, żeby zadzwoniła do Beniamina Polly dokładnie pięć minut po pół do dziewiątej, bo później jest już zdenerwowany nieobecnością pracownika.

Małgorzata nie od razu weszła do pokoju, przez chwilę podsluchiwała pod drzwiami. Potem ostrożnie nacisnęła klamkę i powoli otworzyła drzwi.

– Śpisz? – szepnęła. – To śpij, chociaż przyniosłam kotlety, bo coś musisz zjeść. I wiesz, co się dziś stało... – urwała nagle, ale ja już wiedziałam, co się stało: jeżeli nawet sama nie przeczytała porannej gazety, to z pewnością ktoś z atelier „Miami” opowiedział jej o zbrodni przy ulicy Henrietty. – To znaczy, nic się nie stało – podjęła po chwili – w ogóle był spokojny dzień, ludzie się nie fotografowali, mieli inne kłopoty, bo piwnice zalało prawie w całym mieście...

W końcu poszła sobie, ale drzwi do przedpokoju nie zamknęła, słyszałam, jak przystawiła coś na gaz, potem zapachniało smażonym mięsem i pomyślałam sobie, że może jednak i rozmowa z Beniaminem Polly miała inny przebieg. Gdyby Małgorzata wiedziała, że okłamałam ją, nie smażyłaby tak spokojnie kotletów. Przed wyjściem zaszła jeszcze raz do mnie: zmieniła wodę we flakonie z astrami.

Wróciłam do okna i znowu obserwowałam ulicę. Wóz meblowy już odjechał, mąż pani Cotty wrócił z biura; na odmianę on teraz wyprowadził psa. Jakąś godzinę usiłowałam sobie przypomnieć jego imię, Reks czy Bobby, potem ulica zaludniła się, coraz więcej ludzi wracało do domu i mogłam ich przeoczyć między przechodniami, bo nie byłam pewna, czy oni zawsze chodzą w mundurach. Nikt jednak nie przyszedł; pomyślałam, że widocznie szofer czytuje tylko wieczorne wydanie i tak jak Małgorzata nie ufa porannym gazetom.

Powoli zapadał przedwczesny zmrok; choć nic nie padało, chodniki i jezdnie były wilgotne. Przed kioskiem zatrzymało się auto przywożące gazety, nie miałam jednak dość odwagi, by zejść na dół i stanąć oko w oko ze sprzedawczynią, która, być może, teraz już wiedziała. Nagle zdecydowałam się, że jednak zejść po gazetę: przecież szofer jeszcze nic nie powiedział, kiedy je drukowano. Odwróciłam się od okna w tej samej chwili, gdy zapalono latarnie. W pokoju było teraz na tyle jasno, że przechodząc koło stołu zauważyłam rozłożoną gazetę i przeczytałam cały nagłówek:

ZNOWU ZBRODNI NA SKWERZE PROFESORÓW

Wtedy właśnie usłyszałam dzwonek.

Wbiegłam do przedpokoju i już prawie dotykałam ręką zatrasku, kiedy nagle zrozumiałam, że ci za drzwiami nie wiedzą, czy ktoś jest w domu. Światło się nie paliło, moich kroków też nie mogli usłyszeć, bo miałam jeszcze ranne pantofle na nogach, skąd by więc mogli wiedzieć, że jestem w domu! Mogłam ich nie wpuścić! Powoli opuściłam rękę i cofnęłam się o krok, ale dalej bałam się przejść, by nie zatrzęszczała podłoga. Stałam tak nie wiem jak długo, bez najlżejszego poruszenia, prawie nie oddychając – i tak samo cicho było za drzwiami. Ulicą przejechał wóz ciężarowy zgrzytając żelastwem, potem ktoś zaczął monotonicznie wykrzykiwać: „Wolno próbować, wolno próbować, każde jabłko wolno próbować!”, a ja nie usłyszałam, czy ci zza drzwi już odeszli. Wózek sprzedawcy jabłek powoli minął nasz dom, było znowu cicho, najmniejszy szmer nie dochodził z korytarza. Stałam twarzą w twarz z tymi, którzy przyszli po mnie i mieli dość cierpliwości, by czekać tak godzinami, albo może odeszli

przed chwilą i po drugiej stronie drzwi nie było nikogo. To staowało się nie do zniesienia. Zdawało mi się, że oszaleję, jeżeli nie dowiem się natychmiast, czy ktoś stoi za drzwiami. Wtedy znowu zabrzmiał dzwonek. Rzuciłam się ku drzwiom i otworzyłam je szeroko. Na progu stał Michał Clark.

– Moje biedactwo – powiedział – moje strasznie biedne biedactwo.

VI

Tego wieczora przekonałam się, jak niepełna była moja wiedza o wytrzymałości ludzkiej na cierpienie. Było dla mnie dotąd rzeczą oczywistą, że jeżeli człowiek o nieposzlakowanej uczciwości, któremu nie zdarzyło się nawet jechać tramwajem bez biletu, który w życiu muchy nie skrzywdził (naprawdę nigdy nie zabiłam muchy, nawet w dzieciństwie, pająka, zresztą też nigdy nie zabiłam), w ciągu niepełnej doby naprzód będzie pomagać w zacieraniu śladów zbrodni popełnionej przez najdroższą, najbliższą osobę, a potem dowie się, że wszystko, w co wierzył i czym żył od lat, nie było trwalsze od bańki mydlanej, że poświęcił się dla czegoś, co nie istniało – no to taki człowiek może spokojnie położyć się do łóżka i czekać, żeby mu serce pękło. Okazało się, że tak nie jest, bo zawsze istnieje jeszcze jakaś słomka, którą można chwycić, by wydostać się na powierzchnię życia. Mnie wystarczyło to, że Ryszard zatarł wszelkie ślady, które mogłyby naprowadzić policję na mój ślad, umył szklankę, schował dzbanuszek do kredensu. Wbrew oczywistemu prawdopodobieństwu twierdził, że sam wyniósł zwłoki z domu i wrzucił je przez okno do pustego budynku. Gdy Michał z

porucznikiem Flintem przyszedli do domu przy ulicy Henrietty, nic już nie świadczyło o mojej obecności i nikt by się jej nie domyślił, nawet Michał – deszcz oczywiście zmył strzęp spódnicy, a ślady pantofli nie były widoczne na brudnej podłodze – gdyby nie znaleźli mojej cygarniczki!

Nie była to cygarniczka na codzień, ani nawet od święta, to była cygarniczka-pamiątka, cygarniczka-talizman i leżała zazwyczaj w przegródce mojej torebki obok innych drobiazgów, bez których żadna kobieta nie może istnieć. Dostałam ją od Ryszarda, miała czerwoną literkę „M”, w miejscu gdzie się rozkręcała, była czarna, długa, smukła i strasznie niepraktyczna; szybko przestała się rozkręcać, zatkała się, nie można już jej było wyczyścić. Oczywiście nie wyrzuciłam jej, nigdy w życiu niczego nie wyrzuciłam, co jakiś czas próbowałam ją naprawić, Michał kiedyś też próbował coś przy niej zrobić, stąd ją znał i od razu zrozumiał, kto był u Ryszarda.

Sądzę, że ludzie, którzy choć raz w życiu byli naprawdę nieszczęśliwi, zaznali klęsk ostatecznych i znikąd już nie spodziewali się ratunku, a znaleźli go w sobie samych, rozumieją, w jaki sposób zdobyłam tę zbawienną pewność, że jednak Ryszard kochał tylko mnie, a obie tamte kobiety – Irma, z powodu której utracił rękę, kiedy daremnie szukał jej naprzód na wyścigach w Sams, potem w przepelnionym pociągu, co zakończyło się tym tragicznym wypadkiem, i jego żona, Teresa, której jeszcze przed ślubem powiedział: „Pamiętaj, że mnie nie wolno oszukiwać. Zabiję cię, jeżeli mnie zdradzisz”, a ona zgodziła się na to, byli świadkowie, którzy słyszeli, jak odpowiedziała: „Dobrze, to mnie zabijesz” – obie tamte kobiety

nic nie znaczyły w jego życiu, skoro w tak strasznej chwili myślał tylko o mnie i zacierał ślady mojej obecności u niego w domu!

Być może, moje rozumowanie wyda się dziwne, dziwniejsze jest jednak to, że do pewnego stopnia okazało się prawidłowe: te kobiety rzeczywiście nic nie znaczyły dla Ryszarda. Mnie zaś, gdy wspominał ten wieczór spędzony z Michałem, dziwi nie sam wynik mego rozumowania, ale jego przebieg: bo myśl, że jeszcze nie wszystko przepadło, że nie trzeba rozpaczać, nie powstała po wyjściu Michała, kiedy już wszystko wiedziałam, ale zaczęła kiełkować we mnie od razu, od pierwszych jego słów, i chyba tylko dzięki niej przyjąłam tak spokojnie te wszystkie ciosy, a także radę Michała, żebym porozumiała się z jakimś zaufanym adwokatem, bo sądził, że udział mój w procesie – nawet gdybym miała odpowiadać z wolnej stopy – jest nieunikniony.

Zapytałam go wtedy, czy nie udałoby się uzyskać zwolnienia Ryszarda, gdyby ktoś złożył za niego kaucję.

– Nie – odpowiedział – Ryszard zrezygnował nie tylko z tego, on nie chce nawet adwokata. Powiedział, że nie ma po co tam wracać.

Woda zalała piwnicę, w której miał coś w rodzaju pracowni i biblioteki. Biurko stało pod samym oknem; gdy wrócił rano z dyżuru, wszystkie jego rękopisy, wszystkie notatki, bruliony, przesiąknięte wodą, zamazane, nieczytelne – wszystko, czym żył od tylu lat, owoc jego pracy, dla której skazał się dobrowolnie na taki rodzaj życia – pływały na powierzchni zmaconej wody, między odłamkami drzewa, kartoflami, śmieciem i zdechłymi szczurami. Gdy to zobaczył, poszedł na Komendę i poprosił, by go zaprowadzono do dyżurnego

inspektora. Nie był nim ani Michał, ani porucznik Flint; obaj zupełnie przypadkowo znajdowali się o tak wczesnej porze w gmachu Komendy. Wtedy wydawało mi się, że trudno o lepszy przykład ironii losu: Michał, który nigdy nie widział Ryszarda, ale tyle wiedział o nim ode mnie, spotyka go pierwszy raz i słyszy takie słowa:

– Chciałem otruć moją żonę cyjankiem, ale zdaje mi się, że umarła na atak serca.

Opowiedziałam Michałowi wszystko, co się stało tej nocy, od chwili gdy w przedpokoju zadzwonił telefon, aż do mego powrotu podczas ulewy, nawet o kliencie z bliźniakami mu wspomniałam, ale to go nie zadowoliło. Chciał znać każdy mój krok od wyjścia z bramy naszego domu, notował każdy szczegół i widziałam, jak bardzo go złości moja niedokładność w określaniu czasu. Nasza rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

M i c h a ł : Czy jesteś pewna, że było dokładnie dwadzieścia po jedenastej, kiedy wsiadłaś do taksówki?

J a (rozpaczliwie): Skąd mogę wiedzieć, czy dokładnie dwadzieścia po jedenastej? Nie patrzyłam przecież na zegarek, już ci to powiedziałam.

M i c h a ł : Poczekaj. Ryszard dzwonił za pięć jedenasta, tego jesteś pewna, tak?

J a : O tak, tego jestem zupełnie pewna.

M i c h a ł : Spojrzałaś może na zegarek, kiedy zadzwonił telefon?

J a : Nie, to jest... cały wieczór leżałam na tapczanie i patrzyłam na zegarek. Postanowiłam, że tylko do jedenastej będę czekać, więc, rozumiesz...

M i c h a ł : Rozumiem. Jak długo rozmawialiście?

J a : Nie wiem; minutę, dwie.

M i c h a ł : Jak długo ubierałaś się?

J a : Ani sekundy! Natychmiast wyszłam.

M i c h a ł : Mat, kochanie, przecież nie leżałaś na tapczanie w deszczowcu i z torebką przewieszoną przez ramię.

J a : Nie, oczywiście... Więc narzuciłam deszczowiec, wróciłam do pokoju po torebkę, powiedziałam Małgorzacie, że idę do Anny, i wybiegłam na ulicę. Natychmiast nadjechała taksówka, wsiałam, po paru minutach byłam już przed Domem Profesorów.

M i c h a ł : Jak długo jechałaś?

J a : Nie wiem, może pięć minut, może dziesięć, nie, dziesięć to wykluczone, nim się obejrzałam, byłam już koło skweru.

M i c h a ł : Jak długo stałaś przed Domem Profesorów?

J a : Chwilkę, może minutę, dwie, a potem przebiegłam przez skwer...

M i c h a ł : Szybko biegłaś?

J a : Nie, z początku po prostu szłam bardzo szybko, a w pewnej chwili zaczęłam biec.

M i c h a ł : Dlaczego dopiero w pewnej chwili?

J a : Bo... przestraszyłam się. Zdawało mi się, że coś słyszę.

M i c h a ł : Jak byś określiła to „coś”?

J a : Jak by ktoś szedł po wyźwirowanej ścieżce.

M i c h a ł : Ależ, Mat, jak mogłaś się tego przestraszyć? Przecież wszystkie ścieżki na Skwerze Profesorów są posypane żwirem i jasne jest, że żwir skrzypi, gdy się po nim chodzi. Może usłyszałaś coś innego, przypomnij sobie, to bardzo ważne.

J a : Nie, naprawdę niczego więcej nie usłyszałam, tylko wydało mi się, że żwir skrzypi, a tam jest tak strasznie nocą, ciemno, pusto...

Podczas tej rozmowy nie spuszczałam oczu z twarzy Michała,

ale dopiero wtedy zauważyłam, że on patrzy na coś, co leży koło flakonu z astrami. Poszłam za jego wzrokiem, tam leżała fotografia Ryszarda i gazeta. To była sekunda, nawet mniej, jakieś nagłe olśnienie: przypomniał mi się tytuł wydrukowany tłustą czcionką: ZNOWU ZBRODNIA NA SKWERZE PROFESORÓW, i zrozumiałam, że Michał unika mego wzroku, bo nie chodzi mu o sprawę Ryszarda, ale o tamtą zbrodnię popełnioną na Skwerze Profesorów.

– Michale! – krzyknęłam – ty chyba nie sądzisz, że to ja... tam – nie wiedziałam, co tam się stało, więc tylko ruchem głowy wskazałam na gazetę.

– Nie, Mat, skądże. Widocznie jesteś bardzo zdenerwowana, jeżeli mogłaś coś takiego wymyślić – odpowiedział. – Ale to się stało mniej więcej w tym czasie, kiedy przechodziłaś tamtędy, może zresztą trochę wcześniej. Zostawmy to na razie. Mam inną prośbę: przeczytaj dokładnie zeznania Ryszarda i... zastanów się. Musisz wszystko wiedzieć, tak samo jak ja... Widzisz: niczego przed tobą nie ukrywam i chciałbym, żebyś ty także była wobec mnie zupełnie szczerą. Nie złość się, Mat, oczywiście jesteś szczerą, ale... mogłaś o czymś zapomnieć. Dlatego przede wszystkim przeczytaj to sobie.

VII

Nie rozumiałam, o co chodzi Michałowi. Sprawa Ryszarda była tak jasna, że gdybym nawet przypomniała sobie z dokładnością mózgu elektronowego, co robiłam tej nocy, sekunda po sekundzie, nic nowego już bym do niej nie wniosła. Wzięłam posłusznie z rąk

Michała kopię przesłuchania i w ten sposób pierwszy raz zetknęłam się z działalnością porucznika Flinta, którego miałam wkrótce poznać bliżej. Moja antypatia do niego powstała, a raczej wybuchła, już po paru minutach czytania, by potem, w ciągu kilku następnych dni, dojrzeć całkowicie, chociaż dzisiaj muszę przyznać, że raz, ale tylko jeden jedyny raz, porucznik Flint miał jednak rację. W miarę jak czytałam, zastanawiałam się, dlaczego nie publikuje się takich przesłuchań w celach dydaktyczno-profilaktycznych. Jeżeli grożąca im kara więzienia nie odstrasza przestępców od popełniania zbrodni, to widocznie więzienie nie jest takie straszne. Co innego zeznawanie przed obliczem porucznika Flinta:

„R. V a s s i : Była dziesiąta, wychodziłem właśnie z budki, gdzie ostemplowałem swoją kartę, kiedy minęło mnie dwóch młodych ludzi...

Porucznik F l i n t : Pan wspomniał, że magazyn firmy, przez którą pan jest zatrudniony, znajduje się przy ulicy Składowej, w każdym razie budka strażnicza jest przy Składowej. Otóż, o ile sobie przypominam, ta ulica jest wyjątkowo źle oświetlona, czy tak?

R. Vassi: Tak.

Porucznik F l i n t : W jaki więc sposób mógł pan przyjrzeć się tym ludziom tak dokładnie, że może pan określić ich wiek?

R. V a s s i : U wejścia do budki jest dość silna żarówka, a brama składu też jest oświetlona. Zresztą głosy tych ludzi, ich ruchy, wszystko wskazywało, że to są chłopcy najwyżej dwudziestoletni.

Porucznik F l i n t : Pan by ich poznał?

R. V a s s i : Nie, twarzy ich właściwie nie widziałem. Roześmiali się na mój widok, ale dopiero gdy minęli budkę, jeden z nich odwrócił się i zawołał: «Lepiej byś swojej żony pilnował!»

Porucznik F l i n t : Czy pan jest pewny, że nic więcej nie powiedział? A może jego kolega coś jeszcze dodał?

R. V a s s i : Nie wiem, nie słuchałem, o czym mówili, natychmiast pobiegłem do domu.

Porucznik F l i n t : O ile wiem, to jest zabronione przez regulamin.

R. V a s s i : Tak, ale ja wtedy o tym nie myślałem.

Porucznik F l i n t : Którędy pan pobiegł?

R. V a s s i : Ulicą Składową aż do cmentarza, tam jest wyłom w murze, potem przez cmentarz i przez drugi wyłom na nie zabudowany plac, na który wychodzą tyły mojego ogrodu.

Porucznik F l i n t : To znaczy, że pan nie wszedł wejściem od ulicy Henrietty, ale drugim, tylnym.

R. V a s s i : Nie, nie ma drugiego wejścia do ogrodu, po prostu parkan jest zniszczony, siatki nie ma ani z boku ogrodu, ani z tyłu.

Porucznik F l i n t : Ale dom ma dwa wejścia.

R. V a s s i : Tak, jedno przez werandę i drugie od tyłu. Tamtędy właśnie wbiegłem do korytarza, a potem do pokoju...

Porucznik F l i n t : To znaczy do pokoju, którego okna wychodzą na tyły ogrodu.

R. V a s s i : Tak.

Porucznik F l i n t : Czy pan zauważył światło w oknach?

R. V a s s i : Nie, w pokoju było ciemno, zaświciłem latarkę, nie było nikogo, ale na stole zauważyłem butelkę rumu i dwa kieliszki. Natychmiast zrozumiałem, że ktoś ją tu musiał przynieść,

i równocześnie usłyszałem skrzypienie otwieranego okna. Wbiegłem do drugiego pokoju...

Porucznik Fli nt: Te pokoje są połączone drzwiami, tak?

R. V a s s i: Tak. Wbiegłem i domyśliłem się, że ktoś wyskoczył przez okno.

Porucznik Fli nt: Co znaczy: «Domyśliłem się»?

R. V a s s i: Bo nikogo już nie zobaczyłem. Dopiero potem, kiedy wróciłem do pokoju, zauważyłem szalik zwisający z parapetu okna.

Porucznik Fli nt: Jak to «nikogo»? A gdzie była wtedy pańska żona?

R. V a s s i: Chyba leżała na łóżku, ale właściwie nie wiem, nie patrzyłem na nią, natychmiast wybiegłem do ogrodu...

Porucznik Fli nt: Którędy? Nie przez okno?

R. V a s s i: Nie, przez korytarz i werandę. Dlatego temu człowiekowi udało się uciec, nie wiedziałem nawet, w jakim kierunku pobiegł. Wybiegłem na ulicę, była pusta. Wróciłem do ogrodu i wydało mi się, że słyszę trzask gałęzi. Strzeliłem dwa razy w tym kierunku..

Porucznik Fli nt: To znaczy, w jakim kierunku?

R. V a s s i: Na prawo od domu.

Porucznik Fli nt: Pan strzelał zwrócony twarzą ku domowi, tak?

R. V a s s i: Tak. Ale nie usłyszałem ani krzyku, ani odgłosu upadającego ciała. Zeszedłem do piwnicy i przyniosłem słoik z cyjankiem.

Porucznik Flint: Czy żona wiedziała, że w piwnicy jest cyjanek?

R. V a s s i: Nie wiem.

Porucznik Fli nt: Pan jej o tym nigdy nie wspominał?

R. V a s s i : Nie, nigdy jej o tym nie powiedziałem.

Porucznik F l i n t : Nie jest jednak wykluczone, że mogła ten słoik zauważyć.

R. V a s s i : Nie wiem, ale to jest mało prawdopodobne. Słoik stał na półce, za tomami encyklopedii. W tej części piwnicy jest moja biblioteka i pracownia, żona nigdy tam nie zachodziła.

Porucznik F l i n t : Pan jej nie pozwalał wchodzić do swojej pracowni, czy po prostu żona nie interesowała się pana sprawami?

R. V a s s i : Nie; schody są dość strome, a żonie nie wolno się było przemęczać.

Porucznik F l i n t : Z ilu stopni składają się te schody?

R. V a s s i : Nie wiem, może z pięciu, najwyżej z sześciu, nigdy ich nie liczyłem.

Porucznik F l i n t : I mimo to pańska żona nigdy nie zeszła do piwnicy?

R. V a s s i : Żonie chodzenie sprawiało wielką trudność, męczyła się bardzo szybko, ostatnio w ogóle nie wychodziła z domu.

Porucznik F l i n t : «Ostatnio», to znaczy?...

R. V a s s i : Odkąd wróciła ze szpitala.

Porucznik F l i n t : Jak długo była w szpitalu?

R. V a s s i : Trzy tygodnie.

Porucznik F l i n t : A kiedy wróciła do domu?

R. V a s s i : Z początkiem lipca, piątego, zdaje mi się.

Porucznik F l i n t : Wróćmy do tego momentu, kiedy pan wszedł do pokoju ze słoikiem cyjanku w ręce.

R. V a s s i : Żona leżała na łóżku, głowę miała ukrytą w zgięciu ramienia. Podszedłem do łóżka, postawiłem słoik na stoliku i odwróciłem jej głowę ku sobie; potem nabrałem cyjanku na łyżeczkę, bo

chciałem zmusić ją do przełknięcia, ale głowa jej nagle upadła bezwładnie i zrozumiałem, że ona nie żyje.

Porucznik Fli nt: Po czym pan poznał, że to atak serca? Czy pan orientuje się, jakie są zewnętrzne symptomy śmierci na skutek ataku sercowego?

R. V a s s i: Nie, nie mam pojęcia. Ale... spodziewałem się tego ataku każdej chwili, lekarz mnie uprzedził, żona miała wrodzoną wadę serca i mimo dwóch operacji stale niedomagała.

Porucznik Fli nt: Jak długo cyjanek znajdował się u pana w domu?

R. V a s s i: Nie pamiętam, może sześć, siedem lat.

Porucznik Fli nt: W jaki sposób pan go dostał?

R. V a s s i: Dał mi go kolega pracujący na wydziale zoologii. Posługują się tam cyjankiem przy zatruwaniu owadów.

Porucznik Fli nt: Jak się nazywa ten kolega?

R. V a s s i: Nie pamiętam.

Porucznik Fli nt: Wróćmy do tej osoby, którą pan zastał u siebie w domu. Czy pan domyśla się, kto to mógł być?

R. V a s s i: Nie, nie mam pojęcia.

Porucznik Fli nt: Czy pańska żona miała dużo znajomych, którzy odwiedzali ją podczas pana nieobecności?

R. V a s s i: Nikt nigdy nie odwiedzał mojej żony, ani w dzień, ani nocą. Nie znała nikogo i nikt do niej nie przychodził. Myślę o mężczyznach, bo czasem, ale bardzo rzadko, przychodziły do niej siostry ze szpitala, w którym leczyła się i pracowała przed ślubem.”

Dalej wszystko już było kłamstwem, Ryszard płątał się w zeznaniach, raz twierdził, że zwłoki usunął natychmiast i że mu to zajęło

niewiele czasu, a gdy go porucznik Flint zapytał, dlaczego dopiero o godzinie 0⁵² podstemplował swoją kartę i co robił do tej chwili, zaprzeczył swojemu poprzedniemu zeznaniu i powiedział, że dość długo zastanawiał się, gdzie ukryć zwłoki. To oczywiście podważało wiarygodność wszystkiego, co zeznał, a mimo to nie przyznał się, że wrócił przed jedenastą do budki, by zadzwonić do mnie, a potem czekał na mnie koło godziny. Powiedziałam wtedy Michałowi, że gdyby inny inspektor prowadził śledztwo, nieprędko udałoby mu się znaleźć właścicielkę cygarniczki. Michał na to nic nie odpowiedział, tylko zadał mi tak dziwne pytanie, że zwątpiłam, czy jest przy zdrowych zmysłach:

– Michale! – krzyknęłam, bo nie mogłam się na tyle opanować, by nie podnosić głosu. – Przecież wiesz doskonale, kiedy. Przecież cały czas o tym tylko mówimy: wczoraj w nocy!

– Tak, ale przedtem? – dopiero gdy mi zadał to pytanie, na które oczywiście też znał odpowiedź, uderzyła mnie jakaś nieznaną nuta w jego głosie, coś się w nim zmieniło, nie miał już w sobie dawnego ciepła; to był głos człowieka zmęczonego, nawet więcej: człowieka, któremu coś zobojętniało, na czymś przestało zależeć. – Dlaczego nie odpowiadasz? – zapytał z widocznym wysiłkiem.

– Ależ... wiesz doskonale – obruszyłam się – wtedy w cukierni opowiadałam ci o tym, nie pamiętasz?

– A kiedy ostatni raz rozmawiałas z nim telefonicznie, to znaczy ostatni raz przed wczorajszą rozmową?

– Przed dwoma laty, 16 sierpnia, o tym też ci opowiadałam.

– Skąd więc wiedziałaś, że miał wczoraj zadzwonić? Twoje koleżanki i twój szef powiedzieli mi, że od rana byłaś niespokojna, roztargniona, jakaś nieswoja, a o czwartej zwolniłaś się i poszłaś do domu.

– Michale! – zawołałam – przecież wczoraj był 17 sierpnia, a on zawsze do mnie... __

– Zawsze? Przed chwilą powiedziałaś, że nie zawsze. Zeszłego roku nie dzwonił, prawda? I raz dzwonił 16, a nie 17.

Nie wiedziałam, że Michał potrafi być okrutny. To było, gorzkie odkrycie, tym bardziej że był niepotrzebnie okrutny. Nie rozumiałam, w jaki sposób te bolesne pytania mogą wyjaśnić cokolwiek, bo przecież wszystko było już jasne. Powiedziałam mu o tym.

– Nie, Mat, nie masz racji – odpowiedział powoli – nie wszystko jest jeszcze jasne. Myślałem, że rozumiałaś, o co mi chodzi.

– Myślałam, że jeżeli Ryszard sam przyznał się do winy...

Zapukano do drzwi pokoju i Małgorzata wychyliła głowę przez szparę.

– Chyba zrobię wam kawę – powiedziała.

– Byłbym pani ogromnie wdzięczny, Mat pewnie jeszcze więcej – odpowiedział za mnie Michał. – Skąd masz to zdjęcie? – zapytał, gdy Małgorzata zamknęła drzwi.

– Joel zrobił je przypadkiem – odpowiedziałam.

– Gdzie ono jest zrobione?

– Nie wiem, Małgorzata też nie wie. Dziwne tło, prawda?

– Tak, bardzo dziwny sposób fotografowania.

– On inaczej nie umie, ale nie rozmawiaj na ten temat z

Małgorzatą, ona jest bardzo wrażliwa, jeżeli chodzi o talenty Joela.

– Nie, nie; będę ostrożny, zapytam samego artystę.

Przez chwilę wydawało mi się, że Michał trochę się ożywił, nie miał już tak przygaszonych oczu i nie mówił tak, jak by wypowiedzenie każdego słowa kosztowało go wiele wysiłku. Małgorzata tak szybko wróciła z kawą, że pewnie zaparzyła ją znacznie wcześniej. Michał mieszał wolno cukier, wpatrzony w filiżankę, jak by mnie nie było w pokoju.

– Postaraj się zrozumieć, o co chodzi – zaczął mówić po chwili, nie podnosząc oczu. – Ryszard sam przyznał się do zbrodni, ale do zbrodni, której nie popełnił i której nie mógł popełnić. Bo, widzisz, nie każdy cyjanek powoduje natychmiastową śmierć. Ten, którym on rzekomo chciał otruć swoją żonę, wywołałby tylko duszności i konwulsje, które przeszłyby po dość krótkim czasie. W Instytucie Patologii zrobiono próbę: dano psu dawkę tego cyjanku, którym posłużył się Ryszard, i to dawkę dwukrotnie większą od przyjętej za śmiertelną. Ten pies żyje i czuje się zupełnie dobrze. Byłem sam przy tym eksperymencie. Pies upadł natychmiast po przełknięciu cyjanku, miał silne konwulsje, ale wkrótce poczuł się lepiej. Gdy odchodziłem, zachowywał się już całkiem normalnie.

– Więc to ma świadczyć przeciwko Ryszardowi? Że gdyby nawet zmusił swoją żonę do przełknięcia cyjanku, to i tak by jej nie zabił? – zapytałam, już nie zdumiona, ale przerażona tą logiką.

– Przeciwnie, Mat, to by usposobiło jak najlepiej sędziów przysięgłych. Ktoś, kto usiłuje zabić żonę przyłapaną na zdradzie,

zawsze może liczyć na sympatię trybunału, w skład którego wchodzi przeważnie mężczyźni. A jeżeli do tego obrona dowiedzie, że trucizna nie była trucizną, cała dwunastka jednogłośnie oznajmi: „Nie winien”.

– Michale, powiedz jasno, o co go posądzasz, bo naprawdę nic nie rozumiem – wyszeptalam błagalnie.

– O nic go nie posądzam, bo niczego jeszcze nie jestem pewny. W tej chwili moim zadaniem jest wyświetlić wszystkie okoliczności towarzyszące tej sprawie. Jak dotąd jedno jest tylko pewne: to że ona nie przełknęła ani miligramy cyjanku, nie ma żadnych śladów w ustach i w przełyku, i to, że śmierć spowodował tak zwany atak serca. Miała wrodzoną wadę serca, to, co laicy nazywają „dziurą w sercu”. Ale kompletnego wyniku sekcji zwłok jeszcze nie ma. Zresztą nie sądzę, żeby on dał coś nowego. Najmniejszy przestrach czy wzruszenie może spowodować śmierć u osoby z tak ciężką wadą serca, nie trzeba uciekać się do żadnych środków chemicznych, które sekcja prawie zawsze może wykryć...

– Michale – przerwałam mu – ty chyba nienawidzisz Ryszarda...

– Dlaczego miałbym nienawidzić tego człowieka? – zapytał Michał i w końcu spojrzał mi w oczy, ale teraz ja unikałam jego wzroku: wstydziłam się swoich słów. Rzeczywiście: dlaczego miałby nienawidzić Ryszarda? Na mnie dawno już mu nie zależało i pewnie nawet nie pamiętał, że kiedyś tak bardzo pragnął, żebym rzuciła pracę u Beniamina Polly.

– Masz rację, przepraszam cię – powiedziałam cicho.

Michał nie zwrócił uwagi na moje słowa i mówił dalej:

– Jego żona leżała ubrana na łóżku, to pewnie zauważyłaś, co by świadczyło, że tego wieczora czuła się bardzo źle. Ludzie chorzy na serce bardzo źle znoszą taką pogodę jak wczoraj; nie wiem, czyś przeczytała, ile wczoraj było wypadków zemdleń i nawet zawałów serca. I wyobraź sobie taką scenę: ta kobieta leży na łóżku, prawdopodobnie oddycha z trudem, jest pewna, że nikogo w domu nie ma; nagle zjawia się niespodzianie Ryszard ze słoikiem cyjanku w ręce i mówi: „Teraz zabiję cię”. Albo wyobraź sobie inną odmianę tej sceny: Ryszard wraca niespodzianie i mówi: „Zażyj to lekarstwo, zaraz będzie ci lepiej”, podchodzi do niej, a ona z przerażeniem widzi na etykiecie napis: „Cyjanek”. Czy to nie wystarczyłoby? Ryszard czeka spokojnie, aż przestraszy zrobi swoje, a potem inscenizuje resztę, rozsypuje nieco cyjanku na bluzce i koło warg...

– Ale dlaczego?... – z trudem wymówiłam te słowa. Nie miałam już żadnej nadziei, że uda mi się przekonać Michała o niewinności Ryszarda, bo jeżeli on tak rozumował, nietrudno było wyobrazić sobie tok myśli innych oficerów, takiego choćby porucznika Flinta.

– Dlaczego? Tego nie wiem. Mężczyzna może chcieć pozbyć się swojej żony z różnych względów, zwłaszcza gdy jest tak ciężko chora.

– Ależ nie o tym myślałam! – przerwałam Michałowi jego potworne rozumowanie. – Chciałam zapytać się o coś innego, tyś mnie źle rozumiał. Dlaczego w tak skomplikowany sposób tłumaczysz śmierć tej kobiety, kiedy przecież jest inne, logiczniejsze wytłumaczenie: Ona wie, że Ryszard jest chorobliwie zazdrosny, przecież

sam mówiłeś, że w szpitalu już o tym wiedzieli i że on jej kiedyś powiedział: „Zabiję cię, jeżeli mnie zdradzisz”. A teraz jest sama z tym człowiekiem, oboje są pewni, że Ryszard o niczym nie wie i że wróci dopiero rano. Nagle on wraca, ten człowiek wyskakuje przez okno, Ryszard wybiega za nim, słysząc strzały... Czy to nie wystarczy? Czy taki przestrah nie może spowodować ataku serca?

– Tak to tłumaczy Ryszard – spokojnie odpowiedział Michał – ale to jest zupełnie nieprawdopodobne. Po pierwsze, z przyczyn natury i fizjologicznej, i psychologicznej. Zastanów się: ta kobieta nie mogła nawet wyjść do ogrodu, tak bardzo była osłabiona, odkąd wróciła ze szpitala; nie znała nikogo z sąsiadów, od wielu miesięcy nie zachodziła do sklepu, który znajduje się dokładnie naprzeciw domu Ryszarda, prawie nie wstawała – i co też jest istotne – wiedziała, że każde silniejsze wzruszenie może ją zabić. Czy wyobrazasz ją sobie jako wiarołąmną żonę? A po drugie: nie mamy żadnych dowodów materialnych, że ktoś u niej był tej nocy. Przepraszam, źle się wyraziłem; te dowody istnieją: butelka rumu, szalik. Wiem, myślisz też o śladach palców. Jutro będę mieć wyniki, ale, Mat, ja się ich boję! One albo niczego nam nie wskażą, albo wskażą osobę, która tylko potwierdzi winę Ryszarda. Gdyby nie ta ulewa, ślady stóp w ogrodzie z pewnością byłyby widoczne; widzę, że nic nie rozumiesz, nie wiesz dlaczego, ja tych śladów też bym się bał. Chociaż nie wiem... może niepotrzebnie tak się boję. No i szalik. Ryszard mógł go komuś zabrać, jakiemuś koledze na przykład... A strzałów nikt z sąsiadów nie słyszał, kul jak dotąd nie znaleziono...

Zerwałam się z krzesła, Michał patrzył na mnie zdziwiony. Moje

zdziwienie było jeszcze większe: nie rozumiałam, jak mogłam w tak szczegółowym opowiadaniu ominąć rzecz najważniejszą.

– Chciałaś coś powiedzieć? – zapytał Michał.

– Nie rozumiem – odpowiedziałam – i nie wiem, jak to się stało, powinnam była powiedzieć ci to od razu, ale... zapomniałam... ja tego człowieka widziałam. Stał ukryty w krzakach; gdy upadłam, zobaczyłam jego nogi. To znaczy, zobaczyłam je dopiero wtedy, kiedy Ryszard poświecił mi latarką, żebym mogła wstać. Leżałam tuż przy krzakach i widziałam te nogi tak dokładnie, że doskonale pamiętam fason bucików, mogłabym je narysować: spiczaste, wiesz, takie jak dziś noszą, bez sznurowadeł z przodu, a spodnie były wąskie, bardzo długie, bez mankietów i zachodziły na buciki.

– Zachodziły na buciki – powtórzył za mną Michał. – Człowiek w dzinsach, jednym słowem. Dlaczego Ryszard o nim nie wspomniał?

– Bo tylko ja go widziałam! Ryszard stał pochylony nade mną i nie mógł go widzieć!

– A ty mu nie powiedziałaś, że ktoś ukrywa się w krzakach?

Milczałam, Michał patrzył na mnie zmęczonym, przygasłym wzrokiem. Wiedziałam, jakie będzie jego następne pytanie i wiedziałam, że nic nie zdoła zmusić mnie, bym na nie odpowiedziała. Ale omyliłam się, Michał przestał się interesować człowiekiem w dzinsach. Zapytał o coś całkiem innego.

– Dlaczego Ryszard opuścił uniwersytet? Czy wiesz o tym coś bliższego? Właściwie chodzi mi o jedno: czy on był odporny na niepowodzenia?

– On w ogóle nie wiedział, co to jest niepowodzenie! – gorąco zapewniłam Michała. – Wszystko mu się udawało, czego tylko się

tknął. Od pierwszej klasy aż do ukończenia uniwersytetu miał zawsze tylko najlepsze stopnie. Czy wiesz, że on pochodzi z chłopskiej rodziny? Jego ojciec ma niewielkie gospodarstwo, ale zrobił wszystko, żeby Ryszard skończył gimnazjum. Oni sobie wszystkiego skąpili, i rodzice, i siostry, póki nie dostał stypendium i nie wstąpił na uniwersytet. Wtedy już niczego od nich nie potrzebował, dostał jeszcze jakieś lekcje i nawet mógł im pomagać. Nie masz pojęcia, jak on jest przywiązany do rodziców i sióstr. Wystarczyło, że ktoś z nich zachorował, a on wszystko zostawiał i jechał do domu. Jemu zresztą na karierze naukowej ani trochę nie zależało, ale chciał się wybić, żeby matka mogła być dumna z niego. Wiesz, co on mi raz opowiedział? Jego matka zawsze mówiła, że jak jej kiedyś będzie się dobrze wiodło, to kupi sobie czarną koronkową bluzkę, więc za swoją pierwszą pensję chciał jej kupić taką bluzkę, ale ona nie zgodziła się i powiedziała, że kupi jej dopiero wtedy, jak będzie już doktorem. Po promocji prosto z auli poszedł do sklepu, kupił czarną koronkową bluzkę i dopiero wtedy odczuł zadowolenie z siebie, z obrony swojej pracy, z dyplomu. A na uniwersytecie Ryszard miał doskonałą opinię, mógłby już dawno zostać docentem, ale on był innego zdania, skarżył się, że wykłady i ćwiczenia zabierają mu zbyt wiele czasu i energii, że on już nie może potem zdobyć się na samodzielną pracę, bo, widzisz, on jest naukowcem, a nie pedagogiem. Rzekomo to nie zawsze da się połączyć. A poza tym on nie znosił swoich kolegów, zawsze mówił, że rozmowy z nimi ogłupiają go do ostateczności. Nieraz wspominał, że wolałby przemęczyć się parę lat, choćby miał zarabiać na życie pracą fizyczną, niż przebywać

z tymi ludźmi, i że najchętniej zostałby nocnym stróżem, bo najlepiej mu się myśli nocą, kiedy chodzi sobie powoli ciemnymi ulicami. Ale najlepiej byś zrobił, gdybyś poszedł do profesora Woytisa i zapytał go o te sprawy. Ryszard robił u niego doktorat, był z początku jego asystentem, a potem adiunktem przy jego katedrze. On go nie tylko považał jako wielkiego uczonego, ale był do niego ogromnie przywiązany, mówił mi nieraz, jak strasznie dużo mu zawdzięcza i że kocha go jak ojca. Byłam nawet kilka razy z Ryszardem u profesora Woytisa, on miał wtedy taką śmieszna suczkę, Putę, czarna... – przetrwałam, bo przestraszył mnie wyraz twarzy Michała i jego bledosc, nawet wargi wygladały, jak by nie bylo w nich ani kropli krwi.

– Mat, zastanow sie, co mowisz – powiedzial cicho. – Przecieoz czytalaś dzisiejsza gazete i wiesz, ze profesor Woytis nie zyje.

VIII

Profesor Woytis byl znany z regularnego trybu zycia. Codziennie przed snem, wychodzil na polgodzinną przechadzke, ktorej trasa ani pora nie zmienila sie od czasu, gdy zamieszkal w Domu Profesorow. Wychodzil punktualnie o godzinie 10⁴⁵, przechodzil przez jezdnie, glowna aleja skweru dochodzil do kepy topoli, potem skrecal w lewo, obchodzil sadzawke i kepy kasztanow, jeszcze raz omijal kepy topoli i o godzinie 11¹⁵ wracal do domu. 17 sierpnia wyszedl jak zwykle o 10⁴⁵, a gdy o 11¹⁵ nie zjawił sie na progu Domu Profesorow, portier w pierwszej chwili pomyslal, ze jego zegarek sie spieszy i dopiero pol do dwunastej zadzwonil do zegarynki. Okazalo sie,

że zegarek chodził dobrze, to profesor tym razem się spóźnił. Zaniepokojony portier wyszedł na skwer, obszedł go dokoła i na ścieżce między topolami znalazł profesora, leżącego na ziemi, z zakneblowanymi ustami. Natychmiast wezwał pogotowie i policję. Profesor już nie żył. Zabito go prawdopodobnie jednym uderzeniem zadany w tył czaszki. Ponieważ profesor nie odniósł żadnej rany, a mimo to jego bielizna i ubranie nosiły ślady krwi, przypuszczano, że napastnik skaleczył się nożem czy scyzorykiem, którym odciął zewnętrzne i wewnętrzne kieszenie słynnej w całym mieście „jaskółki”. Był to zresztą jedyny ślad, jaki morderca zostawił po sobie. Więcej szczegółów gazeta nie podawała. Autor artykułu przypomniał tylko, że niedawno w tym samym miejscu, prawie o tej samej porze, napadnięto i obrabowano Edytę Piat, córkę administratora Domu Profesorów, i że sprawcy napadu nie odnaleziono. Na drugiej stronie był krótki życiorys profesora Woytisa, podano szczegóły jego kariery naukowej i tytuły prac. Szczególne znaczenie miała jego ostatnio opublikowana praca. Gdy przed dwoma laty zapoznał z jej treścią kongres matematyków w Oslo, wywołało to wielkie poruszenie w całym świecie naukowym, również w tym roku profesor Woytis miał wyjechać na kongres do Oslo, gazeta sugerowała, że zastąpi go córka, także profesor matematyki.

Jeszcze raz przeczytałam artykuł z pierwszej strony. Michał milczał, dolał sobie kawy z dzbanuszka i pił ją małymi łykami, nie patrząc na mnie.

– To niemożliwe – powiedziałam w końcu – przecież przechodziłam tamtędy właśnie w tym czasie, byłabym coś usłyszała. On

chyba krzyknął, bo po co by mu założono knebel, prawda?

– Nie wiem po co – odpowiedział Michał – według orzeczenia lekarskiego śmierć była natychmiastowa. Ale, oczywiście, ten człowiek mógł o tym nie wiedzieć, może nawet nie miał zamiaru go zabić. A ty mogłaś niczego nie usłyszeć, bo już było po wszystkim. Może słyszałaś kroki mordercy, to jest prawdopodobne. Pewnie też szedł w kierunku Nowej Operetki, bo tam łatwo byłoby mu zniknąć w tłumie ludzi wychodzących z teatru.

– Nie, tego jestem zupełnie pewna, nikt poza mną nie szedł w tym kierunku. Jezdnia za Skwerem Profesorów jest oświetlona, nikt jej nie przeszedł. Ale ten człowiek mógł ukryć się gdzieś na skwerze; sądzisz, że to wykluczone?

– Raczej wykluczone. Każdej chwili mógł ktoś nadejść i znaleźć ciało profesora. W stronę Domu Profesorów też nie było sensu uciekać, tam jest zbyt pusto. Wyobrażam sobie coś innego: ten człowiek zauważył ciebie i poczekał, aż przejdziesz przez skwer i jezdnię, prawdopodobnie widział nawet, że wsiadłaś do taksówki. Albo było już znacznie później, niż ci się wydawało, i słyszałaś kroki portiera.

– Nie, to jest wykluczone, on wyszedł z Domu Profesorów po pół do dwunastej, a ja za dwadzieścia dwunasta byłam już na placu Gwiazdzistym. Nie mogłam tak szybko dojechać, doskonale pamiętam, że taksówka jechała bardzo powoli. A może ten duży zegar na budynku Dyrekcji źle chodził?

– To jest mało prawdopodobne. Zapominasz, że jest jeszcze inna możliwość: niczego nie słyszałaś, to znaczy słyszałaś, jak skrzyknął żwir, ale ty przecież też dotykasz stopami ziemi, prawda?

- Myślisz, że przestraszyłam się odgłosu własnych kroków?
- Normalne złudzenie słuchowe u ludzi przestraszonych, zdenerwowanych, zwłaszcza nocą. Bo nie jest wykluczone, że ten człowiek napadł na profesora, gdy ten po raz pierwszy przechodził przez kępę topoli. Sprawdziliśmy dokładnie, ile czasu zabierało profesorowi przejście z bramy do kępy: idąc powolnym krokiem 7 minut, obejście sadzawki i droga do kasztanów 16 minut. To znaczy, że mógł zginąć o godzinie 10⁵² albo 11⁰⁸. Lekarz oglądał zwłoki o 12, ale to zbyt mała różnica w czasie, aby coś stwierdzić. Jeżeli przyjmiemy, że to się stało o 10⁵², to oczywiście niczego nie słyszałaś poza odgłosem własnych kroków.
 - Czy uważasz, że to jest istotne? Czy takie małe różnice w czasie są jakimiś wskazówkami, mogą naprowadzić na jakiś ślad?
 - Wszystko jest ogromnie ważne, gdy się niczego nie wie. Nigdy nie wiadomo, co jest właściwą wskazówką. Czasem jakiś bardzo drobny szczegół naprowadza na właściwą drogę.
 - Och, Michale, masz rację! – zawołałem. – Ten człowiek, który pokazał mi, gdzie jest postój taksówek, siedł przecież naprzeciw ludziom wychodzącym z teatru! Stałam chwilę przy taksówce, w której nie było szofera, i pamiętam doskonale, że stałam odwrócona twarzą w stronę Nowej Operetki, tak że nie zauważyłam, skąd nadszedł ten człowiek, ale on szedł w stronę teatru, z całą pewnością szedł w tę stronę, to znaczy, że przyszedł od strony skweru!
 - Jak on wyglądał? – Michał nagle ożywił się, i to mi od razu ogromnie pomogło.

– Nie przyjrzałam mu się dokładniej, zauważyłam tylko, że uśmiechnął się do mnie, ach, Michale, on był w dżinsach, teraz przypomniałam sobie, że widziałam jego nogi! To nie może być przypadek! To z pewnością jest ten sam człowiek w dżinsach! Zastanów się: profesor ginie właśnie tego dnia, kiedy jego świadectwo może zdecydować o losie Ryszarda...

– Są jeszcze inni profesorowie, adiunkci, docenci, którzy znają Ryszarda – ożywienie Michała tak samo szybko minęło, jak się zjawilo; znów mówił zmęczonym, obojętnym głosem.

– Ale on ich nienawidził! Nie przyjaźnił się z nikim, tylko z jednym jedynym profesorem Woytisem! I właśnie zamordowano profesora Woytisa! To nie jest zbieg okoliczności, Michale, nie wiem, dlaczego tak nieufnie patrzysz na mnie i w ogóle widzę, że nie wierzysz ani jednemu mojemu słowu!

– Nie, nie, Mat, wierzę ci, ale sama widzisz, że nie wszystko mi opowiedziałaś, o tylu szczegółach zapomniałaś, inne mogłaś trochę przeinaczyć, może nawet bezwiednie. Wiem z praktyki, ile warta jest pamięć świadków. Świadek jest tylko człowiekiem; to, co widział, mógł widzieć niedokładnie, coś zapomniał, coś innego istniało tylko w jego wyobraźni...

– Przysięgam ci, że człowiek w dżinsach istniał nie tylko w mojej wyobraźni! – przerwałam mu. – Mogę pójść tam z tobą i pokazać ci krzaki, w których się ukrył, doskonale pamiętam to miejsce, tam jest taka duża płyta, potknęłam się o nią...

– Nie zapominaj, że wtedy było ciemno.

– To nic, wejdę do ogrodu i natychmiast poznam to miejsce.

– Dobrze, Mat, i tak chciałem cię prosić, żebyś jutro przyszła tam i wyjaśniła nam pewne szczegóły...

– „Nam”, to znaczy komu?

– Mnie i porucznikowi Flintowi. Mogę przyjechać po ciebie, ale może wolisz sama pojechać?

– Pojadę sama. – Nie miałam najmniejszej ochoty na jazdę policyjnym autem w towarzystwie porucznika Flinta.

– Będziemy tam około dziesiątej. Czy wiesz, czym tam się jeździe?

– Oczywiście, jedyneką do placu Gwiazdzistego, a potem Parkową...

– Po co? – zdziwił się Michał. – Masz przecież koło Muzeum autobus. Pojedziesz 107 i wysiądziesz na rogu Parkowej i Składowej; stamtąd już tylko parę kroków. A teraz, Mat, choć jest już późno, i pewnie jesteś zmęczona, chciałbym, żebyś jeszcze raz odtworzyła minuta po minucie przeżycia wczorajszego dnia; może jednak opuściłaś jakiś szczegół.

Miałam czyste sumienie: już wszystko powiedziałam Michałowi. To znaczy wszystkie fakty. Bo za nic w świecie nie powiedziałabym mu, że na rogu Henrietty serce biło mi tak głośno i tak szybko, jak szybkie były kroki Ryszarda. Ani tego, że w taksówce ocaliły mnie skrzypce i zagrały mi melodię nadziei. I tego jeszcze: że nic nie wspomniałam Ryszardowi o człowieku w kozakach, bo wtedy byłam pewna, że on sam jest mordercą, i jednego tylko pragnęłam: uciec stamtąd. I że zdawało mi się, że już nie kocham Ryszarda. Ale to były moje osobiste sprawy i ich wyjawienie w niczym nie mogło pomóc ani Michałowi, ani Ryszardowi.

– Może ja ci pomogę? – przerwał milczenie Michał. – Przypomnij

sobie, kto do ciebie wczoraj dzwonił?

– Nikt poza Ryszardem – odpowiedziałam z ulgą, bo tego byłam zupełnie pewna.

– Twoje koleżanki z biura powiedziały coś innego.

– Myślisz o rozmowach biurowych? Ależ mój telefon w ogóle nie przestaje dzwonić! Co najmniej dziesięć razy dzwoniło z ekspedycji...

– Nie o to mi chodzi. Może dzwonił ktoś z twoich znajomych?

– Ktoś ze znajomych? Wszyscy wiedzą, że Benjamin Polly nie znosi prywatnych rozmów w biurze, i dzwonią tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach.

– A może dzwonił ktoś i... i nie podał nazwiska?

I znowu Michał miał rację! W jednej sekundzie zobaczyłam moje biurko, opartą o kalendarz puderniczkę i torbę, w której szukałam grzebyka. Było bardzo wcześnie, nikt jeszcze nie nadszedł, miałam właśnie przypudrować się i przeczesać, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam: „Czy jest już panna Matylda?”, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, po tamtej stronie odłożono słuchawkę.

– To był głos mężczyzny? – zapytał Michał, gdy mu to odpowiedziałam.

– Chyba... tak – odpowiedziałam – ale właściwie to nie jestem pewna... myślałam wtedy o czymś innym. Koleżanka, (której wspominałam o tej rozmowie, przypomniała sobie, że i jej niedawno przydarzyło się coś podobnego. A później, może po godzinie, znowu odebrałam taki dość dziwny telefon, tylko że nie zwróciłam na to uwagi i w ogóle zapomniałam o tym. Podniosłam słuchawkę,

powiedziałam: „Beniamin Polly i Spółka”, chwilę czekałam, ale nikt się nie odezwał, odłożyłam słuchawkę i już o tym nie myślałam. Ktoś mógł się pomylić przy nakręcaniu numeru, to się przecież zdarza dość często.

– Oczywiście, to mogła być zwykła pomyłka. Ale pierwsza rozmowa nie była pomyłką. Czy nie wydaje ci się, że to mógł być ktoś z twoich znajomych, ktoś, kto wiedział, że o tej porze nie ma jeszcze Beniamina Polly i że nie narazi ciebie na jego wymówki? Albo ktoś, kto chciał mówić z tobą bez świadków?

– Ale dlaczego odłożył słuchawkę?

– Coś mu, mogło przeszkodzić. A potem już było za późno, by do ciebie zadzwonić, nie byłabyś już sama w pokoju. Czy to nie był głos Ryszarda?

– Ryszard nigdy nie dzwonił do mnie do biura! Nawet nie wiem, czy znał numer!

– A może dostałaś dziś jakiś list?

– Dostałam kartkę z pozdrowieniami od jednej z naszych maszynistek, która wyjechała nad morze.

– No to już pójdę, Mat. Zobaczymy się jutro o dziesiątej. I bardzo cię przepraszam. Naprawdę nie chciałem ci dokuczyć. Położysz się zaraz, dobrze?

Wyszliśmy do przedpokoju i w tej samej chwili usłyszałam trzask przekręconego kontaktu, widocznie Małgorzata czekała na odejście Michała, żeby położyć się do łóżka. Pewnie chciała jeszcze raz zaparzyć kawę.

– Tak się bałem o ciebie, Mat – powiedział Michał otwierając drzwi.

Dopiero wtedy zdobyłam się na odwagę i powiedziałam mu to,

co cały czas nie dawało mi spokoju:

– Czy nie dałoby się coś zrobić, żeby gazety nie podały nazwiska Ryszarda? Wyobraź sobie, czym to będzie dla jego matki! Wiem, że czasem podaje się tylko inicjały.

– Tak, ale wieczorne gazety pewnie już podały jakąś wiadomość o tej sprawie. A jego matka nie żyje. Nie wiedziałaś o tym? Zmarła wkrótce po wypadku, w którym Ryszard stracił rękę. To ją zabiło, choć na pozór dzielnie zniosła kalectwo syna i prawie codziennie przyjeżdżała do szpitala.

IX

Wróciliśmy do pokoju.

O człowieku z wiklinowym koszem oczywiście słyszałam, kto zresztą nie pasjonował się tą potworną i tajemniczą postacią! Przez kilka tygodni dzienniki i magazyny w ogóle o niczym innym nie pisały, a na kronice filmowej widziałam zniszczony wybuchem bomby budynek Dworca Wschodniego. Ale wiadomość o jego drugiej zbrodni podały gazety w dniu, gdy po powrocie z biura znalazłam ciotkę nieprzytomną, i choć mówiono o tym bez końca w szpitalu, w biurze, w autobusie, niewiele z tego do mnie docierało. Ten zbieg dat sprawił, że również o wypadku Ryszarda nic nie wiedziałam. Nawet gdybym miała wtedy czas na przeczytanie gazety, prawdopodobnie nie zwróciłabym uwagi na krótką wzmiankę o wypadku, tym bardziej że podane były tylko inicjały Ryszarda. Tego wieczoru Michał opowiedział mi tylko ogólnie o tej sprawie, dopiero nazajutrz w czytelni Biblioteki Narodowej poznałam wszystkie szczegóły:

spędziłam tam pół dnia, przeczytałam kilkadziesiąt artykułów na ten temat, a jedyny wniosek, jaki nasunął mi się po tej lekturze, był zupełnie odmienny od cytowanych przez prasę oświadczeń porucznika Flinta.

Oto trzy akty tego dramatu:

Akt pierwszy: Działo się to przed dwoma laty, 23 lipca około ósmej wieczorem. Do kasy bagażowej na Dworcu Wschodnim podszedł wysoki mężczyzna i postawił na wadze wiklinowy kosz. Urzędnik przyjmujący bagaż zauważył, że interesant miał długie siwe wąsy i poorly zmarszczkami twarzy. Mężczyzna poprosił urzędnika, by zważył kosz, a sam wyszedł przed dworzec po jeszcze jeden pakunek, który rzekomo zostawił w dorożce. Urzędnik zważył kosz, zanotował wagę, przygotował naklejki i czekał parę minut, aż wreszcie, zdziwiony nieobecnością właściciela kosza, wyszedł przed budynek stacyjny. Plac był pusty, szofer jedynej stojącej tam taksówki czytał gazetę i nie zauważył ani starszego mężczyzny, ani dorożki. Ponieważ w całym mieście jest już tylko pięć dorożek, policja mogła później z łatwością stwierdzić, że żadna z nich tego dnia nie zrobiła kursu na Dworzec Wschodni. Urzędnik porozmawiał chwilę z szoferem i już miał wrócić za swoje przepierzenie, gdy usłyszał detonację. Część dworca przestała istnieć. Ofiar nie było; o tej porze dział bagażowy przyjmuje bardzo mało przesyłek. Odtąd sprawa człowieka z wiklinowym koszem nie schodziła ze szpalt gazet, choć poza najbardziej fantastycznymi hipotezami nie przynosiły one niczego nowego. Śledztwo utknęło na martwym punkcie: stwierdzono tylko to, że zamachowiec posłużył się najbardziej prymitywnym typem bomby zegarowej.

Akt drugi:

Według pierwszej wersji, 17 sierpnia w sobotę o ósmej wieczorem (właśnie wtedy, w cukierni, przy lodach, opowiedziałam Michałowi o Ryszardzie i o jego ostatnim telefonie) w kolejce do kasy bagażowej na Dworcu Głównym stanął wysoki mężczyzna, postawił koło siebie coś, co wyglądało na dość dużą walizkę w szarym pokrowcu, i zapalił papierosa. Gdy mu ktoś zwrócił uwagę, że w tym miejscu nie wolno palić, odsunął pakunek pod ścianę i wyszedł do poczekalni. Kolejka powoli zmniejszała się, o jedenastej nie było już nikogo przed kasą. Pakunek zauważył sprzątający salę posługacz i miał go odnieść do biura zgubionych przedmiotów, ale pod pokrowcem zobaczył wiklinowy kosz i tak się przeraził, że wybiegł do poczekalni krzycząc: „Bomba!”. Powstało niesamowite zamieszanie, ludzie w popłochu opuszczali dworzec, zawiadomiono policję, straż pożarną i pogotowie. Kosz otworzyli saperzy: leżały w nim zwłoki młodej kobiety z jedną raną w plecach, zadaną prawdopodobnie nożem kuchennym. Nie miała przy sobie niczego, co by pozwoliło ją zidentyfikować. Kilkadziesiąt osób, prawie same matki poszukujące zaginionych córek, obejrzało zwłoki, zdjęcie zamieściły dzienniki w całym kraju – bezskutecznie. W wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy porucznik Flint oświadczył, że zamordowana, jak stwierdzono przy oględzinach zwłok, nie żyła już od 24 godzin, że była najprawdopodobniej prostytutką, a zabójcą jej sutener, co przekreślało możliwość identyfikacji; środowisko to jest bardzo solidarne i choć z pewnością wiele osób znało ofiarę, nikt się do tego nie przyzna, bo to byłoby równoznaczne z wydaniem policji mordercy. Natomiast nie brakło świadków, którzy dokładnie widzieli człowieka

z wiklinowym koszeni. Przede wszystkim ci, którzy stali przed nim albo za nim w kolejce do kasy bagażowej. Była też jakaś kobieta, która niczego nie nadawała, a koło kasy bagażowej kręciła się z nudów. Jej opis okazał się najdokładniejszy: wysoki mężczyzna w długim futrzanym płaszczu, ściśniętym w pasie, i w futrzanej czapie. A to był sierpień! Opisów było zresztą znacznie więcej i różniły się między sobą. Najważniejsze było oświadczenie urzędnika z Dworca Wschodniego: oba kosze były do siebie bardzo podobne, miały takie samo zamknięcie, żelazny pręt przeciągnięty przez dwa kółka i zabezpieczony kłódką, tak zwaną „gruszką”. Wkrótce okazało się, że było to jedyne pozytywne stwierdzenie, które pozostało z pierwszej wersji.

Przez cały tydzień sprawa człowieka z wiklinowym koszem nie schodziła ze szpalt gazet, podawano różne przypuszczenia co do jego osoby, najczęściej zaś powtarzającą się hipotezą było to, że ktoś się nim posłużył w obu wypadkach i że nie należało utożsamiać mordercy kobiety z człowiekiem, który przyniósł kosz na Dworzec Wschodni i na Dworzec Główny. Ludzie byli tak podekscytowani tą sprawą, że uwagi ich uszło, iż 19 sierpnia, w poniedziałek, gdy ukazały się pierwsze sprawozdania z zajścia na Dworcu Głównym, gazety podały w kronice wypadków króciutką wzmiankę o wypadku w kolejce dojazdowej do Sams: „Wczoraj o godzinie 185a na dziesiątym kilometrze za Sams wypadł z pociągu R.V., lat 33, zamieszkały przy ul. Henrietty, i dostał się pod koła przejeżdżającej drugim torem drezyny, która odcięła mu lewą rękę. Ofiarę wypadku przewieziono do szpitala św. Jerzego. Śledztwo w toku”. A to był już początek trzeciego aktu!

Stan Ryszarda był, bardzo ciężki; dopiero po tygodniu lekarz pozwolił prowadzącym śledztwo na pierwszą rozmowę z chorym. Gazety poranne z 26 sierpnia podały następną sensacyjną wiadomość:

SZALENIEC NA WOLNOŚCI!

CZŁOWIEK Z WIKLINOWYM KOSZEM

WYRZUCA SWOJE OFIARY Z POCIĄGU!

Po zeznaniu Ryszarda z 25 sierpnia śledztwo przejął porucznik Flint, który jednak zabłysnął dopiero po 2 września, kiedy znalazł się człowiek z wiklinowym koszem.

Z tego, co zamieściły pisma między 26 sierpnia a 2 września, podają tylko fakty, pomijam zaś fantastyczne hipotezy:

Kilka tygodni przed wypadkiem Ryszard poznał Irmę Sleut, która zgodziła się zamieszkać z nim i zająć się gospodarstwem. Do domu przy ul. Henrietty sprowadziła się 1 sierpnia. Już następnego dnia między nią a Ryszardem wybuchła głośna sprzeczka. Mieszkańcy domu nr 3 i właścicielka sklepu położonego naprzeciw domu Ryszarda twierdzili, że sprzeczki te powtarzały się niemal codziennie, a najgłośniejsza z nich miała miejsce w sobotę 17 sierpnia. Irma chciała koniecznie być w niedzielę na wyścigach w Sams, Ryszard zaś zagroził, że nie wpuści jej do domu, jeżeli odważy się tam pojechać.

Krzyki ucichły dopiero o godzinie szóstej wieczór, gdy Ryszard poszedł na dyżur. Właścicielka sklepu przypuszczała, że Irma uciekła natychmiast po wyjściu Ryszarda, bo tego wieczoru nie paliło się światło u niego w domu. W niedzielę rano Ryszard pojechał do Sams pierwszym pociągiem i przez pewien czas czekał na Irmę przed

stacją. Potem szukał jej na polu wyścigowym i w restauracjach, ale znalazł ją dopiero pod wieczór: szła w kierunku dworca z jakimś mężczyzną. Chciał ich dogonić, widocznie jednak mieli wykupione bilety powrotne, bo minęli kasę i od razu wyszli na peron. Kupno biletu zabrało mu dość dużo czasu; gdy wszedł na peron, pociąg już ruszał, ale udało mu się wskoczyć do ostatniego wagonu. Jak zwykle w dniu wyścigów, pociąg był przepełniony; Ryszard z trudem przepychał się przez korytarze. Doszedł już do końca przedostatniego wagonu, kiedy przyszło mu na myśl, że Irma mogła go zauważyć i że ukryła się w toalecie. Wrócił więc do ostatniego wagonu, stamtąd do przedostatniego, w trzecim od końca wagonie tłok był jeszcze większy; by dostać się do toalety Ryszard musiał odsunąć jakiś pakunek, schylił się i wtedy wydało mu się, że był to kosz wiklinowy. Nie zdążył go nawet dotknąć, poczuł silne uderzenie w brzuch, zachwiał się i upadł na drzwi, które ustąpiły pod jego ciężarem. Muszę zaznaczyć, że gazety, które zamieściły to zeznanie Ryszarda, także podały tylko jego inicjały.

Charakterystyczna jest rozbieżność zeznań: świadkowie przesłuchani natychmiast po wypadku, a więc w niedzielę, kiedy nie rozeszła się jeszcze wiadomość, że poprzedniego dnia podrzucono zwłoki na Dworcu Głównym, nic nie wspomnieli o człowieku z wiklinowym koszem. Większość zresztą twierdziła, że niczego nie zauważyła z powodu tłoku. Pasażerowie ostatniego i przedostatniego wagonu zapamiętali wysokiego mężczyznę, który kogoś szukał, jakiś człowiek z trzeciego wagonu twierdził, że Ryszard sam otworzył drzwi i wyskoczył z pociągu, konduktor był pewny, że znał Ryszarda, bo go

kilka razy spotkał na tej linii, w dniach, gdy nie odbywały się wyścigi i wagony były prawie puste – to było wszystko. Parokrotnie badany Ryszard też nic dokładnego nie powiedział: wydawało mu się – stale powtarzał, że tylko mu się wydawało – iż skądś znał twarz człowieka stojącego przy drzwiach toalety, ale nie był pewny, czy to on go uderzył i czy kosz do niego należał.

Irma Sleut nie wróciła do domu i policji nie udało się jej znaleźć. Stwierdzono tylko, że jej dowód osobisty był bardzo nieudolnie sfalszowany: naprawdę nazywała się Slend i była o pięć lat starsza, niżby to wynikało z dokumentu. Rzeczy, które zostawiła u Ryszarda, nie zawierały niczego szczególnego i nie naprowadziły na żaden ślad. Ostatnio była zameldowana przy ulicy Krętej jako sublokatorka. Właścicielka mieszkania, która odsiadywała karę więzienia za paserstwo, twierdziła, że Irma Slend wynajęła u niej pokój przed trzema laty i po miesiącu zniknęła nie płacąc komornego.

Ale wkrótce nastąpił nieoczekiwany zwrot w tej sprawie. Trzeciego września doktor Kob, kierownik zakładu dla umysłowo chorych, zadzwonił do porucznika Flinta i powiedział lakonicznie: „Jest u nas człowiek z wiklinowym koszem. To nasz stary pacjent”.

Cyprian Basil miał 63 lata, pochodził z Toy, niewielkiej osady rolniczej, gdzie jego rodzina cieszyła się ogólnym poważaniem, zakład opuścił przed dwoma laty i, jak oświadczył jego zięć, od tego czasu „jadł jabłka, a w ogóle to był spokojny”. Basil rzeczywiście należał do spokojnych pacjentów, był zawsze posłuszny, pogodny, czasem nawet jowialny, często „jadł jabłka”, które mu przywozili synowie i córka. Poza jabłkami lubił też ogień. Gdy pierwszy raz

przyjechał do zakładu, miał już za sobą kilka podpaień; ostatniego nie udało się zataić. Leczenie trwało około trzech lat, potem Basil opuścił zakład, ale synowie, przynajmniej w ciągu pierwszego roku, pozostawali w kontakcie z doktorem Kobem. Zdarzało się, że Basil opuszczał dom i wracał po dwóch, trzech dniach. Wiadomo było, co wtedy robił: kradł jabłka z sadów. Rodzina nigdy nie zwracała się do policji, nawet gdy chory był nieobecny dłużej niż dwa czy trzy dni. W okolicy wszyscy go znali, raz przyprowadzono go z miejscowości odległej o 18 kilometrów od Toy. Zimą Basil siedział w domu, a raczej na strychu albo w piwnicy: liczył jabłka. Gdy 20 lipca znikł z domu, jak zwykle nie zawiadomiono o tym policji, sąsiedzi też o tym nic nie wiedzieli. Z jednym wyjątkiem: Basil zwierzył się swemu przyjacielowi, niewidomemu trudniącemu się wyplataniem koszów, że wybiera się do miasta po jabłka. Niewidomy mieszkał w podwórzu domu Basilów, w szopie pełno było koszy, chory mógł zabrać jeden z nich nie zwracając niczyjej uwagi. Tym razem jego nieobecność przedłużyła się ponad zwykłą miarę: Basil wrócił do domu dopiero 1 sierpnia, względnie trzeciego, jak twierdziła posługująca u Basilów dziewczyna. Również nie udało się ustalić, kiedy znowu opuścił Toy – 10 czy 12 sierpnia. W sobotę 17 sierpnia cała rodzina Basilów wyjechała po południu na ślub krewnej i wróciła dopiero w niedzielę wieczorem. W poniedziałek rano córka znalazła Basila śpiącego na strychu, skarżył się, że od dwóch dni jest w domu, że nie jadł i że na strych musiał wejść po drabinie. 27 sierpnia zięć Basila widział się z doktorem Kobem i prosił o ponowne przyjęcie chorego do zakładu. Lekarz ustalił dzień przyjęcia do zakładu na

2 września. Wieczorem tego dnia przywieziono chorego, zupełnie spokojnego, uśmiechniętego; sam wniósł kosz wiklinowy z jabłkami, od razu też poczęstował nimi doktora Koba, który spojrzął na siwe wąsy, na pomarszczoną twarz, na kosz i jeszcze tego samego dnia porozmawiał ze swoim pacjentem. Nazajutrz Basil powtórzył swoje opowiadanie w obecności porucznika Flinta:

Z domu wyszedł po jabłka i nie mógł trafić z powrotem. Jak się dostał do miasta – nie pamiętał. Był bardzo głodny, poza koszem niczego ze sobą nie wziął. Jakiś człowiek, który kazał nazywać siebie Grzegorzem, obiecał mu dużo jabłek i zaprowadził do szopy, gdzie stał koń i wóz. Basil nie wiedział, przy jakiej ulicy znajdowała się ta szopa ani jak długo tam przebywał. Grzegorz dawał mu jeść, ale nie pozwalał wychodzić z szopy. Gdy stary skarżył się, że ma za mało jabłek, Grzegorz obiecywał, że wkrótce pojedą na wieś, gdzie jest dużo sadów. Pewnego razu Grzegorz zabrał go wozem na dworzec i pokazał mu miejsce, gdzie postawi nazajutrz kosz. Na drugi dzień znów pojechali wozem na dworzec, zabrali ze sobą kosz i walizkę. Grzegorz kazał Basilowi zejść z wozu i zanieść kosz na miejsce, które mu poprzednio pokazał; potem miał wrócić po walizkę i czekać, aż Grzegorz kupi bilety. Do dworca było jeszcze dość daleko, a ciężki kosz tak zmęczył Basila, że postanowił nadać go na bagaż, ale gdy wrócił po walizkę, nie zastał ani Grzegorza, ani wozu. Przez kilka dni szukał swojej szopy, a gdy ją znalazł, okazało się, że jest zamknięta. „Potem przywiązałem Grzegorza do patyczka i podpaliłem go” – tak zakończył swoje opowiadanie i nic więcej nie udało się od niego wydobyć..

Na pytanie, co robił po podpaleniu Grzegorza i jak wrócił do domu – nie chciał czy nie umiał odpowiedzieć. Gdy następnym razem uciekł z domu, wziął ze sobą trochę pieniędzy i kosz, na jabłka. Do następnej stacji poszedł pieszo, bo wiedział, że w Toy nie sprzedadzą mu biletu. W mieście szukał szopy Grzegorza, był bardzo głodny, ktoś mu ukradł kosz, chciał wrócić pociągiem, ale nie trafił na dworzec, szedł pieszo, potem jechał autem, potem znów szedł pieszo, a gdy przyszedł do domu, zastał drzwi zamknięte i znów był głodny. Na Dworcu Głównym nigdy nie był, tak samo nigdy nie słyszał o wyścigach w Sams.

Po kilku dniach jego towarzysze z sali zawiadomili doktora Koba, że Basil opowiedział im o podrzuceniu zwłok. Kobiętę zabił Grzegorz w tej samej szopie, gdzie stał koń i wóz, potem włożył ją do kosza i kazał Basilowi zanieść na dworzec. W rozmowie z doktorem Kobem Basil zaprzeczył temu: sam zabił tę kobietę; odciął jej głowę, bo nie chciała mu dać jabłek. Kilka razy zawożono Basila do miasta i oprowadzano po przedmieściach: nie potrafił pokazać miejsca, w którym znajdowała się szopa, natomiast od razu zaprowadził porucznika Flinta na targ, gdzie po ostatniej ucieczce z domu pokłócił się z jakąś kobietą o jabłka, a potem odciął jej głowę. Poznał ją natychmiast, ona też go poznała, pamiętała nawet dzień, kiedy Basil przewrócił jej stragan: 17 sierpnia, sobota. Kosza wtedy nie miał przy sobie.

Z dwóch konfrontacji jedna tylko dała pozytywny wynik: urzędnik z Dworca Wschodniego był pewny, że Basil jest tym mężczyzną, który 23 lipca przyniósł wiklinowy kosz. Konfrontacja z Ryszardem miała przebieg dość nieoczekiwany: Ryszard znał Basila od

dzieciństwa, farma jego rodziców była oddalona od Toy tylko o siedem kilometrów. Z pewnością nie był to człowiek, który stał koło toalety i którego twarz wydała mu się znajoma.

Z czterech koszy, które wchodziły w grę, policja posiadała dwa: kosz podrzucony na Dworcu Głównym i kosz, w którym Basil przywiózł jabłka do szpitala. Różniły się tylko wielkością, ten drugi był nieco mniejszy. Jak oświadczył porucznik Flint w wywiadzie prasowym, „eksperci, a co ważniejsze, sam wytwórca, są pewni, że wykonała je ta sama ręka, nie ulega więc wątpliwości, że i pozostałe dwa kosze – kosz zniszczony wybuchem bomby zegarowej i kosz, który zauważyła ofiara wypadku kolejowego, pochodziły z Toy”. Za tą hipotezą przemawiała jeszcze jedna okoliczność: tego typu koszy nie wyplata się od lat; nigdzie, nawet na najbardziej oddalonej od centrum prowincji, nie ma ich w sprzedaży. Niewidomy sąsiad Basila twierdził, że ostatnie kosze tego rodzaju sprzedał pod koniec pierwszej wojny światowej.

Po pewnym czasie ponowiono próby odnalezienia szopy, które i tym razem nie dały żadnego rezultatu. Wkrótce po tej wyprawie do miasta Basil umarł na zapalenie płuc. W parę tygodni po jego śmierci porucznik Flint oświadczył, „że choć nie wszystkie szczegóły zostały wyjaśnione, pewny jest jednego: człowiek z wiklinowym koszem nigdy już nie będzie postrachem naszego miasta”. Przy sposobności powtórzył swoją poprzednią hipotezę: kobieta, której zwłoki podrzucono na Dworcu Głównym, była prostytutką, zabił ją jej przyjaciel, był nim prawdopodobnie ów tajemniczy Grzegorz. Choć

wskazówki Basila były dość skąpe, porucznik Flint nie wątpił, że ujęcie tego człowieka jest sprawą kilku dni czy tygodni.

Choć tego wieczoru, gdy Michał opowiedział mi historię człowieka z wiklinowym koszem, nie znałam jeszcze ani oświadczeń porucznika Flinta; ani wielu innych szczegółów, od razu wyrobiłam sobie własne zdanie o związku tej sprawy z morderstwem profesora Woytisa i śmiercią żony Ryszarda.

– Grzegorz, człowiek w dżinsach i morderca profesora to jedna i ta sama osoba – powiedziałam Michałowi.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał.

– Bo celem jego jest zgładzenie Ryszarda; nie udało mu się zabić go w pociągu, więc teraz chce zabić go moralnie, chce, żeby go skazano za zabicie żony, to jasne, i dlatego musiał zabić też profesora Woytisa, by nie mógł świadczyć na korzyść Ryszarda! I to jest ktoś, kto doskonale zna Ryszarda, może zna go nawet od dzieciństwa. Ktoś, kto wiedział, że farma jego rodziców jest tuż koło Toy i że Basil zna Ryszarda! Że nic łatwiejszego niż wskazać mu Ryszarda i powiedzieć: „Wyrzuć tego człowieka z pociągu, bo przez niego nie masz jabłek!”. Sam mówiłeś, że nie udało się stwierdzić, czy rzeczywiście Basil był u siebie w domu 17 i 18 sierpnia. Córka znalazła go na strychu dopiero w poniedziałek 19 sierpnia. A tamte dwie zbrodnie, bomba i zamordowanie tej kobiety, były Grzegorzowi potrzebne, by stworzyć psychozę lęku przed człowiekiem z wiklinowym koszem. Chciał go po prostu wprowadzić na scenę, zrobić z niego zbrodniarza od wszystkiego. Podrzucił bombę, zabił jakąś kobietę, cóż więc dziwnego, że wypchnął kogoś z pociągu? Szaleńiec – to wszystko tłumaczy...

– Zapominasz, Mat – przerwał mi Michał – że gdyby komuś naprawdę zależało na pozbyciu się Ryszarda, można to było zrobić znacznie prościej. Ryszard długo mieszkał sam; by dostać się do niego, nie trzeba było nawet pokazać się na ulicy Henrietty, droga przez cmentarz idealnie nadaje się do tego celu; nawet w dzień nikt by tego człowieka nie zauważył. A poza tym Ryszard całymi nocami był sam, ulica Składowa jest odludna i ciemna...

– A ty zapominasz o czymś innym: że Ryszard aż do tego wypadku był niezwykle silnym mężczyzną, a zresztą miał broń.

– Tak, masz rację. To w pewnym stopniu utrudniało napad. Ale powiedz mi, Mat, coś innego: czy Ryszard miał aż takich wrogów? Wspominał ci kiedyś o tym?

– Mnie nie, ale profesor Woytis mógł coś o tym wiedzieć! Jeszcze jeden powód więcej, by pozbyć się go; mógł być niebezpieczny, mógł domyślić się, kim był człowiek w džinsach! A napad rabunkowy mógł być tylko pozorem. Czy profesor miał przy sobie coś wartościowego?

– Tego jeszcze nie udało się ustalić; prawdopodobnie tylko zegarek i sygnet. Nie jest jednak wykluczone, że miał też przy sobie paszport, bilet lotniczy i dość znaczną sumę w walucie. W każdym razie nie ma tych rzeczy u niego w mieszkaniu; jest jeszcze możliwość, że zostawił je u siostry; on zawsze wyjeżdżał do niej na sobotę i niedzielę i wracał w poniedziałek rano. Jutro będziemy coś o tym wiedzieli, a teraz, Mat, przestań już o tym myśleć.

X

Nie od razu zdałam sobie sprawę, czym była dla Ryszarda strata matki. W pierwszej chwili wyobraziłam sobie tylko ból Ryszarda; dopiero dwa dni później, gdy odwiedziłam jego rodzinną farmę i poznałam ojca, najstarszą siostrę Józefinę oraz jej męża, zrozumiałam, że wraz ze śmiercią matki więzy łączące go z rodziną zupełnie się rozluźniły, jego osamotnienie, poprzednio dobrowolne i nie tak całkowite, teraz stało się ostateczne. Odkąd wystąpił z uniwersytetu, ci ludzie przestali go rozumieć – to było jasne i nie dziwiłam się temu. Dla ojca, dla Józefiny, dla jej męża, ludzi ciężko pracujących i borykających się z wszelkiego rodzaju trudnościami, praca na uniwersytecie, tytuł naukowy to już było ogromnie dużo, właściwie nie wiedzieli nawet, że może istnieć coś jeszcze innego: pasja naukowa. Może i matka tego nie rozumiała, ale jej miłość do syna była tak wielka, wiara w niego tak niewzruszona, że nie usiłowała nawet zrozumieć jego postępowania, z góry uważała je za słuszne i starała się, według swoich możliwości, pomóc mu w nowej sytuacji. To ona skłoniła męża Józefiny, by pozwolił Ryszardowi zamieszkać w opuszczonym domku przy ulicy Henrietty. Wysłuchałam wtedy historii tego spadku po jakimś dalekim krewnym zięciu Vassich i związanych z tym nadziei. Poza nieudaną karierą Ryszarda było to drugie źródło rozgoryczenia dla rodziny Vassich. Mąż Józefiny przywiązywał wielką wagę do tej parceli, położonej, w jego mniemaniu, w samym centrum miasta; pieniądze uzyskane z jej sprzedaży miały już od dawna swoje ustalone przeznaczenie. Nikt jej jednak nie chciał kupić, miasto nie rozwijało się w tym kierunku, przeciwnie,

wycofywało się stamtąd, i chociaż stale obniżano cenę, nie było nabywcy. Domu nie udało się sprzedać nawet na rozbiórkę. Mimo to matka musiała długo prosić swego zięcia, zanim zgodził się oddać go czasowo Ryszardowi. Nie wiem, w jaki sposób go przekonała i nawet skłoniła Józefinę, by pojechała do miasta i pomogła urządzić się bratu. Drugi raz Józefina przyjechała wiosną, przekopała ogród, posadziła trochę warzyw, pobieliała drzewa owocowe. Od tego czasu nikt z nich nie odwiedził Ryszarda ani on nie opuścił domku przy ulicy Henrietty. Co tydzień pisał do matki; nie pozwolił jej przyjechać do siebie, prosił tylko, żeby miała cierpliwość i wierzyła w niego. W jednym z ostatnich listów zapewniał ją, że swoją pracę ukończy jesienią – list był z pierwszych dni sierpnia. Widziałam te listy. Ryszard, który normalnie pisał drobnym, prawie nieczytelnym maczkiem, starał się w nich kreślić duże, wyraźne litery, prawie kaligrafował, jak by bał się zmęczyć oczy matki.

Ojciec, dla którego pojęcie powodzenia w życiu łączyło się z wielkimi zarobkami, stale spodziewał się, że Ryszard pewnego dnia da rodzicom dużo pieniędzy, co pozwoliłoby im zbudować nowy dom, kupić nowy inwentarz, może nawet kawał gruntu. Gdy go poznałam, był już zubożałym na wszystko starcem, prawdopodobnie chorym na sklerozę, bo chwilami mówił o swojej żonie, jak by jeszcze żyła. Z tragedii syna nie zdawał sobie sprawy; kilka razy powtórzył zagadkowe słowa „Wszystko co ma, zmieści się w koszu”; złożyłam je w pierwszej chwili na karb jego dość widocznego osłabienia umysłowego i dopiero później zrozumiałam potworność tych słów.

Niemniej rozgoryczona była Józefina. „To przez tę dziewczynę”

– powtórzyła chyba kilkanaście razy. „Tą dziewczyną” była oczywiście Teresa, żona Ryszarda.

Prawie wszystko, co wiem o Teresie, zawdzięczaam siostrze Felicji z wydziału interny i siostrze Urszuli, która zawiadywała bielizną szpitalną, a Teresę miała za pomocnicę. Ordynariusz szpitala św. Józefa, doktor Orpy, przebywał w tym czasie za granicą i dlatego nie mogłam poprosić go o wyjaśnienie dwóch tak ważnych spraw: czy rzeczywiście Teresę mógł zabić najłżejszy przestרח, byle jakie wzruszenie, zaskoczenie, i co miał na myśli, gdy stanowczo sprzeciwił się małżeństwu Teresy z Ryszardem, mówiąc: „On ciebie zabije”. Siostra Felicja przypuszczała, że Teresa opowiedziała mu o chorobliwej zazdrości Ryszarda, a może nawet powtórzyła jego słowa: „Zabiję cię, jeżeli mnie zdradzisz”, stąd sprzeciw i dziwne słowa doktora. Siostra Urszula sądziła, że doktor miał po prostu na myśli zły stan zdrowia Teresy i że obawiał się, czy chora podoła prowadzeniu domu, pracy w ogrodzie, przy królikach. Później, oczywiście, nie zabrakło innych, najbardziej fantastycznych komentarzy, ale mnie się wydaje, że rację miała siostra Urszula.

Ryszard poznał Teresę, gdy pierwszy raz pozwolono mu zejść do szpitalnego ogrodu. Matka jego już wtedy nie żyła, a Józefina nie omieszkała powiedzieć mu całej prawdy o okolicznościach jej śmierci, powtarzała mu to regularnie pod koniec każdej swojej wizyty w szpitalu. Przebieg tych wizyt był zresztą wszystkim z góry znany: Józefina narzekała, a Ryszard milczał, tak samo jak milczał podczas odwiedzin lekarzy i w czasie posiłków. Przez resztę doby spał albo udawał, że śpi, a w nocy – co do tego wszyscy byli zgodni – „myślał”.

I właśnie tego dnia w ogrodzie pierwszy raz przerwał milczenie: rozmawiał z Teresą.

Teresa miała wtedy dwadzieścia jeden lat, ale jej prawdziwe życie zaczęło się dopiero przed pięcioma laty, gdy zainteresował się nią doktor Orpy, sprowadził do szpitala św. Józefa i po operacji serca powiedział: „A teraz będziesz chodzić”. Przed operacją Teresa nie tylko nie mogła normalnie poruszać się, lecz nawet oddychanie sprawiało jej wielką trudność. Szpital św. Józefa, którego nie opuściła po okresie rekonwalescencji, był dla niej nie tylko miejscem pracy; zastępował jej też dom i rodzinę, a przywiązanie doktora Orpy do Teresy miało w sobie prawdopodobnie coś z dumy twórcy wobec dzieła, które powołał – w tym wypadku dosłownie – do życia. Teresa nie miała matki, ojciec po umieszczeniu jej w zakładzie dla nieuleczalnie chorych dzieci przestał się nią interesować i nie udało się nawet znaleźć jego adresu, gdy Teresa chciała zawiadomić go o ślubie.

Drugą osobą, która sprzeciwiała się małżeństwu Ryszarda z Teresą, była Józefina. Nie ukrywała swego niezadowolenia i głośno skarżyła się napotkanym w ogrodzie pacjentom, że „ta dziewczyna łyżki strawy mu nie zgotuje”. Tak więc na ślubie nie tylko krewni Teresy byli nieobecni, z rodziny Ryszarda też nikt się nie zjawił, młodsza siostra Ryszarda, która w rok po wojnie wyszła za mąż za amerykańskiego żołnierza, przysłała tylko dość okazały czek, a najmłodsza od wielu lat nie utrzymywała żadnego kontaktu z rodziną i przebywała w innej prowincji. Gdy Ryszard i Teresa zamieszkali przy ulicy Henrietty, pielęgniarki Felicja i Urszula były jedynymi osobami, które ich odwiedzały. Nikt też do nich nie pisywał. Kiedy w półtora roku po ślubie siostra z Ameryki przysłała drugi czek,

listonosz wstąpił najpierw do Kleebów, którzy mieszkali pod drugim numerem przy ulicy Henrietty, i zapytał, czy ktoś teraz mieszka pod piątką, bo choć drugi rok obsługiwał ten rejon, nigdy jeszcze nie zanosił tam poczty. Była to dość duża suma; Ryszard podjął ją w sobotę poprzedzającą śmierć Teresy, 15 sierpnia. Podczas rewizji przeprowadzonej 18 sierpnia znaleziono w komodzie odcinek czeku, ale pieniądze znikły.

Po dwóch miesiącach spędzonych przy ulicy Henrietty Teresa wróciła do szpitala św. Józefa jako pacjentka i została tam sześć tygodni. Ryszard przychodził do niej codziennie. „Widać było, że oni się bardzo kochali” – powiedziała mi później siostra Felicja. Kiedy w jakiś czas potem znowu zaszła konieczność przewiezienia Teresy do szpitala, Ryszard dołożył wszelkich starań, by nie był nim szpital św. Józefa. Siostram, które odwiedziły Teresę w klinice uniwersyteckiej, powiedział, że metody leczenia doktora Orpy są przestarzałe, ale one przypuszczały coś innego i podzieliły się swoimi przypuszczeniami z personelem szpitala św. Józefa: Ryszard był zazdrosny o doktora Orpy.

XI

W środę, 19 sierpnia, zbudziłam się tak idealnie szczęśliwa, że przez kilka minut leżałam bez ruchu, by upewnić się, czy to nie pomyłka. Ale nie, to nie przechodziło, musiałam więc poszukać powodów tego od dawna nie zaznanego stanu zadowolenia z siebie i ze świata, bo nigdy nie lubiłam być szczęśliwa bez wyraźnej przyczyny. Po odgłosach dochodzących z ulicy poznałam, że jest słońce

i niebo bez chmurki; to już było coś, szukałam jednak dalej, co mi zresztą nie przeszkodziło przejść do łazienki i ubrać się: w środę Małgorzata spała dłużej, a ja schodziłam po bułki. Urlop: to także był dość poważny powód do radości. Jeszcze poprzedniego dnia, zaraz po wyjściu Michała, postanowiłam nie czekać do września i natychmiast rozpocząć urlop. Nie sądziłam, by Benjamin Polly miał coś przeciwko temu, ale na progu łazienki lekki cień na mój radosny nastrój rzuciła refleksja, że prawdopodobnie podczas urlopu dostanę zawiadomienie o zwolnieniu z pracy; wątpliwe było, by Benjamin Polly chciał mnie zatrzymać po odwiedzinach Michała w biurze; musiał już domyślić się, że byłam zamieszana w jakąś kryminalną sprawę. Wcale mnie to zresztą nie przeraziło; perspektywa, że nie będę patrzeć na łysinę i brzuch Beniamina Polly nie tylko przez dwa tygodnie urlopu, ale znacznie dłużej, była raczej radosna. Nie miałam zamiaru wyjechać z miasta; cały wolny czas postanowiłam zużyć na wyświetlenie sprawy Ryszarda; byłam pewna, że zrobię to lepiej niż adwokat, którego przydzielą mu z urzędu. I właśnie dlatego byłam taka szczęśliwa: nie musiałam czekać beczynnie, mogłam działać! Plan miałam już gotowy, przynajmniej na najbliższe dni: przed południem spotkanie z Michałem przy ulicy Henrietty, po południu czytelnia, gdzie spodziewałam się znaleźć jakiś materiał na poparcie mojej hipotezy o człowieku z wiklinowym koszem, nazajutrz wyjazd do Almond, farmy rodziców Ryszarda.

Za parę godzin miałam poznać porucznika Flinta i pokazać mu miejsce, w którym ukrył się człowiek w dżinsach. Wiedziałam, że było raczej wątpliwe, by udało się znaleźć jakieś ślady, ulewa pewnie wszystko zmyła, i nie o to mi chodziło.

Zależało mi na tym, by Michał, a także porucznik Flint uwierzyli w jego istnienie i w jego obecność tamtej nocy przy ulicy Henrietty. Michał co prawda ani słowem nie zdradził się, że nie wierzy moim słowom, ale zbyt dobrze go znałam, by nie wyczuć, że uważa człowieka w dzinsach za wytwór fantazji. Dużo było w tym oczywiście mojej własnej winy: nie wspomniałam mu od razu ani o moim upadku w ogrodzie, ani o mężczyźnie, który koło Nowej Operetki wskazał mi, gdzie jest postój taksówek, a przede wszystkim musiało mu wydać się podejrzane, dlaczego nic nie powiedziałam Ryszardowi.

Strasznie się wszystko pokręciło – pomyślałam sobie i zaczęłam szcztokować włosy przed lustrem. I właśnie wtedy naprawdę zrozumiałam, dlaczego jestem tak niezwykle szczęśliwa. Miałam zobaczyć się z Michałem, który poprzedniego dnia powiedział te dziwne słowa: „Tak się bałam o ciebie, Mat”, i byłam pewna, że Michał będzie musiał spotykać się teraz ze mną bardzo często, może codziennie, ze względów służbowych, po prostu obowiązkowo. Czekano mnie coś w rodzaju pojedynku intelektualnego: Michał był przekonany o winie Ryszarda, a ja miałam udowodnić mu, że się myli. To znaczyło, że będziemy długo razem przebywać, spierać się, rozmawiać.

– Coś cudownego! – powiedziałam do sąsiadki, która równocześnie ze mną schodziła po bułki. – To znaczy: cudowny dzień – szybko się poprawiłam.

Kupiłam już bułki i gazetę, kiedy przypomniałam sobie, że nie zauważyłam w kuchni wieczornej gazety z poprzedniego dnia, a jeżeli Małgorzata schowała ją przede mną, to znaczyło, że była jakaś wzmianka o Ryszardzie, może nawet o mnie. Wróciłam do kiosku; okazało się, że nie został ani jeden egzemplarz. „Taka sensacja,

proszę pani” – powiedziała właścicielka i dała mi swój własny numer.

W kuchni Małgorzata smażyła już jajka. Jak zwykle, gdy nie schodziła po bułki, fartuszek włożyła wprost na nocną koszulę.

– Nie martw się – powiedziała – takie rzeczy dają się naprawić. Alicja mówiła, że o mało nie popękały ze śmiechu, kiedyś usiadła na tym kapeluszu, ale nic nie dały poznać po sobie, żebyś się czegoś nie domyśliła.

W tym, że Małgorzata rozmawiała z Alicją, moją koleżanką z biura, nie było nic nadzwyczajnego: Alicja mieszkała naprzeciw atelier „Miami”; natomiast sama treść tego zdania była mało przyjemna, co mnie zresztą też nie zdziwiło: według określenia Michała, Małgorzata cierpiała na niedowład zdaniowy. Położyłam więc serwetę na stole i czekałam na ciąg dalszy, który nastąpił w tej samej chwili, gdy Małgorzata, uznając jajka za wystarczająco wysmażone, zdjęła patelnię z ognia:

– A jak powiedziałas, że dasz odprasować, to Beniamin Polly zrobił taką minę, jak by miał się rozplakać, i powiedział, że to już niewiele zmieni, bo z placka nikt nie zrobi kapelusza, i wtedy zupełnie niepotrzebnie powiedziałas, że mu odkupisz taki sam, bo ja znam jednego kapelusznika, dawniej miał zakład przy Wekslarskiej w podwórzu, teraz nie wiem gdzie, pewnie niedaleko, bardzo uczciwy człowiek, grosze bierze i jest punktualny, to on tak odprasuje ten kapelusz, może go też rozszerzyć, że Beniamin Polly nie pozna, czy to nowy, czy stary. Przesoliłam jajka?

Jajka nie były przesolone, przestałam na chwilę jeść tylko dlatego, że powoli przypominałam sobie to wydarzenie i nie mogłam

zrozumieć, w jaki sposób usiadłam na czymś tak zatłuszczonym jak słomkowy kapelusz Beniamina Polly. Kładł go co prawda w najróżniejsze miejsca, mógł więc położyć i na moim krześle, nie było w tym nic dziwnego; zastanawiało mnie co innego: zwykle bardzo uważałam na swoją spódnicę i pamiętałam, co robiłam i mówiłam w biurze. Jeżeli tym razem naprzód usiadłam na tej obrzydliwości, a potem zupełnie mi to wyleciało z pamięci, wniosek był prosty: w poniedziałek musiałam być strasznie roztargniona. Postanowiłam na razie nie martwić się ani słomkowym kapeluszem Beniamina Polly, ani swoim roztargnieniem i odłożyć to do spokojniejszej chwili. Z niecierpliwością czekałam na wyjście Małgorzaty, by móc już rozłożyć gazetę.

MORDERCA PROFESORA WOYTISA ZIDENTYFIKOWANY!!! – taki był pierwszy tytuł, który wpadł mi w oczy. Dotąd nigdy nie zastanawiałam się nad stosunkiem treści artykułów prasowych do ich tytułów, teraz przekonałam się, że był on raczej luźny. Co najmniej trzy czwarte kolumny zajmowało przypomnienie o napadzie, który miał miejsce przed trzema tygodniami na Skwerze Profesorów:

Edyta Piat, córka administratora Domu Profesorów, była nauczycielką w szkole rolniczej; do ojca przyjeżdżała zazwyczaj w sobotę pociągiem przychodzącym o godzinie 19¹¹ i zostawała w mieście aż do poniedziałku rana. Tym razem miała zamiar zostać dłużej. Była już gotowa do drogi, gdy potrąciła flakon z oliwą i poplamiła kostium. Czyszczenie plamy zabrało jej dość dużo czasu, nie zdążyła nawet na następny pociąg, przychodzący do miasta o godzinie 21⁰⁷; przyjechała dopiero ostatnim, który dojeżdżał tylko do Dworca Wschodniego. Nikt jej nie oczekiwał; ojciec był już od dwóch

godzin w domu, bo sądził, że córka przyjedzie w niedzielę rano. Z dworca Edyta Piat przyjechała autobusem nr 13 i wysiadła koło teatru Nowej Operetki. Nie była pewna, czy poza nią wysiadł ktoś jeszcze; nie była też pewna, o której godzinie przeszła przez jezdnię i znalazła się na skraju skweru. Przymuszczała była wtedy 23³⁰. Przed nią szedł wysoki, tęgi mężczyzna, który niósł dwie walizki. Jedna z nich musiała być dość ciężka, bo w pewnej chwili postawił ją na ziemi, a gdy Edyta mijała go, zauważyła, że wycierał pot z twarzy. Innych przechodniów, idących w stronę skweru czy ze skweru, nie spostrzegła. Chciała być jak najprędzej z ojcem, wybrała więc najkrótszą drogę, mimo że główna aleja była znacznie lepiej oświetlona. Kiedy przechodziła dróżką między topolami, potknęła się i poczuła silny ból w tyle głowy. Znaleziono ją dopiero nad ranem; była nieprzytomna, ale okazało się, że cios nie był zbyt silny, po trzech dniach mogła już złożyć powyższe zeznanie. Nie zawierało ono właściwie niczego, co by wskazywało, że napastnikiem był człowiek z dwiema walizkami. Mógł to być przypadkowy przechodzień, który tak samo jak Edyta Piat prosto z pociągu wsiadł do autobusu i wysiadł koło Nowej Operetki, bo mieszkał gdzieś w pobliżu. Autobus był przepełniony, Edyta mogła nie zauważyć pasażera z dwiema walizkami choćby dlatego, że prawie wszyscy obecni mieli jakieś pakunki. Co prawda nie zauważyła, by ktoś poza nią wysiadł koło teatru, ale tak samo nie słyszała niczyich kroków, gdy skręciła na skwer, co by raczej świadczyło, że napastnik czekał zamczajony między topolami, a w takim razie nie mógł nim być człowiek niosący walizki. Tylko jedna okoliczność przemawiała przeciwko niemu: poza zegarkiem, pierścionkiem i portmonetką

napastnik zabrał także całą zawartość walizki Edyty Piat, ale samą walizkę zostawił, co wskazywało, że miał ze sobą coś, do czego wszystko przełożył. Ukradzione przedmioty w pewnym stopniu określały rangę złodzieja: nie wzgardził ani słókiem morelowego dżemu, ani skryptem o roślinach motylkowatych, ani „Moim zwierzyńcem”, który Edyta Piat przywiozła dla syna kucharki. Oczywiście mógł w pośpiechu nie oglądać przekładanych przedmiotów, ale właśnie nic nie wskazywało na to, że napastnikowi śpieszyło się, przejrzał przecież dokładnie kieszenie deszczowca, wyrzucił z nich różne drobiazgi, a zabrał jedynie portmonetkę i chusteczkę. Autor artykułu charakteryzował go „jako umysł praktyczny, charakter trzeźwy, pamiętający bez względu na okoliczności, że dżem morelowy zawsze można zjeść, a na Pchlim Targu kupią wszystko, nawet skrypt o roślinach motylkowatych”. W końcu jednak tylko jedno było pewne: napad na Edytę Piat nie był planowany, bo nikt, nawet jej ojciec, nie wiedział, że przyjedzie jeszcze tego dnia. Gdy wtorkowe gazety podały wiadomość o napadzie na profesora Woytisa, do komendy policji zgłosiła się Maria C., która poniedziałkowy wieczór spędziła w teatrze Nowej Operetki. Nie oddała niczego do szatni i była jedną z pierwszych osób, które wyszły z teatru. Plac był prawie pusty, zaludnił się dopiero po chwili. Maria C. chciała zadzwonić do domu i upewnić się, czy siostra już wróciła, bo nie zabrała ze sobą klucza. Ponieważ budka telefoniczna była nie oświetlona, Maria C. sądziła, że z automatu nikt nie korzysta, ale gdy zbliżyła się do drzwi, wyszedł z niej tęgi mężczyzna, który niośł dwie walizki. Maria C. nie rozumiała, dlaczego ten człowiek telefonował po ciemku

i ze zdziwieniem oglądnęła się za odchodzącym: skierował się w stronę Skweru Profesorów. Nazajutrz rano przeczytała o napadzie na profesora Woytisa: natychmiast przypomniała sobie, że na Edytę Piat też prawdopodobnie napadł mężczyzna z dwiema walizkami. Żadnych bliższych szczegółów Maria C. nie potrafiła podać, nie była też pewna, o której godzinie podeszła do budki telefonicznej. Spektakl, według informacji wydrukowanej na afiszach, kończył się o 10³⁵, a zejście z balkonu, przejście przez hall teatru i jezdnię nie mogły jej zająć więcej niż pięć minut, przypuszczała więc, że do budki podeszła o 10⁴⁰. To było wszystko, co powiedziała Maria C. i na tej podstawie pisano o „identyfikacji” mordercy profesora Woytisa! Identyfikacji nieznanego z nieznanym! Na zakończenie autor artykułu podawał własne wnioski: napad na profesora nie był planowany, tak samo jak nie był planowany napad na Edytę Piat. Napastnik nie miał zamiaru zabić swojej ofiary, nie należał do specjalistów od „mokrej roboty”, nie wiedział zresztą, że jego cios był śmiertelny, bo po cóż by trupowi zakładał knebel? Odpadało tym samym przypuszczenie, że mordercą był ktoś z otoczenia profesora, ktoś, kto znał trasę i porę jego codziennych przechadzek.

Od razu zniecierliwiłam tę Marię C. i autora artykułu: obalali moją hipotezę o człowieku z wiklinowym koszem. A poza tym cóż to była za dziwna kobieta: chodziła sama do teatru i do tego nie zabierała ze sobą klucza! Na domiar bardzo niedokładnie podała czas, spektakl nie mógł skończyć się o 10³⁵, choćby nie wiem co przeczytała na afiszach. Obliczyliśmy z Michałem, że koło teatru Nowej Operetki mogłam znaleźć się najwcześniej o 11²⁰, cóż więc znaczył tłum wychodzący z teatru, gdy szukałam taksówki? Znałam

ten budynek; jest raczej niewielki, i wydało mi się zupełnie nieprawdopodobne, by od godziny 10³⁵ do 11²⁰ widzowie nie zdążyli jeszcze wyjść, zwłaszcza w sierpniu, gdy co najmniej połowa publiczności przychodzi bez okryć. Powiedziałam o tym Michałowi jeszcze tego samego dnia; bardzo go ubawiła moja spostrzegawczość, obiecał, że zatelefonuje do sekretariatu teatru i zapyta o dokładną porę zakończenia spektaklu, ale po tonie jego odpowiedzi domyśliłam się, że nie przykładą większej wagi do mojego odkrycia.

– Zapominasz o procentowym składzie ludności w naszym kraju – powiedział. – 52% to kobiety, nie jest więc prawdopodobne, by na sali procent ich był o wiele mniejszy. A kobiety nie od razu wychodzą na ulicę, nawet gdy niczego nie odbierają z szatni. Znasz przecież hall Nowej Operetki: same lustra.

– A mężczyźni? – zapytałam, rozdrażniona jego tonem. – Dlaczego mężczyźni nie wyszli?

– Czekali na swoje panie – roześmiał się Michał.

Moje ostatnie pytanie było rzeczywiście nierozsądne, ale sprawa przedstawienia w Nowej Operetce była jedną ze wskazówek, które sprowadziły śledztwo na właściwe tory.

Gdy już poznałam się w myśli nad dziwactwami Marii C. zmiażdżyłam z kolei autora artykułu i jego wywody. A jeżeli morderca profesora Woytisa celowo postępował tak, by go uważano za złodzieja pomniejszego kalibru, który kradnie co się da i nie gardzi nawet morelowym dżemem? Następnie, napad na Edytę Piat mógł być tym samym, czym przed dwoma laty było podrzucenie bomby na Dworcu Wschodnim: środkiem do stworzenia legendy o

człowieku z dwiema walizkami, napadającym na przechodniów w nie oświetlonych miejscach. Schemat postępowania Grzegorza, czyli po prostu człowieka w dżinsach, świadczył o ubóstwie jego wyobraźni: swoją zbrodnię inscenizował za każdym razem w identyczny sposób, nawet przedmiot, który miał zwrócić na niego uwagę, był właściwie w obu wypadkach prawie identyczny, kosz jest przecież też rodzajem walizy. Co prawda, przed dwoma laty swój zamach na Ryszarda poprzedził dwiema zbrodniami, ale czy nie było możliwe, że i tym razem człowiek z dwiema walizkami napadł nie tylko na Edytę Piat, ale zrobił to w nieodpowiednim miejscu albo w nieodpowiednim czasie i nikt go nie zauważył? Była oczywiście jeszcze jedna różnica: jego wstępne zbrodnie miały przygotować nie zamach na Ryszarda – bo tym razem Grzegorz zadowolił się skompromitowaniem swego wroga i osadzeniem go w więzieniu – ale zabójstwo profesora Woytisa. Tego właśnie nie rozumiałam: bo jeżeli profesor wiedział, kim był człowiek, który prześladował Ryszarda, to Ryszard też musiał go znać, musiał przecież wiedzieć, kto był jego wrogiem, a wobec tego dlaczego milczał? Istniało jedno tylko wytłumaczenie: Ryszard z jakichś względów nie mógł powiedzieć, kim był ten człowiek. Na próżno zastanawiałam się, co zmuszało Ryszarda do milczenia – tej zagadki nie mogłam rozwiązać. Poza tym wszystko było jasne: człowiek w dżinsach około dziesiątej przyszedł do domu przy ulicy Henrietty, wiedząc, że nie zastanie Ryszarda, że Teresę może zabić najmniejszy przestרח i że Ryszard jest chorobliwie zazdrosny. Może nawet wiedział i to, że kiedyś powiedział jej: „Zabiję cię, jeżeli mnie zdradzisz”. Tych dwóch młodych ludzi mógł celowo

posłać na Składową, to nie było wykluczone, albo też zachowywał się tak głośno w mieszkaniu Ryszarda, że zwrócił tym uwagę przypadkowych przechodniów. Potem wyskoczył oknem, skrył się w krzakach, a gdy Ryszard wrócił na Składową, by do mnie zadzwonić, pojechał w kierunku Skweru Profesorów. Czasu miał dość, zwłaszcza jeżeli postanowił zabić profesora, kiedy drugi raz będzie przechodzić koło kępy topoli. Po zamordowaniu i obrabowaniu swojej ofiary wrócił znowu na ulicę Henrietty; mógł przyjść drogą przez cmentarz, ale też mógł iść krok w krok za mną i to, co wzięłam na Parkowej za stukot moich obcasów, to mogły być odgłosy jego kroków. Do ogrodu wszedł prawdopodobnie w chwili, gdyśmy oboje, Ryszard i ja, znajdowali się w pokoju, i znowu ukrył się w krzakach.

Nagle zrozumiałam błąd swojego rozumowania: Ryszard przecież nie wiedział, kim był człowiek w dzinsach! Nie widział jego twarzy, wyraźnie powiedział porucznikowi Flintowi, że tylko „domyślił się, iż ktoś wyskoczył przez okno”. Dlatego Ryszard nie kojarzył wypadku w pociągu z nocną wizytą tajemniczego gościa i napadem na profesora. Znowu przyłapałam siebie na braku logiki: w chwili składania tych zeznań Ryszard nie mógł jeszcze wiedzieć o napadzie na profesora Woytisa, być może nadal nic o tym nie wiedział. Nie wątpiłam, że to, co powie, gdy się o tym dowie, będzie prawdziwą rewelacją.

Było późno, powinnam już była wyjść, siedziałam jednak w kuchni przy stole i myślałam o człowieku w dzinsach. Wyobrażałam go sobie w chwili, gdy wszedł do domu Ryszarda. Co powiedział Teresie, że go wpuściła? Dlaczego przyniósł ze sobą flaszkę rumu? I co byłby powiedział Ryszardowi, gdyby nie udało mu się wyskoczyć

przez okno? Czy byłby go zabił tym samym narzędziem, którym uderzył profesora? Czy też może liczył na coś całkiem innego: że jego obecność o tak późnej porze nie wyda się Ryszardowi dziwna, skoro jego przyjście nie zdziwiło Teresy. Jeżeli Teresa leżała na łóżku w pierwszym pokoju, dlaczego rum i dwa kieliszki stały na stole w drugim pokoju? I dlaczego zeznanie Ryszarda sprzed dwóch lat było fałszywe? Przecież on wtedy w pociągu doskonale zauważył twarz człowieka, który stał koło toalety, i nie miał wątpliwości co» do jego zamiarów. A prawdziwe było zeznanie pasażera twierdzącego, że Ryszard sam otworzył drzwi i wyskoczył z pociągu, zeznanie, którego nikt wtedy nie potraktował serio, a które wszystko tłumaczyło! Ryszard wiedział, kim był Grzegorz, prawdziwy człowiek z wiklinowym koszem, który Cyprianem Basilem posłużył się tylko w dwóch pierwszych wypadkach, a za trzecim razem działał już sam! Dlaczego jednak nie powiedział całej prawdy porucznikowi Flintowi, dlaczego odkrył mu tylko część prawdy? Bał się, że zemsta tego człowieka dosięgnie go nawet w szpitalu – to było prawdopodobne; ale było jeszcze inne wytłumaczenie: wróg Ryszarda mógł być człowiekiem, którego policja nigdy by nie podejrzewała, a zeznanie Ryszarda brzmiałoby jak oszczerstwo i nikt by mu nie uwierzył. Dlatego podał tylko dwie wskazówki: że zauważył kosz wiklinowy i że twarz tego człowieka wydała mu się znajoma. Była jeszcze jedna zastanawiająca okoliczność: Ryszard stracił rękę 18 sierpnia, po dwóch latach człowiek w dżinsach zjawił się przy ulicy Henrietty 17 sierpnia. Ozy był to tylko przypadek? Oczywiście nie mogło to mieć nic wspólnego z rocznicą naszego poznania, ale czy te tak zbieżne

daty nie były jakąś wskazówką? Chciałam jak najprędzej zobaczyć Michała, by podzielić się z nim moim odkryciem, choć trochę się bałam, że nie będzie to żadną rewelacją dla niego: dlaczego by nie miał rozumować tak samo jak ja, skoro znał te same fakty, a może nawet wiedział więcej ode mnie?

Dochodziła dziewiąta, musiałam już wyjść, by zdążyć na dziesiątą, ale chciałam jeszcze zobaczyć, co podała wieczorna gazeta. Wypadły z niej zeschnięte skórki z kiełbasy, widocznie właścicielka kiosku zapomniała je dać swojemu kotu, który zostawał na noc w budce, łowił myszy i w ogóle robił, co do niego należało. Tak się przynajmniej wydawało jego pani, bo ja wiedziałam coś innego: wychodził sobie nie wiadomo którędy, spacerował po ulicy i zachodził do nas. Do tych odwiedzin przyzwyczaiła go jeszcze moja ciotka, ale i Małgorzata miała słabość do niego.

Rzuciłam okiem na tytuł notatki o Ryszardzie „Pogłębia się bagno na naszym uniwersytecie!”, przeczytałam podtytuł: „Prawie dokładnie w tej samej chwili, gdy profesor Woytis padł pod ciosem mordercy, były docent uniwersytetu dr Ryszard Vassi usiłował otruć cyjankiem swoją niewierną małżonkę!”, poprawiłam brwi, sprawdziłam gaz i wybiegłam na ulicę.

XII

Tramwaj uciekł mi sprzed nosa, ale pogoda była tak piękna, że z przyjemnością przeszłam się do Muzeum; to zresztą niedaleko od nas, wszystkiego dwa przystanki, i to bardzo krótkie. Autobusu 107 jeszcze nie było, zapaliłam papierosa i zaczęłam czytać ogłoszenie

o zmianie rozkładu jazdy na tej linii; dowiedziałam się właśnie, że od godziny 22⁴⁰ autobusy kursują tylko co pół godziny, gdy nadjechał mój wóz.

Zwykle gdy jestem w zgodzie ze światem zewnętrznym, lubię wyglądać przez okno autobusu czy tramwaju, tym razem jednak, zanim jeszcze wjechaliśmy na ślimak prowadzący do tunelu pod wiaduktem, moją uwagę pochłonął sąsiad z lewej strony: co chwilę ślinił ołówek i mozolnie coś bazgrolił na gazecie. Przynurłam się bliżej: rozwiązywał krzyżówkę.

– A jeżeli pan się pomyli, to jak pan wymaże? – zapytałam.

– Ja, proszę pani, nigdy się nie mylę. Najwyżej mogę czegoś nie wiedzieć – odpowiedział łagodnie. – Na przykład: pierwszy maratończyk. Jak Boga kocham, nie pamiętam.

– Fiedipides nie odpowiadałby panu? – powiedziałam nieśmiało.

– Odpada; pierwsza litera „P”.

– On może pisać się przez „Ph”.

– Żebym tak zdrów był, że pani ma rację – mój sąsiad już wkładał ołówek do ust. – W takim razie stan w Ameryce Południowej to będzie Ohio. Zgadza się. Grekiem był, czy jak?

– Pewnie, że Grekiem – powiedziałam z trochę zbyt widocznym triumfem, żeby to więc załagodzić zapytałam, czy daleko jeszcze do rogu Parkowej i Składowej.

Mój sąsiad aż gazetę złożył ze zdziwienia.

– Przecieżeśmy już przejechali Parkową! – zawołał. – Zaraz będzie drugi przystanek, na Składowej!

Zerwałam się i podbiegłam ku wyjściu, ale do przystanku był jeszcze kawałek drogi. Wysiadłam strasznie zła na siebie i trochę

na amatora krzyżówek: niewiele brakowało, a byłabym się przez niego spóźniła na spotkanie z Michałem!

Stałam u stóp wysokiego czerwonego muru, posypanego u szczytu szkłem, a gdy autobus odjechał, zobaczyłam po drugiej stronie taki sam ceglany mur. To właśnie była ulica Składowa: wyłożony nierówną kostką wawóz, bez śladu zieleni, pusty i cichy, tak wyłączony z normalnego miejskiego życia, że nawet słońce świeciło tu inaczej, jak na pustkowiu, prażąc bruk i roziskrzając odłamki szkła. Zaraz za przystankiem ulica skręcała prawie pod prostym kątem; w pierwszej chwili pomyliłam kierunek i poszłam w tamtą stronę: zobaczyłam szeroką żelazną bramę, nazwę firmy, wypisaną żelaznymi literami na drucianej siatce rozciągniętej łukiem ponad bramą, i drewnianą budkę wspartą o mur; zrozumiałam, gdzie jestem, i wyobraziłam sobie, czym był nocny dyżur na tym odludziu. Wolałam o tym nie myśleć; szybko zawróciłam w stronę Parkowej.

Szłam coraz szybciej, ostatni odcinek drogi prawie przebiegłam. Niepotrzebnie zresztą; gdy stanęłam na rogu Henrietty, auta policyjnego jeszcze nie było. Popatrzyłam na zegarek: dochodziło pół do dziesiątej; trochę się zdziwiłam, byłam pewna, że jest już znacznie później.

W dzień ulica Henrietty nie wyglądała ani ponuro, ani tajemniczo, była nawet dość przyjemna; niskie domki skrywały się za żywopłotami, wzdłuż chodników rosły kasztany tak rozłożyste, że ich gałęzie stykały się ponad jezdnią, pełną mroku i ruchomych plam słońca. Tylko cisza była taka sama jak w nocy, ale i ją przerwało gderliwe oświadczenie kury, że zaraz będzie jajko, po chwili zapiał kogut, co było jakby sygnałem końca ciszy, bo za chwilę włączono

jakiś motor, a gdy ten ucichł, usłyszałam kobiecy głos. Słów nie rozróżniałam i tylko po przerwach domyślałam się, że od czasu do czasu ktoś odpowiada krótkimi zdaniami.

Nagle po drugiej stronie ulicy, za latarnią, o głowicy skrytej między liśćmi, zobaczyłam szarą kamienną bryłę tarasującą chodnik; wyglądało to bardzo dziwnie, przeszłam przez jezdnię i stanęłam zdumiona: oparty skrzydłami o kasztan, głowę kryjąc między gałęzmi, kłęczał olbrzymi anioł z ręką wzniesioną jak na obrazach Zwiastowania. Biały, chudy kotek śmignął chodnikiem, okrążył anioła i przebiegł jezdnię. Za żywoptem znowu zapiał kogut; rozchyliłam gałęzie: bił skrzydłami na skraju kamiennej urny otoczonej rzeźbioną girlandą róż. Parę kroków dalej żywoptot przerywał się, pchnęłam furtkę i weszłam na dość duże podwórze pełne aniołów różnych rozmiarów, aż do najmniejszego, nie większego od dłoni, który kłęczał na szczycie cienkiej kolumnienki stojącej koło wejścia. Na kolumnie było przyklejone ogłoszenie: „Tom Kleeb naprawia wszystko. Wiadomość zostawić u Matki”. Na prawo była aleja krzyży; niektóre obrósł już bluszcz, inne leżały na ziemi; W głębi stał parterowy domek, na sznurach rozpiętych między dwoma krzyżami suszyła się bielizna, a drewniana tablica, wsparta o schodki, nosiła ślady napisu: „Klemens Kleeb, artysta-kamieniarz”. Przypomniałam sobie, skąd znałam to nazwisko: Michał powiedział mi, że listonosz niosący przekaz dla Ryszarda wstąpił do Kleebów i zapytał, czy pod piątką ktoś mieszka.

Gdy parę godzin później przeglądałam w czytelnicy komplety gazet sprzed dwóch lat, zajrzałam również do wydanej niedawno historii

naszego miasta i dopiero wtedy rozumiałam dziwny charakter ulicy Henrietty. Do końca XIX wieku brama Cmentarza Południowego znajdowała się przy końcu Parkowej, tuż koło ulicy Henrietty. Z czasem kwatery cmentarza objęły tereny położone tak daleko na zachód, że kondukt pogrzebowe przestały tędy jeździć. Powstały dwie nowe bramy, a wokół nich warsztaty kamieniarzy. Ci, którzy zostali przy ulicy Henrietty, stracili klientelę, a ich potomstwo, wyrosłe między aniołami i urnami, nie potrafiło przystosować się do nowych zawodów. Spośród mieszkańców sześciu domków stojących przy ulicy Henrietty tylko Ryszard i właścicielka sklepu spożywczego mieli określone zajęcia; reszta zdobywała środki do życia w sposób, który najlepiej charakteryzowało ogłoszenie na kolumnie z najmniejszym aniołem. Jak się później okazało, zbrodniarz potrafił wykorzystać nawet i tę okoliczność. O ile jednak wkrótce wyjaśniła się tajemnica człowieka z wiklinowym koszem i cały splot dziwnych okoliczności towarzyszących śmierci Teresy, to do dziś nie udało mi się rozwiązać najdziwniejszej zagadki: dlaczego największy anioł klęczał na chodniku, a nie na podwórzu Kleebów.

Wróciłam na nieparzystą stronę i poprzez żywopłot zajrzałam na podwórze domu nr 1: stały tam takie same anioły i krzyże, ale porządnie poustawiane, a między nimi rosła dorodna kapusta. Trudno mi dziś pojąć, jak mogłam nie domyślić się od razu wieku tych aniołów; były przecież tak wyraźnie nienowoczesne, tak różniły się od dzisiejszych proporcjami ciała, postawą, a nawet fałdami szat! Byłam o krok od zrozumienia przynajmniej jednej sprawy i nie zrobiłam tego kroku ani wtedy, ani później, gdy już znałam historię ulicy

Henrietty, gdy wiedziałam, że jej anioły liczą co najmniej pięćdziesiąt lat!

Zerknęłam na następne podwórze; różniło się od poprzednich tylko tym, że rosły tu bujne pokrzywy. Sąsiedni dom to już był numer piąty i za nic w świecie nie weszłabym tam sama. Żywopłot był tu wyższy niż u sąsiadów, od lat chyba nie strzyżony, za nim były tworzyły taką gęstwinię, że ani domku, ani podwórza nie było widać z ulicy. Przy zwisającej na jednej zawiasie furtce stał policjant, nieco dalej, ponad bzami, widać było szarą ścianę z czarnymi otworami okien. Był to ten budynek, o którym wołałam nie myśleć.

Stanęłam koło policjanta, nie drgnął. To mnie ośmieliło: zajrzałam do ogrodu. Na prawo od domu dwóch ludzi kopało ziemię; domyśliłam się, że szukają kul. Nagle wydało mi się, że słyszę coś, co przypomina pukanie w szybę. Po chwili pukanie powtórzyło się, głośniejsze, jakby natarczywe. Odwróciłam się i spojrzałam na drugą stronę ulicy. Na wprost domu Ryszarda był sklep, o czym donosił ręcznie malowany szyld: „Towary spożywcze, mieszane i różne. Nafta”, nad sklepem zaś wznosiła się drewniana nadbudówka, niskie, wykrzywione pięterko, gdzie w na pół uchylonym oknie stała staruszka i laską pukała w szybę. Nie wiedziałam, kogo wzywa w ten sposób: nikt nie przechodził ulicą. Staruszka gwałtownym ruchem wysunęła laskę na zewnątrz i chwilę tak ją trzymała, po czym z traskiem zamknęła okno.

Znowu popatrzałam w głąb ogrodu Ryszarda; po lewej stronie ktoś głośno się śmiał. Zrobiłam jeszcze jeden krok naprzód, policjant i tym razem nie drgnął, zabrakło mi już jednak odwagi na trzeci krok, ale i tak zobaczyłam wysokiego policjanta, który rzucał poprzez siatkę liście kapusty tłoczącym się w dole królikom,

rozmawiając równocześnie z kimś, kto stał za żywopłotem na podwórku sąsiedniego domu. Domyśliłam się, że mówią o Ryszardzie. Popatrzyłam w oczy policjantowi stojącemu przy furtce, nie mrugnął nawet powiekami, zrozumiałam więc, że prościej będzie przejść na podwórze trzeciego numeru.

Tuż przy żywopłocie stała tęga kobieta w różowym szlafroku; jedną ręką rozgarniała gałęzie, a na drugiej trzymała kędzierzawego chłopczyka, który targał ją za włosy. Nie zważała na to, tak bardzo pochłonięta rozmową, że nie usłyszała nawet moich kroków.

– Pewnie, że odkupiłabym, gdyby drogo nie chcieli – mówiła. – Przecież na wieś nie zabiorą, ile by to musiało ich kosztować! A jak mają sprzedać, to czemu by mnie nie sprzedali, jego siostra mnie zna, wie, co my za ludzie. Ja żywe stworzenie bardzo lubię, choć jestem miastowa, a mój najstarszy od wczoraj spokoju mi nie daje, tylko wciąż: „Mamo, odkup od nich te króliki, sam będę koło nich chodził”. Pewnie, że wykarmić je to kosztuje, ale marchew bym posiała, kapustę też można posadzić, a za wełnę zawsze coś się dostanie, tylko szczepić trzeba, prawda? Całych pieniędzy i tak im od razu nikt nie da...

Nagle powietrze zadrżało od huków, zasłoniłam uszy, ale kobieta nie zwracała na nic uwagi i dalej mówiła. Z domu dochodziły nieludzkie zgrzyty, gołębie sfrunęły z dachu i usiadły na krzyżach. Po chwili hałas przeszedł w miarowy stukot; odjęłam ręce od uszu.

– Powiedziałam, że robi metalowe zamknięcia – głośno mówiła kobieta – takie, wie pan, jakby kapsle do butelek z piwa... Nie, nie zawsze tak hałasuje, tylko jak zapuszcza maszynę, potem już sama

idzie... Pewnie, że sam zmajstrował, a co pan myślał, że kupił? Za co?... A już, rzeczywiście, dużo się z tego ma!... Nie, nie pije, chyba czasem...

Miarowy stukot ustał, przez chwilę było cicho i znowu wszystko zaczęło się od początku, zasłoniłam uszy. Gdy piekielne zgrzyty ustały, kobieta mówiła już na inny temat.

– Nie, ta to był anioł; spokojna, cichutka; pewnie, że jak już była taka chora, to w domu nic nie zrobiła, on musiał wszystko sam, nawet przy królikach. Ale tamta! To była taka, że nie chcę użyć słowa, ale pan już wie, co myślę: ostatnia z ostatnich. W sklepie powiedziała, że jest kuzynką. Pan wie, co to za kuzynka, ja też wiem. Z rogu takie kuzynki się bierze. Nie wiem, kto pierwszy zaczął się kłócić, może ona, może on, ale jak już zaczęli, to nie skończyli, aż drapnęła. Strasznie był o nią zazdrosny i powiem panu, że miał powody. Przychodzi ta raz do sklepu i mówi, że jak by chciała, to on by się z nią ożenił. To ja mówię: „A dlaczego panna Irma nie chce wyjść za kuzyna? Może za bliski krewny?” A ona nic, tylko się śmieje i mówi, że ma bogatszego, który jej spokoju nie daje, gdzie się ruszy, to on za nią. I to jeszcze panu powiem, że i on nie był bez winy. Noc w noc kobieta sama jak palec, a okazji nie brak. Sama nieraz widziałam: on wychodzi jednymi drzwiami, a za chwilę do drugich drzwi ktoś puk, puk. Raz to już nie wytrzymałam i powiedziałam mu rano: „Gościa pan Ryszard miał na noc, prawda?”, a on mi na to, że i owszem, krewniak z prowincji przyjechał i zanocewał u niego. Jak by mnie wtedy zatkało, mówię panu, co też kobieta potrafi zrobić z mężczyzny! Żeby to chociaż była kobieta jak się patrzy, a to było chuchro, od ziemi ledwie odrosła, i tylko sobie włosy tak w loki układała, całą kupę, żeby się wyższą wydać.

Jego siostra, jak przyjechała tu go urządzić, mówiła, że on mógłby mieć lepsze mieszkanie w mieście, ale chce tu, bo spokój. Póki tej Army nie było, to naprawdę miał spokój, myśmy tej maszyny jeszcze nie mieli, dopiero trzeci rok, jak ją mamy, cicho było na naszej ulicy, że każde słowo było słychać. Ale potem! To ona jemu, to on jej, i takie słowa mówili, że dzieciom uszy trzeba było zatykać. W ten ostatni dzień, nim to się stało, to była sobota, bieliznę właśnie wieszalałam i stanęłam, tak jak teraz stoję, okno było u nich otwarte, wszystko słyszałam. „Nigdzie nie pojedziesz, w domu masz siedzieć, ty...”, użył słowa, żebym tak zdrowa była. A ona na to nic, jak by się zacięła, słówkiem mu nie odpowiedziała. Przed wieczorem znowu awantura, ale taka, żeśmy już myśleli, że ją zabije albo co jeszcze gorszego jej zrobi. Potem ucichło, poszedł na Składową. W niedzielę rano puka do nas, szósta godzina chyba była, wszyscyśmy jeszcze spali, a on puka do okna, ja nic nie słyszę, tylko mój starszy, Lolo, mówi: „Mamo, pan Ryszard puka do okna”. Zbudziłam się, otworzyłam okno i pytam: co się stało? A on na to, czy Army nie widziałam, bo jej w domu nie ma. Jak mu powiedziałam, że nie widziałam, to pobiegł tam naprzeciw, do Kleebów. I wie pan co? Jemu ta zazdrość już we krwi została, już mu się wydawało, że jak jedna taka była, to wszystkie takie same...

– Długo już czekasz? – drgnęłam, za mną stał Michał. – Ładnie dziś wyglądasz, Mat, a wczoraj byłaś taka... wiesz...

– To ta pogoda – przerwałam mu szybko, bo nie chciałam usłyszeć, jak wyglądałam poprzedniego dnia. – Ty też dzisiaj jesteś trochę mniej... cytrynowy.

– Po prostu spałem parę godzin tej nocy. Chodź, przedstawię ci porucznika Flinta. Nie przejmuj się zanadto, on jest trochę...

– Wiem, jaki on jest; chodźmy – powiedziałam ze stanowczością, która mnie zaskoczyła.

Wyszliśmy na ulicę; zobaczyłam tył policyjnego jeepa i dwie bardzo długie, bardzo chude nogi w wąskich dżinsach bez mankietów, zachodzących nisko na spiczaste półbuciki. Z trudem ukryłam swoje zdziwienie: wyobrażałam sobie, że porucznik Flint nie rozstaje się z mundurem.

XIII

Twarz porucznika Flinta służyła mu do wyrażania różnych odcieni, ironii, chytrych i pewności siebie. Choć nie wykluczam, że czasem posługiwał się nią zgodnie z jej przeznaczeniem, w każdym razie ja tego nigdy nie widziałam. Michał nie zdążył jeszcze nas przedstawić, gdy usłyszałam pierwsze pytanie:

– Więc pani twierdzi, że jest pani w stanie określić dokładnie miejsce, w którym rzekomo ukrywał się jakiś człowiek?

– Nic nie twierdzą – odpowiedziałam – chcę tylko pokazać krzaki, za którymi ukrywał się człowiek w dżinsach.

– Doskonale – zasyczał porucznik Flint. – Pani już była kiedyś w tym ogrodzie?

– I owszem, byłam.

– Kiedy?

– W poniedziałek w, nocy.

– W dzień pani nigdy tu nie zachodziła?

– Nigdy.

– Więc pierwszy raz była tu pani w poniedziałek w nocy?

– Tak.

- Czym był oświetlony ogród?
- Niczym.
- O ile sobie przypominam, poniedziałkowa noc była wyjątkowo ciemna. Zgadza się pani z tym?
- Całkowicie.
- Wobec tego pozwoli pani do środka i poszuka tego miejsca.

Nasza rozmowa odbyła się w tak błyskawicznym tempie, że nie zdążyłam popatrzeć na twarz Michała, który stał nieco na uboczu i z ogromną starannością szczyścił niewidzialny pył z rękawa marynarki. Obiecałam sobie, że mu to popamiętam.

Mieliśmy już wejść do ogrodu, gdy zabrzmiał dzwonek, otworzyły się drzwi sklepiku i ze schodków zbiegł pogwizdując młody człowiek w gimnastycznej koszulce, niemiłosiernie spranych niebieskich dzinsach i podartych tenisówkach.

– Dzień dobry, panie poruczniku – powiedział przystając na nasz widok.

– Dzień dobry – odpowiedział Flint. – Nie zmienił pan przypadkowo zdania?

– Kiedy słowo honoru daję, że powiedziałem prawdę – młody człowiek był wyraźnie zakłopotany i chciał to pokryć źle udanym oburzeniem. – To już pójdę, bo mama dziś pierze, mydło niosę – pokazał kawałek mydła owinięty w strzęp gazety. – Sługa pana porucznika – odwrócił się i poszedł w stronę kamiennego anioła, trochę zbyt głośno gwizdząc.

– Przyjaciel Tom Kleeb? – zapytał Michał.

– Istotnie – odpowiedział porucznik Flint i weszliśmy za ogrodzenie.

Wystarczył jeden rzut oka, abym zrozumiała swoją klęskę. Coś się zmieniło w tej części ogrodu, przez którą przechodziłam z Ry-szardem! Przy ścieżce nie było wysokich krzewów, pośród których

ukrył się człowiek w dzinsach! Wzdłuż ogrodzenia rosły co prawda bzy, ale od ścieżki dzielił je szeroki pas trawy zarosłej zielskiem. Przeszłam tą ścieżką, wyłożoną splekanymi cegłami aż do zakrętu, gdzie kończyły się cegły. Dalej była już tylko ubita ziemia i dopiero przy wyrwie w siatce zauważyłam płytę, o którą potknęłam się. Przy niej rosły tylko krzaki agrestu, tak zaniedbane, że prawie ich nie było widać pośród pokrzywy. Mogłoby się tam skryć najwyżej małe dziecko, mnie krzaki sięgały ledwie do pasa. Michał i porucznik Flint szli za mną w milczeniu; dwaj mężczyźni, kopiący ziemię koło domu, przerwali pracę, oparli się na łopatach i przyglądali mi się z wielkim zainteresowaniem.

– Może to było za ogrodzeniem? – powiedział Michał.

Przeszliśmy przez dziurę w siatce na zasypany gruzem placyk dzielący ogród od pustego budynku z zakratowanymi oknami. W ostatnim z nich z wygiętej kraty zwisał strzęp czarnego materiału; odwróciłam głowę. Na placyku nic nie rosło poza kępami trawy i młodą brzoźką. Zrozumiałam, po co oni mnie tu sprowadzili: chcieli mi udowodnić, że skłamałam, że nie było żadnego człowieka w dzinsach, że nikt nie ukrył się w krzakach, bo nikt przedtem nie wyskoczył oknem. Oniemiałam z oburzenia: oni nadal byli przekonani o winie Ryszarda i fałszowali okoliczności, które mogły zachwiać ich tezę! Nagle pomyślałam, że przecież mogło być całkiem inaczej: ktoś mógł ich wprowadzić w błąd usuwając krzaki.

– Michale! – zawołałam – ktoś wykopał te krzewy! One tu rosły z pewnością! Może ci ludzie?

– Oni przekopują ogród tylko w tym miejscu, gdzie mogła się

zaryć kula – wtrącił się porucznik Flint. – Zresztą, jak pani widzi, nie wykopali żadnego krzewu.

– W takim razie ktoś je usunął wczoraj, ziemia była miękka po ulewie, nic łatwiejszego niż wyciągnąć krzew z ziemi po deszczu!

– Pani próbowała? – zapytał porucznik Flint.

Nie odpowiedziałam mu, odwróciłam się do Michała, który stał ze spuszczonej oczyma, jak by unikał mego wzroku.

– Nie, Mat, to niemożliwe – powiedział po chwili. – Byliśmy tu wczoraj rano i z pewnością zauważylibyśmy wyrwę w ziemi. Tego nie da się tak łatwo zasypać. Zresztą sama widzisz, że z obu stron płyty rośnie agrest i nie ma miejsca na inne krzewy. Nie przejmuj się tym; w nocy, zwłaszcza po silnym wstrząsie psychicznym, takie złudzenia wzrokowe nie są czymś nadzwyczajnym.

Wziął mnie za rękę i poprowadził w stronę domu.

– Musimy wejść tam, ale nie będziemy długo – było coś miękkiego, łagodnego w jego głosie, właśnie ten odcień ciepła, którego brak poprzedniego dnia sprawił, że Michał mówił jak ktoś obcy; ale wyczułam także jakieś odprężenie, jak by Michał ucieszył się, że ma już za sobą coś, co go gnębiło.

Podeszliśmy ku wykrzywionym schodkom werandy i dopiero teraz zauważyłam, jak ubogi, zaniedbany i opuszczony był dom Ryszarda. Z werandy, przez pozbawione szyby okno, zobaczyłam odwróconego skrzydłami do ogrodu, smutnego, nagiego geniusza, który gasił pochodnię. Widocznie i tu mieszkał kiedyś kamieniarz – pomyślałam przystając na chwilę. Porucznik Flint otworzył drzwi do korytarza i przepuścił nas; pewnie byłby wszedł pierwszy, gdyby

Michał nie był jego zwierzchnikiem; ze mną nie liczył się i starał się to wykazać trochę zanadto wyraźnie.

W pokoju było tak samo duszno jak wtedy; Michał otworzył okno i stanął za mną.

– Co pani zrobiła z torebką po wejściu do tego pokoju? – zapytał porucznik Flint.

Przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, stałam rozglądając się wokół; nic się tu nie zmieniło od tego wieczoru, tylko na ziemi koło łóżka nie było rozbitego słoika.

– Zdaje mi się... że położyłam ją na krzesło – powiedziałam.

– Na którym?

W pokoju były tylko dwa krzesła, jedno z nich miało wyplatane oparcie.

– Chyba na tym – powiedziałam niepewnie.– Razem z płaszczem.

– Co pani z niej wyjmowała?

– Nic nie wyjmowałam.

– Pani już nie wróciła do tego pokoju?

– Wróciłam, ale zaraz przeszliśmy tam – pokazałam drzwi prowadzące do pokoju, w którym piliśmy kawę.

– A co z torebką?

– Została tutaj, pan Vassi przyniósł mi ją później do tamtego pokoju. I płaszcz też.

– A wtedy co pani z niej wyjęła?

– Ja jej w ogóle przez cały czas nie otwierałam i nic z niej nie wyjmowałam.

– Papierosów pani także nie wyjmowała?

– Nie, ja tu nie paliłam.

– To jest ta sama torba? – nie czekając na moją odpowiedź porucznik Flint wyciągnął rękę po torbę. – Pani pozwoli? Przed chwilą

pani powiedziała, o ile sobie przypominam, że pani jej nie otwierała?

- Jestem pewna, że jej nie otwierałam, nie miałam... kiedy.
- A przecież ta torba w ogóle się nie zamyka!

Porucznik Flint do pewnego stopnia miał rację, torba nie miała żadnego zamka w ścisłym tego słowa znaczeniu; sądziłam jednak, że nie jest moim obowiązkiem wyjaśniać mu, co normalnie kobieta rozumie przez otwieranie torby i kiedy uważa ją za zamkniętą.

– Czy pani już kiedyś zgubiła jakiś przedmiot z tej torby? – zapytał.

- Nie... to jest parę razy, kiedy była bardzo pełna.
- A wtedy była pełna?
- Miałam w niej to samo co dzisiaj; nie robiłam zakupów po drodze.

- Panie poruczniku – zawołał ktoś z ogrodu – jest już jedna!
- Musiał w nogi celować – powiedział inny głos.

Porucznik Flint oddał mi torbę, powiedział coś do Michała i wybiegł z pokoju.

– Pójdziemy już, Mat – Michał odszedł od okna i wziął mnie za rękę – tylko jeszcze zastanów się: może przypomniawsz sobie coś, czego mi wczoraj nie powiedziałaś. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ważne jest, żebym znał każdy twój krok w tym domu.

– Nie, ja już sobie niczego nie przypomnę i... wyjdźmy stąd, mnie jest tak dziwnie. – Było mi słabo, ale nie chciałam się przyznać do tego.

Wyszliśmy do ogrodu; porucznik Flint stał pochylony nad rozkopaną ziemią, koło niego leżał rozłożony metr.

– Obie są – powiedział prostując się.

Michał podszedł do niego; przeszłam koło policjanta i stanęłam przed furtką. Na próg sklepu wyszła kobieta w niebieskim fartuchu, podniosła głowę ku górze, w stronę okna, w którym przedtem stała staruszka. Teraz okno było zamknięte. Po chwili przyszedł Michał.

– Czy nie poszłabyś ze mną na kawę? – zapytał. – Znowu jesteś taka blada...

– Muszę skądś zadzwonić do biura – powiedziałam. – Miałam pójść na urlop we wrześniu, ale wolę teraz.

– Na Parkowej w dole jest, zdaje mi się, taka mała cukiernia, tam chyba mają telefon.

XIV

Szliśmy w milczeniu aż do rogu Parkowej i Składowej. Tam przypomniał mi się sąsiad z autobusu i opowiedziałam Michałowi moją przygodę.

– O której wyszłaś z domu? – zapytał.

– Około dziewiątej, ale uciekł mi tramwaj i do Muzeum poszłam pieszo.

– Niczego nie zauważyłaś po drodze?

Spojrzałam zdziwiona na Michała. Tylko zawodowa choroba mogła tłumaczyć tego rodzaju pytanie.

– To tu – powiedział zatrzymując się przed wystawą z piętrowym tortem ozdobionym u szczytu lukrową galeryjką, wieżyczką i latarnią.

Cukiernia była długa, ciemna i pusta, przeszliśmy od razu do górnego pokoju oddzielonego balustradą. Michał zamówił kawę z koniakiem. Właścicielka bez słowa postawiła tacę na stoliku i zeszła

na dół. Po koniaku poczułam się znacznie lepiej.

– Myślisz, że człowiek w dzinsach to mój wymysł, prawda? – zapytałam.

– Nie, Mat, wczoraj tak myślałem, ale dziś ci uwierzyłem. Tobie naprawdę wydawało się, że widzisz czyjeś stopy. A wczoraj nie wierzyłem ci, bo nie rozumiałem, dlaczegoś o tym nie powiedziała Ryszardowi, to było dziwne, prawda? Teraz wszystko jest jasne: byłaś bardzo zdenerwowana i uległaś podwójnemu złudzeniu, po prostu pomieszała ci się chronologia wydarzeń: pewnie dopiero po wyjściu na ulicę wydało ci się, że widziałaś tego człowieka i dlatego Ryszardowi nie mogłaś o tym powiedzieć. Znam z praktyki dziesiątki takich wypadków: człowiek wytrącony z równowagi przeżywa ponownie w wyobraźni jakąś scenę i nieświadomie zmienia pewne szczegóły, czasem dodaje na przykład coś, co chciałby wtedy przeżyć czy zobaczyć, a czasem, przeciwnie, zapomina o czymś i potem jest przekonany raczej o prawdziwości tego powtórnego przeżycia; ono jak by kładzie się na tym pierwszym, rzeczywistym.

Michał pewnie uważał moje milczenie za potwierdzenie jego słów, ale ja myślałam o czymś innym: postanowiłam wrócić sama na ulicę Henrietty, kiedy już nie będzie tam stać policjant przy furtce, i zbadać dokładnie, piędź po piędzi, ziemię koło płyty. Nie było wykluczone, że ktoś posadził kilka krzaków agrestu na miejsce wyrwanych krzewów. Skoro jednak Michał nie wierzył w istnienie człowieka w dzinsach, wahałam się, czy powiedzieć mu o swoich domysłach i o niedokładności w zeznaniach Marii C.

– Och, Mat, bardzo cię przepraszam – powiedział nagle Michał

– zupełnie zapomniałem o ciastkach!

– Nie, dziękuję ci, nie mam dziś ochoty na ciastka. Chciałam ci powiedzieć, że to wszystko nie jest takie jasne – miałam na myśli zeznania Marii C. ale Michał źle mnie zrozumiał i zaczął mówić o innej sprawie.

– Tak, masz rację, nic nie jest jasne. W zeznaniach Ryszarda są pewne szczegóły, które wymagają potwierdzenia świadków, no i widzisz, wszystko się gmatwa. Chociażby to, co dotyczy Toma Kleeba. Widziałś go, to ten młody człowiek, z którym rozmawiał porucznik Flint. Czy Ryszard coś ci o nim wspomniał? Nie? Nie wiem, czy zauważyłaś wtedy w nocy, że na stole koło butelki rumu leżało pudełko papierosów.

– Tak, pamiętam, zabrudzona paczka samsonów. Ryszard nie pali, to mogły być jej papierosy.

– Nie, to były papierosy Toma Kleeba. Co do tego zeznanie Ryszarda zgadza się z zeznaniem Toma. Chodzi tylko o to, kto je tam zostawił na stole. Ryszard twierdzi, że w sobotę poprosił Toma, żeby mu naprawił ramę w oknie tego właśnie pokoju, gdzie piłaś kawę. Tom oglądnął okno, obiecał, że przyjdzie w poniedziałek rano z narzędziami i na miejscu to naprawi; w poniedziałek rzeczywiście przyszedł, ale bez narzędzi, które gdzieś zostawił. Znowu obiecał, że wpadnie przed wieczorem. Wtedy właśnie zostawił papierosy i nie przyszedł więcej, w każdym razie nie przyszedł do szóstej. O szóstej Ryszard odszedł na dyżur i uprzedził żonę, że może przyjść Tom. Otóż Tom temu wszystkiemu zaprzecza: nigdy nie był u Ryszarda w domu, nigdy Ryszard nie prosił go o naprawienie ramy, papierosy

kupił w poniedziałek rano, wypalił kilka sztuk, potem gdzieś zgubił napoczętą paczkę. Przesłuchaliśmy oczywiście sąsiadów; nikt z nich nie widział Toma wchodzącego do domu Ryszarda. Pewnie, że to o niczym nie świadczy, tylko że oni wszyscy, mówiąc o tym chłopaku, mieli takie jakieś dziwne miny. To jeszcze nie wszystko. Mówiłem ci, że Ryszard podjął w sobotę dość znaczną sumę, którą mu przysłała siostra ze Stanów, i że tych pieniędzy nie ma. Wczoraj rano, kiedy przyjechałem z Flintem na ulicę Henrietty, zebrało się przed domem trochę ludzi, nadszedł też listonosz. Gdy dowiedział się, co tam robimy, poprosił mnie o chwilkę rozmowy.

– Tak, pamiętam, powiedział ci, że wstąpił naprzód do Kleebów i zapytał, czy ktoś mieszka pod piątką.

– To było zeszłego tygodnia. On już wtedy był bardzo niespokojny, sądził, że niepotrzebnie pokazał tam czek. A dziś rano przyszedł do Komendy i znowu poprosił o chwilę rozmowy. Nic konkretnego nie powiedział, same domysły, w każdym razie on uważa Toma Kleeba za chłopaka zdolnego do wszystkiego. Ale jego jedyny argument jest mało przekonujący: „Źle mu z oczu patrzy”. Wszystko byłoby proste, gdyby Tom wtedy ukradł pieniądze. Tego typu chłopcy nigdy nie przyznają się od razu, kręcą, podają fantastyczne szczegóły, rozumiałbym więc, dlaczego twierdzi, że nigdy nie był u Ryszarda w domu. Ale, widzisz, to jest niemożliwe: Ryszard jest zupełnie pewny, że ani przez chwilę Tom nie był sam w pokoju; zresztą szuflada była zamknięta, a klucz on miał przy sobie. Podczas rewizji otworzyliśmy tym kluczem szufladę, zamek był w porządku, ale pieniądze zniknęły. Był jeszcze drugi klucz, Ryszard jednak nie pamiętał, co z nim zrobił.

– Zawsze sądziłam, że w takich sprawach najważniejsze są odciski palców – przerwałam niecierpliwie Michałowi.

– Tak, o ile włamywacz nie nosił rękawiczek. Zresztą nie mam jeszcze w tej chwili wyników, będą wieczorem, może one coś wyjaśnią. Czy jesteś pewna, że niczego w tym pokoju nie dotykałaś poza szklanką?

– Może krzesło, nie pamiętam. Ale chyba nic więcej. Drzwi otwierał Ryszard.

– Mat, to strasznie ważne, przypomnij sobie. Może Ryszard prosił cię, żebyś coś wyjęła z tej komody? Nie pamiętasz?

Tego już było za wiele. Zapomniałam, że na dole przy kontuarze siedzi właścicielka i głośno krzyknęłam:

– Michale, tyś chyba oszalał! Wczoraj podejrzewałeś mnie o napad na profesora, a dziś o kradzież!

– Cicho, Mat – Michał chwycił mnie za rękę – wyrzucą nas stąd. Wiesz dobrze, że o nic ciebie nie podejrzewam. Wczoraj oboje byliśmy zmęczeni i trochę... przewrażliwieni, stąd te nieporozumienia.

– Tak, oczywiście, ty mnie o nic nie podejrzewasz, to wszystko są pomysły porucznika Flinta. Tylko, że ty mu wierzysz! Inaczej nie pozwoliłbyś mu tak mnie męczyć tymi idiotycznymi pytaniami. On sobie stworzył jakąś niesamowitą hipotezę, ale ty jesteś jego przełożonym, gdybyś więc nie wierzył w nią, mógłbyś mu polecić, żeby zajął się czymś innym i zostawił ludzi w spokoju.

– Nie złość się, Mat – roześmiał się Michał – i zrozum, że to nie jest takie proste. Porucznik Flint ma oczywiście własny pogląd na tę sprawę i nie wolno mi przeszkadzać mu w szukaniu dowodów

na poparcie tego poglądu, tym bardziej że ja nie mogę przeciwstawić jakiejś innej, bardziej dorzeczej hipotezy. To znaczy: dotychczas nie mogłem, bo dziś wiele się zmieniło. Mam już pewien załączek hipotezy.

– Myślisz o zeznaniach tej kobiety, która była w teatrze? One są bardzo niedokładne – i choć Michał nie zdawał się przykładać zbyt wielkiej wagi do moich domysłów, opowiedziałam mu, dlaczego ona musiała się pomylić. Trochę mnie zmroził jego brak entuzjazmu dla mojej spostrzegawczości, straciłam już nawet ochotę, by powiedzieć mu o moim najważniejszym odkryciu: że Ryszard wiedział, kim był człowiek z wiklinowym koszem, ale moja nienawiść do porucznika Flinta przewyciężyła wszystko.

– Wspomniałeś wczoraj – powiedziałam – że po tym wypadku kolejowym zgłosiło się do porucznika Flinta kilka osób, które złożyły dość fantastyczne, to znaczy, według zdania porucznika Flinta fantastyczne, zeznania. Byli świadkowie, którzy widzieli człowieka z wiklinowym koszem, choć jechali późniejszym albo wcześniejszym pociągiem, nie tym co Ryszard, tak?

– Tak – potwierdził Michał – o co ci chodzi?

– Poczekaj – zapaliłam papierosa, wypiłam do końca koniak i było mi coraz przyjemniej – to jeszcze nie wszystko. Był też jakiś młody człowiek, który od razu po wypadku powiedział pewną dziwną rzecz i porucznik Flint uznał go za niekompetentnego świadka.

– Chwileczkę, Mat – Michał patrzył na mnie wyraźnie zdziwiony – chyba źle pamiętasz, co ci wczoraj opowiedziałem. Przecież na miejscu wypadku nie było w ogóle porucznika Flinta. Obecnych przesłuchiwała policja kolejowa, a dopiero później, po zeznaniu

Ryszarda, sprawę tę przejął porucznik Flint.

– Tak, oczywiście, ale mnie w tej chwili nie o to chodzi. W każdym razie porucznik Flint znał zeznanie tego człowieka, który twierdził, że Ryszard sam otworzył drzwi i wyskoczył z pociągu... I oczywiście nie wierzył mu, bo wy nigdy świadkom nie wierzycie, tak samo jak nie uwierzył, że człowiek z koszem był i w poprzednich pociągach.

– Nie zdajesz sobie sprawy, czym jest psychoza i do czego zdolna jest wyobraźnia ludzka...

– W każdym razie wiem, do czego nie jest zdolna wyobraźnia twojego podwładnego. Człowiek z wiklinowym koszem byłby już dawno ujęty i nie zabiłby profesora Woytisa, gdyby porucznik Flint miał dość wyobraźni i gdyby zrozumiał, że najistotniejsze było właśnie to, co powiedział ten niekompetentny świadek: Ryszard sam wyskoczył z pociągu!

Nie spodziewałam się, że moje słowa zrobią aż tak wielkie wrażenie na Michale. Zbladł i cicho powiedział:

– Mat, więc ty wiedziałaś?

– Nic nie wiedziałam, sama wszystko wywnioskowałam! – powiedziałam triumfująco i nie czekając na jego pytania, wytłumaczyłam mu, w jaki sposób odkryłam, że Ryszard znał człowieka z wiklinowym koszem i że uciekając przed nim wyskoczył z pociągu. – Ten człowiek nie wiedział oczywiście, którym pociągiem wróci Ryszard do miasta, dlatego spotkano go także we wcześniejszym. On po prostu nie wysiadał z pociągu, bo na tej linii pewnie jeździ tylko jeden skład.

– Nie, Mat, chyba się mylisz, to nie mogło być tak, jak sobie

wyobraziłaś – Michał był wciąż jeszcze blady i mówił drżącym głosem. – Po pierwsze: co by ten człowiek robił w późniejszym pociągu?

– Ależ to ogromnie proste: on nie mógł wtedy wysiąść, bał się, żeby go nie zauważono, i dlatego wołał wrócić do Sams.

– Przypuścimy, choć to jest zupełnie nieprawdopodobne, właśnie w pustym pociągu z miasta do Sams od razu by go zauważono. Ale w tej chwili tę okoliczność możemy pominąć; są inne, ważniejsze, luki w twoim rozumowaniu. Przede wszystkim zeznanie konduktora, który był pewny, że zna Ryszarda z widzenia, bo często go spotykał na tej linii. Jak pogodzić je z oświadczeniem Ryszarda, że pierwszy raz w życiu był w Sams?

– Konduktor mógł się mylić, może spotykał kogoś podobnego.

– Oczywiście, to nie jest nieprawdopodobne. Ale teraz sama widzisz, jak trudno zdecydować, kto jest kompetentnym świadkiem.

– Możliwe, że trudno. Trzeba mieć odrobinę inteligencji.

– Wróćmy do tej chwili, gdy Ryszard wszedł na platformę trzeciego wagonu i zauważył człowieka z wiklinowym koszem. Wyskoczył natychmiast z pociągu, bo zrozumiał, co mu grozi, tak? Ale przecież wiedział, że człowiek wyskakujący z pociągu w pełnym biegu rzadko uchodzi z życiem; nie mógł przypuszczać, że straci tylko rękę, prawda? Czyli że uciekając przed ciosem wroga wybrał pewną śmierć. Coś tu nie gra.

– Oczywiście, twój brak wyobraźni tu nie gra! Kto w chwili ogromnego przerażenia zastanawia się nad procentem śmiertelności

w wypadkach kolejowych? To był ułamek sekundy, zobaczył twarz tego człowieka, kosz – i wyskoczył.

– Zapominasz o najważniejszym fakcie: to się stało 18 sierpnia w niedzielę, a dopiero w poniedziałek rano gazety podały wiadomość o drugiej zbrodni człowieka z wiklinowym koszem. Tak więc wtedy w pociągu Ryszard znał tylko wypadek z bombą, którą, nie zapominaj o tym, podrzucił Basil i jego rysopis podały gazety. Skąd by Ryszard w takim razie mógł wiedzieć, że za Basilem ukrywa się ktoś inny, kto chce go zabić i kto stworzył w tym celu legendę o szaleńcu z koszem? Widzisz, że to wszystko jest nieprawdopodobne.

Nie chciałam dłużej sprzeczać się z Michałem, choć nie przekonałam mnie w najmniejszym stopniu: przecież Ryszard mógł obawiać się swego wroga na długo przed podrzuceniem bomby, ale dopiero w pociągu, kiedy zobaczył wiklinowy kosz w ręku tego człowieka, zrozumiał wszystko i wyskoczył.

– W każdym razie jedno jest pewne – powiedziałam – gdyby Ryszard wiedział o napadzie na profesora Woytisa, zrozumiałby, kim był człowiek w dzinsach, który wyskoczył przez okno, i powiedziałby to wam.

– Znowu się mylisz, Mat – odpowiedział Michał – Ryszard wiedział o zabójstwie profesora, w chwili gdy przyszedł do gmachu Komendy. Nie zapominaj, że było po szóstej, w kioskach już wyłożono gazety z wiadomością o napadzie.

– W takim razie on wie i milczy. Tak samo jak milczał w szpitalu. Bo to jest ktoś, kogo nikt by nie podejrzewał, albo... albo ktoś, kogo on nie może wydać. Tak! – wykrzyknęłam – to jest ten sam człowiek, o którym mówiła ta kobieta w różowym szlafroku. Jego

krewny! Gdybyś przyszedł o minutę wcześniej, byłbyś sam usłyszał, co ona mówiła. Nie zwróciłam wtedy na to uwagi, ale teraz już rozumiem. Ktoś nocował u Ryszarda, a ta kobieta sądziła, że to kochanek Irmy, i oczywiście powiedziała o tym Ryszardowi, a on wcale się nie zdziwił i zapewnił ją, że to był jakiś krewny z prowincji. Ona oczywiście w to nie uwierzyła, ale jestem pewna, że Ryszard mówił prawdę. I ten sam człowiek przyszedł w poniedziałek; Teresa go wpuściła, bo już go znała z poprzedniej wizyty.

– Byłem na Henrietty wcześniej, niż się zdaje, i słyszałem, co mówiła ta kobieta. Ale mnie uderzyło coś innego w jej słowach – powiedział Michał zmęczonym głosem, który mi przypomniał naszą wczorajszą rozmowę. – Oczywiście, nie jest wykluczone, że źle ją zrozumiałem, i nie warto w tej chwili o tym mówić. Ale byłbym zapomniał: znalazłem to zdjęcie między drobiazgami Ryszarda. Na razie zwracam ci je, ale na Boga, nie zgub, bo ono właściwie powinno być zostać w depozycie, może być potrzebne podczas procesu – Michał wyjął portfel i ku mojemu nieopisanemu zdumieniu położył przede mną zdjęcie ciotki z kotem na kolanach.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób Ryszard zdobył to zdjęcie. Zrobiła je kiedyś Małgorzata przy lampie błyskowej i dlatego ciotka miała przymrużone oczy, a kot się przestraszył, pewnie chciał zeskoczyć z kolan, bo wyglądał jak biały czajnik z wyprostowanym uchem. Nie pamiętałam dokładnie, z jakiego okresu pochodziła ta fotografia, Małgorzata nieraz zachodziła do nas z aparatem, ale jednego byłam pewna: od dawna już się wtedy nie spotykałam

z Ryszardem. Właśnie z powodu kota byłam przekonana, że nie mogłam dać tego zdjęcia Ryszardowi. Kiosk z gazetami postawiono mniej więcej w rok po jego odejściu z uniwersytetu i w jakiś czas potem ciotka powiedziała mi, że do kamienicy przychodzi wieczorami nowy kot. Co prawda, dawniej też ciotka miała takiego przychodnego kota, tamten jednak był czarny i nie wchodził do pokoju. Odwróciłam zdjęcie: fioletowa pieczętka „Foto Miami”, odbita ukosnie, powtarzała się kilka razy. Ryszard musiał więc być kiedyś u Małgorzaty w atelier i zamówił tę odbitkę, a ona nic mi o tym nie wspomniała!

– Dziwisz się, że nosił je przy sobie? – zapytał Michał.

– Nie, dlaczego? – schowałam szybko zdjęcie do torebki, bo nie chciałam rozmawiać z nim na ten temat. – Zaczęłam więc mówić o tym, czym się skrycie martwiłam: że Beniamin Polly chętnie zgodzi się na mój urlop, a podczas mojej nieobecności przyśle mi zawiadomienie o zwolnieniu z pracy.

– Wiesz co, Mat? – uśmiechnął się Michał – ja sam do niego zadzwonię. Zdaje mi się, że wczoraj zrobiłem na nim ogromnie korzystne wrażenie. Nawet zwierzył mi się ze swoich bardzo intymnych spraw. Zobaczysz, że wszystko będzie w porządku.

Wtedy rozplakałam się. Położyłam głowę na tafli stolika i płakałam, a Michał uspokajał mnie, gładził po włosach, przeproszał, że mnie zamęcza, ale nie rozumiał, że to nie o to chodziło. Przed dwoma laty prosił mnie, żebym rzuciła pracę u Beniamina Polly, a teraz obiecywał, że zrobi wszystko, by mnie stamtąd nie wydalono!

XV

W drodze do biblioteki zauważyłam bardzo dziwną rzecz: co najmniej pół miasta nosiło dżinsy. Po kwadransie obserwacji w najbardziej ruchliwym punkcie śródmieścia stwierdziłam inny fakt: dżinsową granicą wieku u mężczyzn było dwadzieścia pięć lat, a u kobiet najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata, potem dość długa przerwa: mniej więcej do trzydziestu pięciu lat. Michał oczywiście zarzuciłby mi, że nie można robić obliczeń statystycznych na oko, zresztą nie miałam zamiaru mówić z nim o tym, póki go nie przekonam, że ten człowiek naprawdę był wtedy w ogrodzie. Potem zajęłam się analizą kolorów: co najmniej 80% granatowych dżinsów, reszta ciemnozielone, czarne i ani jednej pary popielatych. A ja cały czas wyobrażałam sobie, że on nosił popielate dżinsy i popielate półbuty! W świetle latarki mogłam oczywiście każdy kolor wziąć za szary, ale byłam głęboko przekonana, że nie omyliłam się, i pamiętałam nawet odcień; zdawało mi się, że potrafiłabym go odróżnić wśród wszystkich możliwych tonów popielatych materiałów. Postanowiłam przeprowadzić wieczorem małe doświadczenie, chciałam w świetle latarki i przy szczelnie zasuniętych roletach oglądnąć wszystkie rzeczy, jakie wisiły w szafie. Miałam trzy popielate spódniczki o różnych odcieniach, popielaty żakiet i ciemnoszary płaszcz, coś to musiało dać. Przez chwilę nawet wahałam się, czy nie pojechać od razu do domu i zrobić to doświadczenie w łazience, ale nie wiedziałam, gdzie Małgorzata trzyma swoją latarkę.

Zanim poszłam do czytelnicy, zjadłam obiad w barze koło biblioteki. Niedaleko mnie usiadła dziewczyna w czarnych spodniach tak

wąskich, że moje spodnie, których zresztą nigdy nie nosiłam w mieście, wyglądałyby przy nich jak Guliwer przy liliputach. Nosiła też bardzo ładny sweter z golfem i bez rękawów; wszystko to przypomniało mi, że właściwie nie mam co włożyć na siebie. Przy kawie wyjęłam zdjęcie ciotki i inne, które też robiła Małgorzata; wszystkie miały na odwrocie ten sam napis: „Foto Miami”. Nie wiedziałam, że Małgorzata robi odbitki swoich prywatnych zdjęć na firmowym papierze. Wobec tego Ryszard wcale nie musiał zamawiać zdjęcia ciotki w zakładzie, Małgorzata mogła mu dać jedną z odbitek, które zrobiła dla nas, co zresztą w niczym nie zmieniało zasadniczego faktu: ona gdzieś spotkała się z nim, może nawet rozmawiała o mnie, i nic, ani słówka, o tym nie wspomniała! Było to tak nieprawdopodobne, tak niepodobne do niej, że mniej by mnie zdziwiło, gdyby się okazało, że porucznik Flint jest twórcą teorii względności.

U wejścia do czytelnicy znowu spotkałam dziewczynę w czarnych spodniach; musiałam przyznać w duchu, że jest wyjątkowo zgrabna. Za to nic nie wskazywało, by kiedykolwiek korzystała z czytelnicy: poprosiła o komplet „Tygodnia w ilustracjach” z 1903 roku i ogromnie się zdziwiła, gdy bibliotekarka powiedziała, że czasopisma z tego okresu trzeba zamawiać parę godzin wcześniej albo czekać, aż wóznicy przyniesie je z archiwum. Odpowiedziała, że poczeka, i najspokojniej w świecie wyjęła z kieszeni spodni paczkę papierosów. Gest bibliotekarki, gdy milcząc wskazała na tabliczkę z napisem „Palenie surowo wzbronione”, był chyba najpatetyczniejszy, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Nie wiem, który numer miejsca

dostała, zresztą w ogóle nie spojrzała na, kartonik, usiadła na pierwszym wolnym krześle, a po chwili siedziała już koło mnie i zaglądała przez moje ramię, aby zobaczyć, co czytam. W końcu przyniesiono jej „Tydzień w ilustracjach”, otworzyła tom z westchnieniem, a gdy z kolei ja zerknęłam, czego ona w nim szuka, okazało się, że czyta wyłącznie ogłoszenia!

Przeczytałam prawie wszystko, co napisano przed dwoma laty o człowieku z wiklinowym koszem, i zdawało mi się, że już niczego więcej się nie dowiem, kiedy w grudniowym numerze „Magazynu dla wszystkich” zauważyłam dziwny tytuł: „Nasz reporter na śladach Grzegorza”. Domyśliłam się, że chodziło o tego tajemniczego Grzegorza, który, według zeznań Cypriana Basila, miał być sprawcą bombowego zamachu i prawdopodobnie także mordercą kobiety z Dworca Głównego. Artykuł był sprawozdaniem z procesu Alaina Toussainta, przywódcy szajki złodziei, od wielu miesięcy okradającej wagony kolejowe. Toussaint wpadł przypadkowo: 23 lipca pokłócił się z właścicielem szopy, w której trzymał swego konia i wóz. Kłótnia ta zakończyła się bójką, po której Toussaint zabrał swego konia z wozem i oświadczył, że szopa nadaje się na chlew. W nocy z 25 na 26 lipca w szopie wybuchł pożar, właściciel oskarżył Toussainta o podpalenie i znalazł wśród swoich lokatorów świadków, którzy zeznali, że widzieli tej nocy jakiegoś mężczyznę koło szopy. Było już ciemno, nie zauważyli, co on robi, ale byli pewni, że to Toussaint przeprosił się i wrócił. Toussaint nie przyznał się do podpalenia, za to policja badając jego alibi wpadła na ślad szajki. Toussainta aresztowano 10 sierpnia, śledztwo przeciągnęło się jednak do

połowy grudnia, bo odkrywano coraz to nowe przestępstwa tej doskonale zorganizowanej szajki. Na podstawie tych faktów autor artykułu skonstruował ciekawą hipotezę: Alain Toussaint był Grzegorzem. Bombę zegarową chciał podrzucić, tak jak powiedział Basil, na dworcu towarowym dla wywołania zamieszania; prawdopodobnie planował tego dnia jakąś większą akcję w innej części dworca. Gdyby wysłany przez niego Basil nie skrócił sobie drogi i nie zostawił kosza przy kasie bagażowej, bomba wybuchłaby w jego rękach. Ale Toussaint liczył się z możliwością, że wybuch nie zlikwiduje niebezpiecznego świadka, który może znaleźć drogę do szopy, musiał więc mieć jakiś pretekst, by wyrzucić się stamtąd. W tym celu sprowokował kłótnię z właścicielem szopy i zabrał konia z wozem parę godzin przed zamachem. Prawdopodobnie Toussaint ładując wtedy swoje rzeczy na wóz, umieścił wśród nich również Basila z koszem. Ukryć go nie było trudno, świadkowie zeznali przecież, że Toussaint zabrał jakieś skrzynie i worki. Basil przez cały czas nie opuszczał szopy, Toussaint zamykał ją na kłódkę, gdy wychodził, i prawdopodobnie nikt z lokatorów nie wiedział o istnieniu obłąkanego starca.

Z przedmieścia św. Krzysztofa Toussaint nie pojechał wprost na dworzec: kłótnia i bójka miały miejsce koło piątej po południu, Basil przyszedł do kasy przed ósmą, trzy godziny trwało więc kluczenie po mieście, prawdopodobnie, aby uniemożliwić Basilowi zapamiętanie drogi; możliwe też, że bombę skonstruowano w innym miejscu, może nawet za miastem, i Toussaint pojechał po nią dopiero w dniu zamachu. Gdy Basil zszedł z wozu, Toussaint natychmiast odjechał. Konia zostawił później u swego szwagra, który podczas

przesłuchania oświadczył, że nie pamięta, o której godzinie nadjechał wóz. Basil nie od razu znalazł drogę do szopy, być może trafił do niej przypadkowo, a gdy przekonał się, że Grzegorz go oszukał, podłożył ogień, tak jak zresztą powiedział doktorowi Kobowi i porucznikowi Flintowi. Najciekawszy był końcowy wniosek: podrzucenie bomby nie miało nic wspólnego z podrzuceniem zwłok kobiety na Dworcu Głównym. O ile nawet kosz przywiózł czy przyniósł Cyprian Basil, to w każdym razie mordercą nie był Toussaint, który wtedy już od tygodnia przebywał w areszcie śledczym; mógł nim być albo sam Basii, albo ktoś, kto się nim posłużył wiedząc, że już raz udało mu się podrzucić kosz na Dworcu Wschodnim.

Trochę mnie zdziwił ton tego artykułu; podczas gdy większość dziennikarzy piszących o człowieku z wiklinowym koszem zarzucała policji nieudolność i opieszałość, nie szczędząc przy tym złośliwych uwag, reporter „Magazynu dla wszystkich” nikogo nie krytykował, przedstawiał tylko fakty i interpretował je.

Rozprawę sądową przeciwko Toussaintowi odroczone wtedy do stycznia, myślałam więc, że w styczniowych numerach „Magazynu dla wszystkich” znajdę dalsze artykuły na ten temat, i już miałam sobie przynieść następny rocznik, kiedy podszedł woźny, nachylił się nade mną i szepnął: „Zamykamy”. Mijała dziewiąta, sala była pusta, a moja sąsiadka drzemała nad „Tygodniem w ilustracjach”. Gdy odsuwałam krzesło, zerwała się, trochę nieprzytomna, i wyszła razem ze mną. Na ulicy prawie równocześnie zapaliłyśmy papierosy; miałam wrażenie, że ona chce mi coś powiedzieć, przystanąłam więc, patrząc na nią wyczekująco.

„Cholernie pochłodziło” – powiedziała po chwili, ziewnęła, otrząsnęła się i pobiegła w stronę baru, gdzie wpierv obie jadłyśmy obiad.

XVI

Czekałam wtedy dość długo na autobus, zdążyłam nawet kupić wieczorną gazetę, a on nie nadjeżdżał. Możliwe zresztą, że nadjechał, a ja zapomniałam wsiąść, tak bardzo byłam pochłonięta przypuszczeniem reportera „Magazynu dla wszystkich”. Żałowałam, że nie znam jego nazwiska – swój artykuł podpisał tylko inicjałami S.S. – ogromnie chciałam poznać go i porozmawiać z nim o sprawie Ryszarda. Byłam pewna, że podzieliliby moje przekonanie o identyczności człowieka z dwiema walizkami z mordercą tamtej kobiety i zgodziłby się ze mną co do motywów obu zbrodni. Nie miałam już wątpliwości, że nieznajoma kobieta zginęła, tak samo jak profesor Woytis, tylko dlatego, że wiedziała, kim był człowiek, który chciał zgładzić Ryszarda. Była to prawdopodobnie jakaś koleżanka Armii – porucznik Flint mógł się wyjątkowo nie omylić określając jej zawód – a tego człowieka spotkała u Ryszarda w domu, może wtedy gdy nocował u niego. Wszystko się zgadzało, jeden fakt wynikał logicznie z drugiego, wciąż tylko nie wiedziałam, kim był wróg Ryszarda i w jaki sposób Ryszard dowiedział się, że to Basil podrzucił bombę. Nie z prasy, rzecz jasna, nikt jeszcze wtedy nie wiedział nawet o jego istnieniu, Toussaint też z pewnością nie zwierzył mu się, kim się posłużył przy podrzuceniu bomby. Znał co prawda rysopis Basila, podały go wszystkie gazety, ale jeżeli na podstawie tak

ogólnego opisu potrafił domyślić się, o kogo chodziło, znaczyło to niewątpliwie, że był znajomym Basila, może sąsiadem. Koło zamykało się: Ryszard znał Basila, bo ten pochodził z Toy koło Almond, a Basil znał wroga Ryszarda, który wobec tego też mieszkał w tamtych stronach, czyli że był sąsiadem rodziców Ryszarda albo jego krewnym, tak jak już poprzednio przypuszczałam. Raczej krewnym, i to bardzo bliskim, skoro Ryszard nie chciał zdradzić jego nazwiska. Postanowiłam, że nazajutrz, po powrocie z Almond, pójdę do redakcji „Magazynu dla wszystkich” i po prostu zapytam, kim jest reporter podpisujący się inicjałami S.S. Mogli mi oczywiście odmówić odpowiedzi, ale znałam wyjście: prywatny detektyw. Gdyby zaś jego poszukiwania miały trwać zbyt długo, znałam jeszcze lepszy sposób: przekupić woźnego! Każdy sposób był dobry, by dotrzeć do tego dziennikarza, on jeden mógł uratować Ryszarda, na nikogo więcej nie mogłam liczyć. Poza tym, że nie był, tak jak Michał, uprzedzony do Ryszarda, miał jeszcze tę zaletę, której tak brakło nie tylko porucznikowi Flintowi, ale nawet Michałowi: wyobraźnię zdolną zobaczyć najbardziej na pozór nie powiązane ze sobą fakty w ich wzajemnym związku. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się odczuć tak wielką sympatię dla kogoś, o kim nie wiedziałam nic, poza tym, że napisał bardzo rozsądny artykuł. Wolałam jednak nie myśleć o nim jako o smukłym, wysportowanym blondynie, patrzącym na mnie szarymi, mądrymi oczyma, których chłodne spojrzenie stawało się coraz cieplejsze, w miarę jak przedstawiałam mu cel swojej wizyty – bo mogłam się rozczarować.

„– Panie redaktorze, chciałam zadać panu kilka pytań, to nie potrwa zbyt długo, wiem, że pana czas jest cenny. Nie zabierałabym go

panu, gdybym nie sądziła, że pan jest jedynym człowiekiem w mieście, który może rozwikłać sprawą człowieka z dwiema walizkami. Nie wątpię, że pan ją łączy ze sprawą człowieka z wiklinowym koszem, dlatego od razu zadam panu zasadnicze pytanie: Czy Irmę Slend miał spotkać los Teresy? Zdumienie w szarych oczach, dłonie wpijają się w poręczce fotela. S.S. zrywa się, chodzi nerwowym krokiem po dywan, którym jest wyścielony jego gabinet. Przystaje koło mego fotela.

– Skąd pani o tym wie?!!!

– O, to bardzo proste, już w dzieciństwie miałam skłonność do logicznego myślenia. I wyobraźnia – to wszystko. O ile to pana interesuje, przedstawię panu tok mojego myślenia: Człowiek z dwiema walizkami, nazwijmy go dla uproszczenia X, swoją zbrodnię zaplanował przed dwoma laty, miał wtedy zrobić dokładnie to samo, co teraz: skompromitować Ryszarda wyzyskując jego zazdrość, to znaczy, miał zabić Irmę, o co oczywiście podejrzewano by nie jego, lecz Ryszarda, bo sąsiedzi słyszeli nieraz ich kłótnie. Była jednak pewna osoba, która mogła go wydać – koleżanka Irmy. Przyszła przypadkowo na Henrietty właśnie wtedy, gdy X pierwszy raz zjawił się u Ryszarda nie budząc zresztą żadnych podejrzeń, bo był jego krewnym. Tym się tłumaczy, że tej nocy nie spełnił swojego zamiaru. Teraz jednak sytuacja zmieniła się na jego niekorzyść: był świadek. Przy pomocy Basila załatwił się z tym świadkiem – pan mnie rozumie: myślę o kobiecie, której zwłoki znaleziono na Dworcu – i w nocy z 17 na 18 sierpnia zjawił się ponownie przy ulicy Henrietty: Spóźnił się: zaraz po wyjściu Ryszarda na dyżur Irma uciekła z domu.

Ale X nie rezygnuje ze swojego planu; prawdopodobnie pyta sąsiadów o Irinę, mówią mu o kłótni, o jej planach wyjazdu do Sams, wtedy X postanawia zabić Ryszarda w pociągu, resztę pan zna. Jedno tylko wciąż jest dla mnie niejasne: dlaczego właśnie 17 sierpnia, dlaczego powtarza się ta właśnie data?”

Nie dokończyłam rozmowy z redaktorem S.S., bo nadjechał autobus; wsiadłam z dziwnym uczuciem: jak bym miała nieczyste sumienie, a właściwie po prostu jak bym zdradziła Michała.

W autobusie powoli wróciłam do rzeczywistości i rozłożyłam gazetę. Na pierwszym miejscu podano wiadomość o pogrzebie profesora Woytisa. Miał się odbyć nazajutrz, w czwartek, o godzinie czwartej po południu, a w piątek rano córka profesora, doktor Maria Woytis, miała odlecieć do Oslo i zapoznać uczestników zjazdu z pracą ojca.

Pod tą wiadomością czerwieniły się dwa tytuły wydrukowane ogromnymi czcionkami: WIEDZA W MROKACH KAS PANCERNYCH i GORYL NA ULICACH NASZEGO MIASTA. Pierwszy z nich odnosił się widocznie do krótkiej notatki zatytułowanej: „Napad na profesora Woytisa był od dawna planowany!”; autor jej przypuszczał, że profesor musiał się czegoś obawiać, bo okazało się, że rękopis jego pracy od dwóch miesięcy znajduje się w safesie Banku Miejskiego. Pomyślałam sobie, że S.S. nigdy by nie zaryzykował takiego niesprawdzalnego przypuszczenia. Mnie wiadomość o umieszczeniu rękopisu w banku bynajmniej nie zdziwiła, każdy zresztą, kto znał profesora albo chociaż słyszał o nim, wiedział o jego chorobliwej podejrzliwości i nieufności. Jedno z dziwactw profesora polegało na tym, że wszystkie swoje prace przepisywał

ręcznie, nie ufając maszynie do pisania i kalkom, a notatki po przepisaniu natychmiast palił. Ale ta wiadomość naprowadziła mnie na inną myśl; skąd profesor Woytis mógł znać wroga Ryszarda, skoro był nim ktoś z prowincji, mieszkaniec Almond albo Toy? Wiedziałam, że bez pomocy S.S. nie znajdą odpowiedzi na to pytanie, i zaczęłam szukać artykułu o gorylu, który przechadzał się ulicami naszego miasta. Na próżno! Przejrzałam całą gazetę, spojrzałam na notatkę o Ryszardzie, nie było w niej nic ciekawego, a o mnie nadal ani słowa, wróciłam do pierwszej strony – nie było goryla. Wszystko się wyjaśniło, kiedy u dołu czwartej strony, w rubryce „Z ostatniej chwili” znalazłam taką wiadomość: „Sensacyjne oświadczenie Instytutu Patologii: «Krew na ubraniu i bieliźnie profesora Woytisa nie należy do żadnej ze znanych grup! Kręgowiec, ssak ciepłokrwisty i żyworodny – tak, ale człowiek stanowczo nie» – powiedział naszemu wysłannikowi rzecznik Instytutu Patologii. W tym miejscu przypominamy, że szympansica Zoe, ulubienica wszystkich zwiedzających nasze ZOO, która rzekomo cierpiała na zaburzenia hormonalne i przebywała w lecznicy zwierząt, nie powróciła do swojej klatki, a kierownictwo ZOO od pewnego czasu przestało informować społeczeństwo o przebiegu leczenia”.

W pierwszej chwili wydało mi się, że są to dwie różne notatki, omyłkowo wydrukowane w jednym ciągu, ale po pewnym czasie zrozumiałam sens tej aluzji; szympansica Zoe, która w tytule na pierwszej stronie przeobraziła się w goryla, napadła na profesora Woytisa. Wciąż jednak nie wiedziałam, co naprawdę znaczy „krew nie należąca do żadnej ze znanych grup”.

XVII

Nie zdążyłam nawet przekręcić klucza, Małgorzata natychmiast otworzyła drzwi, promieniejąca, wniebowzięta, w nowych pantoflach, które wkładała tylko wtedy, gdy wiedziała, że będzie je mogła zdjąć i ukryć stopy.

– Joel zrobił dziś dwa cudowne zdjęcia – powiedziała całując mnie w oba policzki – nie mogłam już doczekać się ciebie, Joel też czekał, ale poszedł, bo jutro rano ma egzamin, jest jeszcze kawałek tortu. Michał pytał go o zdjęcie Ryszarda, tło jest takie oryginalne, że Joel nie pamiętał, gdzie je mógł zrobić, ale zobaczy film, to może pozna po innych zdjęciach.

– O której był Michał? – trochę mi nie wyszedł obojętny ton, chociaż właściwie spodziewałam się, że Michał przyjdzie wieczorem.

– On jeszcze czeka na ciebie, jest u mnie, zachwycał się zdjęciem Joela, piliśmy wino, mówił, że pewnie jesteś w czytelniku...

Michał za wcześnie wyszedł z pokoju Małgorzaty, nie zdążyłam przybrać chłodnie zdziwionego wyrazu twarzy.

– Wszystko w porządku, Mat – powiedział uśmiechając się nie mniej promiennie niż Małgorzata. – Beniamin Polly zapewnił mnie, że nigdy i za nic w świecie nie rozstanie się ze swoją perłą: „Nigdy nie choruje, nie zwalnia się, przez tyle lat miała tylko jeden pogrzeb”. Nie wyglądasz na olśnioną, Mat; co się stało?

– Wejdz na chwilę do mnie, jest jeszcze tort, nie chcesz, to przyniosę wam razem z kawą – Małgorzata powiedziała te słowa wbiegając do kuchni, a my przeszliśmy do mego pokoju.

– Bardzo ci jestem zobowiązana – powiedziałam nie patrząc na Michała – i mam jeszcze jedną wielką prośbę, choć nie wiem, czy nie nadużywam twojej uprzejmości...

- Bój się Boga, Mat, cóż to za styl! Mówisz, jak bym cię czymś uraził.
- Zdaje ci się, jestem po prostu trochę zmęczona.
- Nie będę ci przeszkadzał i zaraz pójdę, chciałem ci tylko powiedzieć...
- W niczym mi nie przeszkadzasz, ale jeżeli ci się śpieszy, to oczywiście nie ma sensu, byś tracił czas przeze mnie... O jedno cię tylko poproszę: ogromnie zależy mi na pewnym dziennikarzu, może mógłbyś mi go przedstawić, masz tylu znajomych między nimi, że pewnie i jego znasz.
- Kto to jest?
- Wysoki blondyn, ma takie szare, mądre oczy, bardzo sympatyczny, mniej więcej w twoim wieku, smukły, wysportowany.
- Nie znasz jego nazwiska?
- Nie, ale wiem, że jest bardzo inteligentny; naprawdę nieprzeciętny człowiek, z wyobraźnią.
- Obawiam się, że go nie znam. Nie widzę nikogo między znajomymi dziennikarzami, kto by odpowiadał temu tak pochlebnemu portretowi.
- Drobnostka. Ktoś inny mi go przedstawi.
- Poczekaj, może sobie przypomnę. Czy przynajmniej wiesz, do jakiej gazety pisuje?
- Między innymi do „Magazynu dla wszystkich”. Podpisuje się inicjałami S.S.
- Trzeba było od razu powiedzieć! Tylko, że to nie jest wysoki blondyn; musiałaś się niedokładnie przypatrzeć.
- Być może. Kiedy mi go przedstawisz?
- Kiedy chcesz. Nawet jutro. Ale nie rozczaruj się: S.S, nie jest w moim wieku.
- Staruszek?

– Wprost przeciwnie: rozkoszna młoda istota, zresztą moja serdeczna przyjaciółka, Stella Savigny.

– Nieprawda!

– Przekonasz się jutro. Jedna z najzgrabniejszych kobiet, jakie znam. I zdolna!

– Dlaczego nie ożeniłeś się z nią?

– Nie wiem.

Małgorzata weszła niosąc na tacy tort i kawę; w progu przystanąła.

– Coś jak by się stało – powiedziała spoglądając na nas. – Ale tort zjecie?

– Ja w każdym razie, panno Małgorzato – Michał zerwał się i odebrał jej tacę. – Pani jest aniołem!

Małgorzata zaczerwieniła się i wyszła.

– Przepraszam – powiedziałam – nie miałam prawa zadawać ci takiego pytania.

– Drobnostka. Dlaczego nie jesz? Wspaniały tort, Joel powinien częściej robić dobre zdjęcia.

Wstałam, podeszłam do okna. Zawsze podchodzę do okna i patrzę na ulicę, gdy chce mi się płakać, a okoliczności nie sprzyjają temu. Michał też podszedł do okna i stanął za mną.

– Nie złość się, Mat – powiedział.

– Nie złościę się. Myślę o życiu, o ludziach. Nikomu nie można zaufać. Wszyscy kiedyś zdradzą. Już nigdy nikogo nie będę lubić. Nie warto. Nawet Małgorzata jest inna, niż myślałam.

– Daj przynajmniej spokój Małgorzacie. To wyjątkowo dobra i uczciwa dziewczyna.

– Och, oczywiście, jeżeli porówna się ją z innymi! Nie byłaby zdolna podpisać się pod artykułem, którego nie napisała. I nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi.

– Naprawdę jesteś niesprawiedliwa. Dlaczego sądzisz, że to nie Stella go napisała?

– Ależ napisała, oczywiście, że napisała! Ty dyktowałeś, a ona pisała. Chciałeś biedaczce pomóc, żeby się jakoś wybiła, jesteś przecież taki uczynny.

– Kiedy nie masz racji – śmiał się Michał – jej nie trzeba pomagać, to sprytna bestyjka. To raczej ona mnie pomogła. Zależało mi, żeby skierować śledztwo na właściwe tory...

– Zdaje mi się, że pracujesz w instytucji, która może to zrobić skuteczniej niż początkująca dziennikarka.

– Nie zawsze. Wytłumaczę ci to, ale wróć do stołu, wypij kawę, bo wystygnie, i zjedz tort. Widzisz, to było tak: śledztwo w sprawie człowieka z wiklinowym koszem prowadził porucznik Flint, jego zwierzchnikiem był wtedy inspektor Govy. Przyznam ci się, że początkowo nie interesowałem się tą sprawą. Miałem mnóstwo własnej roboty i... własnych zmartwień. Dopiero kiedy... No po prostu po zeznaniu Ryszarda zacząłem się interesować tą sprawą.

– Dlaczego?

– Z różnych powodów. I też nie od razu. Prawdę mówiąc, trochę za późno. Basil już nie żył. Ale zasadnicza trudność polegała na czymś innym: nie miałem prawa krytykować ani metody inspektora Govy, bo była bez zarzutu, ani wyników jego śledztwa...

– Wyników! Przecież ich w ogóle nie było!

– Można to i tak określić, ale ja też żadnego realnego rozwiązania nie mogłem im przeciwstawić. Zresztą wtedy nasze poglądy różniły się tylko w jednym punkcie: byłem przekonany, że Basil przynajmniej się do podrzucenia zwłok działał pod wpływem opowiadań swoich

towarzyszy z sali, tego samego zdania był zresztą doktor Kob. Uważał postępowanie Basila za typowe dla tego rodzaju chorych. Dowodów oczywiście nie miałem żadnych. Sprawę Toussainta zainteresowałem się przypadkowo, po prostu śledztwo prowadzone przez oddział kolejowy zazębiło się ze śledztwem, które prowadziłem w całkiem innej sprawie. Chodziło o jednego ze współników Toussainta. I znowu to samo: trzeba było mieć podstawy...

– A jakie podstawy miał porucznik Flint twierdząc, że ujęcie Grzegorza to sprawa kilku dni albo tygodni?

– Nie miał żadnych.

– Po co się kłamie w takich razach?

– Aby zapobiec innym zbrodniom. Gdy wiadomo, że jakiś słynny zbrodniarz jest nieuchwytny, często zjawiają się naśladowcy, popełniający przestępstwa, że tak powiem, na jego konto. Ale wróćmy do Toussainta. Gdy dokładnie zapoznałem się z jego sprawą, nie miałem żadnej wątpliwości, że to on był Grzegorzem. Nie mieć wątpliwości to jeszcze bardzo mało, a ja miałem związane ręce. Inspektor Govy uważał moją hipotezę za fantastyczną. Główny jego argument polegał na tym, że Toussaint musiałby ukrywać Basila przez kilka dni w szopie, co nie uszłoby uwadze lokatorów kamienicy sąsiadującej z szopą. Porucznik Flint przesłuchał kilkadziesiąt osób, żadna z nich nie zauważyła, by ktoś poza Toussaintem wchodził do stajni. Słyszeli, że Toussaint z kimś rozmawiał, ale on zawsze rozmawiał ze swoim koniem. I wtedy zwróciłem się do Stelli o pomoc. Ta dziewczyna ma fantastyczne pomysły, wszędzie się wśliznie nie budząc niczyjego podejrzenia. Chodziła jakiś czas po przedmieściu św. Krzysztofa, rozmawiała z ludźmi, kupowała w sklepach

i wreszcie przyniosła mi ogromnie ważną wiadomość: Toussaint przez kilka dni przed pożarem szopy kupował jabłka, po trzy, cztery kilogramy dziennie, czego nigdy przedtem nie robił. Mnie to wystarczyło, ale trudno na tej podstawie wnosić oskarżenie o podrzucenie bomby.

– I wtedy napisałeś ten artykuł, żeby odwdziaczyć się za jabłka.

– Artykuł napisała Stella i nawet nie przedstawiła w nim wszystkich moich poglądów. Nie wiem, czy pamiętasz dokładnie zakończenie: „o ile nawet Basil przyniósł kosz ze zwłokami, to mordercą...”, coś w tym rodzaju, prawda? Otóż byłem przekonany, że nie tylko Toussaint, którego aresztowano 10 sierpnia, a więc tydzień przed morderstwem, nie miał nic wspólnego ze sprawą podrzucenia zwłok, ale że i sam Basii ani nie przyniósł tego kosza na Dworzec Główny, ani nie znał mordercy. Stella bała się zaryzykować taką hipotezę, dlatego użyła tego oględnego zwrotu „o ile nawet”. Może byłaby postąpiła inaczej, gdybym mógł powiedzieć jej o pewnym szczególe. Niestety nie mogłem tego zrobić. Jeżeli inspektor Govy nie upoważnił porucznika Flinta do podania tej wiadomości prasie, i mnie nie wolno było o tym mówić. Chodziło o to, że...

– Dlaczego mnie o tym mówisz?

Michał umilkł zakłopotany. Dolał sobie kawy i zapalił papierosa.

– Chcę, żebyś wszystko wiedziała – powiedział po chwili.

– I nie ma obawy, że napiszę artykuł na ten temat, prawda?

– Prawda. Chodziło o to, że inspektor Govy wolał nie podawać bliższych wskazówek co do obu koszy, z tych samych zresztą

względów, o których ci wspomniałem: żeby nie ułatwić roboty naśladowcom. A te kosze, to znaczy kosz, w którym podrzucono zwłoki, i kosz, w którym Basil przywiózł sobie jabłka do szpitala, pochodziły rzeczywiście od tego samego rzemieślnika, ale różniły się nie tylko wymiarami, jak podała prasa. Badanie mikroskopijne wykazało...

– Można umieścić kosz pod mikroskopem? – zapytałam.

– Wystarczy pewna ilość pyłu wytrzebanego z kosza. Otóż to badanie wykazało wielką ilość pyłu pochodzącego ze sierści zwierzęcej, a także nieco samej sierści. Podobny wynik dało badanie odzieży i bielizny tej kobiety, choć tam stosunek był odwrócony: sierści było nieco więcej niż pyłu. Natomiast ten drugi kosz, to znaczy kosz z jabłkami, nie zawierał nawet śladu tego rodzaju pyłu. Dla mnie wniosek był prosty: morderca nie posłużył się koszem, który Basil zabrał z domu. Oczywiście nie był to dowód zupełnie przekonujący, że nie posłużył się samym Basilem, ale jeżeli mordercą nie był Toussaint, kto poza nim mógł już 16 sierpnia wiedzieć, że to Basil podrzucił bombę? Przypuśćmy, że był to ktoś, kto znał Basila...

– Och, Michale, dokładnie tak samo myślałam! Ale...

– Co, perło?

– Michale, przecież... Nie czytałeś wieczornych gazet? Piszą, właściwie nie piszą, tylko tak delikatnie przypuszczają, że to goryl napadł na profesora Woytisa! Myślałam, że to zwykła kaczką dziennikarska, ale ta sierść...

– Nie wiedziałem, że boisz się goryli. Po tylu latach spędzonych u boku Beniamina Polly!

– Nie bądź niesprawiedliwy, Michale, on nie ma w sobie nic z

goryla, przecież to wykapany hipopotam!

– Nie będę się spierać. A co do sierści, to najprawdopodobniej należała do jakichś gryzoni.

– Czyli, że kosz stał w piwnicy i skakały po nim myszy i szczury. Skąd wiesz, że u Basila w domu ich nie ma?

– Są, oczywiście, ale widocznie nie w takiej ilości, by pozostały ślady w przedmiotach trzymany w piwnicy czy na strychu. Mówiłem ci, że kosz, w którym Basil przywiózł jabłka z domu, nie zawierał tego pyłu. Zresztą nie tylko myszy i szczury są gryzoniami.

– Tak, masz rację, chomiki chyba też są gryzoniami. Ale to jeszcze nie wszystko, czy nie zauważyłeś oświadczenia rzecznika Instytutu Hematologii? Co ono znaczy?

– Znaczy, że rzecznik jest przemiłym staruszkim, który od dwudziestu lat pracuje w instytucie jako woźny i przyszedł tam z Instytutu Zoologii, gdzie też przepracował jakie trzydzieści lat, więc jak chcesz, żeby on mówił? Przesiąkł terminologią. A wynik badań znałem przed dziennikarzami, dla których czujesz ostatnio tyle sympatii. To była krew zwierzęca.

– To niesamowite! I nieprawdopodobne.

– Dlaczego? Zresztą... nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie.

– Michale – rozzłościłam się – nie mam do ciebie żalu, że ukrywasz przede mną pewne okoliczności czy dane, czy... nie wiem co, skoro nawet tej... osobie nie wszystko wtedy powiedziałeś, i rozumiem, co to jest tajemnica służbowa, ale nie powinieneś uważać mnie aż za tak naiwną, bym ci uwierzyła, że tak niesamowite odkrycie może nie mieć żadnego znaczenia dla przebiegu śledztwa!

- Widzę, że podzielasz opinię porucznika Flinta.
- Zbyłam tę odpowiedź milczeniem: nie lubię nieuczciwych chwytów.
- Ale, Mat – powiedział po chwili Michał – nie powiedziałas mi najważniejszej rzeczy: dlaczego tak bardzo zależy ci na poznaniu Stelli?
 - Mnie zależy?! No wiesz! – oburzyła mnie ta hipokryzja.
 - Dobrze, powiedzmy inaczej: dlaczego chciałaś poznać dziennikarza podpisującego się inicjałami S.S.?
 - Bo myślałam, że to jest inteligentny, przenikliwy i nie pozabawiony wyobraźni człowiek, który do sprawy Ryszarda podszedłby bez uprzedzeń i pomógłby mi znaleźć człowieka z dwiema walizkami.
 - A kto ci powiedział, że on jest wysokim blondynem o błękitnych, przepraszam, szarych, mądrych oczach?
 - Nikt mi nie powiedział, sama go sobie tak wyobraziłam. Zawsze muszę sobie dokładnie wyobrazić osobę, z którą mam rozmawiać. Także odpowiedzi tej osoby zawsze sobie z góry przygotowuję. Chciałam autorowi tego artykułu zadać kilka pytań i wiedziałam, że na pierwsze z nich odpowie „tak”.
 - Ciekawe. Żałuję mocno, że nie jestem blondynem. Ale może powtórzysz mi to pierwsze pytanie?
 - Czy Irmę Slend miał spotkać los Teresy?
 - Mat, więc ty... wszystko wiesz? – cicho powiedział Michał. – Dlaczego nie powiedziałas mi tego od razu?
 - Bo dopiero przed godziną, kiedy czekałam na autobus, wszystko sobie obmyślałam. Wróg Ryszarda, czyli człowiek z

wiklinowym koszem, czyli człowiek z dwiema walizkami, nazwijmy go dla uproszczenia X, już przed dwoma laty obmyślił plan, który udało mu się wprowadzić w życie dopiero teraz; mianowicie miał zamordować Irmę, o co posądzono by oczywiście Ryszarda, a Ikso-wi o to właśnie chodziło, a nie o samą Irmę, rozumiesz? Przyszedł wtedy w nocy, mówiłam ci już o tym, pamiętasz? Przyszedł więc w tym celu, powiedział Irmie, że jest krewnym czy znajomym Ryszarda, ona go wpuściła, tak jak teraz wpuściła go Teresa, ale nic z tego nie wyszło, bo była u niej jakaś koleżanka czy przyjaciółka; nie wiem, co wtedy zaszło, ale X musiał się jej pozbyć, pewnie bał się, że może być niewygodnym świadkiem. Domyślasz się, że to jej zwłoki znaleziono na Dworcu Głównym; potem X przyszedł drugi raz i spóźnił się: Irma właśnie uciekła z domu. X dowiedział się, że do Sams, pojechał tam i wypchnął Ryszarda z wagonu, o ile Ryszard sam ze strachu przed nim nie wyskoczył, choć teraz raczej wątpię o tym.

– Tak – powiedział Michał. – No to zobacz zdjęcie Irmy.

XVIII

Wyjął z portfela płaską książeczkę i położył otwartą na stole. Spojrzałam na fotografię: czarne loki piętrzyły się nad niskim czołem, przydając pięknym ciemnym oczom, wilgotnym i trochę zanadto do siebie zbliżonym, wyraz jakiejś zwierzęcej rezygnacji czy przytępienia. Ale te smutne oczy pochodziły jakby z innej twarzy, wszystko poza nimi było wulgarne, odpychające: wystające kości policzkowe, płaski nos i nieproporcjonalnie rozwinięta dolna szczęka,

prawie męska. Nie mogłam uwierzyć, że Ryszard był zazdrosny o tę kobietę. Popatrzyłam na nazwisko i datę; wyraźnie było widać, że je poprawiano.

– Nie dziwię się, że ona nie wróciła ani po rzeczy, ani po dowód – powiedziałam. – Chyba zdawała sobie sprawę, że dziecko pozna się na tych przeróbkach.

– Ryszard niczego nie zauważył. Zaniósł ten dokument do biura meldunkowego na kilka dni przed wypadkiem.

– Może właśnie dlatego uciekła, ale... ja ją chyba gdzieś widziałam. Chociaż to raczej nieprawdopodobne, bo gdzie mogłam ją spotkać? I to niedawno, całkiem niedawno. Jak przestanę o tym myśleć, to zaraz sobie przypomnę. Ale miałam coś jeszcze ci powiedzieć: te pieniądze...

– Te pieniądze najprawdopodobniej ukradł Tom Kleeb – przerwał mi Michał chowając dowód osobisty do portfela – mam już wynik badań daktyloskopijnych. Szufladę komody otworzył bez klucza, w bardzo prosty sposób: to stary mebel, brak mu jednej nogi, stoi więc nierówno; wystarczy pochylić komodę do przodu, a szufladę mocno przycisnąć ku dołowi, zasuw zamka wychodzi wtedy bez trudu poza otwór. Porucznik Flint zrobił próbę posługując się zdjęciem odcisków; dotykał szuflady dokładnie w tych samych miejscach co Tom i otworzył ją w ciągu niecałej minuty.

– To znaczy, że on przyszedł, kiedy już Ryszarda nie było w domu? Teresa leżała na łóżku w pierwszym pokoju i niczego się nie domyśliła, to jasne. A rum?

– Na butelce są odciski palców Toma i jeszcze jakiejś osoby, dotąd nie zidentyfikowanej; na obu kieliszkach ślady, dość zamazane,

palców Ryszarda, a na jednym z kieliszków zupełnie świeże odciski palców Toma.

– Czy można ustalić, które z nich są wcześniejsze?

– Z pewnym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że Ryszarda są wcześniejsze.

– Co o tym sądzisz?

– Na razie nic.

– Jak to nic? Przecież to jasne! Ryszard pewnie sam zmywał i wycierał te kieliszki, stąd odciski jego palców, i pewnie sprzed paru tygodni, bo codziennie kieliszków nie używał! A w poniedziałek Tom przyszedł, kiedy Ryszarda już nie było, i pewnie chciał, żeby Teresa napiła się z nim rumu, dlatego przyniósł z kuchni dwa kieliszki, ona mu odmówiła, to jasne, nalał tylko sobie, a na flaszcze są odciski palców Toma, bo to on ją kupił; pozostałe odciski należą do osoby, która mu sprzedawała rum.

– A jak wytłumaczysz, że Tom dotykał tylko jednego kieliszka?

– Och, to bardzo proste! Widziałam te kieliszki, nie mają nóżek, pewnie w kredensie stały jeden w drugim, tak się czasem stawa, kiedy jest mało miejsca!

– Pięknie to wytłumaczyłaś. Porucznik Flint jest tego samego zdania co ty.

– To niczego nie dowodzi! Trafiło się ślepej kurze ziarnko. A ty nie chcesz przyjąć tego oczywistego wytłumaczenia, bo nie chcesz uwierzyć, że widziałam tego człowieka w krzakach. A to był Tom! On chodzi w dżinsach, wiek też się zgadza – nie wytrzymałam i opowiedziałam Michałowi o moich obliczeniach statystycznych.

– Nie, Mat – powiedział Michał – tak się nie robi obliczeń; nie można opierać się na jednym punkcie obserwacyjnym i określać

wieku na oko. Ale nie o to chodzi. Tom mógł być u Ryszarda w domu tylko między szóstą a siódmą. Od siódmej do jedenastej ma alibi. Parę minut po siódmej kupował bilety w kasie kina „Excelsior” z dwoma kolegami; kasjerka doskonale ich pamięta, to stali bywalcy. Z kina wyszedł o dziewiątej, w każdym razie o dziewiątej spotkał się przed kinem z kolegami, bo nie siedzieli razem. Tu sprawa zaczyna się nieco komplikować. Tamci chłopcy mieli miejsca obok siebie w piątym rzędzie, to jest pewne, mieli jeszcze bilety, kiedy Flint rozmawiał z nimi. A Tom swój bilet wyrzucił, nie wiadomo więc, kto ma rację: kasjerka, która twierdzi, że sprzedała mu boczną strapon-tenę od strony wyjścia, czy Tom, który upiera się, że siedział pośrodku dziewiątego rzędu i pamięta nawet numer krzesła: 23. Nie jest więc wykluczone, że wyszedł między siódmą a dziewiątą, bo wyjść tam nikt nie pilnuje, i wrócił o dziewiątej, żeby spotkać się przed kinem z kolegami. Ale nawet jeżeli przyjmiemy, że wtedy właśnie przyszedł z rumem do Ryszarda i ukraść pieniądze, to jest wykluczone, by Ryszard zastał go o dziesiątej u siebie. Z kina poszedł razem z kolegami do piwiarni. Tam wypili po kuflu i do jedenastej zabawiali się przy automatach. O jedenastej właściciel wyprosił ich, byli ostatnimi, pamięta ich doskonale, to też jego stali klienci. Tom dostał kiedyś trzy miesiące z zawieszeniem za wywołanie awantury w tej piwiarni. Matkę Toma przesłuchano, kiedy nic jeszcze nie wiedziała o zeznaniu Toma i kolegów...

- Ale powiedziała to samo, bo oni się przecież porozumieli!
- Nie, wprost przeciwnie. Według niej Tom wrócił o dziesiątej, jest pewna, że nigdy w życiu Tom nie wrócił później do domu, bo

to dobre dziecko. Bieda tylko z tym, że w całym domu nie ma ani jednego chodzącego zegarka i ona nie umiała powiedzieć, skąd wiedziała, że była dziesiąta. Tam jest jeszcze jeden chłopak, młodszy brat; ten spał i nic nie słyszał. On i matka są na utrzymaniu Toma, który umie wszystko robić i nigdzie nie pracuje. Ojciec zginął podczas wojny, starszy brat, według słów matki, odbywa służbę wojskową, ale w rzeczywistości odsiaduje karę za kradzież opon w garażu, gdzie mył auta. Co sądzisz o tej rodzinie?

– Ależ to jasne! To samo co listonosz! Tom, że tak powiem, był predysponowany do kradzieży ze względu na sytuację materialną, a potem przyszedł ten listonosz i opowiedział o czeku dla Ryszarda.

– Właśnie, trochę to wszystko jest za oczywiste. Jeżeli coś zginie na ulicy Henrietty, wiadomo, że to sprawa Toma.

– Nie rozumiem, więc ty nadal nie wierzysz, że to on ukradł pieniądze?

– W każdym razie on nie przyznaje się do tego i nadal twierdzi, że nigdy nie był u Ryszarda w domu.

– Ale on jest chyba aresztowany?

– Nie, na razie nie.

– Jak to, więc te odciski nie są wystarczającą podstawą do aresztowania?

– Raczej są, ale czasem lepiej jest zostawić podejrzanego na wolności i obserwować go.

– Ach tak – powiedziałaam myśląc, że to tłumaczy, dlaczego mnie dotąd nie aresztowano. – A szalik?

– Toma. Matka wyprała ten szalik przed paroma dniami,

powiesiła na sznurze przed domem i zapomniała go zdjąć. W poniedziałek przypomniała sobie o nim, ale już go nie było.

– To był wełniany szalik?

– Tak.

– I ty wierzysz, że w sierpniu pierze się wełniane szaliki? To się robi na wiosnę, zanim wkłada się zimowe rzeczy do naftaliny.

– A ty wierzysz, że w sierpniu nosi się wełniane szaliki?

– Chłopcy z przedmieść czasem noszą.

– Więc ich matki czasem je piorą.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie masz zmysłu obserwacyjnego!

Co powiedział Tom dziś rano? Że kupił mydło i niesie do domu, bo matka pierze! Chyba nie sądzisz, że ona pierze codziennie!

– Mogła prać cudzą bieliznę!

– Czy mówiła ci, że zarabia praniem?

– To porucznik Flint z nią rozmawiał. Nie wiem, czy ją o to pytał.

– A widzisz! Zresztą to obojętne. Myślałam o czymś innym. Załóżmy, że rzeczywiście wrócił o jedenastej do domu. W porządku. Widzisz, że staram się rozumować tak jak ty. Ale ja człowieka w dzinsach widziałam po dwunastej! Skąd wiesz, że on nie wyszedł jeszcze raz z domu, kiedy wszyscy spali? Miał dwa kroki do ogrodu Ryszarda, mógł pójść i wrócić w ciągu paru minut. Ale teraz oczywiście nie ma sensu pytać o to jego matki, Tom już ją uprzedził, ona wie, co ma mówić. Mogła zresztą nic nie słyszeć.

– Ale po co by on tam wracał?

– Mój Boże, nie jestem pracownikiem służby śledczej, zapytaj o to porucznika Flinta!

XIX

Michał stał już przy drzwiach, kiedy podbiegłam do okna, wychyliłam się i powiedziałam:

– Bardzo chłodna noc. Chyba wezmę sweter.

– Och, Mat, chcesz pójść ze mną do przystanku? – Michał zdziwił się tak naiwnie i uśmiechnął się tak rozbijająco, że przez chwilę było mi go trochę żal. – Już strasznie późno...

– Mogę ciebie odprowadzić do przystanku – przerwałam mu – chociaż nie bardzo mi po drodze, bo jadę na Henrietty. Słup soli pewnie już nie tkwi przy furtce.

– Mat!

– Stoi? To daj mi jakieś polecenie dla niego, napisz parę słów, żeby mnie przepuścił!

– Nie stoi, ale nie ma sensu o tej porze! Przecież nic nie zobaczysz.

– Tylko o tej porze! Nie ma jeszcze pół do dwunastej, nim dojadę będzie po dwunastej, wtedy też byłam mniej więcej w tym czasie, a przecież coś zobaczyłam. To światło dzienne mnie zmyliło i twój porucznik Flint. Straciłam głowę, zupełnie zgłupiałam, pewnie, że nikt nie wykopał tylko krzaków, ani nie przesadził tam agrestu! Z kim przestajesz, takim się stajesz, rozumowałam jak funkcjonariusz służby śledczej. Wszystko jest tam na swoim miejscu, tylko człowiek w dzinsach wcale nie musiał stać! To znaczy stał, póki nie nadeszliśmy, Ryszard i ja, a wtedy pochylił się albo przykucnął, schylił się, obojętne zresztą co zrobił, w każdym razie w takich ciemnościach nie zobaczyliśmy go. A w dzień ten agrest wygląda całkiem inaczej, to jasne, i trudno uwierzyć, że ktoś tam mógł się

skryć. Dlatego muszę tam pójść teraz i spróbuję ukryć się w krzakach.

– To znaczy, że mam pójść z tobą?

– Skądże! O tej porze za nic w świecie nie trudziłabym nawet człowieka tak ofiarnego dla swoich przyjaciół jak ty.

– To szlachetnie z twojej strony, ale jak przekonasz się, czy ktoś ciebie widzi zza krzaków, jeżeli będziesz sama? Widzisz, że muszę pójść z tobą. To, co powiedziałaś, jest całkiem prawdopodobne, ale w takim razie nie rozumiem, dlaczego nie ostrzegłaś Ryszarda, że ktoś jest w ogrodzie.

– Tego nie dowiesz się nigdy! Może nie nigdy, ale w każdym razie póki...

– Dlaczego nie kończysz?

– Póki się nie ożenisz! Bo inaczej mógłbyś... nie, nic nie powiem.

– Mat, nie żartuj, przecież zdajesz sobie sprawę, że obecność tego człowieka w ogrodzie ma kapitalne znaczenie dla przebiegu śledztwa. Nie wolno ci niczego ukrywać, jeżeli chcesz pomóc Ryszardowi.

– Wspaniały jesteś! Od pierwszej chwili staram się wytłumaczyć tobie i porucznikowi, że prowadzicie śledztwo w nieodpowiedni sposób, bo nie liczycie się z najważniejszym faktem: z obecnością człowieka w dzinsach w ogrodzie, a teraz ty mi mówisz, że to ma kapitalne znaczenie! Pewnie, że ma, natomiast jest rzeczą zupełnie obojętną, dlaczego wtedy nic nie powiedziałam Ryszardowi. To nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Wolno ci o tym nic nie mówić, wolno ci przemilczeć wszystko, co mogłoby zostać użyte przeciwko tobie jako podstawa oskarżenia. Ale co z tym mają wspólnego moje osobiste sprawy?

– Masz rację, przepraszam. Nie wiem, co mi dziś jest, wciąż zapominam, że jesteś tylko moim znajomym. A Ryszardowi wtedy nic nie powiedziałam też z powodów osobistych, o których nie muszę i nie mogę z tobą mówić.

– Oczywiście. No to chodźmy, ale czy masz latarkę?

– Małgorzata gdzieś ma, tylko nie wiem gdzie. Zobaczą, może jeszcze nie śpi.

Przeszliśmy do przedpokoju i prawie w tej samej chwili na progu swego pokoju stanęła Małgorzata z dwiema latarkami w ręce.

– Wróć późno... – zaczęłam, ale Małgorzata natychmiast mi przerwała.

– Właśnie dlatego pomyślałam sobie, że przydadzą ci się latarki – powiedziała.

– Bardzo ci jestem wdzięczna – odpowiedziałam chłodno – i proszę cię, nie niepokój się i nie dzwoń do nikogo.

Małgorzata milczała trzepocząc powiekami.

– Jesteś niedobra dla niej – powiedział Michał, kiedy wyszliśmy na ulicę.

– Ona podsłuchiwała!

– Skąd wiesz? Może przypadkowo usłyszała; pewnie u niej w pokoju słyszać, co się mówi u ciebie.

– Słyszać, kiedy się słucha. Ale podejrzewam ją o coś gorszego.

– W każdym razie to jest dobra dziewczyna i zdaje mi się mimo wszystko dyskretna.

– Właśnie. I to jest dziwne. Dotąd nią nie była. A teraz nagle okazało się, że umie milczeć. Nie pyta mnie o nic, mimo że musiała przecież przeczytać w gazecie o Ryszardzie. Czy wiesz, że ona spotykała się z nim i nic mi o tym nie mówiła? Chodźmy od razu do

autobusu, nie warto czekać na tramwaj, pieszo będziemy szybciej – powiedziałam widząc, że Michał chce skręcić w stronę przystanku. – Autobus od jedenastej chodzi tylko co pół godziny, jeżeli nam ucieknie, trzeba będzie strasznie długo czekać.

– Od dziesiątej czterdzieści – poprawił mnie Michał – to znaczy, że przed chwilą właśnie odszedł, jest jedenasta czterdzieści trzy.

– Jak ty wszystko wiesz! Znasz na pamięć rozkład jazdy wszystkich autobusów w mieście? Przyznaj się, że u was zdaje się z tego egzamin. Żeby każdy policjant od razu wiedział, którym autobusem odjechał morderca. Potem zdejmujecie odciski palców w całym autobusie i macie ptaszka. Tylko, że morderca pojechał następnym autobusem, bo na ten właściwy nie zdążył, no i nie znał na pamięć rozkładu jazdy. Myślisz, że mam bzika? Nie, ja tylko jestem bardzo nieszczęśliwa, i świat mi się dzisiaj rozsypał na drobne kawałki. A dokuczam ci tylko dlatego, że chcę poprosić cię o jeszcze jedną przysługę. Czy nie mogłabym zobaczyć się z Ryszardem?

– To nie ode mnie zależy, ale oczywiście będę ci mógł pomóc w tej sprawie. Tylko... nie wiem, czy on zechce mówić z tobą. Dziś przed południem była jego siostra, on nie chciał się z nią zobaczyć, z adwokatem też nie chciał mówić. Powiedział, że nie ma już nic do dodania. Adwokata sprowadziła siostra...

– Pojadę jutro rano do nich, do Almond. A czy on jest... w pa-siaku?

– Skądże! Zdaje mi się, że ty nie odróżniasz aresztu śledczego od więzienia.

– Jak więc mogłeś mu odebrać to zdjęcie, które mi dałeś?

– Podejrzany osadzony w areszcie śledczym musi oddać wszystko, co ma przy sobie, no nie wszystko, ale pewne rzeczy.

Ryszard zresztą prosił, żeby mu oddano dwa notesy, które miał w kieszeniach kurtki, i pióro.

– Widziałeś te notesy? Czy to były notatki do jego pracy?

– Nie wiem. Oba notesy były prawie czyste, miały zapisane tylko pierwsze strony.

– On mi nieraz mówił, że najlepiej mu się myśli nocą, kiedy chodzi pustymi ulicami. Pewnie po to nosił przy sobie notesy, żeby od razu zapisywać. Dlaczego chcesz tędy pójść? – zapytałam zdziwiona, bo Michał chciał skręcić w ulicę, która wcale nie prowadziła do Muzeum.

– Wolisz czekać prawie pół godziny na autobus? Bo ja bym się chętnie przeszedł, to przecież niedaleko.

Nie sądziłam, co prawda, żeby to było niedaleko, ale tak mi się przyjemnie chodziło z Michałem, że od razu się zgodziłam. Wziął mnie pod ramię i szliśmy równym marszowym krokiem. Gdybym mogła zapomnieć o istnieniu Stelli, nic by mi już do szczęścia nie brakowało, dokonałam przecież tego, co uważałam za najważniejsze: przekonałam Michała, że człowiek w dzinsach nie był moim przywidzeniem. Prawdę mówiąc, żał mi było Toma Kleeba. Biedak myślał, że jeszcze nie wszystko stracone, skoro go nie aresztowano dotychczas, i pewnie spał sobie teraz spokojnie. Nie czułam najmniejszej wrogości dla tego chłopaka, który wywiesił ogłoszenie, że naprawia wszystko, a słowo „matka” nawet na tej tekturze pisał przez duże M. Nie był zawodowym przestępcą: nie tylko nie zatroszczył się o wytarcie śladów swoich palców na komodzie, ale może nawet nie wiedział, że istnieje coś tak dziwnego jak daktyloskopia. I teraz ja miałam być głównym świadkiem oskarżenia przeciw niemu. Bo nie

wątpiłam, że jeżeli wrócił jeszcze raz do domu Ryszarda, to tylko dlatego, że poprzednio, gdy przyszedł między szóstą a siódmą i przyniósł ze sobą rum, nie udało mu się otworzyć szuflady. Może Teresa jeszcze nie leżała na łóżku albo leżała i patrzyła przez otwarte drzwi, co on robi. Pieniądze ukradł dopiero wtedy, gdy upewnił się, że Ryszard wyprowadził mnie na ulicę, a sam poszedł na Składową. Nie wiedziałam tylko, którędy Tom mógł wejść: drzwi z pewnością Ryszard zamknął, a okna, tak mi się przynajmniej wydawało, też były zamknięte. Powiedziałam Michałowi o moich wątpliwościach.

– Nie, Mat, tak z pewnością nie było – odpowiedział – jeżeli nawet kogoś wtedy widziałeś w krzakach, to jeszcze nie dowodzi, że stał tam Tom Kleeb. A gdyby nawet to był on, jest niemożliwe, by dopiero wtedy ukradł pieniądze. Jestem pewny, że tego rodzaju chłopak nie wszedłby za żadne skarby do domu Ryszarda po tym, co zobaczył. Bo on przecież musiał was widzieć. Więc albo to był ktoś inny, albo Tom wrócił do ogrodu w zupełnie innym celu.

– Na przykład po szalik. Pewnie rozumiał, że to jest dowód przeciwko niemu.

– Nie wiem, Mat, ten szczegół, zresztą nie tylko ten, jest dla mnie bardzo niejasny... Ryszard twierdzi, że szalik zwisał z okna; my zaś wiemy, że Tom nie mógł być wtedy przy ulicy Henrietty, trzeba by więc przypuścić, że ktoś znalazł tam jego szalik i celowo położył na oknie. Po co? By zmylić policję? W takim razie skąd wiedział, że to nie jest szalik Ryszarda?

– Myślał, że to jest szalik Ryszarda i chciał go zabrać ze sobą, aby później posłużyć się nim jako dowodem rzeczowym.

– Ładnie mówisz, Mat, ale żeby dowód rzeczowy był do czegoś

przydatny, trzeba naprzód popełnić jakieś przestępstwo.

– A skąd wiesz, że ten człowiek nie planował jeszcze jakiegoś przestępstwa, o które posądzono by Ryszarda, gdyby znaleziono na miejscu tego przestępstwa właśnie szalik Ryszarda? Co też ja mówię: „planował!” Przecież on je popełnił w godzinę później! Ten szalik miała znaleźć policja przy zwłokach profesora Woytisa! Przecież to jasne! Bo skąd ten człowiek mógł wiedzieć, że Ryszard zadzwoni po mnie i że w ten sposób będzie mieć alibi? Rozumiesz tę piekielną chytryść? Zabija człowieka, który coś o nim wiedział, pozbawia Ryszarda najwiarygodniejszego świadka jego uczciwości, a równocześnie rzuca na niego podejrzenie!

– Gdyby miał taki zamiar, zabrałby szalik ze sobą, nie zostawiłby go na oknie. A poza tym musiał zdawać sobie sprawę, że jest bardzo trudno znaleźć przestępcę na podstawie samego szalika. I co najważniejsze: nie niósłby wtedy dwóch walizek, bo to by już zupełnie wykluczało Ryszarda z grona podejrzanych.

– A jeżeli to nie człowiek z dwiema walizkami zabił profesora? Całe oświadczenie tej Marii C. może być tak wiarygodne, jak godzina, którą podała. Mówię ci, że on chciał zabrać ze sobą ten szalik, ale Ryszard zaskoczył go...

– Zapominasz, że jeżeli to był ktoś, kto chciał zaszkodzić Ryszardowi, to na skok oknem był przygotowany, po to przecież przyszedł nocą na Henrietty, i w takim razie byłby dobrze schował szalik. Zresztą tego rodzaju hipotezy można snuć bez końca, to do niczego nie prowadzi, wierz mi.

– Tak, masz rację. To moje nieszczęście; za szybko myślę i zbyt intensywnie. Oczywiście, że człowiek w dżinsach to nie był

Tom. Chyba że... matka powiedziała mu o strzałach i on z ciekawości poszedł zobaczyć...

– Nie, Mat, nikt nie słyszał tych strzałów. Mówiłem ci już o tym.

– To niemożliwe, żeby nikt nie słyszał. Tam tak cicho w nocy. I to było po dziesiątej, nie wszyscy jeszcze spali.

– A jednak nikt nie słyszał.

– A wiesz dlaczego nikt nie słyszał? To maszyna, która wybija zamknięcia do butelek! Słyszałeś, jak ona piekielnie hałasuje?

– Maszyna była nieczynna. Wszyscy już spali w tym domu.

– No więc jak to tłumaczysz?

– Nie wiem.

– To nawet lepiej, że nie Tom. I w ogóle nie wiem, jak mogłam tak nielogicznie myśleć: jeżeli Tom nie był człowiekiem, który wyskoczył oknem, to nie był też tym, kto zabił profesora Woytisa, a więc jego obecność czy nieobecność w ogrodzie nie miałyby żadnego znaczenia dla sprawy Ryszarda. Mogłaby najwyżej wyjaśnić sprawę kradzieży tych pieniędzy. Tak, to tamten człowiek, który pokazał mi, gdzie stoją taksówki. Wsiadł do następnego autobusu, tego, który nas wyminął; pamiętam doskonale ten autobus.

– Który to był numer?

– Nie zauważyłam, ale pewnie szóstka. Albo przyjechał tym autobusem, który widziałam, gdy wysiadłam na placu Gwiazdzistym. Tak, bo ten pierwszy nie jechał w stronę placu Gwiazdzistego. Szóstka to był ten drugi. A później na Parkowej wyraźnie słyszałam czyjeś kroki. Wydało mi się, że to moje pantofle tak stukają, i wcale się tym nie przejęłam. I wiesz co? Te kroki potem ucichły, bo on

skręcił na Składową i do ogrodu wszedł od tyłu, przez cmentarz, tak jak przedtem Ryszard!

– Przestań, Mat, już ci powiedziałem, że takie rozumowanie do niczego nie prowadzi. I boję się, że...

– Patrz – przerwałam mu zatrzymując się – już jesteśmy!

Staliśmy na rogu Henrietty. To było nie do wiary. Nie mogłam zrozumieć, jak to się stało, że tak szybko tu przyszliśmy i że nie zauważyłam nawet, kiedy przeszliśmy Parkową.

Było tak samo cicho i ciemno jak wtedy, tak samo rozcapierzone liście kasztanu przesuwały się tam i z powrotem w matowym świetle gazowej latarni i tak samo biło mi serce. Nagle rozbrzmiał odgłos czyichś szybkich kroków.

– Michał – krzyknęłam ściskając mu ramię – boję się! Tak samo on wtedy nadbiegł!

Kroki ucichły. Michał zaśwyczał latarkę i skierował jej światło w głąb ulicy – nikogo tam nie było.

– Może wrócimy, Mat? – powiedział cicho.

– Dlaczego? – zapytałam tak zdziwionym głosem, jak tylko mnie było stać na to.

Michał nic nie odpowiedział, w milczeniu weszliśmy do ogrodu i od razu podeszłam do miejsca, gdzie siatka była przerwana: tamtędy właśnie przechodziłam z Ryszardem, a płyta, o którą się potknęłam, była o parę kroków od siatki.

– Chwileczkę, Mat – Michał zostawił mnie przy ogrodzeniu i przeszedł na placyk dzielący ogród od budynku z okratowanymi oknami.

– Nie puszcze cię samego – pobiegłam za Michałem i chwyciłam go za ramię.

Podeszliśmy do okna z wygiętą kratą.

– Zaświeć latarkę – powiedział Michał i zgasił swoją.

Zdumiona patrzyłam na to, co on robił. Chwycił ręką za parapet okna, wspiął się na mur i zerwał z wygiętego pręta czarny strzęp, potem zeskoczył, zaświecił latarkę i w jej świetle dokładnie go oglądnął.

– Po coś to zrobił? – zapytałam drżąc ze zdenerwowania.

Michał w milczeniu schował strzęp do kieszeni i stanął koło mnie.

– Mat – zaczął – Mat – powtórzył po chwili, ale nic już nie dodał, tylko nagle objął mnie mocno i pocałował w oczy. Myślałam, że pocałuje mnie także w usta, on jednak tak samo szybko puścił mnie, jak objął.

– Nie gniewaj się – powiedział.

– Nie gniewam się, ale nie powinieneś był tego zrobić – drżałam coraz mocniej i nie miałam już odwagi wziąć Michała pod ramię.

– Wiem, że nie wolno mi było tego zrobić, tylko że... musiałem. Odwróciłam się do niego i wbiegłam do ogrodu.

– Mat! – zawołał Michał, a ja potknęłam się i upadłam.

Michał już był przy mnie, schylił się, jego latarka oświetliła krzaki, wszystko odbyło się tak samo jak wtedy: leżałam na tej samej płycie i widziałam te same nogi, te same nogawki i buty. Byłam zbyt przerażona, żeby móc wymówić choćby słowo, chwyciłam tylko rękę Michała, w której trzymał latarkę i skierowałam ją w stronę krzaków. Michał w pierwszej, chwili nie zrozumiał, o co chodzi, dopiero gdy szepnęłam: „On tam jeszcze jest”, skoczył, rozgarnął gałęzie i wybuchnął śmiechem.

Wśród agrestowych krzewów i wyższych od nich pokrzyw stała

dolna połowa staromodnego pana w obcisłych spodniach, górna część leżała opodal, widać było bokobrody i szlachetny profil. Za tą połówką stała dolna część anioła, fałdy jego szaty dotykały nóg mojego człowieka w dżinsach, do których tuliła się dziewczynka w koronkowym fartuszkach i wysokich buciczkach zapinanych na guziczki.

– Żałobny wdowiec z sierotką i aniołem stróżem – powiedział Michał. – Jest ich kilkunastu na Cmentarzu Południowym. Nie bój się, nic nie powiem Flintowi.

XX

Stałam pochylona nad stołem i oglądałam dwa zdjęcia Irmy Slend, z których tylko jedno było naprawdę jej zdjęciem, a na drugim były jej rysy, jej płaski nos, szeroka dolna szczęka, ale to nie była ona. Po chwili Irma patrzyła na mnie już z obu zdjęć swoim tępym spojrzeniem, a czarna gęstwina loków nie zostawiała miejsca na czoło. Trzymałam Michała mocno za rękę, żeby nie odszedł i nie zostawił mnie samej z tymi strasznymi fotografiami. Ale Michał oddalił się o krok, już go nie było w pokoju, a okno zaczęło się powoli otwierać, ktoś przystawił drabinę, za chwilę miał wejść, czułam jego potworną obecność. „Michał!” zawołałam, chociaż wiedziałam, że on nie przyjdzie, bo nie słyszy mnie, „Michał!” krzyknęłam jeszcze głośniej, nie usłyszałam jednak własnego głosu. Okno było już szeroko otwarte, „Michał!”, krzyknęłam jeszcze raz i zbudziłam się. Zeskoczyłam z tapczanu, zamknęłam okno, spuściłam roletę, ale przerażenie nie mijało. Poszłam do kuchni, zaświeciłam światło

i napiłam się wody. W kuchni było trochę mniej straszno, usiadłam przy stoliku. Byłam pewna, że pierwsza część snu była prawdziwa: kiedyś już widziałam zdjęcie Irmy albo ją samą, ale wtedy nie znałam jej zdjęcia z dowodu osobistego i dlatego nie wiedziałam, że to ona. Wydawało mi się, że jeżeli potrafię się skupić, to natychmiast przypomnę sobie, gdzie ją widziałam. W każdym razie to było niedawno. Zapaliłam gaz i nastawiłam wodę na kawę. Gdy wsypywałam kawę do maszynki, wiedziałam już, że to było poprzedniego dnia. Usłyszałam trzask kontaktu, po chwili weszła Małgorzata mrugając napuchniętymi powiekami.

– Źle się czujesz, Mat? – zapytała.

– Miałam straszny sen – odpowiedziałam. – Ktoś chciał wejść przez okno do mego pokoju, właściwie nie ktoś, tylko goryl. Nie widziałam go, ale czułam jego obecność. Chciałam zawołać Michała i nie słyszałam własnego głosu. Zbudziłam się tak przestraszona, że bałam się być sama w pokoju.

– To tak zawsze jest, kiedy się woła przez sen. Raz śnił mi się pies bez głowy, który wszedł pod moje łóżko i szczekał. Też wołałam, krzyczałam i nikt nie usłyszał. Napij się mleka i zjedz skórkę z chleba, to bardzo uspokaja; zaraz człowiek zasypia.

– Nie; muszę napić się kawy, bo chcę coś sobie przypomnieć.

– Kawę, teraz?! – zdziwiła się Małgorzata. – Nie zaśniesz w ogóle do rana!

– Zasnę, jak tylko sobie przypomnę. Ja po kawie śpię bardzo dobrze.

– A co masz sobie przypomnieć?

Przełałam wodę do maszynki, walcząc ze sobą, by nie opowiedzieć

Małgorzacie pierwszej części snu, bo nie chciałam z nią mówić o Irmie i Ryszardzie. Ale powstrzymać się od opowiedzenia snu jest ogromnie trudno; gdy nalewałam kawę do filiżanki, postanowiłam opowiedzieć go choć w ogólnych zarysach.

– To było tak – mówiłam popijając – na stole leżały dwie fotografie pewnej osoby, ale tylko jedna była naprawdę jej, druga tak jak by była i nie była jej zdjęciem.

– To też często się zdarza – powiedziała Małgorzata nalewając sobie mleko. – Brunetkę można tak oświetlić, że wyjdzie jak platynowa blondynka i sama siebie nie pozna. Mieliśmy już taką sprawę. Zrobiło się drugi raz zdjęcie i spokój.

– Już wiem! – zawołałam. – Na tym drugim zdjęciu ona była jakby łysa i dlatego jej nie poznałam! Potem wyrosły jej włosy i od razu zrozumiałam, że to są zdjęcia tej samej osoby.

– I to chciałaś sobie przypomnieć?

– Nie, muszę sobie przypomnieć, gdzie ja tę osobę widziałam.

– To nie wiesz, czyje to było zdjęcie?

– Wiesz, jak to jest we śnie: i wiem, i nie wiem – odpowiedziałam wykrętnie. – Jednego jestem pewna: widziałam ją wczoraj.

– Przecież wczoraj nigdzie nie wychodziłaś.

– To było przedwczoraj.

– Prawda, już trzecia godzina. Przypomnij sobie po kolei, coś robiła od samego rana. Poszłaś po bułki, tak? W sklepie jej nie widziałas? Potem po gazetę, może przy kiosku?

– Nie, nie... Poczekaj, zapalę papierosa, to zaraz sobie przypomnę – wyszłam do pokoju i wróciłam z papierosami; Małgorzata też zapaliła. – Och, wiem! – zawołałam. – W bibliotece. Dziewczyna,

która siedziała koło mnie! A potem wyszła i zapaliła papierosa!

– Skąd wyszła?

– Z biblioteki. Ale w takim razie... – urwałam, bo nie chciałam zdradzić się przed Małgorzatą z dziwną myślą, która mi się nagle nasunęła: że ta dziewczyna musiała mnie śledzić.

– Co w takim razie?

– W takim razie możemy już wrócić do łóżka. Przykro mi, że zbudziłam ciebie.

– Nie zbudziłaś mnie, nie spałam jeszcze. Myślałam – powiedziała Małgorzata wzdychając.

Wróciłam do pokoju i usiadłam na tapczanie. Nie mogłam sobie przypomnieć rysów tej dziewczyny, pamiętałam tylko zgrabną figurę i masę czarnych loków opadających na czoło. Wydawała mi się bardzo ładna – a przecież Irma była odpychająca. Coś się nie zgadzało. Kobieta w różowym szlafroku, która rozmawiała z policjantem poprzez żywoplot, powiedziała o Irmie coś, czego nie mogłam sobie przypomnieć – że była chuda jak szczapa albo że od ziemi ledwie odrosła – ale to też się nie zgadzało: dziewczyna z biblioteki nie była co prawda wysoka, z pewnością była niższa ode mnie, nie można było jednak powiedzieć o niej „niska”. Co innego jeżeli ta kobieta uważała ją za chudą. Przy jej tuszy nawet Małgorzata wyglądałaby jak deska. I jeszcze jedno nie zgadzało się dziewczyna z biblioteki nie była z pewnością tym, za co uważała Irmę kobieta w różowym szlafroku i co właściwie słowa Ryszarda i jej postępowanie raczej potwierdzały. Ale kim była ta dziewczyna? Z pewnością nie intelektualistką, z pewnością nigdy przedtem nie zaglądnęła do czytelni, a wyrażała się jak... nie mogłam znaleźć określenia. Jednego byłam pewna: że była Irmą Slend i że mnie śledziła. A jeżeli mnie śledziła,

to znaczyło, że wiedziała coś o mnie i o Ryszardzie. Nagle przypomniałam sobie, że miałam zapytać Małgorzatę, kiedy dała Ryszardowi zdjęcie ciotki. Nie mogłam zaczekać do rana, musiałam wiedzieć natychmiast, zaraz też znalazłam sobie usprawiedliwienie: Małgorzata pewnie jeszcze nie zasnęła. Wbiegłam do jej pokoju: siedziała na łóżku i płakała. W pokoju nie było całkiem ciemno, bo na dworze już szarzało, a latarnia rzucała żółtawy snop światła na łóżko i stół. Na mój widok Małgorzata szybko coś schowała pod poduszkę, ale nie przestała płakać.

– Co ci jest? – zapytałam.

– Nic, płaczę – odpowiedziała. – Jak tylko wyszłaś z Michałem, zaraz zaczęłam płakać i całą noc tak płaczę. Bo mnie nikt nigdy tak nie kochał jak on ciebie. Joel też mnie tak nie kocha. Michał by dla ciebie człowieka zabił...

– Co za głupstwa pleciesz! – roześmiałam się. – Przede wszystkim nie zabiłby, bo mu regulamin na to nie pozwala, a poza tym on mnie nie kocha.

– Kocha, kocha – pochlipywała Małgorzata – nie pocieszaj mnie, bo wiem, że on strasznie ciebie kocha i strasznie jest zazdrosny, on to wszystko ma w oczach wypisane, widziałam wczoraj, jak on na ciebie patrzył!

– Nieprawda, on kocha Stellę Savigny!

– Stellę Savigny! – zawołała Małgorzata i zeskoczyła z łóżka. – To niemożliwe!

– Znasz ją? – zdziwiłam się.

– Skądże, ale to nieprawda, on jej nie kocha!

– Nie kłam i nie wykręcaj się! Powiedz, skąd znasz tę dziewczynę! – posadziłam Małgorzatę z powrotem na łóżko i usiadłam koło niej.

– Nie kłamię, nigdy w życiu nie słyszałam o niej! – Małgorzata wyciągnęła chustkę spod poduszki, schowała ją tam z powrotem i wytarła nos o brzeg koszuli.

– Kłamiesz! – powtarzałam z uporem. – I nie pierwszy raz kłamiesz!

– Nigdy nikogo nie okłamałam, ciebie też nie!

– Przysięgnij!

Małgorzata przez chwilę milczała, przestała nawet płakać, potem rozplakała się jeszcze głośniejsze i rzuciła się na poduszkę.

– Widzisz – powiedziałam – nie chcesz przysiąc.

– Niebieska bluzka pękła w szwach, bo chciałam ją zmierzyć i nie dała się zapiąć – Małgorzata mówiła już całkiem przez nos.

– Domyśliłam się i dlatego nie odniosłam jej do Domu Towarowego.

– Białe pantofle nagle stały się za duże na ciebie, bo posłałam w nich aż do przystanku.

– Dobrze, o tym porozmawiamy innym razem.

– To już wszystko. Teraz mogę przysiąc.

– Ach tak! A Ryszard! Dlaczego nie powiedziałaś mi, że spotykasz się z nim? I że dałaś mu zdjęcie ciotki!

– Nigdy żadnego zdjęcia nie dawałam Ryszardowi! – powiedziała Małgorzata odrywając twarz od poduszki. – I w ogóle widziałam go tylko trzy razy: jak mi go przedstawiłaś, potem w tej cukierni nad rzeką, kiedy wylałam lemoniadę, i trzeci raz tutaj, u ciebie, wtedy jak twoja ciotka powiedziała, że on jest szalenie przystojny, ale za wysoki na jej gust, bo ona zawsze wołała niższych, pamiętasz?

– Skąd więc Ryszard miał zdjęcie, które ty zrobiłaś?

– Jakie zdjęcie?
– Poczekaj! – przyniosłam z pokoju torbę, zaświeciłam światło i wyjęłam zdjęcie ciotki z kotem.

Małgorzata przyglądała mu się nieufnie, odwróciła na drugą stronę, przesunęła palcem po błyszczącej stronie i po ząbkach, wreszcie powiedziała:

– To rzeczywiście moja robota, zresztą jak dotąd nikt jeszcze nie podrabiał ani zdjęć, ani pieczętki naszej firmy. Ale w jaki sposób Ryszard ją zdobył?

– Właśnie to chciałabym wiedzieć.

– Może zgubiłaś je, a on znalazł?

– Wiesz, że niczego nie gubię.

– A klucze?

– Klucze ktoś mi wyciągnął z torby w autobusie!

– A zeszłego tygodnia bilety do teatru?

– To o niczym nie świadczy. Mogłam je zostawić przy kasie.

– Poczekaj, mam genialną myśl! Pokaż torbę! Jeżeli nie masz drugiego takiego samego zdjęcia, to znaczy, że zgubiłaś, a on znalazł!

Zaczęłyśmy oglądać zdjęcia, jakie miałam w torbie. Było tego dość dużo, podzieliłyśmy wszystko na dwie kupki i obie po kolei przeglądaliśmy je – drugiego zdjęcia nie było.

– Widzisz – powiedziała Małgorzata – tak jak mówiłam: on je gdzieś znalazł.

– Ale gdzie?

– Tam, gdzie je zgubiłaś!

– To wykluczone! Mogłam je zgubić tylko na ulicy albo w biurze...

– Albo w autobusie. Płaciłaś za bilet i ono ci wypadło, a Ryszard jechał tym samym wozem i podniósł je.

– Nie, Małgorzato, to nie tak było. Ale kładź się już, rano będziesz niewyspana.

Zabrałam zdjęcia, schowałam je do torby i wróciłam do swego pokoju. Nie chciałam, żeby Małgorzata zrozumiała to, co dla mnie stało się nagle całkiem jasne: zdjęcie zgubiłam oczywiście przypadkowo, ale Ryszard nie przypadkowo je znalazł; musiał mnie śledzić. Po chwili odrzuciłam tę myśl: cały świat przecież nie mógł mnie śledzić. Zresztą, po co by Ryszard mnie śledził? Gdyby chciał spotkać się ze mną, wiedział, że wystarczy jeden jego telefon. Ale i w przypadek nie mogłam uwierzyć: to było wykluczone, żeby Ryszard szedł za mną właśnie w chwili, gdy zgubiłam zdjęcie. Żadne rozsądne wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy, za to przypominałam sobie dokładnie słowa kobiety w różowym szlafroku: „...to było chuchro, od ziemi ledwie odrosła...” Więc dziewczyna z biblioteki nie mogła być Irmą. Zmyliły mnie jej włosy, tylko one przypominały twarz ze zdjęcia.

Zasnęłam, a gdy zbudziłam się, wydało mi się, że spałam bardzo długo. Ale za oknami wciąż było jeszcze szaro; spojrzałam na zegarek: dochodziła czwarta, spałam tylko kilka minut, a zbudziła mnie uparta myśl, że z pewnością nie z powodu włosów wzięłam tę dziewczynę za Irmę.

XXI

Jak zwykle w czwartek, wstałam trochę później, bo po bułki schodziła Małgorzata. Zarzuciłam na siebie szlafrok i pobiegłam do kuchni, by przejrzeć gazetę. Wypadło z niej coś zielonego, baton mojej ulubionej czekolady orzechowej z wiewiórką o podniesionej kitce na zielonym tle, pokreślonym okrągłymi kulfonikami Małgorzaty,

które głośno: „Jestem podła!” Rozłożyłam gazetę i aż usiadłam z wrażenia. CZŁOWIEK Z DWIEMA WALIZKAMI WRÓCIŁ PO SWOJE WALIZKI – taki był pierwszy nagłówek, a pod nim, mniejszymi literami: „I OTRZYMAŁ JE” Nie było mowy o myciu, musiałam przede wszystkim dowiedzieć się, o co chodziło. Sprawa była tak niezwykła i nieprawdopodobna, że mimo woli zjadłam cały baton.

We wtorek rano Fabian Battisti, pracownik Zarządu Miejskich Plantacji, przyszedł, jak co dzień, na Skwer Profesorów i zaczął zamiatać główną aleję. Gdy zbliżył się do trzeciej ławki, licząc od Domu Profesorów, zauważył przy niej dużą, mocno podniszczoną walizkę. Kiedy zajrzał do środka, okazało się, że jest w niej jeszcze jedna walizka, znacznie mniejsza, prawie nowa. Zamknął walizę i chciał ją zanieść do budki, gdzie przechowywał swoje narzędzia, by o drugiej godzinie, podczas przerwy w pracy, oddać ją do Biura Zagubionych Przedmiotów. Był już koło budki, kiedy nadbiegł jakiś młody człowiek i poprosił Battistiego o zwrot walizki, którą zapomniał przy ławce na skwerze, gdzie czekał z ojcem na autobus. Battisti wahał się, czy ma prawo oddać walizkę nieznanemu człowiekowi, i zaproponował mu, żeby poczekał, aż nadejdzie jakiś policjant, młody człowiek zaczął go jednak prosić, by zaniechał tych formalności, bo odprowadza ojca na pociąg i boi się, że mogą się spóźnić. Wtedy Battisti kazał właścicielowi walizki powiedzieć dokładnie, co się w niej znajduje, a potem poszedł do budki i sprawdził: wszystko się zgadzało. W mniejszej walizce, tak jak powiedział nieznajomy, były dwie koszule męskie, pidżama, skarpetki, maszynka do golenia, mydło i ręcznik. Battisti wyszedł z budki i oddał walizkę

młodemu człowiekowi, który już nie był sam: przy nim stał starszy, dość tęgi mężczyzna. Obaj szybko oddalili się w kierunku Nowej Operetki. W środę rano, wchodząc do budki po narzędzia, Battisti zauważył na ziemi jakiś błyszczący przedmiot. Była to złota dewizka, jaką dawniej miały kieszonkowe zegarki. Battista domyślił się, że musiała wypaść z walizki, gdy sprawdzał jej zawartość, i przestraszył się, czy właściciel walizki nie posądzi go o kradzież. Po chwili kupił gazetę, a gdy przeczytał zeznanie Marii C. zrozumiał, kim był właściciel walizki. Nie od razu jednak złożył meldunek na policji, wpierw pojechał do domu i poradził się żony, z którą też przyszedł na posterunek i która nie opuściła go nawet wtedy, gdy przesłuchiwał go porucznik Flint.

Battisti nie potrafił szczegółowo opisać młodego człowieka, nie zauważył nawet koloru jego włosów. O drugim mężczyźnie potrafił powiedzieć tylko to, że był tęgi i niemłody.

Popatrzyłam na trzecią stronę, gdzie zwykle był artykuł redakcyjny komentujący wiadomości podane na pierwszej stronie. Tym razem był zatytułowany: **NAJZUCHWALSZY ZBRODNIARZ W DZIEJACH KRYMINALISTYKI**. Autor artykułu twierdził, że ujęcie człowieka z dwiema walizkami będzie najtrudniejszym problemem, z jakim spotkała się nasza policja w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. „Gdyby mnie ktoś zapytał, dlaczego tak sądzę – pisał – odpowiedziałbym bez wahania: bo ten człowiek działa wbrew logice i mimo to wszystko mu się udaje; my myślimy logicznie i dlatego morderca profesora Woytisa długo jeszcze będzie przebywać na wolności”. Następował spis pytań, na które, jak przypuszczał autor, nieprędko otrzymamy odpowiedź:

Morderca z pewnością nie od razu po dokonaniu zbrodni postawił walizkę przy trzeciej ławce. O krok od ławki znajduje się latarnia, jak więc przyjąć, że podczas obławy, zarządzanej natychmiast po znalezieniu zwłok, nikt z piętnastu policjantów nie zauważył walizki, a były przecież i psy. Znaczyłoby to, że walizka znalazła się w głównej alei dopiero po zakończeniu obławy, a więc po godzinie 2⁴⁵ po północy. Gdzie była przedtem? Po co ten człowiek zostawił walizkę na skwerze, skoro miał zamiar zabrać ją stamtąd? Dlaczego nie przyszedł po nią wcześniej? Dlaczego nie ukrył jej w krzakach, skąd mógłby łatwiej ją zabrać, a w każdym razie mniej było prawdopodobne, by strażnik natychmiast ją znalazł. Dalej: dlaczego morderca przed napadem niósł obie walizki osobno? Czy większa nie była wtedy pusta? Jeżeli przyjmiemy, że morderca nie miał zamiaru wrócić po walizki i niewątpliwie usunął wszelkie ślady, które mogłyby na niego wskazać, co więc sprawiło, że zmienił zamiar? Zauważył brak dewizki przy zegarku ofiary i bał się, czy nie zostały na niej odciski jego palców? Ale po co ją odrywał? I skąd mógł wiedzieć, że dewizka wypadnie na ziemię? Czy nie spodziewał się, że Battisti właśnie ją przede wszystkim zauważy, przeczyta wryty na niej napis i domyśli się wszystkiego? Znał Battistiego i wiedział, że jest mało rozbawiony? A gdyby nie Battisti znalazł walizkę? Mordercą był niewątpliwie tęgi mężczyzna, wskazywały na to zeznania Edyty Piat i Marii C. jeżeli więc młody człowiek był jego współnikiem, po co sam też wrócił na skwer i ułatwił tym możliwość ewentualnej identyfikacji? Jeżeli miał zamiar powiedzieć, że walizkę zostawił czekając na autobus, dlaczego postawił ją jak najdalej od

przystanku, i to w miejscu, skąd autobusów w ogóle nie widać? Wyliczając przedmioty znajdujące się w walizce, młody człowiek nie wspomniał o dewizce: czy nie wiedział o niej? Mógł być naprawdę synem tęgiego człowieka, a nie jego współnikiem, i mógł nie wiedzieć o zbrodni popełnionej przez ojca, ale w takim razie morderca, nie mu nie wspominając, że w walizce znajduje się dewizka, musiał zdawać sobie sprawę, że syn może nie otrzymać z powrotem walizki, a nadto może narazić i siebie, i jego samego. A może morderca nie domyślał się, że w walizce jest dewizka? W takim razie po co wrócił po nią? Bał się, że policja po monogramach na bieliźnie domyśli się, kto był mordercą? Po co więc nosił ją przy sobie i po co zostawił walizkę?

Na tym kończyły się pytania i następowała krótka notatka: „Z ostatniej chwili. Inspektor Clark, zawiadomiony o zeznaniu Battistiego, natychmiast oświadczył, że wystarczy zadać jedno pytanie Battistiemu, by zakończyć śledztwo przeciwko człowiekowi z dwiema walizkami”.

Roześmiałam się: inspektor Clark nie był obecny przy przesłuchaniu Battistiego, bo naprzód czekał na mnie, a potem szukał ze mną człowieka w dzinsach! Ale jeszcze bardziej rozśmieszyła mnie pomyłka dziennikarza: to pompatyczne oświadczenie wygłosił oczywiście porucznik Flint, a nie Michał! Tylko nie rozumiałam, jak można pomylić Michała z Flintem. Wydało mi się to zagadką trudniejszą do rozwiązania niż sprawa człowieka z dwiema walizkami.

Poza tym gazeta pełna była nekrologów profesora Woytisa, a na drugiej stronie znalazłam zdjęcie jego córki Marii, która nazajutrz, w piątek, miała odlecieć do Oslo i zapoznać zjazd z ostatnią pracą

ojca. Z powodu żałoby odmówiła udziału w bankiecie wydawanym, jak zwykle, przez osobę z domu królewskiego patronującą zjazdowi; zastąpić ją miał docent dr Jan Vial, również zaproszony na zjazd. To mnie zdziwiło: Ryszard kilka razy wspomniał mi o tym koledze, uważał go za miernotę. Albo więc Ryszard pomylił się w ocenie jego zdolności, albo o zaproszeniu na zjazd zdecydowały nie jego prace naukowe, lecz jakieś inne względy. Nie mogłam obronić się przed myślą, że gdyby Ryszard nie był opuścił przed czterema laty uniwersytetu, to on towarzyszyłby dzisiaj Marii Woytis na zjeździe. Prawie nic nie wiedziałam o córce profesora, jej ojciec nigdy mi o niej nie wspominał, chociaż często opowiadał o swojej młodszej córce Joannie, która nie chciała się uczyć, mimo sprzeciwu ojca została stewardessą, poznała w samolocie jakiegoś farmera z Nowej Zelandii, wyszła za niego za mąż i co roku na Boże Narodzenie przywoziła dziadkowi nowego wnuka. Maria musiała być przeciwieństwem Joanny: od pięciu lat była już profesorem uniwersytetu, a od Ryszarda była starsza zaledwie o trzy miesiące! O ile data jej urodzenia nie była wynikiem błędu drukarskiego, musiała być koleżanką Ryszarda ze studiów, skoro – jak przeczytałam w notatce – „studiowała pod kierunkiem ojca”, Ryszard jednak nigdy mi o niej nie opowiadał. Popatrzyłam na zdjęcie: jak każda reprodukcja na papierze gazety, było ono zamazane, ale mimo to wydawało mi się, że rozpoznaję bardzo regularne rysy i duże spokojne oczy.

Rzuciłam jeszcze okiem na notatkę pod tytułem „Kim był mężczyzna, który pił rum?”, nie było w niej nic, czego bym nie wiedziała

lepiej od jej autora, poszłam więc do łazienki i tam, pod tuszem, zaczęła się męka hipotez. Po klęsce z człowiekiem w džinsach dałam sobie słowo honoru, że przenigdy nie będę snuć żadnych hipotez, choćby moje wnioski trzymały się logicznie i tłumaczyły w sposób jasny i prosty najzawilsze problemy. Już dwa razy tej nocy nie dotrzymałam słowa, raz z powodu dziewczyny w obcisłych spodniach, drugi raz z powodu zdjęcia ciotki, dałam więc sobie słowo, że trzeci raz tego nie zrobię, ale to niewiele pomogło. Stałam namydlona, oczy mnie piekły, odkręciłam tusz, ale szum wody przeszkadzał mi w myśleniu. Przekręciłam kurek i pomyślałam, że młody człowiek, który odebrał od Battistiego walizkę, to mógł być albo Tom Kleeb, albo przechodzień, który wskazał mi postój taksówek. Odkręciłam tusz, żeby nie myśleć, ale tak było jeszcze gorzej: poczułam na powiekach dotyk warg Michała. Włożyłam płaszcz kąpielowy i usiadłam na brzegu wanny. Michał miał tyle sposobności, by mnie pocałować, i wszystkie zmarnował, dlaczego więc pocałował mnie właśnie wtedy, w tak, prawdę mówiąc, nie sprzyjających okolicznościach? I dlaczego w oczy? Powiedział, że mu „nie wolno”, a tak przecież powinna mówić kobieta, nigdy mężczyzna! By uciec od tego nawału myśli, zaczęłam myć zęby i, jak zawsze, spojrzałam w lustro. Nie miałam oczu! Nosiłam białą opaskę na oczach! A na opasce był kulfonikowaty napis: „Nigdy cię nie okłamałam, ale nie powiedziałam ci całej prawdy! Jeżeli uda mi się zobaczyć człowieka, który zmusił mnie do milczenia, wszystko ci sama powiem dziś wieczorem. A ty mnie o nic nie pytaj, bo to jak byś mi nożem obracała w sercu. Małgorzata”. Przyniosłam ołówek i dopisałam: „Do-brze”.

XXII

Wychodząc z domu obiecałam sobie babeczką śmietankową, jeżeli aż do przystanku wytrzymam bez myślenia. Cóż jednak znaczy najsilniejsza wola, gdy okoliczności zewnętrzne są nie sprzyjające: w sieni spotkałam dozorczynię; była bardzo podniecona, w ręce trzymała gazetę.

– Czytała pani o naszym Baptyście? – zapytała pokazując mi artykuł o człowieku z dwiema walizkami.

– Kto to jest Baptysta? – zdziwiłam się.

– Nie pamięta panna Matylda Baptysty z Parku Zamkowego? Dwa lata temu przenieśli go na Skwer Profesorów. No i wpadł teraz. A taki był przemądry, taki mocny w gębie!

Oczywiście, że pamiętałam Baptystą z Parku Zamkowego, postrach dzieci naszej dzielnicy. Ile razy sama przez niego płakałam! Strzegł swoich trawników jak smok skarbów i wystarczyło, by na zakręcie ścieżki ukazał się cień jego barczystej, masywnej postaci, a już dzieci w popłochu biegły ku swoim opiekunkom, gubiąc piłki i obręcze. To on wywiesił własnoręcznie wykonane napisy: „Psy i wszelkie inne zwierzę prowadzić na smyczy!” Zabrał mi raz piłkę, która wpadła między róże, i przez trzy dni nie oddawał. Byłam pewna, że naprawdę miał na imię Baptysta, nie wiedziałam, że to zniekształcone nazwisko.

– I co panna Matylda o tym myśli? – mówiła dalej dozorczyńni.
– Takiemu staruszkowi to chyba dużo nie dadzą. Ale dwa, trzy lata to pewnie posiedzi.

– Za co? Przecież on we wtorek rano jeszcze nic nie mógł wiedzieć. To znaczy, może przeczytał o napadzie na profesora Woytisa,

ale o człowieku z dwiema walizkami dowiedział się dopiero wczoraj rano.

– Moja pani – mówiąc to dozorczyńni porozumiewawczo zmrużyła jedno oko – nam to można takie rzeczy mówić, ale kto mu tam na policji uwierzy... Przecież gdyby do biura odniósł, to by mu się znaleźne należało, nie? To pani myśli, że on im tak za darmo oddał? Musiał wtedy co nieco wziąć do rączki i dlatego teraz nie wie, jak wyglądał młody człowiek, nie wie, co nosił, nic nie wie, biedaczek, nagle niedowidzi. I wie panna Matylda, co ja jeszcze pani powiem: że oni mu za te walizeczki raz dali, drugi raz za to, żeby nie pamiętał, a trzeci raz, że niby na ławce znalazł. A on w krzakach znalazł i jego psim obowiązkiem było zawołać policjanta, a nie taszczyć do budki!

Rozmowa z dozorczynią odkryła mi nową prawdę: że mylił się ten, który twierdził, iż najwięcej na świecie jest lekarzy; detektywów jest znacznie więcej. Przysięgłam sobie na ulicy, że mnie do nich nie zaliczą.

Pociąg do Almond odchodził co godzinę z Dworca Podmiejskiego, nie musiałam więc śpieszyć się, szłam powoli w stronę przystanku tramwajowego, gdy nagle widok budki telefonicznej wytrącił mnie z równowagi. Zaczerwieniłam się, serce zaczęło mi okropnie bić, nie weszłam. Obejrzałam wystawę z urządzeniami kanalizacyjnymi, poszłam parę kroków w kierunku szyn tramwajowych, zawróciłam i weszłam do budki. To było jak na egzaminie: przestałam być sobą; ktoś inny, nie ja, znalazł w książce telefonicznej numer sekretariatu Nowej Operetki, ktoś inny powoli nakręcił tarczę.

– Sekretariat – powiedział zgnębiony głos.

– Mówi Stella Savigny z redakcji „Magazynu dla wszystkich”.

Nasi czytelnicy chcieliby dowiedzieć się, dlaczego afisze Nowej

Operetki informują niedokładnie o porze zakończenia spektaklu.

Nikt nie odpowiadał; już miałam odwieść słuchawkę, gdy usłyszałam ten sam głos, tylko jeszcze bardziej zgęźbiony:

– W mojej obecnej sytuacji nie mogę, niestety, odpowiedzieć na to pytanie, ale...

– Przepraszam, nie dosłyszałam.

– Nic nie powiedziałem. Myślę, że... za dziesięć minut, gdyby pani mogła wstąpić do nas... to porozmawialibyśmy na interesujący nas temat. Woźny zaprowadzi panią. Ten, który stoi przy drzwiach wejściowych. I...

– Słucham?

– Nic nie powiedziałem. Będzie mi bardzo miło poznać panią. Do zobaczenia za dziesięć minut, powiedzmy: za piętnaście – z ulgą zakończył głos.

Poszłam przez Skwer Profesorów, Battistiego jednak nigdzie nie zauważyłam. Usiadłam na trzeciej ławce, tej, przy której stała walizka. Autobusu rzeczywiście nie było stąd widać, może więc dozorczyńni miała rację: Battisti opowiedział to, co mu kazano. Tak, ale gdyby tak było, morderca znalazłby jakieś sensowniejsze wyjaśnienie.

Kawiarnia przy teatrze Nowej Operetki była jeszcze zamknięta, obeszłam budynek dokoła, nigdzie nie było baru kawowego. Dopiero w bocznej ulicy znalazłam małą kawiarenkę, zjadłam babeczkę śmietankową i wypiłam kawę z ekspresu. Nie byłam pewna, czy sekretarz był wysokim, szczupłym i łysawym mężczyzną – co mi trochę utrudniało ułożenie pytań i odpowiedzi – w każdym razie nie znał tej Stelli, to było najważniejsze. Ale trochę czułam się tak, jak bym się bała. Tuż za barem kawowym była budka telefoniczna; postanowiłam odwołać spotkanie. Nikt nie podchodził do aparatu.

Nakręciłam jeszcze raz numer sekretariatu i patrzyłam i przez szybę na deskę z czasopismami, opartą o ścianę sąsiedniego kiosku. Wszystkie tytuły odnosiły się do człowieka z dwiema walizkami. Wyszedł z budki.

Woźny stał rzeczywiście przy drzwiach, ale do sekretariatu mnie nie zaprowadził.

- Chwileczkę – powiedział.
- Pan sekretarz chyba już jest wolny...
- Nie – odpowiedział i zgiął się w niskim ukłonie.

Koło nas przeszła wysoka, całkowicie kruczka brunetka, szalowa w każdym calu.

– Tym korytarzem na lewo – powiedział woźny – potem trzeba uważać na schody, bo ciemno, najlepiej niech pani liczy: siedem stopni, przerwa i jeszcze trzy. Potem na prawo, wahadłowe drzwi, korytarz, trzecie drzwi za ubikacją.

Gdy dotarłam do tych trzecich drzwi, byłam już tylko kłębkim rozdygotanych nerwów, ale sekretarz podział na mnie uspokajająco: wyglądał jak bliźniak Beniamina Polly, różnił się tylko ilością podbródków. I o nic nie musiałam pytać, a gdybym nawet zdobyła się na jakieś dziennikarskie pytanie, wątpię, czy dotarłoby ono do uszu i świadomości sekretarza. Jego poprzednia małomówność nie wypływała z niechęci do rozmów telefonicznych, jak początkowo sądziłam. Wkrótce odkryłam jej źródło i była to jedyna tajemnicza sprawa, jaką udało mi się wyświecić tego dnia.

– Zacznę od tego, że publiczność ma oczywiście prawo pytać, nawet dziwić się, ale nie powinna mieć pretensji do zarządu, bo to minimalne przedłużenie spektaklu: 15 minut wszystkiego, w niczym nie komplikuje powrotu do domu. Autobusy sprzed teatru do 11²⁰

chodzą według rozkładu dziennego i dopiero od tej godziny są niewielkie zmiany, to znaczy chodzą rzadziej i piątka jedzie dłuższą trasą, bo łączy własną linię z szóstką. Od strony komunikacji jesteśmy więc w porządku, nie narażamy naszych widzów na stratę czasu. Pozostaje strona artystyczna, dlatego właśnie poprosiłem panią do siebie – sekretarz rozparł się w fotelu, splótł ręce i zaczął kręcić młynka dużymi palcami. – To, co teraz pani powiem, nie nadaje się oczywiście do publikacji, ale sądzę, że mimo to będzie mogła pani coś dla mnie zrobić. Właśnie pani, bo pismo, z którym pani współpracuje, o ile mi wiadomo, nie zamieściło dotąd recenzji z naszego nowego spektaklu, chociaż, nie mówię tego oczywiście w formie zarzutu, idzie on już od trzech miesięcy. Z poprzedniego naszego spektaklu, o ile mnie pamięć nie myli, też nie daliście recenzji, mam tu wszystkie wycinki, zresztą pani lepiej ode mnie wie, że nie było żadnej wzmianki o naszym teatrze, i przyczyny tego przemilczania, nazwałbym je systematycznym, są pani też lepiej znane niż mnie. Ale nie o tym chciałem mówić. Moim zamiarem jest wprowadzić panią w kulisy nie tyle naszego teatru, co trudności, z jakimi jest związane prowadzenie teatru, w którym, siłą rzeczy, grają kobiety. Jednym słowem, nasza primabalerina po sobotnim przedstawieniu zerwała kontrakt. O tym, co ją skłoniło do tego, nie będę mówić, to jest nieistotne. Czy pani zerwałaby kontrakt tylko dlatego, że oświetlenie w garderobie mruga? W każdym razie rozumie pani moje położenie: poza podjęciem kroków sądowych musiałem znaleźć kogoś na jej miejsce, i to przez niedzielę! Oczywiście kogoś, kto nie obniżyłby poziomu spektaklu. Otóż w sierpniu o to niełatwo, właściwiej byłoby powiedzieć, że to jest zupełnie niemożliwe. One

kurują się w sierpniu. Co nie znaczy, że nie znalazłem. Wprost przeciwnie. I to gwiazdę pierwszej wielkości, która mogłaby z powodzeniem występować w stolicy – Ginę Agricoli. Wydawałoby się więc, że wszystko w porządku, spektakl uratowany itd., itd., ale... właściwie tu dopiero zaczęły się trudności. Bo pani Agricoli odznacza się nie tylko wielką urodą, talentem i muzykalnością. Poza tym, jak wszystkie kruczowłose brunetki, odznacza się też temperamentem, który nazwałbym i nie byłoby w tym najmniejszej przesady: nieodpartym. W każdym razie ja jego ataków nie umiałem odeprzeć. O, przepraszam, nie pomyślałem o tym, że pani pali. Pani pozwoli – podał mi ogień i nie rozparł się już w fotelu; oparł teraz ręce na biurku, splótł palce i pochylił się konfidencjonalnie ku mnie. – Ale, przepraszam, czy pani widziała już nasz spektakl? Nie? O, to szkoda; zaraz temu zaradzimy. Z tą karteczką pani łaskawie pofatyguje się do kasy, i mam nadzieję, że jeszcze dziś wieczór zobaczymy panią na sali – dostałam maleńką zieloną karteczkę, na której sekretarz coś napisał. – Jak więc wspomniałem, nasze trudności nie skończyły się wraz z zaangażowaniem pani Agricoli, mogę nawet powiedzieć, że dopiero się zaczęły, a to ze względu na charakter spektaklu. Sam tytuł zresztą je tłumaczy: „Sonata księżycowa”. Rozumie pani aluzję? Nie? Beethoven też napisał „Sonatę księżycową” i pewne jej motywy, unowocześnione oczywiście, powtarzają się w operetce. Myślę o motywach muzycznych, bo libretto jest całkowicie oryginalne: pierwsza rakieta ląduje na Księżycu, załoga udaje się na drugą stronę, tę, której nie widzimy, tam odkrywa królestwo wiecznie młodych kobiet, akcja komplikuje się, bo ich królowa postanawia nie

puścić na ziemię kierownika wyprawy, szalenie przystojnego tenora. Ratuje go nawigator, który zamienia się z nim aparatem tlenowym i ofiarowuje się zostać na księżycu. Królowa w pierwszej chwili niczego się nie domyśla, rakieta już, już ma odlecieć, gdy w ostatniej chwili wychodzi na jaw prawda: nawigator jest piękną dziewczyną zakochaną w kierowniku wyprawy, potem jednak wszystko dobrze się kończy. Ale rozumie pani: wkładki baletowe to taniec pyłu radioaktywnego, taniec kosmiczny, walc raketowy itd., a Agricoli jest mistrzynią tańców hiszpańskich! Czyli że postawiła mnie przed taką alternatywą: albo dwa dodatkowe tańce, habanera z kastanietami i bolero, albo nie podpisuje kontraktu. No a razem ze zmianą kostiumu to daje piętnaście minut. Teraz, gdy już odkryłem karty przed panią, powiem, jakiego rodzaju jest moja prośba: Agricoli żąda dodatkowych recenzji w prasie ze szczególnym podkreśleniem jej osoby. Nic łatwiejszego dla mnie, na pozór oczywiście. Bo w rzeczywistości ja te recenzje mogę uzyskać, ale ja ich nie chcę! Za skarby nie chcę. Za chwilę powiem pani dlaczego. Albo od razu powiem: z tych samych względów, dla których na afiszach nadal drukujemy: „Zakończenie spektaklu o godzinie 10³⁵”, a nie „o 10⁵⁰”. Koniec sierpnia: rozumie pani. Nie? Kompozytor i choreograf lada chwila wrócą z urlopów, a ja nie chcę narazić teatru na kosztowny proces, który zresztą przegralibyśmy jak dwa a dwa cztery. Dlatego pomyślałem o tygodniku, do którego pani, przepraszam, o dwutygodniku, tak? Pani nie wie? Ach, rozumiem, pani tego rodzaju prasy nie czytuje, cudowne! Pomyślałem więc o czasopiśmie, do którego pani pisuje, jako o idealnym złotym środku. Bardzo mało o nim

się słyszy, w kioskach raczej też go nie widuję, słowem, jest mała możliwość, by te dwie osoby, o których wspomniałem, kiedykolwiek do niego zaglądnęły. Ale recenzja jest recenzją, Agricoli prasą raczej się nie interesuje, z każdej wzmianki będzie zadowolona, a ja będę miał spokój. Wobec tego mam nadzieję, że po obejrzeniu „Sonaty księżycowej” napisze pani recenzję w duchu, który uzgodniliśmy: z podkreśleniem osoby i talentu Agricoli. I ogromnie się cieszę, że mogłem panią poznać, dotychczas znałem tylko pani artykuły. Żegnaj, a raczej do zobaczenia dziś wieczór.

Żadna ruda mysz pewnie nigdy nie była tak spocona jak ja po opuszczeniu gabinetu strasznego sekretarza. Korytarz był ciemny, nie mogłam się przypudrować, ale przypominałam sobie, że trzecie drzwi to toaleta. Zamknęłam oczy, gdy zobaczyłam się w lustrze: nawet włosy miałam zlepione. Nim wyrzuciłam zieloną karteczkę do kosza, popatrzyłam, co on tam napisał, i triumfalnie się roześmiałam: „2 x XVIII”. Widocznie pomoc Michała niewiele pomogła pięknej Stelli, skoro oceniono ją na osiemnasty rząd! Korytarzem ktoś przechodził, jakiś śmieszny głosik powiedział: „Ona tu weszła”, drzwi się uchyliły i natychmiast zamknęły, ale to mi wystarczyło: poznałam czarną piramidę loków dziewczyny z biblioteki. Wybiegłam na korytarz, był już pusty i nie wiedziałam, do którego pokoju ona weszła. Nie miałam odwagi szukać jej w tym labiryncie ciemnych korytarzy, zresztą w ogóle już nie miałam odwagi, ani sił, ani niczego. A kiedy wyszłam na ulicę, zrozumiałam, że mogłam w sposób znacznie prostszy dowiedzieć się, o której kończy się przedstawienie: wystarczyło przyjść wieczorem pod teatr.

XXIII

Gdy pociąg minął Toy, ostatnią stację przed Almond, wyszłam z przedziału i zbliżyłam się do wyjścia. Stał już tam drobny, chudy człowieczek, tak nijaki i niepozorny, że gdyby nie był zakatarzony i nie kichał co chwilę, w ogóle nikt by go nie zauważył. Z naszego wagonu w Almond wysiadł tylko on i ja; przechodząc przez tory zapytałam go o drogę do farmy Vassich. Otulił się szalenie i odpowiedział, że nie pochodzi z tych stron. Zapytałam o to samo jakiegoś kolejarza; roześmiał się mówiąc:

– Wszędzie naokoło są farmy Vassich. Ja też jestem Vassi. I naczelnik stacji, jak pani chce wiedzieć, też jest Vassi, choć to żaden krewniak. U nas musi się powiedzieć imię, bez tego tu nic nie wiadomo.

Nie pamiętałam imienia ojca Ryszarda; wiedziałam co prawda, że wystarczy powiedzieć „ten, którego syna aresztowano”, ale tego właśnie nie chciałam powiedzieć.

– Pani może do tych z młyna? – zapytał kolejarz.

Nagle przypomniałam sobie jakiś dokument Ryszarda i napis: „Syn Mateusza...”, drugiego imienia nie pamiętałam.

– Właściciel nazywa się Mateusz – powiedziałam.

– Mateusz? – zamyślił się kolejarz. – Mateusz Vassi? Nie znasz jakiegoś Mateusza Vassi? – zwrócił się do chłopaka, który popychał wózek ze skrzynkami pomidorów.

Chłopak przystanął, zepchnął czapkę z czoła, zamyślił się i w końcu powiedział:

– Nie ma tu żadnego Mateusza.

– Widzi pani, nawet on nie słyszał o takim, a jego ojciec jest listonoszem. Ale czy... – przyjrzał mi się uważnie – czy pani nie do tych z Górek?

– Tak, oczywiście, z Małych Górek! – przypomniałam sobie nazwę farmy i typowy tamtejszy zwyczaj używania tylko drugiego imienia; przecież Ryszard też nigdy nie używał swego pierwszego imienia.

Kolejarz pokazał mi drogę: zaraz za stacją zaczynała się dość stroma dróżka, która zboczem wzgórza prowadziła do farmy, niewidocznej z dołu, bo zasłaniały ją wysokie drzewa. W połowie tej dróżki minął mnie schodzący na dół młody człowiek. Byłam zadowolona, że człowiek w dżinsach już się nie liczył, inaczej miałabym nowego podejrzanego: wyszedł prawdopodobnie z farmy, znał więc Ryszarda, do tego nosił dżinsy bez mankietów, i to szare! Obejrzałam się za nim; stał, wpatrywał się we mnie bynajmniej nie pesząc się, że ja to widzę. Wzruszyłam ramionami i poszłam dalej.

Brama była otwarta, weszłam na obszerne podwórze otoczone wysokim murem i ocienione rozłożystymi lipami. Mimo że pies wybiegł z budy i zaniósł się spazmatycznym wyciem, nikt nie wyszedł z domu. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie wiem, co mam powiedzieć tym ludziom, którzy, być może, nigdy o mnie nie słyszeli, a jeżeli nawet Ryszard kiedyś im o mnie opowiedział, było to tak dawno, że już o tym zapomnieli. Michał twierdził, że Józefina nie rozmawiała z Ryszardem, mogła więc nic nie wiedzieć o moim udziale w tej sprawie. Zrozumiałam, że niepotrzebnie tu przyjechałam, i miałam już zawrócić, kiedy poczułam na sobie czyjś wzrok: w otwartym oknie parteru zobaczyłam pomarszczoną twarz

mężczyzny, który wkładał ciemną marynarkę. Pomagała mu w tym wysoka kobieta; widziałam jej chude, długie, nerwowe ręce. Po chwili kobieta wyszła na próg i spojrzała na mnie wyczekująco.

– Dzień dobry – powiedziałam, podeszłam do niej, żeby się przedstawić, ale ona, nie czekając na to, odwróciła się, weszła do ciemnej sieni i otworzyła jakieś drzwi mówiąc:

– Niech pani tu wejdzie.

Izba była duża, mroczna, idealnie czysta. Co najmniej połowę jej zajmował olbrzymi piec, w którego ciemnej czeluści zobaczyłam rożny. Ryszard kiedyś opowiadał mi, że ich farmę wybudowano w roku bitwy pod Waterloo; wygląd tego pomieszczenia nie wskazywał, by coś tu się zmieniło od tej pamiętnej daty.

Byłam tak zmieszana i tak nieprzygotowana na to, co tam zastałam, że w pierwszej chwili wzięłam wysoką kobietę za służącą. Dopiero gdy powiedziała o Ryszardzie „brat”, zrozumiałam, że to Józefina. I ona, i ojciec przypominali Ryszarda tylko wzrostem. Poza tym ojciec – może dlatego, że ludzie z tej samej epoki bardziej są podobni do siebie niż do swoich dzieci – zupełnie mi przypominał zdjęcia Cypriana Basila, które poprzedniego dnia oglądałam w gazetach przytaczających jego zeznania.

Na szczęście nic nie musiałam mówić, Józefina mówiła za siebie, za ojca, za mnie, a później, gdy przyszedł jej mąż, o którym i do którego mówiła „Warens”, jego też nie dopuściła do głosu. Ci ludzie wiedzieli o mnie nie tylko więcej, niż przypuszczałam, właściwie wiedzieli wszystko, nawet to, co powiedziałam Michałowi: Józefina była poprzedniego dnia w mieście i zwróciła się do znajomego

adwokata, który przyjechał do Almond późną nocą, aby zapoznać ją z przebiegiem śledztwa.

– Czy to dobry adwokat? – zapytałam.

Moje pytanie oburzyło Józefinę: Jonatan Polder musiał być dobrym adwokatem, jego rodzice nie dojadali, żeby tylko on mógł się uczyć; ojciec, urzędnik tutejszej gminy, sprzedał ostatni kawałek ziemi i został mu już tylko dom, matka chodziła sprzątać aż do Toy, siostry do dziś nie wyszły za mąż, wszystko przez niego. Ale Jonatan, tak samo jak Ryszard, nie odwdzińczył się rodzicom i rodzeństwu. Nic nie zarabiał, a jak już coś zarobił, za wszystko kupował książki. Józefina nie miała zamiaru zapłacić mu ani grosza za obronę Ryszarda; obiecała to jego ojcu, z którym miała stare rozliczenia. Zaczynała już zresztą żałować swego kroku; przed chwilą był u nich młodszy brat adwokata, Piotr Polder; ojciec przysłał go z prośbą – Józefina, która właśnie nalewała kawę do kubków, odstawiła naczynie, by dobitniej zaakcentować słowo: „o zadatek”.

Byłam coraz bardziej przygnębiona, nie mogłam przełknąć placzka ze śliwkami, który Józefina pokrajała na olbrzymie kawałki i postawiła pośrodku stołu. Rozumiałam rozczarowanie tych ludzi: tak bardzo przecież liczyli na Ryszarda i tak głęboko się rozczarowali. Od czterech lat zamiast im pomagać, potrzebował ich pomocy. Gdy wyprowadził się od pani Munde, okazało się, że poza książkami nie miał nic własnego. Józefina zawiozła na ulicę Henrietty pościel, obleczenia, obrusy, ręczniki; pamiętała dokładnie, ile sztuk tego było i co było nowe, a co stare.

Właśnie wtedy ojciec Ryszarda, który dotąd w milczeniu popijał kawę, powiedział pierwszy raz to dziwne zdanie: „Wszystko co on ma, zmieści się w koszu”.

Józefinie oddano klucze od domu przy ulicy Henrietty, ale, ku mojemu zdziwieniu, nie zamierzała w ogóle zająć się książkami Ryszarda, które przecież musiały uciepnieć od wody, choć już we wtorek straż pożarna osuszyła piwnicę. Chciała tylko zabrać stamtąd to, co mu zawiozła, pościel, bieliznę. Nie rozumiałam tego i powiedziałam jej, że przecież Ryszard po wyjściu na wolność będzie potrzebował tych rzeczy. Z trudem opanowałam oburzenie i przerażenie, gdy Józefina odpowiedziała mi, że Ryszard nigdy nie wyjdzie z więzienia, a jeżeli nawet wypuszczą go, to dopiero po wielu latach. Po chwili straciłam ostatnie złudzenie: nie była to niewiara w sprawiedliwość naszych sądów; oni wierzyli w winę Ryszarda! Nie mieli najmniejszej wątpliwości, że Ryszard zabił swoją żonę, bo chciał się jej pozbyć, a nie z zazdrości. Była chora, nic w domu nie robiła, leczenie kosztowało dużo, w ich stronach był już podobny wypadek.

Chciałam ich przekonać, jak strasznie się mylili, tłumaczyłam, że przecież Ryszard żeniąc się z Teresą wiedział o jej ciężkim stanie.

– Nic nie wiedział! – przerwała mi gwałtownie Józefina. – Kto by mu o tym powiedział? Lekarz, ten główny, wiedział, pewnie że wiedział, ale nie chciał jej trzymać u siebie w szpitalu, bo nic nie robiła, chorowała, brała lekarstwa, a pensję trzeba było płacić. To zamiast wyrzucić, lepiej było ją wydać za mąż, jak się taki głupi znalazł, co ją chciał. To jak pani chce, żeby on takiemu prawdę powiedział? A ona też nie była głupia, co to, to nie. Złapała, to trzymała.

Mąż Józefiny, który przyszedł przed chwilą i nie mieszał się do rozmowy, nagle zwrócił się do mnie, chytrze uśmiechnięty:

– A pani przyznałaby się narzeczonemu, że nic w domu pani nie zrobi, że tylko pieniądze trzeba będzie wydawać na lekarstwa i szpital?

– Ależ Ryszard był ubezpieczony, strażnicy korzystają z ubezpieczalni tak samo jak inni pracownicy, razem z rodziną! – zawołałam.

– Korzystają, jak chcą – powiedziała Józefina. – A on nie chciał! Wie pani, co zrobił, jak dostał odszkodowanie z kolei? Zawiózł ją do sanatorium nad morze, gdzie była sama jedna w pokoju, chodzili koło niej jak koło hrabiny, kwiaty codziennie zmieniali, jak nie mogła chodzić, to ją na wózku na powietrze wywozili. Trzy miesiące tam była, wróciła, pokręciła się trochę po domu i z powrotem do szpitala.

Zrozumiałam, że próżno tym ludziom tłumaczyć ich brak logiki: jeżeli Ryszard umieścił Teresę w prywatnym, z pewnością bardzo drogim, sanatorium, to już to samo świadczyło, jak bardzo ją kochał i że zrobił wszystko, by ją ratować. Ale Michał też nie wierzył zeznaniom Ryszarda i był przekonany, że nikt nie wyskoczył oknem, bo Ryszard nikogo nie zastał w domu. A człowiek w dzinsach nigdy nie istniał! Powoli zaczęła wyłaniać się przede mną straszna prawda: Ryszard chciał zabić Teresę z litości. Takie było jedyne logiczne wytłumaczenie: nie mógł patrzeć na jej mękę, skorzystał prawdopodobnie z chwili, gdy nie była całkowicie przytomna, i pod pozorem, że daje jej lekarstwo, chciał otruć ją cyjankiem; kiedy zrozumiał, że to już niepotrzebne – ona nie żyła. A resztę zainscenizował, właściwie zainscenizował tylko jedno: szalik porzucony na oknie. Rum przecież rzeczywiście przyniósł Tom Kleeb, ale Ryszard o tym nie

wiedział, bo go już wtedy nie było w domu. Jeżeli jednak nie wiedział, kto przyniósł rum, mógł pomyśleć, że ktoś odwiedził jego żonę... nie mogłam wybrnąć z tego labiryntu przypuszczeń, nie mogłam nawet skupić się, bo Józefina nie przestawała mówić, a ojciec Ryszarda co pewien czas wtrącał swoje utyskiwanie, że Ryszard obiecał dużo pieniędzy, a nic nie dawał, podczas gdy Warens, wykozystując nieliczne przerwy między słowami swojej żony, opowiadał historię spadku po krewnym z ulicy Henrietty.

Nie mogłam dłużej tego znieść, chciałam jak najprędzej odejść.

– Co mogłabym dla państwa zrobić? – zapytałam. – Chciałabym pomóc.

Wszyscy nagle umilkli i spojrzeli po sobie.

– Polder powiedział – przerwała wreszcie milczenie Józefina – że już dobrze by było, gdyby pani nie odwołała tego, co pani powiedziała temu inspektorowi, co był u pani. Ale Polder mówi, że pani wszystko odwoła.

– Ale dlaczego miałabym odwołać? – zdziwiłam się.

Znowu zapadło milczenie.

– Różnie bywa – powiedział mąż Józefiny – nikt nie chce sobie szkodzić.

O ile zrozumiałam, co miał na myśli Warens, to nadal nie pojmowałam, jak można odwołać własne słowa, zwłaszcza gdy nie zawierały one niczego, co by nie było prawdą. Chciałam właśnie zapytać Warensa, jak to sobie wyobrażał ich adwokat, kiedy ojciec Ryszarda, który od kilku minut obojętnie palił fajkę, nagle odezwał się:

– Daniel Woytis nie żyje. A przecież nie był starszy ode mnie, no, może o rok, dwa.

– Ojciec bardzo się zdenerwował, jak mu o tym przeczytałam – wtrąciła Józefina. – Byli razem przy wojsku, jeszcze podczas tamtej wojny.

Stary zaczął powoli, nieraz gubiąc wątek, opowiadać, jak uratował życie Woytisowi, który był wtedy tylko porucznikiem i niedawno się ożenił. Józefina szeptała mi do ucha, nie zważając, że przeszkadza ojcu:

– Ryszard miał żenić się z jego starszą córką, potem coś tam między nimi zaszło. Ona bardzo go chciała i jej ojciec też był za tym. Ryszard nic o tym w domu nie mówił, ale my i tak zawsze wiemy, co się w mieście dzieje. Tak samo o tym sanatorium nic nam nie pisał, zaraz pani pokażę jego wszystkie listy, zobaczy pani, co za brat z niego, dwa razy do roku nam pisał.

Położyła przede mną paczkę listów; przeglądałam je udając, że słucham opowiadania ojca Ryszarda. Józefina miała rację: od chwili wyjścia ze szpitala Ryszard napisał do nich cztery listy. Wszystkie pozostałe były adresowane do matki. Nagle stary zaczął kaszleć, wykorzystałam tę chwilę przerwy w opowiadaniu i szybko się pożegnałam. Józefina wyszła ze mną na podwórze, pies znowu wyskoczył z budy i ujadął.

– Chcieli go otruć – powiedziała Józefina – w nocy z poniedziałku na wtorek ktoś podrzucił zatrute mięso, ale on tak już jest przyuczony, że od obcego nic nie weźmie. Słyszałam, że czekał, ale nawet nie wyjrzałam, myślałam, że ktoś tam w górę idzie krótszą drogą, a rano wstając, koło budy leży kawał mięsa i zdechły szczur. Spaliłam mięso i szczura, bo by mi się koty potruły, jakbym wyrzuciła, i myślę sobie, że nic innego, tylko ktoś się dowiedział, że Warens

z ojcem wyjechali do miasta, i chciał nas okraść. Potem, ledwie oni wrócili, przychodzi policjant z naszego posterunku z jakimś cywilem i zaczynają wypytywać o Ryszarda, a ja jeszcze nic nie wiedziałam, co się stało. Chcieli zabrać to mięso do analizy, powiedziałam im, że spaliłam i że może źle zrobiłam, ale i tak by nie znaleźli tego, kto je podrzucił.

Doszliśmy już do Wrót, widać było cały stok wzgórza, dróżkę i w dole dworzec kolejowy. Jakaś kobieta biegła w naszą stronę wymachując gazetą i coś wykrzykując. Po chwili rozróżniłam słowa: „Grzegorz! Józefina!”, kobieta ciężko dysząc przebiegła ostatni odcinek drogi; na mój widok zatrzymała się, zawróciła i zaczęła zbiegać ze stoku.

– To jedna z dołu – wyjaśniła Józefina – dwa lata temu straciła córkę i męża i odtąd coś się jej pomieszało. W każdej gazecie szuka czegoś o nich. Bo oni zginęli w katastrofie autobusowej i dużo o nich wtedy pisali. Potem przestali, jak zwykle, a ją to boli. Potrafi dwa razy na dzień przybiec, żeby się poskarżyć, że znowu nic nie napisali.

Józefina prawdopodobnie zauważyła, że płaczę, bo nagle pożegnała się i wróciła na podwórze. Zaczęłam schodzić ku stacji, ale nie odeszłam daleko, usiadłam na trawie i płakałam tak, jak mi się tylko dwa razy w życiu zdarzyło: kiedy Ryszard zapowiedział, że nie będzie mógł widywać się ze mną, i po śmierci ciotki. Ale nawet wtedy nie byłam tak zrozpaczona: choć nie wyobrażałam sobie, jak potrafię obejść się bez Ryszarda, byłam pewna, że Ryszard nie opuścił mnie na zawsze, zostawało mi oczekiwanie. Gdy ciotka umarła, nie tylko

poczułam się sama na świecie, czułam się też winna, wyrzucałam sobie, że w ostatnich chwilach życia ciotka mogła zważyć o moim przywiązaniu widząc moje ciągłe roztargnienie i niecierpliwość. To było jednak coś innego: winna byłam tylko ja, tylko do siebie mogłam mieć żal. A teraz wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie: Ryszard oszukał mnie; wybaczyłam mu tamte dwie kobiety, Irmę i Teresę, one nie okradły mnie z tego, co mi było najdroższe, ze wspomnień tych pierwszych dwóch lat, ale Maria Woytis to było coś innego. Powinien był mi powiedzieć, że był już kiedyś zaręczony, nie wolno mu było kłamać, że jestem pierwszą kobietą w jego życiu, że póki mnie nie poznał, nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek mógł się ożenić. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat, powinien był wiedzieć, że w tym wieku wierzy się we wszystko, że każde jego słowo było dla mnie nie tylko prawdą ostateczną i niewzruszoną, ale i świętością. Notatka w porannej gazecie podawała, że Maria Woytis przed pięcioma laty wyjechała z naszego miasta, by objąć katedrę matematyki, to znaczyło, że w pierwszym roku naszej przyjaźni Ryszard spotykał się z nią codziennie, skoro pracowała na tym samym uniwersytecie co on, a poza tym z pewnością widywał się z nią w mieszkaniu jej ojca. Nie znałam jeszcze wtedy profesora, widocznie Ryszard nie chciał mi go przedstawić i zaprowadzić do niego, póki Maria była w mieście.

Ale to zmartwienie było tylko bolesne, a od kilku lat zrobiłam się wytrzymała na ból. Najstraszniejsza była prawda, którą mimo woli odsłoniła mi Józefina: ktoś z nich, ojciec albo Warens, miał na imię Grzegorz; w nocy z poniedziałku na wtorek nie byli w domu i – nienawidzili Ryszarda!

Może ojciec zresztą miał tylko żal do niego i był bezwolnym narzędziem w rękach zięcia, może nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co Warens robi. Ale to tłumaczyło wszystko: weszli do domu Ryszarda, bo Teresa oczywiście wpuściła swego teścia, Warens mógł zapytać, czyj jest wełniany szalik, Teresa powiedziała, że zostawił go Tom Kleeb... Ścisnęłam skronie dłońmi, by nie myśleć, wydawało mi się, że oszaleję, przypomniałam sobie słowa starego Vassi o koszu, zerwałam się i zaczęłam zbiegać w dół. Tuż koło drogi do stacji była ławka, usiadłam tam, wytarłam twarz i oczy chusteczką. Nie chciałam, by ktoś zobaczył mnie w takim stanie, ale nie mogłam zapanować nad łzami. Myślałam o Ryszardzie: coś trzeba było zrobić, by nie zaskoczyła go wiadomość o odkryciu zbrodniarzy, jakoś go trzeba było przygotować, musiałam zobaczyć się z nim, ale wiedziałam, że nigdy nie zdobędę się na to. Zdałam też sobie sprawę, jak strasznie on był osamotniony od czasu śmierci matki i że po wyjściu z więzienia nie będzie miał nawet domu, o ile nie zechce wrócić na ulicę Henrietty. A jeżeli nawet wróci tam, jak wytrzyma pośród swoich zniszczonych książek, pustych pokoi i strasznych wspomnień? Książki z pewnością można było uratować; postanowiłam zająć się tym natychmiast, jeszcze tego dnia, o ile Michał da mi klucze. Pewnie miał jakieś poza tymi, które odebrała Józefina. Usłyszałam turkot kół, zbliżał się pociąg; nie myśląc już o swoim wyglądzie, pobiegłam na stację, kupiłam bilet i wyszłam na peron. Okazało się, że to był pociąg jadący w innym kierunku, mój miał nadjechać dopiero za dziesięć minut. Zakatarzony człowieczek też już czekał na peronie; kupił sobie śliwki, które starannie płukał pod kranem.

Przypudrowałam się i zapaliłam papierosa; byłam już trochę spokojniejsza: wiedziałam, co mam robić, to było najważniejsze. Najstraszniejsze jest oczekiwanie z założonymi rękami. Jeżeli Ryszard wyjdzie z więzienia i zobaczy, że jego biblioteka ocalała, to już będzie wielka pociecha dla niego – powtarzałam sobie. Ale musiałam działać szybko, Ryszard mógł wyjść lada dzień, kłamliwe zeznania Battistiego nie mogły zmylić Michała, skoro nie zmyliły nawet naszej dozorczyń, prędzej czy później musiał zrozumieć, że Battisti naumyślnie opisał obu mężczyzn w ten sposób, by nie prowadzić policji na ślad zbrodniarzy. Im prędzej Michał pozna prawdę, tym prędzej Ryszard wyjdzie na wolność, to było jasne, nie wiedziałam jednak, czy mam powiedzieć Michałowi o swoim odkryciu. Wydało mi się to czymś potwornym, ale zatrzymywanie Ryszarda w więzieniu też było potworne. Tak się zamyśliłam, że nie usłyszałam, kiedy nadjechał pociąg. Prawie w ostatniej chwili wsia-
dłam do wagonu i dopiero w korytarzu zauważyłam napis „Dla niepalących”. Wyrzałam przez okno, czy jeszcze zdążę się przesiąść, ale było już za późno, zawiadowca dał znak, pociąg ruszył, zakatarzony człowieczek nagle odrzucił śliwki i pobiegł za pociągiem. Ktoś mu widocznie podał rękę, bo zdążył wsiąść do ostatniego wagonu.

Przejścia między wagonami nie było, dopiero w Toy przesiadłam się do wagonu dla palących. Zapaliłam papierosa i wyszłam na korytarz; przy oknie stał zakatarzony człowieczek. Nagle zrozumiałam: ten człowiek nie wsiadł na czas do pociągu, bo nie wiedział, czy ja wsiądę! Śledził mnie, z pewnością śledził mnie, tak samo jak dziewczyna z biblioteki!

XXIV

Drogę od przystanku tramwajowego do domu przebyłam prawie biegnąc: byłam pewna, że Michał czeka na mnie i niecierpliwi się, powiedział przecież – odprowadzając mnie po przygodzie z wdowcem i sierotką – że wpadnie do nas, gdy tylko będzie miał wolną chwilę. Z zakrętu schodów zobaczyłam siedzącego na ostatnim stopniu, prawie pod naszymi drzwiami, niezmiernie chudego młodego człowieka w niewiarygodnie niemodnym i wyświeconym czarnym ubraniu, który czytał książkę. Na mój widok przysunął się bliżej ściany, by zrobić dla mnie miejsce, ale nie przerwał lektury; mijając go zauważyłam, że czyta tomik wierszy, a grzebyk leżący w załomie książki wskazywał, że służy do rozcinania kartek. Włożyłam klucz do zamka, młody człowiek wstał i zamknął spokojnie książkę, przekręciłam klucz, młody człowiek schował książkę do kieszeni, a kiedy otwierałam drzwi, młody człowiek przesunął grzebykiem po ciemnych, rzadkich i tłustych włosach, po czym przedstawił się:

– Jonatan Polder jestem.

Wpuściłam go do przedpokoju, milcząco otworzyłam drzwi do pokoju i gestem wskazałam, żeby wszedł: nie wiedziałam, czy mam go tytułować „mecenasiem”. Jonatan Polder naprzód rozejrzał się po pokoju, potem usiadł przy stole, nie bardzo radząc sobie z ulokowaniem swoich długich nóg.

– Upał – powiedział. – Jestem obrońcą Ryszarda Vassi.

– Wiem – odpowiedziałam – właśnie wracam z Almond.

– Więc i to pani pewnie wie, że wrobili mnie w tę sprawę, bo

mój stary ma jakieś rozrachunki z Józefiną. Podejrzewam zresztą coś jeszcze gorszego: że wynaleźli te rozrachunki, żeby mnie zmusić do roboty. To moja trzecia obrona. Zapewniam panią, że nie ma nic uciążliwszego na świecie niż bronić niewinności człowieka, o którego winie jest się głęboko przekonany.

– Wierzę panu – odpowiedziałam uprzejmie – ale sprawa Ryszarda chyba jest dość prosta.

– Właśnie takie już moje szczęście; tamte sprawy też były proste i jasne jak dzień. Żadnej możliwości, żeby zabłysnąć, pokazać się. Broniełem ich zresztą z urzędu. Zniechęciłem się do reszty i myślałem już, że dadzą mi spokój. Ale nie, wczoraj wpada Józefina, zapewnia mnie, że jestem wyrodnym synem, i każe mi zapoznać się ze sprawą Ryszarda. O jakichś rozrachunkach ze starym nie było wtedy mowy. Dałem się nabrać tej suchej desce, spędziłem całe popołudnie i wieczór nad materiałami tej sprawy, w nocy pojechałem do Almond po zadatek i usłyszałem od Józefiny te słodkie słowa: „Rozrachunki ze starym”. Chciałem wycofać się, moralnie i fizycznie, z tej pułapki: za drzwiami stała matka. Wróciłem od Vassich i jestem wykończony. Do tego ten upał.

– Czy nie napiłby się pan kawy? – zaproponowałam.

– O ile to pani nie sprawia różnicy, to raczej wolałbym herbatę, ale tylko pod warunkiem, że z cukrem w kostkach. Innego nie znoszę. Kwestia wrażliwości.

Wstałam, Jonatan też wstał i przeszedł ze mną do kuchni, gdzie od razu usiadł przy stole.

– Nie mogę przebywać sam w obcym pomieszczeniu – wytłumaczył się. – Nie czuję wtedy samego siebie. Zatracam się. I o ile to pani nie szokuje, najchętniej wypiłbym herbatę w kuchni. Wąski, długi prostokąt lepiej działa na mnie niż kwadrat, zwłaszcza nie

znoszę dwóch okien rozdzielonych wąskim murem.

– Pan lubi mocną?

– Szatańsko mocną. Czajniczek, nim pani wrzuci herbatę, proszę chwileczkę potrzymać nad parą, żeby się ogrzał. I nie od razu zalewać wrzątkiem.

– Zawsze tak parzę.

– Najlepszy sposób.

– Oczywiście.

– Nie wszyscy go znają.

Nic już nie wymyśliłam, rozmowa urwała się. Domyślałam się, że Jonatan chce usłyszeć wprost ode mnie o tym, co się stało w poniedziałek w nocy, i że może potrzebne mu są jeszcze jakieś inne informacje, ale nie wiedziałam, jak poruszyć ten temat, a nic nie zapowiadało, by Jonatan sam zaczął właściwą rozmowę. Przypatrywał się na przemian swoim paznokciom i czajnikowi; po chwili powiedział:

– Wystarczy. Można zalać wrzątkiem. Kto jest pani adwokatem?

– Moim adwokatem? – wykrzyknęłam, omal nie parząc się wrzątkiem. – Przecież to nie ja jestem oskarżona! – i nagle przypomniałam sobie, że Michał też coś mówił o adwokacie.

– Na razie – powiedział Jonatan. – Czekają, aż zbiorą więcej materiału. Chociaż przyznam się, że raczej dziwi mnie, dlaczego oni nie aresztowali pani od razu. Współdział w morderstwie, pomoc w ukrywaniu zwłok – naprawdę starczy. Muszą mieć specjalne powody, jeżeli pozwalają pani tak bujać na wolności. Sądzę, że przy odrobinie pracowitości z łatwością mógłbym obronić Ryszarda, wykazując, że to on był współnikiem, a pani właściwą sprawczynią. Nic

łatwiejszego niż odwrócić role. Kwestia etyki zawodowej. Odporności nerwów też, oczywiście. Nie dla mnie, jednym słowem. We wrześnieu wychodzi pierwszy numer naszego kwartalnika, wracam właśnie z drukarni. Jedyny kwartalnik w kraju poświęcony wyłącznie poezji. Rozumie pani, że sprawa Ryszarda wypadła w bardzo niewłaściwym momencie. Zdaje mi się, że można już nalać, zbyt długie parzenie nie sprzyja aromатовi.

Zrozumiałam, że Jonatan jest poetą, i obawiałam się, że to jeszcze nie wszystko. Nie chciałam, żeby widział, jak mi się ręce trzęsą; odwróciłam się od niego nalewając herbatę, ale Jonatan wstał i zbliżył się do mnie, by stwierdzić, że można dolać jeszcze trochę esencji do jego szklanki.

– Papier, to nas rujnuje – powiedział siadając i stawiając przed sobą szklankę z hebanowym płynem. – Mamy ambicje dać pierwszej klasy, nawet gdybyśmy mieli ograniczyć nakład do 300 egzemplarzy. Czy pani cofnie swoje zeznania?

– Ależ dlaczego bym miała cofnąć? Przecież powiedziałam tylko prawdę.

– Och, nie wątpię, ale nie o to chodzi. Myślałam, że adwokat uprzedził panią. Lepiej cofnąć teraz, gdy pani nie jest jeszcze oficjalnie oskarżona.

Odstawiłam szklankę tak gwałtownie, że herbata zachybotła się w niej i przelała na spodek: przypomniałam sobie słowa Michała: „Wolno ci przemilczeć wszystko, co mogłoby zostać użyte przeciwko tobie jako podstawa oskarżenia”.

– O co pan mnie posądza? – zapytałam.

– Ja? Pani jest wspaniała! Ja bym miał panią o coś posądzać! Stwierdzam tylko fakt: nie ma pani żadnego alibi między godziną czwartą po południu, gdy opuściła pani biuro, a mniej więcej

jedenastą, gdy pani współlokatorka przekonała się ku swemu zdumieniu, że pani jest w domu. To raz.

– To niemożliwe! Małgorzata, to jest zresztą moja przyjaciółka, nie tylko współlokatorka, nie mogła czegoś takiego powiedzieć!

– A jednak powiedziała. Pani przyjaciółka wróciła do domu około ósmej, u pani w pokoju było ciemno, myślała więc, że pani wyszła. Proste, jasne i logiczne. Co nie znaczy, że prawdziwe. Wiem coś o tym z praktyki.

– Logiczne? Przecież musiałyby słyszeć, kiedy wróciłam!

– I owszem, gdyby nie spała. Sądząc, że pani nie ma w domu, zaczęła czytać Dantego i zasnęła, a gdy się przebudziła, było już późno i udała się” do łazienki w celu umycia włosów. Wtedy zadzwonił telefon, pani wybiegła z pokoju. Według jej słów, raczej nie zdarzało się, by pani przespiała cały wieczór, nawet gdy pani miała katar albo bóle żołądka.

– Bóle żołądka? Małgorzata powiedziała, że miałam bóle żołądka?

– Pani mnie nie rozumie. Ona powiedziała, że nie przypuszczała, by pani była w domu w poniedziałek wieczór, bo jeżeli było ciemno u pani w pokoju, to mogło oznaczać tylko jedno: że pani jest nieobecna, a nie, że pani śpi czy spoczywa w łóżku.

– Komu ona to powiedziała?

– Osobie, która ją przesłuchiwała.

– Inspektorowi Clarkowi?

– Prawdopodobnie.

– Dobrze, przypuśćmy tak: ktoś podejrzewa, że nie było mnie w domu. Co to ma wspólnego ze sprawą pana Vassi?

– Bardzo dużo. Jak pani udowodni, że nie była wtedy pani u niego w domu i, wykorzystując jego nieobecność, nie powiedziała pani, czy nawet zrobiła, czegoś, co miało wiadome skutki. Lekarz określił czas zgonu jak zwykle w przybliżeniu: między godziną dziewiątą a jedenastą.

– No nie, to niesamowite! Małgorzata musiała przecież powiedzieć, że słyszała naszą rozmowę!

– „Naszą”! Pani zapomina, że ona słyszała tylko pani słowa. Dość enigmatyczne dla niej, o ile dobrze zrozumiałem jej zeznania, skoro była pewna, że to dzwoniła kuzynka pani, która przeprowadziła się do nowego mieszkania. Dopiero po powrocie wyprowadziła ją pani z błędu: dzwonił klient Beniamina Polly, o którym tenże nigdy nie słyszał.

– Ależ to dzwonił pan Vassi!

– Jak pani to udowodni?

– Skąd bym inaczej знаła jego adres?

– Mój Boże, są biura adresowe! Albo jeszcze prościej: pani ten adres znała od dawna.

– Nie, pan mnie nastraszy. Wiem, że tę rozmowę można sprawdzić. Pan Vassi mówił mi, że każda rozmowa jest rejestrowana.

– Sprawdzono, proszę pani. Każda rozmowa jest rzeczywiście rejestrowana, ale nie numer, z którym ten aparat się łączy. Wiemy, że pan Vassi rzeczywiście prowadził jakąś rozmowę podczas dyżuru, ale to bynajmniej nie potwierdza pani zeznania! Mógł przecież połączyć się z byle jakim numerem. Ale ja wcale nie chcę pani straszyc. Nie mam zamiaru bronić mego klienta w ten sposób.

– Pan tak się wyraża, jak by Ryszardowi naprawdę coś groziło.

– Myli się pani, kara śmierci w naszym kraju została zniesiona w 46 roku.

Zerwałam się i przewróciłam szklanę; Jonatan szybko odsunął się od stołu.

– Pan jest przekonany o winie Ryszarda! – zawołałam.

– Oczywiście. I nie mam zamiaru zwalać jej na panią. Skoro zawinił, niech sam poniesie karę.

– Czy pan jest pewny, że nie minął się pan z powołaniem?

– Jest to jedyna rzecz na tym świecie, której jestem pewny: moim powołaniem jest poezja. Proszę, oto prospekt naszego wydawnictwa. Zostawię kilka sztuk, być może znajomi pani też zechcą się czegoś dowiedzieć – wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kilka kartek, z których patrzyła długie, smutne i zezowate oko poprzekreślane we wszystkich możliwych kierunkach załamanyymi liniami, i położył je na starannie wybranym miejscu, dokąd nie dotarła struga herbaty. – Żegnam, do zobaczenia.

Nie czekając, bym go wyprowadziła, Jonatan wyszedł do przedpokoju. Poszłam za nim: stał niezdecydowany koło drzwi.

– Ten pożar mógłbym wykorzystać, teraz mi to przyszło na myśl – powiedział odwracając się ku mnie. – Zwłaszcza o ile okaże się, że rzeczywiście miało miejsce podpalenie.

– O jakim pożarze pan mówi? – zapytałam raczej zmęczona niż zdziwiona, bo Jonatan więcej mnie już zdziwić nie mógł.

– Nie czytała pani? Dziś w nocy ktoś podpalił dom Ryszarda, to znaczy, jeszcze nie wiadomo na pewno, czy ktoś podpalił, w każdym razie był pożar. A to zawsze daje pewien efekt, czysto formalny

zresztą, i właśnie dlatego sędziowie przysięgli są tak mało czuli na pożary; forma do nich nie dociera.

XXV

Notatkę o pożarze znalazłam w kronice wypadków, do której rano nie zajrzałam: „Dziś około godziny pierwszej po północy wybuchł pożar w posesji nr 5 przy ul. Henrietty. Dzięki natychmiastowej akcji straży pożarnej i pomocy sąsiadów, szybko zlokalizowany pożar nie wyrządził większych szkód. Szczególnie odznaczyła się pani Wilhelmina Rose (zamieszkała przy ulicy Henrietty 3) i jej dzieci, które z narażeniem życia uratowały 67 królików od grożącej im śmierci w płomieniach. Przyczyną pożaru było prawdopodobnie podpalenie. Śledztwo w toku”.

Okolo pierwszej po północy – czyli wkrótce po naszym odejściu. Czyli że podpalacz był już w ogrodzie, a w każdym razie gdzieś blisko, gdy ja i Michał szukaliśmy człowieka w dzinsach. Mógł nas widzieć, a my z pewnością słyszeliśmy jego kroki; nie wątpiłam, że to on właśnie biegł i tak mnie nastraszył, kiedy stanęliśmy na rogu Henrietty. Michał chyba wiedział już coś więcej, może nawet schwytano podpalacza, wiedział zapewne także i to, dlaczego on podłożył ogień – ale Michał nie nadchodził.

To było niepojęte, miał przecież przyjść, gdy tylko będzie mieć wolną chwilę, a było już późne popołudnie. Gdyby był wstąpił przed południem i nie zastał mnie, z pewnością zostawiłby karteczkę z jakąś wiadomością. Usiadłam na parapecie okna, by widzieć jak

największy odcinek ulicy, ale co chwilę przyłapywałam się na tym, że patrzyłam nic nie widząc; Michał mógłby stanąć naprzeciw mego okna, a ja nie zauważyłabym go. Myśli moje były jak piłki, które odbijały się od postaci podpalacza, leciały ku Jonatanowi Polderowi i znów wracały do tamtego nieznanego człowieka. Nie wątpiłam, że gdyby dziwny adwokat wiedział o mojej obecności zeszłej nocy w ogrodzie Ryszarda, mnie właśnie posądziłby o podpalenie. Co prawda nie wyobrażałam sobie, jakie by mi motywy przypisał, ale i ja nie mogłam zrozumieć, jakie motywy skłoniły podpalacza do wzniesienia pożaru, a przecież to zrobił. Wychyliłam się tak daleko, że mogłam zobaczyć przystanek tramwajowy i postanowiłam poczekać aż do następnego wozu. Gdyby Michał w tym czasie nie nadszedł, miał to być znak, że powinnam, nie czekając na niego, natychmiast pojechać na ulicę Henrietty. Tylko tam mogłam dowiedzieć się czegoś pewnego; sąsiedzi, którzy gasili ogień, musieli coś zauważyć.

Zapomniałam, że miałam czekać tylko do następnego tramwaju, przejechało ich już z pewnością pięć albo sześć, gdy zeskoczyłam z parapetu, chwyciłam torebkę i wybiegłam z domu. W kiosku nie było jeszcze wieczornych gazet, miały nadejść lada chwila, ale nie chciałam czekać i poszłam na przystanek.

Na szczęście umiem wiele czynności wykonywać zupełnie automatycznie i jakoś dojechałam do rogu Składowej, a potem doszłam do ulicy Henrietty. Było, tam, jak zwykle, pusto, powietrze drgało od hałasów maszyny pana Rose, męża dzielnej Wilhelminy Rose (bo nie wątpiłam, że to kobieta w różowym szlafroku wraz ze swymi dziećmi ocalała królki od śmierci w płomieniach). U wejścia do ogrodu Ryszarda stał policjant, a parę kroków dalej zobaczyłam to

samo auto policyjne, z którego poprzedniego dnia wysiadł porucznik Flint. Minęłam policjanta i zrobiłam parę kroków po ścieżce prowadzącej ku domowi: nic nie powiedział, ale i tak nie miałam odwagi zapuścić się dalej. Werandy już nie było, reszta domu była osmalona, a dach ział okrągłą czarną wyrwą. Spojrzałam w lewo: klatka była pusta, widocznie króliki pozostały już na dobre u pani Rose. Nagle uderzyło mnie coś dziwnego po prawej stronie ogrodu: znikły krzaki agrestu osłaniające wdowca z sierotką, a jego spodnie były teraz czarne jak węgiel, sierotka wyglądała jak murzyńska dziewczynka, nawet fałdy anielskiej szaty były osmolone. Zdziwiło mnie, że ogień nie tknął nieco dalej rosnących krzaków agrestowych i bżów; mógł to być zwykły przypadek, ale zaczęłam podejrzewać coś innego: pamiętałam doskonale, że w nocy była obfita rosa, jeżeli więc ogień tak doszczętnie strawił wilgotne gałęzie, ktoś musiał oblać je naftą czy benzyną. Miałam już wyjść na ulicę, gdy zauważyłam tuż przy ścieżce jakiś przedmiot owinięty w papier. Schyliłam się: spod papieru wystawały czarne nieszczęsne łapki.

– Proszę tego nie dotykać i wycofać się! – krzyknął policjant, niepotrzebnie zresztą, bo w tej samej chwili pan Rose wyłączył swoją maszynę.

– Spalił się biedak żywcem – powiedziałam mijając policjanta.

– Nie, jego zabili – odpowiedział – i zakopali.

Stałam u wejścia do ogrodu, niezdecydowana, do kogo wejść, by dowiedzieć się czegoś bliższego o pożarze. Pani Rose z pewnością nie była osobą, której mówienie sprawiało przykrość, ale nie miałam odwagi tak po prostu zająć do nie znanych mi ludzi i nie wiedziałam,

jak wytłumaczyć im swoją ciekawość. Prościej byłoby wejść do sklepu, kupić papierosy, a przy sposobności zapytać o pożar; nie podobała mi się jednak właścicielka sklepu: choć widziałam ją tylko raz – poprzedniego dnia po męczarniach z Flintem – i tylko przez chwilę, zrobiła na mnie wrażenie osoby oschłej i mało rozmownej. Nagle usłyszałam głośny płacz; wydało mi się, że to u Ryszarda w domu ktoś płacze, zajrzałam do ogrodu i natychmiast cofnęłam się: z tylnej części ogrodu nadchodził Michał, porucznik Flint, wysoki mężczyzna w mundurze oficera i jakaś kobieta. To ona płakała; miała dobrą, przyjemną twarz, mały zadarty nosek, była cała pulchna i pełna doteczków, całość raczej nie usposabiająca do łez i dramatycznych okrzyków: „On się zabije! Albo ucieknie do Ameryki!” Tuż koło domu czwórka zatrzymała się; porucznik Flint podszedł do drzwi, podsunął pod nie kamień i pomógł wejść płaczącej kobiecie; Michał i oficer skierowali się ku wyjściu. Za nic w świecie nie chciałam rozmawiać z Michałem w obecności tego oficera; przebiegłam jezdnię i szybko weszłam do sklepu. Jego właścicielka pewnie stała przy drzwiach, bo omal jej nie trąciłam.

– Chwileczkę – powiedziała wychodząc przed sklep; widocznie bardzo ją interesowało to, co się działo w ogrodzie Ryszarda.

Spojrzałam przez szybę. Michał i oficer zawrócili, chwilę stali przed domem, po czym weszli do środka. Właścicielka wróciła ciężko wzdychając, a nawet ocierając coś w rodzaju łzy.

– Ma kobieta za swoje, oj ma! – powiedziała, niechętnie odchodząc od drzwi. – To matka młodego Kleeba, tego, co uciekł. Pani ich zna?

– Trochę – odpowiedziałam. – Dlaczego on uciekł?

– Kto to może wiedzieć – znowu westchnęła. – Widziałam panią wczoraj rano. Pani pewnie jest z uniwersytetu.

– Częściowo. Strasznie tu było podczas pożaru?

– Jasno jak w dzień. Ale zaraz przestało się palić, wszystko musiało jeszcze być mokre po tym deszczu. Gdyby nie nafta i benzyna, to by ogień w ogóle się nie przyjął. Przyszli do mnie dziś rano i pytają, czyje to naczynie na naftę, które przynieśli. Jeden był zwykły policjant, drugi w cywilu. Ten, co teraz z Kleebową wszedł do środka. Mówię im, że pana Vassi, zawsze w nim naftę kupował. Znam wszystkie naczynia moich klientów, po ciemku bym je poznała. A oni mnie pytają, czy jestem pewna, że to jego. Pytam się ich, czy mam przysięgać. Na to oni pokazują mi drugie, większe, i pytają, czy to też jego i czy ja mu benzynę sprzedawałam. „Jak mogłam mu sprzedać benzynę, powiadam, kiedy jej w ogóle nie trzymam. A czy naczynie jego, to nie wiem. U mnie w nim nic nie kupował.” To znów pytają, kiedy ostatni raz naftę kupował i czy pełne pięć litrów kupił, bo akurat tyle w tę bańkę wchodziło. „W środę kupił, mówię, i w ogóle nie mierzyłam, bo wiem, że jak bańka pełna, to akurat pięć litrów wlałam”. „Dobrze, mówi ten w cywilu, a skąd pani wie, że to była środa?” Słyszała pani takie pytanie: skąd ja wiem, że to była środa? Jak bym dni tygodnia na pamięć nie znała. „Do szkoły w dzieciństwie chodziłam, panie inspektorze, odpowiedziałam mu grzecznie, i tam zaraz w pierwszej klasie nauczyli mnie, że po wtorku jest środa.” Jak mu to powiedziałam, to już rozumiał, że ze mną nie wygra. Jeszcze popytał, co się najpierw zapaliło: dom czy krzaki, i poszli sobie. Czym mogę pani służyć? Kupiłam dropsy eukaliptusowe, papierosy i zapalki, właścicielka powoli wydawała mi resztę;

czułam, że liczy na dłuższą rozmowę. Nie miałam nic przeciwko temu, ale bałam się, że Michał wyjdzie z domu i ucieknie mi. Zbliżyłam się do drzwi, właścicielka stanęła koło mnie; pachniała, jak cały sklep, cynamonem, mydłem i naftą.

– Długo tam siedzą, pewnie czegoś szukają – powiedziała. – Ale czego? Wczoraj, jakeśmy się wszyscy z całej ulicy zbiegli do pożaru, Kleebowa nagle mówi: „A gdzie mój Tom?” Rozglądamy się, wszyscy są, nawet najmniejsze dzieci, a Toma nie ma. „Pewnie do telefonu poleciał” – mówi mój mąż. Przyjeżdża wóz straży pożarnej, Kleebowa pyta, czy to syn ich wezwał, a oni nic nie wiedzą, syn czy nie syn, tyle że ze Składowej dzwonił, że widać od nich jakieś płomienie, pewnie pali się na Henrietty. Na to ja mówię: „Pani Kleebowa, pani Tomek to się tak w dzień napracuje, że w nocy śpi jak zabity i nawet do pożaru nie wstanie”. Ugasili ten pożar, pojechali sobie, wszyscy poszli spać, a rano Kleebowa przylatuje i mówi, że Toma nie ma. Niedobrze, myślę sobie, chłopak mógł za blisko podejść, może go poparzyło albo co jeszcze gorszego się stało, ale jak matce to powiedzieć? Potem przyszło tych dwóch, co o naftę pytali, i Kleebowa im od razu, że jej syn zaginął. „Znajdziemy go, niech się pani nie boi” – odpowiedzieli jej. Potem przyszło ich jeszcze kilku, chodzili naokoło domu, oglądali ściany, fotografowali, piwo u mnie pili, ale o nic nie pytałam. W obiad przybiega mój mąż i mówi: „Wie mama, co się dzieje na cmentarzu? Policja z psami od grobu do grobu chodzi!” To ja go zaraz do Kleebowej posłałam, żeby jej powiedział, że przyszli z psami i szukają Toma na cmentarzu. Ale Kleebowej akurat w domu nie było, jak przyszła i do wiedziała

się, zaraz tam do nich na cmentarz pobiegła, a płakała po drodze, Boże mój, jak płakała! Bo wie pani, jak to jest: naprzód przyczepili się do jej chłopaka, że te pieniądze, co tam zginęły, to on ukradł. A jak już się przyczepili o jedno, przyczepią się i o drugie: że to on ogień podłożył. Nie ma spokoju dla biednych ludzi.

– Pani jest pewna, że to nie on ukradł? – zapytałam.

– Ukraść to może i ukradł – niepewnie odpowiedziała właścicielka sklepu i miała jeszcze coś dodać, ale właśnie z domu wyszedł Michał z oficerem, szybko przeszli przez ogród i już mieli wsiąść do wozu; a ja, choć nie miałam tego zamiaru, wybiegłam ze sklepu. Zabrzęczał dzwonek u drzwi, Michał spojrzął w stronę sklepu, zauważył mnie i natychmiast pożegnał się z oficerem, który mijając sklep dość niedelikatnie obejrzał się za mną ze swego jeepa.

Zbiegłam ze schodków, Michał podszedł ku mnie, bynajmniej nie uśmiechnięty i nie promieniujący radością z powodu tego spotkania. Był blady, czymś zdenerwowany, choć starał się mówić spokojnie. Żałowałam, że wyszłam ze sklepu.

– Mat, co ty tu robisz? – zapytał.

– Nic – odpowiedziałam. – Przyszłam ci tylko powiedzieć, że poranna gazeta pomyliła ciebie z porucznikiem Flintem. Powinieneś zażądać, żeby zamieścili sprostowanie. To przecież niesamowite, żeby oni tak ciebie ośmieszali i przypisywali ci to idiotyczne oświadczenie, że wystarczy jedno pytanie, i śledztwo będzie zakończone.

– Nie powinnaś mówić o mnie tak niesympatycznie, przynajmniej w oczy. Oni się wcale nie pomylili. To były moje słowa.

– Nigdy ci nie uwierzę! – rozłościłam się. – Tak mówi

porucznik Flint. Tylko on twierdzi, że wie wszystko, kiedy nie wie nic!

– Jesteś uprzedzona, Mat – powiedział Michał uśmiechając się, ale ten uśmiech wyszedł mu trochę blado. – A śledztwo byłoby już zakończone, gdyby Battisti odpowiedział mi na pytanie, które mu miałem zadać.

– A dlaczego nie zadałeś mu tego pytania?

– Bo Battisti jest chory. Jak tylko wrócił do domu z Komendy, miał atak woreczka żółciowego; teraz jest w szpitalu.

– I ty mu wierzysz? Przecież to może być symulacja!

– Dlaczego? To zupełnie prawdopodobne, że starszy człowiek, pewnie od dawna chory, zdenerwował się i miał atak. Dzwoniłem do szpitala, rzekomo jego stan jest dość poważny.

– Bo ty nic nie wiesz, ty nigdy nikogo o nic nie podejrzewasz! A on kłamał!

– Wiem,. Mat. Jego zeznanie jest zmyślane od początku do końca. Ale nie wiem, gdzie ukrył walizki, i o to właśnie chciałem go zapytać. A jego żona oczywiście twierdzi, że o niczym nie wie. Zresztą sądzę, że walizki znajdziemy bez Battistiego.

– Czy nie mylisz się, czy nie masz żadnych wątpliwości?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Podczas rewizji znaleźliśmy u niego w domu 750 dolarów, które profesor Woytis miał przy sobie.

Zapomniałam, że jesteśmy na ulicy, że patrzy na nas policjant i właścicielka sklepu; chwyciłam Michała za guzik marynarki i gwałtownie go szarpiąc zawołałam:

– Nie, nie, mylisz się! To nie on! Te pieniądze on dostał od

nich za milczenie albo za to, żeby wprowadził was w błąd.

– Ciszej, Mat – błagalnie powiedział Michał.

– Słuchaj – zaczęłam mówić szeptem – to jest straszne, ale nie mogę tego ukrywać przed tobą, bo skrzywdziłabym Ryszarda, choć mówiąc to też go krzywdzę, nic jednak na to nie poradzę. Byłam dziś w Almond, ktoś u nich ma na imię Grzegorz, szwagier Ryszarda albo ojciec, nie wiem, ale to jeszcze nie wszystko: oni noc z poniedziałku na wtorek spędzili w mieście, oni nienawidzą Ryszarda, ale i to jeszcze nie wszystko: stary Vassi znał profesora Woytisa, służyli razem w wojsku, rozumiesz, co to znaczy? Nie wiem, czy siostra Ryszarda też jest w to wmieszana, raczej nie, nie byłaby mi tego wszystkiego powiedziała, pewnie sama nic nie wie. W każdym razie tam się działy dziwne rzeczy tej nocy, kiedy oni byli tutaj: ktoś chciał otruć ich psa, tylko że pies jest mądry, nie tknął mięsa, inaczej ten, kto go chciał otruć, byłby się z pewnością włamał do farmy.

– Mat, jesteś naprawdę chora. – powiedział Michał już nie udając najłżejszego uśmiechu. – Strasznie się boję o ciebie i wiem, że to moja wina. Nastraszyłem cię wtedy wieczorem, zadawałem ci niepotrzebne pytania, ale wierz mi, że robiłem to dla twojego dobra. W życiu się tak nie bałem, jak wtedy. Powinienem być jednak pamiętać, jak bardzo jesteś wrażliwa, i jakoś ci tego zaoszczędzić. Posłuchaj, Mat: mam bardzo mało czasu, wieczorem zajdę do was i wytłumaczę ci pewne rzeczy. A teraz wróć do domu i spakuj się, musisz jutro wyjechać. Wszystko już załatwiłem. Musisz przestać myśleć o tej zbrodni. Jesteś nią zaczadzona; wszystkich podejrzewasz. Zbrzydłaś i schudłaś przez te trzy dni, że wolę na ciebie nie patrzeć.

Wyjedziesz, dobrze? Zrobisz to dla mnie? I nie myśl o Vassich, to naprawdę niepotrzebne. Zresztą musieli ci przecież powiedzieć, że nasi ludzie byli u nich we wtorek rano i dowiedzieli się już tego samego co ty. Że ojciec ma na drugie imię Grzegorz i że był z zięciem w mieście. Ale oni przez „miasto” rozumieją każdą dziurę, gdzie jest trochę więcej domów niż w Almond. Stary Vassi był w rejonowym miasteczku u rentgenologa, okazało się, że prześwietlenie trzeba robić na czczo, więc stary został tam na noc, przespał się u siostry Warensa, rozumiesz? Z psem też wszystko się wyjaśniło i nie rozumiem, jak mogłaś tak dać się nabrać. Ty, taka podejrzliwa! A wiesz, co zrobił sierżant Brittain, kiedy Józefina przywitała go wiadomością, że policja śpi, a jej psa trują? Pod jakimś pozorem wyszedł na podwórze, podszedł do tego groźnego brytana i zaproponował mu cukierka ślazowego, bo nic innego nie miał w kieszeni. Straszny pies naprzód przestał szczekać, potem zjadł cukierek, potem oblizął się i poprosił o jeszcze jednego. Dostał go oczywiście, położył się na grzbiecie i dał się podrapać w brzuch, a jak pewnie wiesz, pies w taki sposób daje do zrozumienia, że fajka pokoju wypalona. Potem sierżant zajrzał do śmietnika: zdechły szczur leżał na samym wierzchu, obok niego drugi szczur. A że za farmą też leżały te miłe zwierzątka, to sierżant wiedział już, o co chodziło. Gdzieś wyłożono trutkę na szczury, dwa z nich dostały się na podwórze Vassich, dlatego pies tak szczekał w nocy, co pozwoliło Józefinie ułożyć tę bajeczkę o zatrutym mięsie i mądrym psie. Gdybyś lepiej знаła ludzi, to byś wiedziała, że ona należy do kobiet, które lubią wynajdywać nieszczęścia, po prostu nie mogą żyć bez nich. A poza tym, kto nie lubi pochwalić swego psa? Widzisz więc, Mat, że

niepotrzebnie tyle myślisz i w wszystkich podejrzewasz, nawet tę biedną Małgorzatę. Dziś rano dzwoniła do mnie i prosiła, żebym zwolnił ją z danego mi słowa; chce ci wszystko powiedzieć, bo nie dajesz jej żyć. Co prawda, prosiłem ją o dyskrecję tylko w jednej sprawie, ale ona widocznie źle mnie zroszczyła. Więc słuchaj, Mat, pójdziesz teraz do domu, spakujesz wszystko, co potrzebne wytwornej kobiecie do uwodzenia mężczyzn nad morzem, dasz żyć Małgorzacie, a ja zajrzę do ciebie wieczorem, jak tylko znajdę trochę czasu.

Jakim marnym aktorem był Michał! Jedno z dwojga, pomyślałam sobie: albo coś przede mną ukrywa, albo chce się mnie pozbyć, bo go kompromituję. A kompromitować go mogłam rzeczywiście, i to porządnie: w oczach Flinta, który przecież wyraźnie podejrzewał mnie o współudział w jednej zbrodni, o ile nie w dwóch, w oczach tego oficera – pewnie nie byle jakiej osobistości, sądząc po szlifach – który musiał zdziwić się, że nawet w chwilach zajęć nie dają spokoju Michałowi, ale przede wszystkim, byłam tego pewna, Michałowi chodziło o Stellę.

Za ten tonik, jakim się mówi do dziecka, za ten styl przedziwnie lekki i beztroski, za ten humorek, który mu nie wychodził, byłabym wtedy znienawidziła śmiertelnie Michała, gdybym go tak bardzo nie kochała.

Rozbroiła mnie przede wszystkim jego naiwność: nie przerwałam mu ani razu, a on myślał, że wszystko w porządku, że słucham go uważnie i wierzę jego słowom. Nie miałam oczywiście zamiaru wyprowadzać go z błędu.

– Wierzę ci – powiedziałam – masz rację, ale z pewnością nigdzie nie pojedę. Co do psa, to sierżant Brittain powiedział prawdę,

pieseczek rzeczywiście jadł mu z ręki. Cóż w tym dziwnego; sierżant, o ile nawet nie urodził się i nie wychował w Almond, to z pewnością pełni tam służbę od kilkudziesięciu lat i psina zna go od swoich szczeniących miesięcy. Dlaczego by więc nie miała skosztować takich dobrych cukierków? Od obcego by nie wzięła, ale od swego człowieka? To zresztą drobnostka, idę już do domu i nie będę ci przeszkadzać, w ogóle strasznie mi przykro, żeś nie odjechał z tym w szlifach. Żebym nie zapomniała: wieczorem nie będę w domu. Chciałam ci tylko jeszcze powiedzieć, że od wczoraj śledzą mnie bezustannie dwie dziwne osoby.

Przerwałam, bo mi się strasznie na płacz zebrało. Wśród ciszy, która zapanowała po moich słowach, usłyszałam znajome stukanie. Oboje spojrzeliśmy ku górze: w trójkącie pomiędzy dwoma kasztanami widać było okno nad sklepem, stała w nim staruszka, szara jak zmierzch, który właśnie zapadał, i stukiała kosturem w szybę. Wyglądała trochę nie z tego świata. Rozejrzałam się wokół: poza nami i policjantem nikogo nie było na ulicy.

– Pani nas tak wystukuje? – zapytał Michał.

W odpowiedzi staruszka wysunęła kostur za okno i coś nim pokazała. Michał popatrzył w stronę, którą ona wskazywała, i powiedział:

– Schody. Ona chce, żebyśmy do niej zaszli. Poczekasz na mnie czy pójdziesz ze mną?

Staruszka przyłożyła palec do ust, a kosturem wskazała na sklep.

– To ma być tajemnica – szepnął mi Michał do ucha i podeszliśmy ku schodom, biegnącym na zewnątrz budynku, obudowanym na zielono pomalowanymi deskami, podczas gdy brama, która do

nich prowadziła, ozdobiona lwią paszczą i wizytówką, nawet w gasnącym świetle dnia jaśniała szlachetną żółtością. Brama nie była zamknięta; wchodząc zostawiliśmy ją otwartą, by przepuścić choć trochę światła, co zresztą niewiele pomogło. Świciliśmy zapałkę po zapałce, wspinając się po stromych stopniach, chwiejących się, trzeszczących, dziurawych i tak dziwnie pachnących, że mimo woli widziało się tłumy myszy biegnące nimi w popłochu wzbudzonym przez tłum kotów. U góry też były drzwi i też otwarte. Znaleźliśmy się w ciemnym, dużym przedsionku, coś pisnęło i uciekło nam spod nóg. Znowu świciliśmy zapałki, ale dopiero po stukocie kostura zorientowaliśmy się, gdzie są drzwi prowadzące do pokoju staruszki. Michał zapukał, nikt nie odpowiedział; pchnął drzwi i weszliśmy do pokoju prawie tak ciemnego jak przedsionek. W mroku rozróżniłam kontury jakichś olbrzymich szaf, łóżko o fantastycznie rzeźbionym wezgłowie i wiszące na ścianach rogi jelenie, a dopiero po chwili dostrzegłam na środku pokoju zgarbioną staruszkę, wspierającą się na dwóch laskach.

– Oni mi nic nie mówią – zasepleniła – a dom mój, sklep mój, wszystko moje – zatoczyła krąg jednym ze swoich kosturów – ze chcę, to odbiorę. „Niech mama będzie cicho, niech mama będzie cicho” – mówiła naśladując czyjś głos – a ja nie chcę być cicho, chcę wiedzieć, czy on ją zastrzelił!

– O kim pani mówi? – zapytał Michał.

Staruszka niespodzianie szybkim krokiem podeszła do okna i pokazała laską ogród Ryszarda. Poprzez szczelinę między gęstwiną liści widać było drzwi, skrzydlatego geniusza, jedno okno i niewielką przestrzeń trawnika na prawo od domu. Właśnie wyszedł porucznik Flint, pomógł zejść pani Kleebowej, znikł mi z oczu i po chwili

znowu zjawił się niosąc martwego królika. Ku mojemu zdziwieniu nie wyszedł na ulicę; wydało mi się, że wraca do tylnej części ogrodu.

– Wyszedł do ogrodu – mówiła staruszka – strzelił raz, pif, strzelił drugi raz, paf, i wrócił do domu. Wszystko widziałam, a ona mi mówi: „Nie mamy rzecz, zastrzelił czy nie zastrzelił”.

– Pani to widziała, czy słyszała? – zapytał Michał, tak jak by nie zauważył, że staruszka jest nie całkiem normalna.

– Widziałam, jak pana widzę i tę małą – rozzłościła się, odeszła od okna i usiadła w fotelu.

– A co pani dziś w nocy widziała? – Michał podszedł do niej i nachylił się nad fotelem.

– W nocy? W nocy ja nie śpię, od lat nie zmrużyłam oka! Jak bym nie czuwała, to ładne rzeczy tu by się działy! Oni niczego nie dopilnują. Co noc czuwam, nie kładę się, nie śpię – mówiła coraz ciszej i w końcu umilkła. Siwe kosmyki opadły jej na czoło, głowa się trzęsała, a z kącika ust cieniutką nitką ściekała ślina.

– Błagam cię, chodźmy stąd – szepnęłam.

Staruszka przestała zwracać na nas uwagę, podeszliśmy ku drzwiom, Michał dotykał już klamki, kiedy nagle fotel podjechał ku nam i usłyszeliśmy świszczący szept:

– Tę pierwszą tak samo zastrzelił. Wyszedł do ogrodu i pif, paf, już było po niej.

XXVI

Gdy wyszliśmy na ulicę, świeciła się już latarnia nad kamiennym aniołem. W sklepie też było jasno; właścicielka, jak zwykle, stała

koło drzwi. Zdawało mi się, że zrobiła taki ruch, jak by chciała zejść do nas, ale minęliśmy ją zbyt szybko.

– To straszne – powiedziałam. – Świadczenie takiej kobiety może zgubić niewinnego człowieka.

– Toteż takich osób nie powołuje się na świadków.

Doszliśmy do rogu Parkowej.

– Może nadjedzie taksówka – powiedział Michał – chciałbym cię odwiedzić do domu. A wieczorem wstąpię i tak, choćbyś nawet poszła do teatru.

– Dziękuję ci, pojedę sama autobusem.

– Nie, Mat, nigdzie sama nie pojedziesz. Znowu ci się będzie wydawać, że ktoś chodzi za tobą, że ktoś ciebie śledzi.

– Wydawać! Cudowny jesteś! Wczoraj w bibliotece i dziś rano w teatrze ta dziewczyna, a w pociągu człowieczek z katarem!

– Coś ty robiła w teatrze? – zdziwił się Michał.

– Sprawdzalam, o której naprawdę kończy się spektakl. Tak jak mówiłam: o 10⁵⁰.

– Och, Mat, ty naprawdę jesteś nieoceniona! – tym razem Michał roześmiał się szczerze. – Myślałaś, że ja tego nie sprawdzę? Nawet wiem, dlaczego przedłużyli spektakl, nigdy byś nie zgadła: z powodu...

– Kruczowłosej Giny Agricoli, która tańczy hiszpańskie tańce i domaga się osobnych recenzji.

– No nie, Mat, należy ci się kawa ze śmietanką i pięć ciastek! Szkoda, że tak się śpieszę, zaraz byśmy wstąpili do tej cukierni z tortem na wystawie. Jak to wywachałaś?

– A skąd ty wiesz?

– Od Stelli.

– To ty się z nią wczoraj widziałeś?

– Codziennie ją widzę, mieszkamy przecież na tym samym piętrze.

– O, to cudownie! I ona tak wszystko wie?

– Ma chody w teatrze, bo pisuje teraz do „Listów ze sceny”.

– „Magazyn dla wszystkich” zrezygnował z jej współpracy?

– Nie, to pismo już dawno nie wychodzi. Co ci jest, Mat?

– Nic, potknęłam się.

– Mat, musisz mi coś obiecać.

– Wszystko, co zechcesz.

– Jutro rano pojedziesz do „Jaskólczego Dworu”. Pokój już zamówiłem, teraz tam zresztą raczej pusto, koniec sezonu. Jeżeli zechcesz, możesz mieć ten sam pokój co przed dwoma laty. Auto będzie czekać na stacji, pani Konstancja bardzo się ucieszyła, że ciebie zobaczy. Wypoczniesz, opalisz się, popływasz sobie, bo zmartwienia zmartwieniami, ale urlop trzeba jakoś wykorzystać, masz go raz w roku, musisz więc nabrać sił, pracujesz tak ciężko. Prawdopodobnie będziesz musiała przyjechać raz czy nawet dwa razy do miasta, na przesłuchanie i na rozprawę wstępną, ale to przecież niedaleko, godzina i kilka minut.

Nic nie odpowiedziałam, bo właśnie nadjechała taksówka. Wsiadłam, Michał przez chwilę wahał się, w końcu pochylił się ku mnie i powiedział:

– Wiesz co, Mat, jedź sama, ale prosto do domu, pamiętaj. A ja za jakąś godzinę, powiedzmy, półtorej godziny, przyjadę do ciebie i pomogę ci spakować rzeczy. Pa, kochanie!

Jeszcze nie zdążyłam roztrząsać, jaka była funkcja tego „Pa, kochanie” – osłodzenie gorzkiej wiadomości, że Stella widuje się z nim co dzień, nagroda za cierpliwe słuchanie czy po prostu wynik

wyrzutów sumienia – kiedy zatrzymaliśmy się przed naszym domem.

Przed bramą zdobyłam się na dobrą wolę i obiektywizm: przyznałam rację Michałowi. Jego sytuacja była naprawdę dwuznaczna. Był moim znajomym – wszyscy o tym wiedzieli, on sam zresztą tego nie ukrywał – a równocześnie prowadził śledztwo w sprawie, w którą i ja byłam wmieszana. Ostatecznie mogłam pojechać do „Jaskółczego Dworu” nie nazajutrz, tak jak on chciał, ale w niedzielę, po doprowadzeniu do porządku biblioteki Ryszarda. A przez piątek i sobotę Michał nie musiał widywać się ze mną, nikt go do tego nie zmuszał. Wobec tego nie miało sensu, żeby odwiedzał mnie w moim własnym mieszkaniu, o klucze od domu Ryszarda mogłam go poprosić tak samo dobrze na ulicy. Weszłam do cukierni położonej prawie naprzeciw naszej bramy, usiadłam koło okna i odsunęłam nieco firankę; w ten sposób byłam pewna, że zobaczę Michała, zanim jeszcze wejdzie do sieni. A dalej tak sobie planowałam: wyjdę na ulicę, powiem, że usunę mu się z drogi, ale aż w niedzielę, poproszę o klucze, powiem dobranoc i wrócę do cukierni.

Pod sufitem jednostajnie szumił wentylator, niewidoczni za rozpostartymi na ramach gazetami, panowie cicho pobrzękiwali łyżeczkami mieszając herbatę, właścicielka siedziała bez ruchu za oszklonym kontuarem, smutna, cienka, blada i cała schowana w czarną suknię z długimi rękawami. Po kwadransie podeszła do mnie i bez słowa stanęła koło stolika. Poprosiłam o kawę z podwójną pianką i dwa ciastka. Mój głos w tej ciszy zabrzmiał tak donośnie, że gazety pochyliły się, a nad nimi ukazały się głowy, przeważnie łyse, które po sekundzie zniknęły. Tylko jedna gazeta nie poruszyła się; czytał

ją ktoś siedzący w kącie, przy stoliku, który – przysięgłabym – był nie zajęty, gdy weszłam. A przecież po mnie nikt już nie przyszedł! Po chwili zrozumiałam, że się omyliłam: czarna suknia podpłynęła ku temu stolikowi i stanęła tak samo bez słowa jak przy mnie, co niewątpliwie oznaczało, że człowiek, który tam siedział, przyszedł równocześnie ze mną. „Szklaneczka wody sodowej” powiedział głos zza gazety. Nie mogłam sobie przypomnieć, skąd znam ten głos; wydało mi się, że to ktoś z naszej ulicy. Pan siedzący przy najbliższym stoliku złożył gazetę, odliczył drobne, położył je koło szklanki, schował okulary do futerału i powoli wstał. Wychodząc ukłonił się właścicielce, której usta wykonały coś w rodzaju uśmiechu. Nie sądziłam, że w gazecie będzie coś, czego jeszcze nie wiedziałam, zabrałam ją z sąsiedniego stolika tylko po to, żeby się nie wyróżniać i dopasować do stylu stałych gości, ale gdy spojrzałam na pierwszą stronę, omal nie krzyknęłam, tak zaskakująca była wiadomość wydrukowana tłustymi czerwonymi czcionkami: MIĘDZYNARODOWY SKANDAL! ŚWIAT UBOŻSZY O JEDNO EPOKOWE ODKRYCIE! ZGINEŁA PRACA PROFESORA WOYTISA! Musiałam dwa razy przeczytać artykuł, żeby zrozumieć jego treść. O godzinie jedenastej przed południem Maria Woytis w obecności rektora uniwersytetu i notariusza podjęła w Banku Miejskim depozyt złożony tam przez ojca. Po złamaniu pieczęci okazało się, że paczka zawiera tylko czysty papier maszynowy: praca profesora Woytisa znikła. Dyrektor banku oświadczył, że nikt nie miał dostępu do depozytu, nikt zresztą nie zgłaszał się po niego. Podjąć go mógł tylko sam profesor albo, w razie jego śmierci, córka Maria.

Na trzeciej stronie był, jak zwykle, komentarz. Praca profesora Woytisa nigdy nie została złożona w Banku Miejskim – przypuszczał autor. Ktoś włożył na jej miejsce czysty papier jeszcze przed opakowaniem i nałożeniem pieczęci. Mógł to zrobić tylko jakiś obecny przy pakowaniu współpracownik, który wykorzystał słaby wzrok profesora. Cała trudność polegała na określeniu, kto był tym współpracownikiem. Docent Jan Vial w dniu złożenia pracy w Banku był chory i nie wychodził z domu. Administrator Domu Profesorów, który zawiózł profesora do Banku, nie zastał nikogo w mieszkaniu, gdy przyszedł powiedzieć, że auto czeka. Paczka leżała na biurku, już zapieczętowana. Po chwili wrócił profesor i przeprosił, że kazał na siebie czekać. Dokąd wychodził – administrator nie wiedział. Przed włożeniem paczki do teczki profesor jeszcze raz obejrzał pieczęcie i powiedział: „Bardzo bym chciał sam to odebrać”.

Pokojówka profesora była pewna, że profesor był nieobecny najwyżej dziesięć minut i że nikt – poza administratorem – w tym czasie nie wszedł do mieszkania. Nie wiedziała, kiedy profesor zapieczętował paczkę, przypuszczała jednak, że raczej wieczorem poprzedniego dnia, bo gdy sprzątała gabinet – co robiła zawsze, zanim profesor wstał – zauważyła na biurku laseczkę laku. Również na dywanie leżało kilka odłamków zeschniętego laku. W chwilę później zeszła po pieczywo, a kiedy wróciła, usłyszała, że profesor rozmawia z kimś w sypialni. Zajęła się przygotowaniem śniadania i miała już wejść do sypialni, by dowiedzieć się, czy gość też zje śniadanie, ale w tej samej chwili usłyszała głosy w przedpokoju i szcęk zatrząsk. Profesor wszedł do kuchni i kazał jej poczekać ze śniadaniem, bo

jeszcze nie zdążył się wykapać. Nie wyglądał na zaskoczonego tak wczesną wizytą.

Portier z Domu Profesorów nie pamiętał, czy tego dnia ktoś przyszedł do profesora. Urzędował zresztą dopiero od ósmej i gdyby ktoś przyszedł przed ósmą, musiałby wejść tylnym wejściem, nie strzeżonym.

Ale najbardziej sensacyjna była wypowiedź byłego dyrektora Banku Miejskiego, G. C. Waltera, który jeszcze pełnił swoją funkcję, gdy przed dwoma laty profesor Woytis odebrał swoją pracę, złożoną, tak samo jak w tym roku, w safesie Banku. Profesor przyniósł paczkę do Banku 9 sierpnia i zapowiedział, że odbierze ją 20 sierpnia o godzinie 10 rano, to znaczy bezpośrednio przed odlotem do Oslo. Stało się jednak inaczej; profesor odebrał ją już 16 sierpnia. G. C. Walter zauważył niezwykle zdenerwowanie swego klienta, ale nie śmiał pytać o przyczyny. Odprowadził profesora do windy, wrócił do swego gabinetu i ku swemu niezmiernemu zdziwieniu zobaczył zalakowaną paczkę leżącą na biurku. Natychmiast zadzwonił do portiera, by zatrzymał profesora, i miał już zjechać windą do hallu, kiedy z dołu nadszła winda i wysiadł z niej profesor. Był przerażająco błydy; G. C. Walter zaproponował mu, by wszedł na chwilę do gabinetu i odpoczął. Profesor poprosił o kawę; natychmiast ją podano, ale ręce tak mu drżały, że z trudem podniósł filiżankę. Po chwili uspokoił się i wytłumaczył swoje roztargnienie nagłym przesunięciem daty wyjazdu. Miał odlecieć 20 sierpnia, niestety rozkład zajęć osoby z domu królewskiego patronującej zjazdowi wymagał przesunięcia daty inauguracyjnego bankietu na 16 sierpnia. Obrady sekcji, której przewodniczył profesor Woytis, zaczynały się dopiero

21 sierpnia, między 16 a 21 sierpnia obradowały inne sekcje, był więc oburzony, że traci pięć dni z powodu potraw, których mu nie wolno jeść, wina, którego nigdy nie pijał, i księcia, który nie umie rozwiązać równania pierwszego stopnia, jak się wyraził. „W moim wieku każdy dzień jest drogi” powiedział na zakończenie. Gdy G. C. Walter wspomniał mu o piękności fiordów norweskich, profesor zapewnił go, że był już nieraz w Oslo i słyszał o tych fiordach. Dyrektor odprowadził go do auta; wsiadając profesor powiedział: „Zdaje mi się, że pan nie uwierzył ani jednemu mojemu słowu”. Składając to zeznanie G. C. Walter przyznał się, że rzeczywiście wyjaśnienie profesora wydawało mu się trochę dziwne, ale w niczym nie okazał swoich wątpliwości.

Na szanse odnalezienia pracy profesora autor artykułu zapatrywał się dość pesymistycznie. Przede wszystkim – twierdził – upłynęło już zbyt wiele czasu. Rękopis zamieniono w dniu złożenia go do Banku albo w przeddzień, to znaczy 20 albo 21 czerwca; złodziej miał więc dość możliwości, by ukryć go, o ile go nie zniszczył. To ostatnie przypuszczenie było najbardziej prawdopodobne, bo szanse opublikowania pracy profesora Woytisa przez przywłaszczycielką i pod jego własnym nazwiskiem były raczej minimalne, a przed upływem wielu lat było to w ogóle niemożliwe. Praca była wyłącznie teoretyczna, nie miała, w każdym razie, przy obecnym stanie nauki, żadnego zastosowania w produkcji broni atomowej, odpadało więc podejrzenie, że działał tu obcy wywiad. Ostatni akapit artykułu był zaskakujący: zakładając, że rękopis zamieniono tylko po to, by go zniszczyć, a zniszczyć go mógł tylko szaleniec, autor twierdził, że sprawcę kradzieży odnajdzie się z łatwością, gdy wszyscy

współpracownicy profesora zostaną poddani badaniom psychiatrycznym. Ludzi nie związanych z katedrą profesora Woytisa autor wykluczał z grona podejrzanych: nikt poza współpracownikami nie wiedział, że profesor niszczył wszystkie bruliony i notatki i że pracy jego w żaden sposób nie da się odtworzyć.

Od razu straciłam zaufanie do autora tego artykułu: „Nikt nie wiedział!” A ja przecież wiedziałam! Moja ciotka też wiedziała, nawet Małgorzata wiedziała! Dalej: jeżeli to był szaleniec, to z pewnością nie zastanawiał się, czy istniały jakieś notatki. Musiałam odłożyć gazetę, bo lada chwila mógł nadejść Michał; odsunęłam firankę, paliłam papierosy i nie spuszczałam oka z naszej bramy. Byłam coraz bardziej podniecona; zjadłam jeszcze trzy ciastka, ale i tak miałam dreszcze ze zdenerwowania. Tak samo jak dyrektor banku wątpiłam, czy przyczyną roztargnienia profesora było przesunięcie daty odlotu. Więcej: byłam pewna, że to on sam ją przesunął. Nie chciał być 17 sierpnia w mieście, może nawet w kraju, to przecież było oczywiste! To, co się stało 17 sierpnia tego roku, widocznie miało stać się 17 sierpnia przed dwoma laty, i on o tym wiedział! Nie rozumiałam, jak mogłam dotąd nie zauważyć tego faktu, że jeżeli morderca zabił profesora Woytisa, bo był jedynym człowiekiem, który wiedział, kim był wróg Ryszarda, to, planując pierwszy raz swoją zbrodnię przed dwoma laty, też pewnie zamierzał pozbyć się niebezpiecznego świadka. I profesor o tym wiedział! Nadal jednak nie rozumiałam, dlaczego profesor milczał i wtedy, i po wypadku Ryszarda w pociągu, a zwłaszcza dlaczego w tym roku nie zachował żadnych środków ostrożności. I co oznaczała ta stale powtarzająca się data 17 sierpnia?

XXVII

Minęła dziesiąta, w cukierni paliła się już tylko jedna lampa, byłam sama, nawet właścicielka zniknęła za czerwoną kotarą, osłaniającą prawdopodobnie lodówkę, bo widziałam, jak wynosiła tam tace z ciastkami. Michał powinien był już dawno przyjść, ale rozumiałam, co go zatrzymuje. Czarna suknia wróciła zza kotary i usiadła przy pustym kontuarze; po chwili zatrzymał się wentylator.

– Czy mogłabym prosić o jeszcze jedną kawę – powiedziałam nieśmiało. – Z pianką – dodałam, by stłumić nurtujące mnie poczucie winy.

Czarna włączyła ekspres, westchnęła i zniknęła za kotarą, widocznie bitą śmietankę też już schowała do lodówki.

Przed domem zatrzymało się auto, odsunęłam szybko firankę: Michał wysiadł z taksówki i wbiegł do bramy.

– Proszę pani! – zawołałam – strasznie przepraszam, ale ja już muszę iść. Ile płacę?

Właścicielka wyszła zza kotary niosąc półmisek z resztkami bitej śmietanki, zawróciła, usłyszałam trzask zamykanej lodówki.

Podeszłam do kontuaru i położyłam banknot na marmurowej płycie. Po chwili wróciła właścicielka, wyjęła ołówek z szuflady, rozglądając się za papierem.

– Bardzo przepraszam, ale strasznie mi się śpieszy – powiedziałam.

– Ile ciastek było? – zapytała wyciągając skądś bloczek.

– Cztery, przepraszam, pięć! – zawołałam czerwieniąc się.

– Jakie?

- Dwie szarlotki, jedna napoleonka, jedno kruche...
- A piątę?
- Z rumem. Po resztę wstąpię jutro, ja tu naprzeciw mieszkam.

Dobranoc!

Wybiegłam na ulicę, Michał właśnie wychodził z bramy, ale nie zauważył mnie i pobiegł w stronę przystanku.

– Michał! – krzyknęłam. – Przecież ja tu jestem! – i już biegłam naprzeciw.

- Mat, gdzieś ty była? – powiedział chwytając mnie za rękę.
- Ja? Nigdzie nie byłam.
- Nie, Mat, wróciłaś na Henrietty. Po co?
- Nie, naprawdę nigdzie nie byłam. Chodziłam sobie ulicami i myślałam.

Weszliśmy do bramy w towarzystwie kota z kiosku, który wyprzedził nas na schodach i czekał przed drzwiami, niecierpliwie przestępując z łapki na łapkę. W przedpokoju od razu stanął koło drzwi Małgorzaty; wyczekująco patrzył raz na klamkę, raz na nas. Klamka poruszyła się; kot wśliznął się przez ledwie uchylone drzwi, które natychmiast się zamknęły. Małgorzata nie wyszła do przedpokoju! Było to tak niezgodne z jej naturą, że Michał zapytał, czy ona nie ma grypy. Uspokoiałam go, że to tylko wyrzuty sumienia.

– Nie gniewaj się, Mat, ale umieram z głodu – powiedział, gdy weszliśmy do pokoju. – Tak bym coś zjadł.

Wróciłam do przedpokoju i zapukałam do Małgorzaty.

- Proszę – odpowiedziała mdlejącym głosem.
- Michał umiera z głodu, zrób coś do jedzenia – powiedziałam wchodząc. – A mnie możesz nic nie mówić, wszystko wiem.

Małgorzata wypuściła kota z objęć i zaokrągliła usta w swoje zwyczajne kółko.

– Żołądek mnie bolał, tak? – zapytałam, choć wcale nie miałam zamiaru zaczynać rozmowy na ten temat, stało się to zupełnie wbrew mojej woli. – Dlaczego wymyśliłaś coś tak podłego?

– Bolał cię tamtej soboty – Małgorzata już mrugała powiekami, a kot stał koło niej i patrzył na mnie, wysoko unosząc ogon. – Zjadłaś lody pistacjowe i jak wróciłaś do domu, to powiedziałaś, że w życiu już nie tkniesz tych lodów. A ja ci powiedziałam, że najlepiej przyłożyć gorący okład, nie pamiętasz? Wtedy ty powiedziałaś, że nie masz cierpliwości leżeć z termoforem. Nic nie skłamałam.

– Nie, skądże, ty nigdy nie kłamiesz. Zresztą, pomówimy o tym później. A teraz, bardzo cię proszę, przerwij lekturę Dantego i zrób coś dla Michała, bo ja jestem zdenerwowana.

Małgorzata bez słowa poszła z kotem do kuchni, a ja wróciłam do Michała.

– Pakujemy się, Mat? – zapytał.

– Mam dość dużo czasu, jadę dopiero w niedzielę.

– Och, jaka szkoda! Bo chciałem w sobotę przyjechać do ciebie. Zdążyłbym może na obiad, a z pewnością na podwieczorek. Zostałbym do poniedziałku i pochodzilibyśmy sobie trochę po wydmach. Nocą tam musi być teraz pięknie, księżyc jest prawie w pełni. Ale jeżeli chcesz pojechać dopiero w niedzielę, to oczywiście nie ma sensu, żebym ci przeszkadzał, w pierwszym dniu. Zresztą nie opłaca mi się jechać na parę godzin.

– Oczywiście nie opłaca się.

– Jasne, że nie. Miałaś dać mi coś do przegryzienia.

Wysłałam do kuchni, Małgorzata smażyła jajka na szynce.

- Jeszcze chwilę, bo nie wysmażone – powiedziała.
- Wystarczy dla niego; gdzie chleb?

Wszystko już było przygotowane, zabrałam tacę i wróciłam do pokoju.

- A ty? – zapytał Michał. – Nic nie zjesz?
- Gdy jestem zdenerwowana, nic nie mogę przełknąć.
- Moje biedactwo! Ale tam może poprawi ci się apetyt. Moglibyśmy pojeździć trochę żaglówką.
- Mówiłeś, że przyjechałbyś w sobotę?
- Tak, na obiad albo na podwieczorek.
- Dlaczego nie mówisz, że jajka są surowe? Nawet się nie ścięły.
- Nie zauważyłem.
- Jeżeli chcesz, zaniosę jajka do kuchni i jeszcze trochę je posmażę.
- Za późno.
- Mówisz, że przyjechałbyś na obiad albo na podwieczorek? A śledztwo? A to pytanie, które miałeś zadać Battistiemu? A rękopis profesora? Myślisz, że nie wiem, jak ta sprawa wszystko komplikuje? Gdy tak czekałam i czekałam na ciebie...
- Gdzieś ty na mnie czekała?
- Nigdzie. Chodziłam ulicami i myślałam. I właśnie pomyślałam, że ta pokojówka okłamała was. Powiedziała, że sprzątała gabinet profesora, gdy on jeszcze spał, tak? To znaczy o której? Profesor wstawał zawsze o szóstej, o siódmej wychodził z domu na godzinny spacer i jeżeli były wykłady, to punktualnie o ósmej wchodził do gmachu uniwersytetu, a jak nie było wykładów, wracał do domu i

zasiadał do pracy. Widziałeś już pokojówkę, która by wstała o piątej, żeby posprzątać gabinet, jeżeli może to zrobić o siódmej? Może rzeczywiście zauważyła lak na biurku, ale to wcale nie świadczy, że profesor zalakował paczkę poprzedniego dnia. Mógł to zrobić przed wyjściem.

– Jesteś genialna, Mat. Niestety nie było to jedyne kłamstwo tej dziewczyny. Tylko że to wszystko nie ma żadnego znaczenia.

– Jak to nie ma żadnego znaczenia! A skąd wiesz, że ona tylko słyszała, z kim profesor rozmawiał w sypialni? A może ona wie, kto to był? Może poznała po głosie?

– Zgadłś, Mat. Ona rzeczywiście poznała głos tego człowieka.

– Dlaczego nie ma o tym wzmianki w gazecie?

– Nie możemy zabronić dziennikarzom zamieszczania kłamliwych zeznań, ale też nie możemy dopuścić, żeby rzucali najzupełniej nieuzasadnione podejrzenia na niewinnego człowieka, któremu w tej chwili mogłoby to szczególnie zaszkodzić.

– To nie był jego głos?

– Nie jest materialnie niemożliwe, żeby ten człowiek był wtedy u profesora, choć raczej jestem pewny, że nikt nie wszedł tam, podczas gdy ona kupowała pieczywo. Ale jej kłamstwo jest szyte zbyt grubymi nićmi. Po to przecież skłamała, że sprzątała gabinet, zanim profesor wstał.

– Jak to „po to”?

– Żeby rzucić podejrzenie na człowieka, który rzekomo był u profesora. Nie rozumiesz? Jeżeli ta paczka była zapieczętowana już poprzedniego dnia, to ten człowiek mógł wykorzystać chwilę nieuwagi profesora i zamienić ją na inną, którą przyniósł ze sobą.

– Przecież profesor zauważyłby, że pieczętki są jakieś inne?

– Oczywiście. Ale nie tylko z tego względu ten człowiek jest poza wszelkim podejrzeniem, nawet jeżeli naprawdę był wtedy u profesora.

– To znaczy, że ktoś wykorzystał słaby wzrok profesora i zamienił jego rękopis jeszcze przed zapakowaniem, tak?

– Gdzie twój geniusz, perło? Ludzie o słabym wzroku noszą zwykle silne okulary, zwłaszcza gdy są naukowcami, którzy całe dnie spędzają na czytaniu i pisaniu.

– No to jak? Kiedyś przecież ktoś musiał zamienić ten rękopis!

– Niekoniecznie. Pomyśl, Mat: masz zamiar oddać jakąś wartościową rzecz do depozytu. Czy zostawiłabyś ją na biurku wychodząc z domu na dziesięć minut albo nawet na dłużej? I to przy pokojówce, której nie znasz, bo pracuje dopiero od kilku miesięcy u ciebie?

– Ach, rozumiem! Profesor wiedział, że w paczce jest czysty papier! To był jeden z jego wybiegów! Oczywiście, wszystko jest jasne! I wtedy w Banku, przed dwoma laty, zostawił paczkę na biurku dyrektora z tej samej przyczyny: nie przywiązywał do niej żadnej wagi, więc zapomniał o niej. Ale to podważa moją hipotezę!

– Och, Mat, miało już być bez hipotez!

– Tak, ale ta była szczególnie logiczna. Dobrze, nie mówmy o niej. Powiedz mi coś innego: dlaczego pokojówka chciała rzucić podejrzenie na tego człowieka?

– Nie wiem. Chociaż, oczywiście, w pewien szczególny sposób to da się wytłumaczyć. Widzisz, to jest bardzo przystojna dziewczyna, zgrabna, elegancka, a ten człowiek...

– Też jest bardzo przystojny i flirtował z nią, a potem przestał flirtować. Że też od razu nie zgadłam, czyj głos ona słyszała! Nikt

obcy nie przyszedłby o takiej porze do profesora. To był Jan Vial, któremu opublikowanie jego nazwiska zaszkodziłoby rzeczywiście nielicho, skoro jutro ma wyjechać na zjazd i reprezentować nas na bankiecie, bo doktor Maria Woytis jest w żałobie! Tyś mi tego nie powiedział, wszystko jest w porządku, nie zdradziłeś tajemnicy urzędowej. To znaczy: nie całkiem wszystko jest w porządku...

– Dlaczego, Mat?

– Dlaczego? Bo Vial nie jest żadnym wybitnym naukowcem, to zupełna miernota. Kto go wydelegował czy zaprosił na zjazd?

– Tego nie wiem. A co do Viala, to tym razem mylisz się. To wybitny naukowiec. Rozmawiałem o nim z Marią Woytis.

– Więc to jej on zawdzięcza swoją karierę. Zaczynam co nieco rozumieć. Za czasów Ryszarda Vial uchodził za najprzystojniejszego mężczyznę na uniwersytecie, ale też to był jego jedyny tytuł do chwały. Czy wiesz, że Maria Woytis była zaręczona z Ryszardem? Nie mam pojęcia, kto z nich zerwał, coś mi się jednak wydaje, że nie ona.

– Więc ty i o tym wiedziałaś?

– Dziś rano dowiedziałam się od Józefiny. Ale to nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Myślmy dalej.

– Nie, Mat, spakujmy się.

– Poczekaj, nie przerywaj mi toku myślenia. Z tego, co odkryłam, wynika, że praca profesora nie zginęła. A jeżeli nie zginęła, to musi być gdzieś w biurku, w domu albo na uniwersytecie.

– Nie. Jego córka przez wczorajszy dzień uporządkowała wszystkie papiery ojca, których zresztą nie było wiele. Profesor wszystko palił albo niszczył w inny sposób. Nigdzie rękopisu nie

znalazła. Natychmiast po powrocie z pogrzebu przejrzała jeszcze raz meble, zakamarki, walizki, jednym słowem, wszystko. Przed chwilą dzwoniłem do niej – nic nie znalazła.

– Czy ona nie wiedziała, że w paczce był czysty papier?

– Nie, nie wiedziała. Wiał też nie wiedział.

– A ojciec nigdy jej nie wspominał, gdzie przechowywał swój rękopis?

– Nie, ale ona przypuszcza, że nosił go przy sobie. To nie był duży rękopis, około stu stron, może nawet mniej.

– Przy sobie? Ależ w takim razie... wystarczy zapytać Battistiego, gdzie są walizki, prawda? Zapomniałam, on jest przecież chory. Czy musisz czekać na jego odpowiedź? I czy sądzisz, że on ci powie prawdę? Czy nie byłoby lepiej, żebyś ich szukał nie czekając na jego informację? Przecież to bardzo ważne, żeby ta praca znalazła się przed wyjazdem delegacji, nie?

Michał przez chwilę milczał; wydało mi się, że moje pytania zaniepokoiły go.

– Tak, to jest bardzo ważne, masz rację – powiedział. – Jutro rano spuszcza wodę w sadzawce na Skwerze Profesorów. Jeżeli tam nie znajdziemy walizek, to znaczy, że Battisti je spalił, chociaż nie bardzo rozumiem, gdzie mógł to zrobić. Przy paleniu liści to byłoby trochę niebezpieczne. Ale z pewnością nie wyniósł ich poza skwer, a ten już przeszukaliśmy. I całą okolicę też, wszystkie podwórza, śmietniki. Sadzawka to nasza ostatnia szansa.

– Myślisz więc, że ten dziennikarz miał rację? Nie ma zbyt wielkiej nadziei, żeby odnalazła się praca profesora?

– Ja w każdym razie straciłem już nadzieję.

– Dlaczego? Ach tak, oczywiście! Jak mogłam o tym nie pomyśleć. Od wtorku ten rękopis leży w wodzie, to znaczy: trzy dni. Jakim piórem posługiwał się profesor? Bo jeżeli długopisem, to może jeszcze nie wszystko przepadło.

– Nie wiem.

– Nic więcej nie wymyślimy, trudno. A do „Jaskólczego Dworu” możemy pojechać razem w sobotę po południu, jeżeli tak ci zależy, żeby spędzić dwa dni nad morzem. Tylko musisz mi pomóc w pewnej sprawie. Mówiłam z Józefiną o książkach Ryszarda. Ona nie ma zamiaru zająć się nimi, ona w ogóle, nie zdaje sobie sprawy, czym dla niego są te książki. Dlatego ja to muszę zrobić. O ile pożar wszystkiego nie zniszczył. Ale może nie, bo pewnie piwnica była jeszcze wilgotna. Gdybyś mi mógł dać klucze, poszłabym jutro na Henrietty i zobaczyłabym, co się da zrobić. Mogłabym przenieść książki do mieszkania, żeby przeschnęły.

– To niemożliwe, Mat. Tam teraz nikt nie może wejść. Zapieczętowano oba wejścia i Józefina też nie mogłaby wejść.

– Ależ pomyśl, że tam były nie tylko jego książki! Przecież Ryszard miał przy sobie tylko nie zapisane notesy, a właściwe notatki do jego pracy zostały tam, w piwnicy! Musisz mi pomóc! O Boże, co się stało?

Michał zerwał się nagle, błądy i zmieszany.

– Muszę już iść, Mat. Przyjadę jutro rano po ciebie i odwiozę cię na dworzec. Pociąg odchodzi o 10.²⁵, będę u ciebie około pół do dziesiątej, tylko bądź już gotowa.

Wyszliśmy do przedpokoju, koło drzwi Michał nagle zatrzymał się.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, wróćmy na chwilę do pokoju – powiedział.

– Ty coś przede mną ukrywasz! – zawołałam. – Dlaczego tak zbladłeś?

Nie odpowiedział mi, wróciliśmy do pokoju, Michał nadal milczał.

– Michale – powiedziałam cicho – ty chyba zrobiłeś coś... nie wiem co... coś niedobrego.

– Nie, Mat, nie zrobiłem nic złego, ale... Strasznie późno, pójdę już, Mat. I bądź gotowa na pół do dziesiątej.

Nic nie rozumiałam, ale byłam zbyt szczęśliwa, żeby starać się zrozumieć. Zawsze byłam bezbronna wobec szczęścia; gdy nadchodziło, ślepałam na wszystko, co nim nie było.

XXVIII

U Małgorzaty jeszcze się świeciło. Postanowiłam wszystko jej wybaczyć, i to zaraz, bo musiałam z kimś mówić o Michale. Oprócz tego postanowiłam być dobra dla niej i powiedzieć jej coś miłego.

Czytała w łóżku książkę.

– Dante? – zapytałam wchodząc. – Ty snobko! Chcesz, żeby całe miasto śmiało się z ciebie? Ten kretynek, adwokat Ryszarda, nawet twego Dantego wykorzysta w swojej mowie! Prawdopodobnie będzie to jedyna rzecz, jaką wykorzysta, bo to poeta!

– Mat, przecież muszę – żałośnie powiedziała Małgorzata – dostałam od Joela na imieniny, to muszę przeczytać. Byłoby mu przykro, gdybym nie skończyła.

– W każdej encyklopedii znajdziesz streszczenie. Trzeba umieć sobie radzić w życiu! Tak jak ja. Nie udało ci się zohydzić mnie w

oczach Michała. Jadę jutro do „Jaskólczego Dworu”, a on przyjedzie do mnie na sobotę i niedzielę.

– Bardzo się cieszę, Mat. Strasznie źle ostatnio wyglądasz. Powinnaś odpocząć – Małgorzata odłożyła książkę i usiadła, odsłaniając zwiniętego, jak makownik włożony do formy, kota, który spał na poduszce.

– Śpisz z kotem! – zawołałam.

– Nie, skądże. On tylko tak... przychodzi do łóżka i zostaje. Ale to czyste zwierzątko – dmuchnęła w sierść, by pokazać, że nie ma pcheł. Kot natychmiast wylizał dmuchnięte miejsce i zwinął się z powrotem w makownik.

– Ach tak, teraz wszystko rozumiem. To przez niego tłuczysz się codziennie rano jak Marek po piekle. Wypuszczasz go, żeby zdążył do kiosku!

– Tak, on tam musi być przed szóstą, bo inaczej ona się piekli.

– I otwierasz mu bramę!

– Otwieram bramę.

– Dobrze, nie o tym chciałam mówić. Chciałam ci powiedzieć, że już wszystko w porządku. Wybaczyłam ci.

– Nie, nie mów tak! Jeszcze wszystkiego nie wiesz!

– Powiedz mi, to będę wiedziała.

– Byłabym ci dawno powiedziała, ale Michał...

– Przecież dzwoniłaś dziś do niego i zwolnił cię ze słowa.

– Nie, wcale tego nie powiedział. Powiedział tylko, że miałam ci nie mówić jednej rzeczy, a wszystko inne mogłam. I to jest właśnie ta rzecz.

– Powiedz, bo inaczej nie zaśnie. Chodzi mi o ciebie. Mnie jest wszystko jedno. Nie powiesz ty, to powie Michał.

- Może masz rację. Ale to nie ma nic wspólnego ze sprawą Ryszarda. To było pytanie natury... matrymonialnej.
- Coś kręcisz.
- Nie kręcę! Nigdy nie kręcę i nie kłamię! On się pytał ...no po prostu pytał się o twoje uczucia dla Beniamina Polly.
- Tyś go chyba źle zrozumiwała. Michał jest mimo wszystko normalnym człowiekiem.
- Nie, Mat, on naprawdę pytał się, czy nigdy mi nie wspominałaś, że zamierzasz wyjść za mąż za swego szefa.
- Dosłownie tak pytał?
- Może nie dosłownie tak, ale o to chodziło. Mnie samej to wydawało się bardzo dziwne. Gdyby chociaż nigdy nie widział Beniamina Polly, to jeszcze. Ale on właśnie od niego przyszedł.
- A coś ty mu odpowiedziała?
- Że nie wiem.
- Że nie wiesz! Czego nie wiesz? Chyba wiesz, że nigdy ci o tym nie mówiłam!
- Powiedziałam, że nie wiem, czy kochasz Beniamina Polly, bo nigdy mi o tym nie mówiłaś!
- A co Michał na to, powiedział?
- Nic. On już przedtem, to znaczy zanim o to zapytał, wyglądał tak... nie wiem, jak ci powiedzieć... jak nieprzytomny. I nawet, znowu mi nie uwierzysz, ale daję ci słowo, że on wziął mnie za ramiona, o tak – Małgorzata zeszła z łóżka i położyła mi ręce na ramionach – i potrząsnęła mną. To było wtedy, jak mu powiedziałam, że wróciłam około ósmej i myślałam, że ciebie nie ma, bo w pokoju było ciemno, a jak zapytałam: „Śpisz, Mat?” to ty mi nic nie odpowiedziałaś, i strasznie się zdziwiłam, kiedy był ten telefon, że ty jesteś w domu.

Potrząsnął mną i powiedział, żebym się zastanowiła, co mówię. Bo gdybyś nie była w domu, to musiałabym słyszeć, że wróciłaś. I ja mu wtedy właśnie powiedziałam, że zasnęłam przy Dantem i że ty nigdy nie kładziesz się wieczorem, nawet jak masz bóle żołądka.

– Nie mówmy o tym. Co wybaczone, to wybaczone. I idź do łóżka. Ja też już się położę, bo jutro muszę wcześniej wstać i spakować się. Mam jeszcze pełno rzeczy do prasowania.

– Poczekaj, Joel coś mi dał dla Michała. To jest ten film, o który on prosił, i jeszcze jedno zdjęcie, które dziś rano zrobił. Byłabym mu sama dała, ale ja wiem, że ty mnie podejrzewasz, że ja podsłuchuję, to nie chciałam wejść. Dlatego kawy wam też nie zrobiłam, a po jajkach trzeba było koniecznie coś mu dać do picia, ale jak ty nic nie mówiłaś, to ja nie miałam odwagi wejść i zapytać.

– W przyszłości nie bądź taka delikatna. I kładź się już, popatrz, która godzina. Kot się nie wyśpi. Dobranoc!

– Całkiem już na mnie się nie gniewasz?

– Całkiem. A czekolada była pycha.

Wróciłam do swego pokoju i obejrzałam film.

Choć format zdjęć był znacznie większy niż w leice, poza negatywem Ryszarda niczego nie mogłam odróżnić. Były tam jakieś drzewa lecące do tyłu, jak by chciały zemdleć, był kosz na śmieci przybity do palika z fragmentem psiej nogi, jakaś trawka i trzy ludzkie nogi wyrastające ze wspólnego uda; widać było, że Joel nie osiągnął jeszcze swojej szczytowej formy. Zrolowałam film i popatrzyłam na zdjęcie, które Joel zrobił na prośbę Michała. To było coś bardzo dziwnego: po prostu samo tło zdjęcia Ryszarda; ta sama splekana ściana, te same rury, tylko trochę większe, jak gdyby Joel

podszedł całkiem blisko z aparatem, prawie pod sam mur.

Dopiero w łazience, pod tuszem, kiedy usiłowałam odgadnąć, po co Michał zadał Małgorzacie tak niedorzeczne pytanie, zrozumiałam, gdzie Joel sfotografował Ryszarda. Popękany mur to były fałdy anielskiej szaty, a pięć rur to palce bosej anielskiej stopy. Nigdy nie przypuszczałam, że Joel podczas swoich ćwiczeń fotograficznych zapuszcza się aż na ulicę Henrietty. W łóżku zrobiłam małą poprawkę w moim odkryciu: ponieważ na Henrietty wszystkie anioły stoją wprost na ziemi, Joel musiał to zdjęcie zrobić na Cmentarzu Południowym, gdzie anioły są umieszczone na postumentach i dlatego głowa Ryszarda wypadła tuż pod palcami figury. O ile jednak rozumiałe było, że Ryszard mógł rano przechodzić przez cmentarz, wracając ze Składowej do domu, to na próżno głowiłam się, po co Joel tam chodził i dlaczego nie od razu przypomniał sobie, gdzie zrobił to zdjęcie; cmentarz to przecież nie takie znów zwykłe miejsce dla kogoś, kto uczy się fotografować.

Bardzo źle spałam tej nocy, za dużo miałam do myślenia. Kiedy przestawałam martwić się, że Michał mieszka na tym samym piętrze co Stella, zaczynałam zastanawiać się, co zrobię, jeżeli spotkam gdzieś sekretarza Nowej Operetki. W każdym razie wykluczone było, żebym jeszcze kiedyś z Michałem poszła do tego teatru. Na dworze już szarzało, gdy zbudziłam się przekonana, że we śnie odkryłam coś niezwykłego, ale nie mogłam sobie przypomnieć, co to było. Stałam przy otwartym oknie, chłodne powietrze orzeźwiło mnie, wychyliłam się trochę i zobaczyłam kota z kiosku: obwąchiwał kratę przy piwnicznym okienku. Widocznie Małgorzata tym razem wypuściła go wcześniej i zrobiła to tak cicho, że nic nie

słyszałam. Ledwie wróciłam na tapczan, natychmiast przypomniałam sobie, o co chodziło: rękopis profesora wcale nie zginął! I nikt go nie zamienił! Te czyste kartki to właśnie był rękopis. Ryszard nieraz opowiadał mi, że profesor posługuje się sympatycznym atramentem, że nawet sam go sporządza i pisze na specjalnym papierze! Michał oczywiście nie mógł o tym wiedzieć, ale z pewnością i Maria Woytis, i Jan Vial wiedzieli o tym. Wydawało mi się nieprawdopodobne, by właśnie w chwili podejmowania depozytu zapomnieli o czymś tak istotnym. Jeszcze mniej prawdopodobne było, by wiedzieli, że są w posiadaniu właściwego rękopisu, i mimo to rozpętali taki skandal wokół pracy profesora... Nie było jeszcze czwartej, ale musiałam natychmiast powiedzieć o tym Michałowi. Wysłałam do przedpokoju i nakręciłam numer; czekałam dość długo – nikt się nie zgłaszał. Przeczekałam kilka minut i znowu nakręciłam jego numer; miałam nadzieję, że tym razem zbudzę Michała. Sygnał dźwięczał obojętnie w słuchawce, powiesiłam ją na widelkach: Michała nie było w domu.

XXIX

– Mat! Mat! Jak masz coś prasować, to wstań! Już prawie ósma! Ja już wychodzę, Mat! Masz się przecież spakować!

Otworzyłam jedno oko i to zupełnie wystarczyło. Widok Małgorzaty w kwiecistej bluzce i biurowych klipsach natychmiast mnie otrzeźwił; wyskoczyłam spod kołdry zła na cały świat.

– To przez ciebie zasnęłam! Teraz nie zdążę na pociąg, zobaczysz! – mówiłam wkładając szlafrok i równocześnie wyjmując

z szafy to, co chciałam zabrać ze sobą. – W środku nocy wypuszczasz tego kota i budzisz ludzi!

– Ależ nie, coś ci się musiało wydawać, bo myśmy też zaspali i wypuściłam biedaczka dopiero teraz, jak schodziłam po bułki.

– Lepiej nie tłumacz się i włącz żelazko. Nie wiem zresztą, po co zesłaś po bułki, dzisiaj mój dzień i nie potrzebuję łaski. Niczyjiej! Ani twojej, ani Michała!

– Mat, ty chyba źle spałaś!

– Pewnie, że źle spałam. Czy w tym domu można w ogóle spać? Popatrz na te spodnie, przecież ja się w nich nie pokażę. Muszę w drodze na dworzec kupić jakieś inne.

– Naprawdę, Mat, to nie ja cię zbudziłam. A spodnie są jeszcze całkiem dobre. Wczoraj je mierzyłam.

– O, wierzę, że na ciebie są dobre! A twoje czyste zwierzątko o pół do czwartej rano wachało okno tam naprzeciw, w piwnicy. Wiesz więc, że kłamstwo ma krótkie nogi. Potem robisz mi łaskę i przynosisz bułki. Dziękuję.

– To nie był on! To kot spod siedemnastego, on jest całkiem podobny, pewnie jego brat. Też ma czarny przodzik i jedno ucho czarne. Zresztą to kotka. Musiałaś ich pomylić po ciemku.

– Idź już, bo się spóźnisz.

– Idę, Mat, i życzę ci wesołego urlopu. Na kuchence stoją płatki owsiane, bo pomyślałam sobie, że powinnaś trochę utyć. Jak będziesz miała wolną chwilkę, to napisz do mnie.

Małgorzata pocałowała mnie i wyszła, a mnie od razu poprawił się humor, bo nie umiem być zła, kiedy jestem sama. Pomyślałam, że Michał niekoniecznie musiał być w nocy na dansingu ze Stellą.

Mogli go na przykład wezwać do Komendy. W nocy z poniedziałku na wtorek Małgorzata też go nie zastała w domu i właśnie był w Komendzie. Wylączyłam żelazko; nie miało sensu prasować rzeczy, które i tak pogniotą się w walizce. Potem otworzyłam schowek, na głowę spadł mi kufer Małgorzaty wielkości domku campingowego i koszyczki na kwiaty. Stałam na krześle, by zajrzeć do schowka, ale był tam taki nieporządek, że natychmiast zamknęłam oczy i po omacku wyciągnęłam pierwszą walizkę, na którą trafiłam ręką. To była lekka, plastikowa walizka, nie za duża, ale i nie za mała, nie musiałam już dalej szukać, wrzuciłam do schowka kufer z koszykami, zamknęłam drzwiczki, wytarłam walizkę z kurzu i zaniósłam do pokoju. Wszystko więc szło dobrze, ale nie mogłam niczego włożyć do walizki, bo sama byłam strasznie zakurzona, musiałam naprzód pójść pod tusz, a po tuszu napić się kawy, żeby mieć siły do pakowania. Przejrzałam też gazetę, choć nie spodziewałam się znaleźć tam niczego rewelacyjnego, skoro najbardziej rewelacyjnej wiadomości o rękopisie profesora nikt poza mną nie znał. Sprawa człowieka z dwiema walizkami nie zajmowała już pierwszego miejsca, była nowa sensacja: okradziono wystawę filatelistyczną, zginęły najdroższe okazy, których pilnował specjalny detektyw: żałowałam, że nie był nim porucznik Flint. Wylałam płatki owsiane i zaparzyłam kawę. Na drugiej stronie była notatka zatytułowana: „Tajemnica sadzawki na Skwerze Profesorów”, znałam tę tajemnicę, nie przeczytałam notatki, szkoda mi było czasu. Zapaliłam papierosa. Na trzeciej stronie było coś, co musiałam przeczytać: „Dramatyczne zeznania matki podpalacza”. Czego ta biedna pani Kleebowa nie wymyśliła, żeby

ratować swego Tomka! Nie wiedziałam, czy mam śmiać się, czy płakać. Gdybym chociaż nigdy nie widziała pani Kleebowej, nie byłoby mi jej tak żal. Jej zadarty nos i pulchne policzki nie były odpowiednie dla osoby, na którą spadło tyle ciosów. Prawdopodobnie znosiła je pogodnie i z humorem, póki Tom nie uciekł z domu. Musiała być uczciwą kobietą, bo tylko uczciwi ludzie tak beznadziejnie źle kłamią.

W sobotę 15 sierpnia Ryszard Vassi poprosił jej syna, by naprawił mu ramę okienną i zakitował okno. Tom natychmiast „udał się na miejsce i oglądnął robotę” (to były jej słowa), ale nic nie mógł zrobić, bo nie zabrał ze sobą narzędzi. Obiecał przyjść w poniedziałek i przyszedł, „bo to akuratywny chłopak”, tylko że bez narzędzi, które gdzieś mu się zapodziały. Prawdopodobnie zostawił je „przy ostatniej robocie”. Obejrzał jeszcze raz „robotę” i obiecał, że wieczorem przyjdzie, już na pewno z narzędziami. Wtedy Ryszard powiedział, że zacięła mu się szuflada, klucz nie otwiera zamka. Tom przechylił komodę do przodu, bo stała krzywo, pociągnął szufladę i otworzył ją bez klucza. Na wierzchu w szufladzie leżała paczka banknotów, ale on jej nie ruszył, bo to „uczciwy chłopak, a nie żaden złodziej”. Ryszard chciał mu zapłacić za otwarcie szuflady, Tom obraził się i powiedział, że od sąsiadów za takie drobnostki nic nie bierze. Wtedy Ryszard przyniósł z kuchni butelkę rumu i obaj wypili sobie raz i drugi po kieliszku. Tom wrócił do domu, zjadł obiad, pospał sobie trochę, a wieczorem przebrał się, bo miał iść z kolegami do kina. „No i wybuchła bomba” – w tylnej kieszeni swoich dżinsów Tom znalazł tę samą paczkę banknotów, którą zauważył w szufladzie. Początkowo Kleebowie mieli zamiar zwrócić pieniądze, bo

byli pewni, że „pan Vassi chciał wypróbować uczciwość Toma”, Kleebowa poszła nawet do Ryszarda do domu, ale już go nie zastała, a z żoną nie chciała mówić, bo „słabowitych ludzi nie należy denerwować”. Nazajutrz dowiedzieli się, że Vassi zabił żonę i że go aresztowano, nie miało już więc sensu zwracać pieniędzy, a poza tym myśleli, że może on je specjalnie im zostawił, bo wiedział, co go czeka, i wołał, żeby biedni ludzie coś z nich mieli. Tom nie przyznał się, że był u Ryszarda w domu, bo „im mniej się mówi, tym lepiej”, twierdziła pani Kleebowa. Do środy pieniądze leżały nie tknięte, a w środę Tom nie wytrzymał, poszedł do sklepu galanteryjnego pana Toppie, gdzie ubierała się cała rodzina Kleebów, i kupił nieprzemakalny płaszcz dla matki, buty dla brata, a dla siebie jedwabny krawat. Pozostałe pieniądze pani Kleebowa zwróciła policji, resztę zaś zobowiązała się spłacić w ratach i prosiła, żeby zaprzestano poszukiwań Toma, bo „chłopak się zmarnuje, a on przecież nie podpałił. Uciekł ze strachu, żeby go o to nie posądzili, bo wiedział, że jak już myślą, że to on ukradł pieniądze, to resztę też na niego zwałą”.

Niestety, nic nie potwierdziło słów pani Kleebowej. Tom nie mógł wypić z Ryszardem „raz i drugi po kieliszku”: z butelki odlano zawartość tylko jednego kieliszka i tylko jeden kieliszek był zabrudzony, z drugiego nikt nie pił. Także Toppie doskonale pamiętał, kiedy zjawiała się u niego rodzina Kleebów; było to zdarzenie zbyt niezwykle, by mógł o nim zapomnieć: gdy w poniedziałek o czwartej po południu otworzył sklep po przerwie obiadowej, cała trójka czekała już na ulicy. Zapytał, czy kupują za gotówkę; Kleebowa odpowiedziała, że właśnie dostali spadek po ciotce, i pokazała

pieniądze. Pan Toppie dodał, że we wtorek nic by im już nie sprzedał, bo zaczynał się czegoś domyślać.

Mimo wszystko czułam sympatię dla pani Kleebowej, nie było zresztą wykluczone, że Tom rzeczywiście okłamał ją i biedna kobieta uwierzyła w cudowne zdarzenie. Pewnie czekała na nie od lat. Nie rozumiałam jednak, dlaczego policja podejrzewa Toma o podpalenie i jakie motywy mu przypisuje. Czułam w tym owoc wysiłku umysłowego porucznika Flinta.

Gorzej, że czułam jeszcze coś innego: piekielny niepokój z powodu tych licznych cytatów w artykule, tych pachnących przedmiotem powiedzonek pani Kleebowej; zazwyczaj tego rodzaju artykuły w gazecie porannej były zupełnie inaczej pisane, co było zresztą zrozumiałe, ich autor otrzymywał materiał może wprost z policji, może poprzez jakąś agencję, tego nie wiedziałam, ale w każdym razie nie pisał jak naoczny świadek.

Świadczyło to niezbiecie, że albo autor był na cmentarzu, kiedy zapłakana pani Kleebowa przybiegła z pieniędzmi, albo znał co charakterystyczniejsze powiedzonka w rodzaju: „No i wybuchła bomba” z relacji jakiejś osoby, która tam była.

Artykuł nie był podpisany, moja dociekliwość jednak, opierając się na nieobecności Michała w domu o czwartej rano, bez trudu dopisała inicjały S. S, pod „Dramatycznym zeznaniem matki podpalacza”, co wcale nie znaczyło, żebym zamierzała napomknąć Michałowi w sposób choćby najbardziej aluzyjny, że spędził noc w redakcji. Nie miałam do tego najmniejszego prawa: mężczyzna, który obiecuje komuś przyjechać na sobotę i niedzielę, nie traci przez to samo prawa do spędzenia nocy w redakcji codziennej gazety. Natomiast osobie, do której miał przyjechać, wolno z tego faktu wyciągnąć

pewne konsekwencje. Zastanawiałam się właśnie nad nimi, gdy kukułka w pokoju Małgorzaty wykukała jakąś dziwną godzinę. Zamierzałam pójść do pokoju i sprawdzić, czy rzeczywiście możliwe jest, żeby już było pół do dziesiątej, kiedy w przedpokoju zabrzmiał dzwonek: straciłam resztki nadziei, że jest jakaś inna godzina, choćby trochę wcześniejsza. To przyszedł Michał, a ja nie byłam jeszcze uczesana i nie miałam na sobie absolutnie niczego poza szlafrokiem.

– Gdzieś był o czwartej rano? – zapytałam otwierając drzwi.

– W domu. Ale, Mat, przecież miałaś być spakowana i zupełnie gotowa! Na dole czeka taksówka.

– Jestem już spakowana i zupełnie gotowa, tylko coś włożę na siebie. Ale nie wiedziałam, że masz taki twardy sen.

– O czwartej nie spałem jeszcze, bo dopiero co wróciłem do domu. Pokaż walizkę.

– Nie ma co oglądać, walizka jak walizka. Tylko że jeszcze pusta.

– Jesteś bezwstydna! Nie z powodu walizki, bo zaraz sam wszystko spakuję. Ale nie przyjmuje się obcych mężczyzn w szlafroku.

– Ja jestem bezwstydna! Przynajmniej nie pisuję za nikogo wypracowań! O której właściwie drukuje się gazety, jeżeli artykuły nie są gotowe do czwartej? Przecież to skandal!

– Coś ci się pokręciło w nie uczesanej głowinie. Byłem w Instytucie Chemii.

– Ach! Więc... więc to nie takie proste... on miał własny sposób przyrządzania tego atramentu i wy teraz nie możecie odczytać rękopisu!

– Mat!...

– Właśnie dlatego dzwoniłam do ciebie około czwartej. Przypomniałam sobie o tym atramencie i od razu zrozumiałam, że rękopisu nikt nie zamienił.

– Pokaż, co mam włożyć do walizki. Ten stosik? Dobrze, jakoś to wszystko upcham. A ty idź do łazienki i za pięć minut masz być gotowa.

– Tam są takie części garderoby, których... mężczyzna właściwie nie powinien oglądać.

– Nie mam zamiaru oglądać; włożę, przycisnę czymś ciężkim, żeby wszystko weszło, i zamknę walizkę.

– Dobrze, ja też zwykle tak ją zamykam. Na stole leży to, co Joel miał ci dać. Film i zdjęcie. Za minutkę będę gotowa.

– Mat, czy jesteś pewna, że... – usłyszałam w łazience głos Michała, w którym wyraźnie przebijała nuta zdziwienia – że masz wciągniętą gumkę wszędzie tam, gdzie ona jest konieczna?

– Drobnostka, to zawsze można zrobić.

– Oczywiście. Ale one mają śmieszny fason bez gumki. W pierwszej chwili nie domyśliłem się, co to jest.

– Strasznie jesteś domyślny.

– Ach, byłbym zapomniał: masz serdeczne pozdrowienia od Stelli.

– Jak to miło z jej strony! Nie zna mnie i posyła pozdrowienia. Ja nie jestem taka uprzejma.

– Widziała ciebie w teatrze i prosiła mnie, żebym ci zwrócił uwagę, że nie powinno się pudrować spoconej twarzy. To zatyka pory.

– Co za dbałość o moją cerę! Więcej nic ci nie powiedziała?

– Nie.

– To dziwne. Ona już nie podpisuje się S. S.?

– Nie; zmieniła inicjały, odkąd wyszła za mąż. Nie słyszysz

mnie? Powiedziałem, że zmieniła inicjały.

– Słyszałam i właśnie zastanawiam się, jaki ma teraz monogram.

– S. M.

– W gruncie rzeczy to miła dziewczyna.

– O, bardzo. Co mam zrobić z tym, co nie weszło?

– Dużo tego?

– Mniej więcej połowa.

– Może bym wzięła drugą walizkę?

– Spóźnimy się, Mat. Ja też mam strasznie mało czasu. Zresztą kapelusze naprawdę nie będą ci potrzebne. Zamykam.

Byłam już gotowa, wkładałam do torby przybory toaletowe i miałam jeszcze tylko poprawić koniuszki brwi, gdy nagle usłyszałam głos Michała tak zmieniony, że upuściłam grzebyk na podłogę.

– Powinnaś być ostrożniejsza – powiedział.

Wbiegłam do pokoju: Michał stał pochylony nad zamkniętą już walizką i podważał szczyrykiem coś, co znajdowało się w rogu wieka. W lustrze otwartych drzwi szafy zobaczyłam twarz Michała, była kredowo biała, ale nie zdałam sobie wtedy sprawy, co wyrażała, strach czy nienawiść. Podeszłam do stołu, Michał oderwał już srebrną literę „R” i podważał „V”.

– To nie jest jego walizka! – krzyknęłam. – To znaczy: jest, ale ja miałam taką samą, kupowaliśmy je razem, a potem pojechaliliśmy w góry na narty i przy pakowaniu zamieniliśmy walizki, bo moja też miała monogram w rogu.

– Kiedy to było? – zapytał obojętnie Michał.

– Dawno, strasznie dawno! Jeszcze nie pracowałam u Beniamina Polly. Właśnie zdałam ostatnie egzaminy i Ryszard namówił

mnie, żebym pojechała na parę dni w góry, zanim zacznę pracować. Ciotce nic nie mogłam powiedzieć, musiałam wymyślić jakąś koleżankę, która mnie zaprosiła do siebie na wieś, a potem miałam straszne wyrzuty sumienia, bo ciotka tak mi we wszystkim wierzyła i wyhaftowała ranne pantofle dla tej koleżanki. Już nigdy więcej jej nie oszukałam.

– Chodźmy, Mat, bo się spóźnimy. Bilet już kupiłem, włóż go do torebki.

W milczeniu wyszliśmy z domu i wsiedliśmy do taksówki; po drodze Michał nie odezwał się do mnie ani słowem. Zrozumiałam, że wszystko przepadło. Łykałam łzy i najchętniej byłabym wróciła do domu. Gdy zajechaliśmy przed dworzec, Michał kazał szoferowi czekać na siebie.

– Szczęśliwej podróży! – usłyszałam znajomy głos. – Pantofelki jeszcze u szewca?

Obejrzałam się: z taksówki, którą przyjechaliśmy, wychylał się szofer z ulicy Parkowej.

Michał wszedł ze mną do przedziału, postawił walizkę na półce i zaraz wyszedł na peron.

– Trzymaj się, Mat! – powiedział i odszedł, choć do odjazdu pociągu zostało jeszcze prawie dziesięć minut.

XXX

Jadąc do „Jaskółczego Dworu” zrozumiałam, dlaczego zazwyczaj spotyka się w przedziale starszą rozmowną panią, która obiera jabłko srebrnym nożykiem, i pana, który wyjmuje z teczki sportową gazetę, by nie wychylić się spoza niej do końca podróży, dlaczego w pewnej chwili wchodzi konduktor, przytyka palce do daszka czapki i przedziurkowuje bilety, podczas gdy za oknami ciągną się sady

kryjące małe domki, a dwie dziewczynki wspinają się na płot i długo powiewają chusteczkami za odjeżdżającym pociągiem. Są to odwieczne rekwiizyty, którymi posługuje się los, by pokazać swoją obojętność wobec ludzkich cierpień i bólu, zwłaszcza gdy osobą cierpiącą jest ktoś tak nic nie znaczący jak ja. Urzędniczka firmy Benjamin Polly i Ska – i los! Niewspółmierność była tak wielka, że przestałam na chwilę płakać wewnątrz i gorzko się uśmiechnęłam. Nie dla mnie były huragany, gazy uciekające przed tajfunem, pożary prerii, bałwany bijące wściekle o przybrzeżne skały, zaćmienie słońca pogrążające w ciemnościach całą ziemię; choć to wszystko działo się w moim sercu, dla mnie był konduktor z maszynką do dziurkowania biletów i kelner z wagonu restauracyjnego, który przyniósł lemoniadę.

Na stacji oczekiwał mnie szofer z „Jaskółczego Dworu”; zabrał gazety dla pensjonatu i pojechaliśmy drogą przez wieś, gdzie przed dwoma laty patrzyłam z Michałem, jak jaskółki, zmęczone wiciem gniazd, siadają na drutach telegraficznych.

Potem była pani Konstancja, mój pokój z balkonem wychodzącym na morze, pokojówka, która pomogła mi się rozpakować, jacyś ludzie przy obiedzie i znowu pani Konstancja, zaniepokojona, że nic nie jadłam. Pomiędzy stolikami podawano sobie gazety, wysoki, strasznie chudy, siwy pan, który przysiadł się do coraz innego stolika, twierdził, że obecna afery filatelistyczna jest niczym w porównaniu z jakąś kradzieżą znaczków wykrytą podczas Wystawy Światowej, nie dosłyszałam, z którego roku. Poskarżył się jeszcze, że wieczorne gazety dostaje się w pensjonacie dopiero przy śniadaniu, o ile on sam nie przywozi ich ze stacji, czego jednak tym razem nie zamierzał zrobić, by nie psuć brydza. Synek drobnej, bladej blondynki,

której nazwisko pani Konstancja powiedziała bardzo niewyraźnie, gdy posadziła mnie przy jej stoliku, szepnął mi na ucho, że w sobotę z pewnością przyjedzie do niego ojciec i przywiezie mu pociąg elektryczny albo nową piłkę. To było nie do zniesienia; poszłam na wydmy. Wiatr rozwiął mi włosy; od razu poczułam sól na wargach. Usiadłam na piasku, w małej kotlinie pomiędzy dwiema wydmami, gdzie wiatr nie był tak porywisty i pełno było żółtych kwiatów o długich kielichach, które wtedy na wiosnę, przed dwoma laty, wypuszczały dopiero pierwsze listki. Gładziłam ich zielone serduszka nagrzane od słońca i rozkoszne w dotyku jak brzuszki dopiero co wylęgłych piskląt, kiedy Michał skrócił moje imię do jedynej koniecznej, sylaby „Mat”.

„Jeżeli się pospieszę, to zdążę siedem razy w ciągu sekundy pomyśleć «Mat» – powiedział patrząc na zegarek.”

„Po co?” – zapytałam.

„Bo strasznie szybko zasypiam. «Matylda» wyszłaby mi najwyżej trzy razy przed zaśnięciem, a to za mało.”

Rozerwałam żółty kielich, uleciała z niego mała zielona muszka. Zrobiło mi się nagle żal niepotrzebnie zniszczonej rośliny, rozplakałam się, i to mi od razu pomogło. Michał kochał mnie wtedy, przed dwoma laty, musiał mnie kochać, jeżeli chciał się ze mną ożenić, i z pewnością nie przestał mnie kochać, bo gdyby tak było, ożeniłby się ze Stellą. Wyjęłam z torebki lusterko, żeby sprawdzić, czy nie zbrzydłam ostatnio; zobaczyłam żółtawy trójkąt z czerwoną plamą ust i postanowiłam natychmiast się opalić. Zwróciłam twarz ku słońcu; piasek cicho osuwał się po pochyłości, pachniały nagrzane zioła,

a ja myślałam, jak strasznie kochałam Michała już wtedy, gdy powiedział, że „Matylda” wyjdzie mu tylko trzy razy. Bohater mojej ulubionej powieści był zazdrosny o kobietę, którą później przestał kochać i mimo to, z przyzwyczajenia, chciał znać każdy szczegół jej życia, każdą chwilę spędzoną bez niego. Tak bardzo pragnęłam, żeby Michał był przy mnie i żebym mogła mu wytłumaczyć, że i mnie spotkało coś podobnego: od dawna nie kochałam już Ryszarda i tylko z przyzwyczajenia czekałam na jakąś wiadomość od niego. Ale Michał nic o tym nie wiedział, a w ciągu ostatnich dni zrobiłam wszystko, żeby go nie wyprowadzić z błędu. Dlaczego sam nie zrozumiał, że to nie jest miłość, lecz tylko lojalność wobec człowieka niewinnie oskarżonego? Prawdopodobnie pogardzał mną, ja sama przecież pogardzałabym kobietą, która nadal kochałaby mężczyznę wiedząc, że ją zdradzał i że przypomina sobie o jej istnieniu tylko w chwili, gdy grozi mu niebezpieczeństwo. Bardziej jednak niż pogardy Michała bałam się jego litości. Ale gdyby on tylko współczuł mi, nie zmieniłby się tak strasznie na twarzy widząc monogram Ryszarda na mojej walizce.

– O nie, ty mnie kochasz, bo jesteś zazdrosny! – powiedziałam nagle głośno, płosząc małego ptaszka z ruchliwym, zadartym ogonkiem, który odleciał niedaleko i przysiadł wyczekująco na gałęzi. – Wróć, już będę cicho! – zawołałam do niego i pomyślałam, że jeżeli wróci, to Michał przyjedzie najpóźniej w porze podwieczorku. Ale ptak odleciał, a ja zrozumiałam, że Michał nie przyjedzie. Gdyby zaś przyjechał, to by znaczyło, że mu nic, ale to nic na mnie nie zależy. Wróciłam do „Jaskółczego Dworu”.

Był właśnie podwieczorek, roznoszono herbatę i ciasteczka. Pani

Konstancja siedziała przy okrągłym stoliku, wysoki siwy pan wyłączył radio, bo były trzaski.

– Sztorm – powiedział – nie dziś, to jutro.

– Jutro przyjedzie inspektor Clark – podjęła pani Konstancja – i dowiemy się wszystkiego o tej sprawie. Och, jak on umie cudownie opowiadać! Co nie znaczy, że przyjedzie wyłącznie po to, żeby nas zapoznać ze wszystkimi szczegółami. Przyjedzie na półtora dnia, bo jest przemęczony. Tak mi wczoraj powiedział, kiedy zamawiał pokój. Nigdy nie sprzeczam się z gośćmi. „Wierzę, panie inspektorze – odpowiedziałam mu – że pan jest przemęczony i że morskie powietrze cudownie panu zrobi.”

Poszłam do siebie na górę, pokój był pełen szumu morza, zamknęłam drzwi balkonowe, żeby go nie słyszeć. Chmurzyło się, ktoś stanął pod moim oknem i powiedział, że zacznie padać, zanim on doliczy do trzech. W chwilę później zaszumiało na dworze, jak by morze podeszło pod balkon, schody zatrzeszczały, kilka osób biegło na górę, ktoś zbiegł na dół; położyłam się, pościel pachniała kremem waniliowym.

– Michale – powiedziałam – przecież ja nie wiedziałam, że kiedyś poznam ciebie i że tak strasznie będę ciebie kochać. Wcale nie musisz mnie kochać, ale przyjedź.

Pomyślałam, że coraz częściej mówię głośno do siebie i że pewnie coś mi się w głowie przesunęło. Co zresztą było bez znaczenia, skoro Michał nie miał przyjechać.

Nie zesłam na kolację, pokojówka długo stukwała do drzwi, potem zatrzeszczały schody, poznałam chód pani Konstancji.

– Śpi już – powiedziała pokojówka.

– Tak właśnie myślałam – odpowiedziała pani Konstancja.

Rano niebo było ciemne, ale nie padało. Ktoś głośno narzekał na niepunktualność kobiet, ktoś mu odpowiedział, że bluzka jeszcze nie wyprasowana, a po chwili dwa roześmiane głosy sprzeczały się o coś pod moimi drzwiami. W jadalni były już wieczorne gazety z poprzedniego dnia, na pierwszej stronie zobaczyłam zdjęcie Marii Woytis i Michała.

– To nie jest twarz, którą pani widzi pierwszy raz – powiedziała pani Konstancja. – Ani drugi, nieprawda?

– A jak będzie deszcz, to tatuś przyjedzie z parasolem? – pytał synek mojej sąsiadki rozmazując palcem dżem na talerzyku. – To jest pociąg – wytłumaczył mi.

Na nie zajętych krzesłach leżała gazeta, którą ktoś zostawił otwartą na drugiej stronie. Mimo woli przeczytałam: SADZAWKA NA SKWERZE PROFESORÓW ODSŁONIŁA SWOJĄ POTWORNĄ TAJEMNICĘ i TOM KLEEB PRZYZNAJE SIĘ DO PODPALENIA DOMU PRZY UL. HENRIETTY I KRADZIEŻY. Zrozumiałam, co to znaczy: lada chwila Ryszard mógł znaleźć się na wolności i przyjechać do mnie.

– Pani źle się czuje? – zapytała moja sąsiadka.

– Ja? Nie, to ta pogoda – odpowiedziałam wstając od stołu.

W pokoju trochę się uspokoiłam: Ryszard nie mógł przecież wiedzieć, że jestem w „Jaskółczym Dworze”. Mógł oczywiście zadzwonić do Małgorzaty, ale raczej przypuszczałam, że wróci wprost na Henrietty, żeby zająć się biblioteką.

Posłałam do wsi; jaskółki latały tuż nad ziemią, znowu zaczęły

padać deszcz. Weszłam do gospody „Pod Starcem z Brodą”, dokąd chodziłam z Michałem na cierpkie wino i słone precelki. Na obrośniętej dzikim winem werandzie ślepy harmonista grał *Pod mostami Paryża*. Gospodarz przyniósł wino, pies grajka wśliznął się pod stół, dostał precelka i polizał mi rękę. Wino było dobre, pocieszało jak melodia, którą słyszało się w jakiejś dobrej chwili.

- *La vie en roses* – powiedziałam do harmonisty.
- Ma pani rację – uśmiechnął się zmieniając melodię.

Michał musiał przyjechać, bo nie był okrutny.

Gospodarz wyszedł na werandę, pokazałam mu wino i harmonistę. Gdy po chwili wrócił z flaszką, harmonista podziękował mi uśmiechem i zagrał *Parle-moi d'amour*.

Michał musiał przyjechać, a jak przyjedzie, reszta będzie zupełnie obojętna. Ważne było tylko to, żebym zdążyła mu powiedzieć, jak bardzo go kocham i że kochałam go już wtedy na wydmach. Mężczyźni na ogół nie mają wyobraźni, ale Michał był inny niż wszyscy, wiedział, że jeżeli nie przyjedzie, to już będzie nie rozpacz, ale koniec wszystkiego, bez czego człowiek nie może żyć, to będzie, jak by zabrakło powietrza i światła. Pocałował mnie w oczy, a więc wiedział o wszystkim.

C'est si bon grał harmonista. Zapłaciłam, włożyłam resztę do jejgo czapki i szybko poszłam do pensjonatu. Michał pewnie już przyjechał, może czekał na mnie przed wejściem, pod szklanym daszkiem. „Mat, gdzież ty chodzisz w taki deszcz?”

Wszyscy byli już w jadalni, ale całą salę widziałam jak przez gęstą mgłę. To oczywiście nie oznaczało, że Michał jeszcze nie przyjechał. Powiedział, że może zdąży dopiero na podwieczorek.

– Czytała pani? – zapytał siwy pan pokazując mi gazetę, którą właśnie przyniósł szofer.

– Pani wszystko wie z bezpośredniego źródła – powiedziała pani Konstancja. – Co nie znaczy, że pani pracuje w redakcji. W mieście pewnie leje, inaczej miałabym na obiedzie jednego gościa więcej.

Moja sąsiadka też coś powiedziała, ale nie dosłyszałam. Przeprasiłam ją i nie czekając na obiad poszłam na górę. Po chwili przyszła pani Konstancja i zatroskana spytała, czy może się źle czuję. Uspokoiłam ją, posiedziała chwilę, wreszcie poszła. Nagle ktoś zapukał; wydało mi się, że zemdleję. Ostatnim wysiłkiem powiedziałam: „Proszę”. Weszła pokojówka; chciała się dowiedzieć, czy nie mam czegoś do odprasowania.

Gdy zesłam na podwieczorek, wszyscy już byli po herbacie, ale nikt nie wychodził, bo lało. Synek mojej sąsiadki płakał i kruszył ciastko.

– Tatuś przyjedzie następnym pociągiem – powiedziała matka – ale musisz zjeść ciastko i wypić mleko, żeby tatusia nie zmartwić.

– Jak mu nic nie powiesz, to się nie zmartwi – odpowiedział przez łyż.

Zapytałam, o której przychodzi następny pociąg.

– Jest jeszcze jeden o 10³⁵ i ma połączenie autobusowe. Ale boję się, że mąż nie zdąży i na ten pociąg, a mały nie zaśnie bez niego. Ostatni pociąg przychodzi o 11⁴⁵, tylko że autobus już nie kursuje o tej porze; trzeba zawiadomić wcześniej panią Konstancję, żeby posłała wóz.

– Z dworca nie można zatelefonować?

– Można, ale tylko do siódmej, bo telefon jest w kiosku. To

przecież straszna dziura, zeszłego tygodnia autobus nie jeździł całe trzy dni. A po siódmej dzwonić można tylko z poczty, ale z dworca na pocztę jest prawie tak samo daleko jak do pensjonatu. Właśnie czekam na telefon; myślę, że mąż zadzwoni po wóz.

– Taksówek nie ma?

– Jest jedna, o ile szofer nie wozi nikogo ze wsi na wesele. Do ostatniego pociągu zresztą nie wyjeżdża. Prawie nikt nie wysiada.

Usiadłam koło oszklonego kantorku, w którym znajdował się telefon. Rozmowy nie mogłam usłyszeć, ale byłam pewna, że po minie pani Konstancji poznam, z kim rozmawia.

Siwy pan oświadczył, że idzie na dworzec po gazety, wstał nawet powoli od stolika i czekał, by go zatrzymano. Natychmiast podniosły się głosy sprzeciwu, ktoś powiedział, że i tak kiosk będzie już zamknięty, ktoś błagał go, by nie psuł partii.

– O dziewiątej dowie się pan wszystkiego z dziennika radiowego – oświadczył tęgi mężczyzna, który dotychczas milczał. – Będzie tak, jak panu mówiłem: tylko matematyczna głowa mogła coś takiego wymyślić. Nam, zwykłym ludziom, nie wyszłoby tak dokładnie.

– Tylko zbrodniarz bez wykształcenia jest coś wart – rozzłościł się siwy pan. – Człowiek, który ukradł najstarszy znaczek świata podczas wystawy paryskiej, był analfabetą do czterdziestego roku życia i nauczył się czytać na kursach Armii Zbawienia.

Dzwonił telefon; pani Konstancja w przeciwległym rogu sali podziwiała sweter, który robiła na drutach siwa, gładko uczesana pani. Przez chwilę wydawało mi się, że czas stanął, że tak już będzie zawsze: pani Konstancja nigdy nie odłoży na stolik fioletowo-zielonych pleców, które przymierzała do swego obfitego biustu, a siwa pani na

wieki pozostanie z wyciągniętą ręką pokazującą gładki zielony przód. Zamknęłam oczy. Nagle zapachniało wanilią, skrzypnęły drzwi kantorku; otworzyłam oczy: Konstancja podniosła słuchawkę i natychmiast ją odłożyła. Pani oczekująca męża, która była już o krok od kantorku, wróciła do stolika. Potem była kolacja; jakiś młody człowiek, pełen poświęcenia, puszczał zajaczki, by rozerwać synka mojej sąsiadki, ale mały i tak nie chciał jeść.

– To przez panią – zwrócił się nagle do mnie ofiarny młodzieniec. – Gdy się siedzi przy jednym stole z obywatelem w tym wieku, trzeba wszystko jeść, żeby dać przykład.

– Przepraszam – odpowiedziałam przestraszona – zaraz zjem.

Młody człowiek roześmiał się; siwy pan podszedł do odbiornika, spojrzął na zegarek i powiedział:

– Jeszcze pięć minut. Żeby tylko nie było trzasków.

Bolało mnie każde słowo, nie mogłam znieść widoku tych ludzi. Na górze stanęłam przy oknie, z którego w dzień widać było niewielki odcinek szosy, ciemnej teraz i rozblyskującej tylko w świetle przejeżdżających wozów. Około dziesiątej przejechała ciężarówka, ale nie skręciła w boczną drogę prowadzącą ku pensjonatowi; po chwili zobaczyłam jej tylne światła znikające za zakrętem. Potem przejechały jeszcze dwa wozy, jeden zawrócił, ale też nie skręcił. Gdy wreszcie nadjechał autobus, byłam już tak zrezygnowana, że nie odczułam najmniejszego żalu, kiedy nie zwalniając minął przystanek. Jeszcze widoczne były jego czerwone światła, a już szosa załśniła, nadjechało osobowe auto.. Wstrzymałam oddech: auto skręciło w stronę „Jaskólczego Dworu”. Wolałam nie wyjść Michałowi naprzeciw, chciałam usłyszeć, jak zapuka, szkoda mi było każdej

odrobiny szczęścia. Otworzyłam okno; auto, rozchlapując kałuże zatoczyło szeroki łuk i zatrzymało się przed szklanym daszkiem. Moja sąsiadka upomniwała synka, żeby nie wychodził, bo zmoknie. Z auta wysiadł jakiś mężczyzna, chłopczyk podbiegł ku niemu; we dwójkę wyciągnęli z wnętrza wozu duży pakunek; siwy pan nagle też znalazł się przy aucie; ojciec chłopczyka musiał powiedzieć coś niezwykłego, bo słyszałam coraz więcej głosów.

– Wczoraj już musiał wszystko zrozumieć – mówił ktoś.

– Może jeszcze miał nadzieję, że nie dlatego mu to odebrali, bo inaczej dlaczego by dopiero dziś rano... – reszty nie dosłyszałam, choć dzisiaj raczej sądzę, że tylko tak mi się wydało; musiałam wszystko usłyszeć i tylko broniłam się przed tym słowem, które zalało mój pokój.

Ale zanim to się stało, minęła jeszcze sekunda, może dwie a może godzina, nie wiem, bo pamiętam tylko błysk – pewnie były to latarnie odjeżdżającej taksówki – gwałtowne, szarpiące cięcie nożem, rozświetlające to wszystko, czego dotąd nie pojmowałam i co nagle razem z tym słowem dotarło do mnie z dołu. W tym błysku zrozumiałam, gdzie już widziałam twarz Irmy Slend, zrozumiałam, gdzie Joel zrobił zdjęcie Ryszarda, skąd Ryszard miał fotografię ciotki, gdzie był rękopis profesora Woytisa i dlaczego Michał zerwał strzęp płaszcza z wygiętego pręta kraty. A potem słowo „cyjanek” wtargnęło do mego pokoju zimną falą, chwyciłam się parapetu, fala była jednak silniejsza ode mnie, wypłynęłam jeszcze raz na wierzch, chciałam odetchnąć, nie było już powietrza, był tylko cyjanek, opa-
dłam na dno.

XXXI

– Jesteś bez serca. Bo pomyśl: Naprzód zamartwiam się, że nie zdążę na obiad, potem zamartwiam się, że nie zdążę na podwieczorek, potem widzę, że i z kolacji nic nie wyjdzie, w końcu zabieram wóz koledze, płacę po drodze mandat za mandatem, przyjeżdżam, wchodzę do jadalni, pani Konstancja opowiada mi straszne rzeczy, że uciekasz od ludzi, że nic nie jesz. „Jak to – pytam – a deser?” „Deser – mówi pani Konstancja – jabłka zapiekane we francuskim cieście, też nie ruszony”. Wyobrażasz sobie, jak się zmartwiłem? A twoja sąsiadka – jeszcze wtedy nie wiedziałem, że jest lekarzem, i myślałem, że trochę przesadza – mówi mi, że ty albo jesteś chora, albo czekasz na kogoś, w każdym razie domyśliła się, że coś nie jest w porządku, bo nawet nie zapytałaś, jak na imię jej synkowi. Henryś, zapamiętaj, proszę cię, że Henryś, ona zaraz przyjdzie, ma zrobić jeszcze jeden zastrzyk. No więc martwię się, na kogo tak czekałaś, że aż koło telefonu usiadłaś, nie na mnie przecież, nie jestem naiwny, żeby tak myśleć. Nie, Mat, nie naprawisz niczego tym uśmiechem, wiem, że nie na mnie. Naprawdę na mnie? W takim razie niczego nie rozumiem: jak mogłaś wątpić, czy przyjadę! Potem dowiaduję się o młodym człowieku, który puszczał zajączki. Nie dla ciebie? Owszem, słyszałem, że to niby miało być dla Henrysia, ale to ty przecież powiedziałaś, że zaraz wszystko zjesz, no więc widzisz, miałem rację. Nie jestem zazdrosny ani podejrzliwy, prosta logika wystarcza, żeby zrozumieć, dla kogo były zajączki. Potem pani Konstancja mówi, że pewnie już śpisz, bo u ciebie w pokoju ciemno, ale przychodzi pokojówka i mówi, że jeszcze nie pościeliła; idziemy

więc we trójkę na górę, pukamy, nikt nie odpowiada, wchodzimy, okno otwarte, deszcz zalewa pokój, o biedna perła... Och, Mat, nie zasypiaj, ja nie miałem ciebie uśpić, widzę, że źle wywiążuję się z zadania, poczekaj, dam ci lekarstwo, a za chwilę przyjdzie pani doktor...

Chciałam powiedzieć Michałowi, że nie zasypiam, że to on oddała się i nie słyszę już jego głosu, chciałam mocniej przytrzymać go za rękę, ale mgła gęstniała, a zimna fala znowu zalewała pokój.

– Zawsze trzeba mieć przy sobie cyjanek! – krzyknęłam.

Potem długo leżałam w szpitalu i choć nie dawano mi gazet ani nie wspomniano przy mnie o samobójstwie Ryszarda, miałam dość czasu, aby wszystko przemyśleć. W ciągu długich samotnych godzin szpitalnej ciszy rysowałam palcem na niebieskim kocu plan naszego miasta. Tam, gdzie kończyło się prześcieradło, była ulica Podzamcze i nasz dom. Stamtąd długa prosta linia szła w górę, aż do moich kolan: to był Dom Profesorów, Skwer i teatr Nowej Operetki. Potem kreśliłam drugą linię, która tworzyła ostry kąt z poprzednią i prowadziła na plac Gwiazdzisty, prawie do brzegu koca. Przedłużałam ją jeszcze trochę i miałam ulicę Parkową. Ulica Henrietty wypadała na samym skraju, łączyłam ją krótką kreską z monogramem szpitalnym na prześcieradle: tam było Muzeum i przystanek autobusu 107, o parę centymetrów od naszego domu. W ten sposób zrozumiałam, że Ryszard kazał mi jechać najdalszą drogą, choć twierdził, że nie ma ani chwili do stracenia. Musiał zapewnić sobie dość czasu, żeby po rozmowie ze mną przejść przez jezdnię dzielącą plac przed Nową

Operetką od Skweru Profesorów, zabić profesora, wyciąć kieszenie, zabrać oba notesy zawierające jego pracę, ukryć walizki, wrócić na przystanek autobusowy, a potem pobiec na ulicę Henrietty. Przez długi czas Ryszard, który zabił Irmę, Teresę i profesora Woytisa, nie miał nic wspólnego z moim przyjacielem Ryszardem, poza imieniem oczywiście. Zresztą nie żył już; był straszną, ciemną postacią w długim ciemnym płaszczu, która istniała tylko parę godzin i której bałam się w nocy, ale w dzień mogłam o niej myśleć jak o bohaterze jakiegoś ponurego filmu. Był to okres, kiedy, myśląc o sobie, nazywałam siebie Matyldą a gdy byłam sama w pokoju, opowiadałam cicho tej Matyldzie historię nocy 17 sierpnia. Godzinami powtarzałam te same słowa: „Jemu było potrzebne alibi, musiał mieć świadka, że niby od jedenastej nie wychodził z domu, rozumiesz? I dlatego wyjął z mojej torebki cygarniczkę i zdjęcie, żeby inspektor Clark od razu domyślił się, kto był u niego w nocy”. Pewnego razu doktor Kirch, który mnie leczył, zapytał, co rysuję na kocu i o czym tak mówię do siebie. Na drugi dzień przeniesiono mnie do pokoju, w którym były trzy łóżka, a zamiast koca dostałam atlasową koldrę w kwiaty. Potem pozwolono mi przyjmować wizyty. Przyszła Małgorzata z wiadomością, że Joel rzucił fotografowanie i robi sztuczne kwiaty, tylko że na razie idzie mu to trochę ciężko, przyszła moja kuzynka Anna, koleżanki z biura, nawet sam Benjamin Polly, który zapewnił mnie, że po powrocie do zdrowia będę taką samą sumienną pracownicą jak przed chorobą. Tylko Michał nie przyszedł. Raz przysłał mi koszyk niezapominajek z karteczką: „Perło, nie

mogłabyś szybciej wyzdrowieć?”, i to było wszystko.

Czułam się już wtedy znacznie lepiej, wolno mi było godzinę dziennie czytać, doktor Kirch przyniósł mi nawet *Kubusia Puchatka* z własnej biblioteki, bo wszystkie szpitalne „Kubusie” były zajęte, dawano je razem z witaminami rekonwalescentom. Gdy mijała godzina „Kubusia”, wsuwałam się z głową pod kołdrę i płakałam aż do obiadu. Doskonale rozumiałam postępowanie Michała: do „Jaskółczego Dworu” przyjechał tylko dlatego, że obiecał, a kiedy okazało się, że zachorowałam i że upadając zraniłam się w skroń, zaopiekował się mną i odwiózł mnie do szpitala, ale na pewno uznał, że na tym skończyły się jego obowiązki. Nie miałam żalu do niego, ale... moja poduszka często była mokra od łez.

Najgorsze były wieczory. Nie rysowałam już planu miasta na chryzantemach mojej kołdry, podjęłam trud myślowy znacznie cięższy do wypełnienia: chciałam za wszelką cenę ocalić jakąś część człowieczeństwa we wspomnieniu o Ryszardzie. Chciałam, żeby okazało się, że przynajmniej Teresę kochał naprawdę, że ożenił się z nią nie tylko dlatego, że była tak ciężko chora i że tak łatwo było ją zabić. Później, gdy już wychodziłam do ogrodu, poznałam siostry Felicję i Urszulę, które odwiedzały Teresę na Henrietty i w klinice uniwersyteckiej. Były pewne, że Ryszard wiedział o chorobie Teresy, sama mu o tym mówiła i rzekomo ordynator szpitala też go ostrzegął, ale i one nie wierzyły, by ożenił się z nią tylko z wyrachowania. „Człowiek nigdy nie jest potworem do końca” – powiedziały mi. Czekałam więc na powrót ordynatora z zagranicy, bo on jeden mógł mi wyjaśnić, co myślał mówiąc do Teresy: „On ciebie

zabije”, i powiedzieć, czy Ryszard zdawał sobie sprawę z jej stanu zdrowia.

Potem przychodziła noc i zwątpienie. Gdy gaszono światła, powracało stale to samo pytanie: po co Ryszard zabił profesora Woytisa, po co zabrał jego pracę? Pisał przecież własną, prawie już ją kończył, a rękopisem profesora nie mógł się posłużyć nawet jako materiałem pomocniczym: cały świat naukowy znał temat pracy profesora, każde zapożyczenie byłoby natychmiast odkryte. Na to pytanie mógł mi odpowiedzieć tylko Michał, ale Michał nie przychodził. Przeczytałam i *Kubusia Puchatka*, i *Chatkę Puchatka*, doktor Kirch zastanawiał się już nad następną lekturą, łudził mnie nawet nadzieją *Ani z Zielonego Wzgórza*, o ile przez trzy dni nie będzie temperatury, a Michał nie przysłał choćby najmniejszej karteczki z paroma słowami. Tę jedyną, jaką dostałam razem z niezapominajkami, trzymałam między materacem a brzegiem łóżka i wyjmowałam tylko w nocy, kiedy nikt nie widział. W końcu nie wytrzymałam i zapytałam Małgorzatę, która przychodziła do mnie prawie codziennie, czy nie widuje czasem Michała.

– Czasem? – zdziwiła się Małgorzata. – Prawie co dzień. Odprowadza mnie nawet stąd do domu i opowiadał mi wszystko o tobie. Och, zdaje mi się, że miałam ci tego nie mówić. Bo on ma swoją teorię o urazach, wczoraj strasznie się pokłócił z twoim doktorem, który mu powiedział, że jest zarozumiałym młodym człowiekiem i że nie będzie dyskutować z osobą bez wykształcenia medycznego, a Michał na to wyjął jakąś książkę i kazał doktorowi coś z niej przeczytać, wtedy doktor mu powiedział, że umiał tę książkę na pamięć, kiedy akuszerka, która miała kiedyś pomóc Michałowi

urodzić się, jeszcze nie zapisała się na kursy akuszerskie. Wtedy Michał uśmiechnął się i powiedział, że książka pachnie farbą drukarską i że to ostatnie słowo wiedzy, nie pamiętam jakiej, w każdym razie coś ważnego, bo doktor też uśmiechnął się i powiedział, że być może pachnie farbą, ale jeszcze mocniej starzyzną, bo nic nowego w niej nie ma. Z pewnością miałam ci tego wszystkiego nie mówić, bo doktor twierdzi, że już nigdy w życiu nie będziesz mogła patrzeć na Michała i że przez niego jesteś chora i że gdybyś go zobaczyła, to byłby straszny wstrząs dla ciebie i znowu wszystko zaczęłoby się od początku. I pisać też mu nie pozwolił, bo jego pismo też może być urazowe. A Michał powiedział, że to czarna magia i doktor zagroził mu, że do poczekalni też nie będzie się go wpuszczać, słowem, coś okropnego, Michał strasznie źle wygląda i martwi się, że nigdy o niego nie pytasz. Nawet raz powiedział, że doktor Kirch może i ma rację i że on już nie wie, co ma robić. Na razie kupił dla ciebie całą sztuczkę gumki, wiesz, takiej wąskiej. Będzie tego chyba z pięćdziesiąt metrów. Nie pytałam Michała, do czego, ta gumka, bo się wstydziałam; pomyślałam, że Bóg wie co mi odpowie.

– Dziękuję ci za te wiadomości – odpowiedziałam. – Jutro podczas obchodu zabiję doktora Kircha.

Tak to się mówi, ale wprowadzić słowa w czyn niełatwo., Zawsze bałam się lekarzy i jedyna rzecz, na jaką zdobyłam się, to była nieśmiała prośba, żeby Michał mógł przychodzić do mnie.

– Och, moje dziecko – odpowiedział doktor Kirch zdejmując okulary – to nie jest takie proste. Pomijam fakt, że to człowiek uparty i zarozumiały. Nie o to chodzi. Nie mam też żalu do niego, że

popiera zupełnie fałszywe opinie moich czcigodnych kolegów. Jako laik, nie może odróżnić blichtru od prawdziwej wiedzy. Ale chodzi o sprawy ważniejsze. Nie wątpię, że świadoma warstwa pani jaźni może pragnąć widoku tego człowieka. To jest nawet do pewnego stopnia zrozumiałe. Ale co powie na to pani podświadomość? Jakie będą jej reakcje? Kto mi za nie zaręczy?

– Ja, panie doktorze! – zawołałam. – Inspektor Clark kojarzy mi się wyłącznie z kremem waniliowym, wiatrem na wydmach i jaskółkami budującymi gniazda. Moja podświadomość dwa lata czekała na tego zarozumiałego człowieka! Ten etap mam już za sobą.

– Nikt nie ma tego etapu za sobą – powiedział doktor Kirch wkładając okulary – ale zobaczymy.

XXXII

– Nie, Mat, nigdy bym nie uwierzył temu okularnikowi, że mój widok może sprowadzić nawrót choroby, gdybym sam od dawna nie obawiał się jeszcze czegoś gorszego: że mnie znienawidzisz, gdy wszystko zrozumiesz. Że na zawsze będę dla ciebie prześladowcą Ryszarda i że nigdy mi/nie wybaczysz...

– Wiem, zrozumiałam to od dawna: to ja sama naprowadziłam ciebie na właściwy trop; każde moje słowo, którym chciałam bronić Ryszarda, było kluczem do odkrycia jego zbrodni. Nawet na to, że te dwa nie zapisane notesy, które Ryszard miał przy sobie, to właśnie praca profesora, też sama ciebie naprowadziłam i dlatego wtedy tak nagle wyszedłeś ode mnie. Z przedpokoju wróciłeś jeszcze na

chwilę, bo chciałeś mi powiedzieć prawdę, tylko zabrakło ci odwagi. Ale wiem, że nie chciałeś mojej pomocy, broniłeś się przed nią.

– Bronilem swego szczęścia i widziałem, że nic nie poradzę; kruszyłaś kawałek po kawałku moją nadzieję, że może jeszcze wszystko się ułoży. Gdy przyjechałem do „Jaskółczego Dworu”, byłem pewny, że już wszystko wiesz i że zgasiłaś światło u siebie w pokoju, żeby ze mną nie rozmawiać. Bałem się zostawić ciebie samą w takiej chwili i bałem się rozmowy z tobą.

– Michale, czy naprawdę nie ma inteligentnych mężczyzn na świecie?

– Są, ale kobiety ich nie spostrzegają. Najlepszy dowód: niepozorny człowieczek z katarą i w szaliku. Co za raport on wygotował! Co za delikatność i spostrzegawczość! Gdyby nie był tak zakatarzony, byłbym go z miejsca ucałował w oba policzki. Jak on pojmował każde drgnienie twojej duszy! Dzięki niemu zrozumiałem, że jednak trochę ci na mnie zależy. To było w czwartek; powiedziałaś, że chodziłaś ulicami i myślałaś, i że nie masz apetytu, bo jesteś zdeenerwowana. A w raporcie przeczytałem: „Wysiada z taksówki, staje przed bramą, myśli, coś postanawia, wchodzi do cukierni, siada przy oknie, odsuwa firankę, kogoś wypatruje, chwilami uśmiecha się do siebie, ale niepewnie i smutno. Zamawia kawę z pianką, jedną szarlotkę i jedną napoleonkę. Zjada ciastka w odwrotnym niż przy zamówieniu porządku, wypija kawę, rozgląda się po lokalu, znów odchyła firankę; wyraźnie uśmiecha się, ilekroć wzrok jej wybiega poza okno. Sięga dłonią po gazetę, czyta ją, na twarzy odmalowuje się zdumienie. Jest coraz bardziej pochłonięta lekturą. Spożywa jeszcze

jedną szarlotkę i kruche z pianką. Odkłada gazetę, myśli. Zdenerwowanie wzrasta w sposób widoczny, spogląda coraz częściej na zegarek i na ulicę. Lokal wyludnia się, opuszczam go, by uniknąć rozpoznania. Staję tuż przy oknie i zapewniam sobie równocześnie pełną niewidzialność i dość duże pole widzenia. Zamawia jeszcze jedno ciastko, zjada je przy kontuarze, wraca do stolika. Pali dużo i myśli. Chwilami porusza wargami, jak by coś mówiła do siebie, ale słów nie słyszę, dzieli nas gruba szyba. Wychodzi ostatni gość, właścicielka lokalu zaczyna przygotowywać się do zamknięcia, a ona siedzi nadal. Nagle zrywa się i prowadzi dość długą rozmowę przy kontuarze. Podbiega do okna, wraca do kontuaru, krzyczy coś, wybiega na ulicę i spotyka...” resztę wiesz. A ja pomyślałem sobie: nie jest tak źle, Mat wyraźnie chciała mnie zmartwić, a nie martwi się ludzi obojętnych.

- Zakatarzony jest płatny od wiersza?
- Nie, on tak z własnej pilności komponuje.
- Zaufany człowiek porucznika Flinta?
- Zgadłaś, jak zwykle.
- To Flint kazał mnie śledzić?
- Tak, to jego pomysł. Zgodziłem się z radością. Przede wszystkim mogłem w ten sposób uniknąć podania twego nazwiska prasie. A poza tym...
- Poza tym nie aresztuje się osób śledzonych, prawda? W każdym razie trochę się z tym czeka.
- Nie śmiej się, Mat, nie masz pojęcia, jak strasznie bałem się o ciebie. A jak tylko trochę się uspokoilem, bo na szczęście nigdzie na Henrietty nie znaleziono odcisków twoich palców, zacząłem bać się ciebie. Potem znów bałem się, że wiesz wszystko o morderstwie

Irmy i że może on ciebie w to też wmieszał. Czy wyobrażasz sobie, jak się przeraziłem, kiedy powiedziałaś, że Irmę Slend miał spotkać los Teresy. Albo że Ryszard sam wyskoczył z pociągu. Podejrzewałem go o to od dwóch lat... bałem się, strasznie się bałem o ciebie.

– Dlaczego wtedy nic mi nie powiedziałaś?

– Tak, to był wielki błąd i niewiele brakowało, a byłby to błąd nie do naprawienia. Ale zrozum mnie, Mat, jak mogłem? Przypomnij sobie zbieg dat: 17 sierpnia, w sobotę, powiedziałaś, że nie możesz zostać moją żoną, bo musisz czekać na Ryszarda...

– Och, jak to nieładnie i nieszlachetnie przypominać komuś najgłupsze słowa, jakie w życiu powiedział! Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, wszystkiemu ty sam byłeś winien. W przyszłości, gdy będziesz chciał oświadczyć się jakiejś kobiecie, myśl trochę więcej o formie. Sama treść oświadczyn nie jest aż tak ponętna, żeby uczciwa i szanująca się kobieta od razu rzuciła się mężczyźnie na szyję krzyząc: „O tak, chcę być twoją żoną na wieki i gotować ci obiady!”

– Dziękuję za wskazówkę, ale nie skorzystam. Mam nadzieję, że będziesz wystarczająco złą żoną, żebym już nigdy nie pomyślał o innej.

– To jest aluzja do nieporządku w mojej szafie?

– Między innymi.

– Przede wszystkim pakowałam się wtedy, a poza tym już ty jesteś systematyczny za nas dwoje. Pamiętam wykład o statystyce. Niczego nie umiesz brać lekko.

– Właśnie że umiem. Pamiętam surową jajecnicę.

– Przecież to Małgorzata ją robiła!

– No wiesz, Mat, to potworne! Zwalać na Małgorzatę! Widzę, że już jesteś całkiem zdrowa.

– Ale każdej chwili może mi się pogorszyć. Niech już jednak będzie, że jestem potworem. Wróćmy do twoich błędów.

– Dobrze. Moim największym błędem było to, że tak bardzo ciebie kochałem. Chciałaś coś powiedzieć?

– Nie, rozmyślałam się. Mów dalej.

– W „Jaskółczym Dworze” i potem w mieście wydawałaś mi się taka beztroską, taka szczęśliwą, nigdy mi nie wspominałaś, że masz jakieś zmartwienie, twoja ciotka też nigdy nie robiła najmniejszej aluzji, że jesteś z kimś związana, i to z kimś, kto tak dziwnie się zachowuje, że wtedy, po lodach, kiedy mi wszystko opowiedziałaś, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale... no po prostu nie uwierzyłem. Wydawało mi się, że to taki wybieg, żeby mnie nie urazić, zresztą, prawdę mówiąc, wtedy nic nie myślałem, nic mi się nie wydawało, to było tak, jak by... nie wiem, czy mnie zrozumiesz...

– Doskonale rozumiem. To było tak jak wtedy, gdy powiedziałaś mi o Stelli Savigny. Odpłaciłeś mi.

– Nie, Mat, naprawdę nie.

– Już dobrze, wybaczyłam ci tę Stellę.

– To była sobota, na Dworcu Głównym znaleziono zwłoki kobiety w koszu, a w niedzielę był ten wypadek w pociągu. Nie zajmowałem się żadną z tych spraw. Nawet gdy w poniedziałek dowiedziałem się, że ofiarą wypadku był Ryszard, specjalnie tym się nie zainteresowałem. Po prostu o niczym wtedy nie mogłem myśleć. W poniedziałek zachorowała twoja ciotka, nie dziwiłem się więc, że nic mi nie wspominasz o Ryszardzie. Później, gdy przekonałem się,

że nie odwiedzasz go w szpitalu, i gdy zapoznałem się z jego zeznaniami, gdy zrozumiałem, co za tryb życia ten człowiek prowadził, z jakimi kobietami się zadawał, byłem coraz pewniejszy, że on ci jest całkowicie obojętny i że miałem rację od pierwszej chwili: to był z twojej strony tylko wybieg, nic cię z nim nie łączyło. Nie rozumiałem jednak twojego postępowania, bo jeżeli to był wykręt, powinnaś była go podtrzymać, jakimś słowem napomknąć o Ryszardzie, o jego chorobie. On oczywiście mógł cię nie zawiadomić o swoim wypadku, brałem i to pod uwagę, ale ty przecież musiałaś dowiedzieć się o tym z gazet, od wspólnych znajomych czy jego krewnych. Wydawało mi się, że ukrywasz coś przede mną, że masz jakąś tajemnicę, a nie miałem odwagi zapytać cię wprost, nie tylko przez delikatność, bałem się, że dowiem się czegoś, co na zawsze pozbawi mnie wszelkiej nadziei. Wolałem nie wiedzieć i czekać. Znałem z grubsza akta sprawy Cypriana Basila, znałem obie wersje zeznań ludzi z pociągu, kiedy nagle śmierć Basila przerwała śledztwo, a ja, czytając uzasadnienie umorzenia i podsumowanie dotychczasowych wyników śledztwa, przypadkowo natknąłem się na raport o Ryszardzie. Bo nie wiesz jeszcze wszystkiego: Flint, sądząc, że Basil rzeczywiście wypchnął Ryszarda z pociągu i że Ryszard poznał go, ale nie przyznał się do tego z jakichś względów, stale trzymał go pod obserwacją. Stąd wiedziałem, że nie bywasz u niego w szpitalu i stąd dowiedziałem się o jego ślubie z Teresą. Zdobyłem się wtedy na odwagę, a raczej miałem zdobyć się, bo jak wiesz, nic z tego nie wyszło. Chciałem zapytać cię, czy po ślubie Ryszarda nic się nie zmieniło w twoich planach. Jeżeli to był wybieg, nie mogłaś się nim

nadal posługiwać, jeżeli to była prawda, no to tym lepiej...

– Jak to tym lepiej? Przecież to wykluczone, żebyś do tego stopnia nie miał ambicji i poczucia męskiej godności! Ożeniłbyś się z kobietą, która tylko dlatego zgodziłaby się wyjść za ciebie, że ją ktoś opuścił?

– Patrzyłem na to trochę inaczej...

– Oczywiście! Że też mogłam tak się pomylić! To przez zarozumiałość! Żadna kobieta nie mogłaby ci się oprzeć! Wysłałaby za ciebie z rozsądku, a po paru godzinach szalałaby z miłości!

– Też nie całkiem tak, ale już jesteś bliższa prawdy.

– Wiesz, zauważyłam coś dziwnego: zupełnie inaczej rozmawiam z tobą, kiedy ciebie nie ma. Jestem wtedy dobra, łagodna, sentymentalna, czasem namiętna, nie wyobrażasz sobie, jakie cudowne zdania wtedy mówię. Sama poezja. I nigdy się nie kłóczę.

– Oczerniasz się, Mat. W „Jaskólczym Dworze”, kiedy zachorowałaś, siedziałem przy tobie, a mimo to byłaś łagodna i nie powiedziałaś ani jednego przykrego słowa. I uśmiechałaś się tak uroczo. Co do ambicji, to jednak może masz rację. W każdym razie wtedy o tym nie myślałem. Zresztą zdobyłem się tylko na jedno pytanie: czy nie widzisz się z Ryszardem. Odpowiedziałaś, że nie i że czekasz na jego telefon. A powiedziałaś to tak szczerze, że nie miałem już żadnych wątpliwości: o niczym nie wiesz i nadal czekasz na Ryszarda. Nie miałem odwagi powiedzieć ci prawdy. Za to postanowiłem bliżej zająć się Ryszardem. Już wtedy wydawało mi się, że on ma w tym jakiś cel, że nie tylko przez obojętność nie zawiadamia ciebie o

swoim ślubie. Że potrzebna mu jesteś do czegoś, czego oczywiście wtedy nie domyślałem się w najmniejszym stopniu. Wróciłem więc jeszcze raz do aktów jego sprawy. Mniej więcej w tym samym czasie zetknąłem się ze sprawą Toussainta; zdobyłem wtedy przynajmniej jedną pewność: Toussaint był Grzegorzem i sprawcą zamachu bombowego, ale ani on, ani Basil nie mieli nic wspólnego z podrzuceniem zwłok na Dworcu Głównym, o tym ci już zresztą mówiłem. Równocześnie przekonałem się o czymś innym, ale tak samo, jak w wypadku Toussainta, nie zdobyłem takich dowodów, które by przekonały również moich kolegów: Ryszard, zeznając w tydzień po wypadku o człowieku z koszem, który go rzekomo wypchnął, musiał kłamać. W niedzielę, kiedy ten wypadek miał miejsce, nikt jeszcze nie wiedział o podrzuceniu zwłok na dworcu, Ryszard nie mógł więc ulec psychozie, jak to się później zdarzyło wielu ludziom, którzy na każdym kroku widzieli człowieka z wiklinowym koszem. Jeden wypadek nigdy nie wywołuje psychozy. Gdyby zaś naprawdę na platformie znajdował się ktoś wiozący wiklinowy kosz, dość spory przecież, inni pasażerowie byliby to zauważyli. Taki kosz musiałby im przeszkadzać, chociaż parę osób zapamiętałoby ten szczegół. Inspektor Govy miał na to oczywiście odpowiedź: Ryszard pod wpływem opowiadań innych chorych wyobraził sobie, że był ofiarą człowieka z wiklinowym koszem. Zbadałem tę sprawę: razem z nim w pokoju leżało tylko trzech chorych. Stan dwóch z nich był bardzo ciężki, nie czytali gazet, niczym się nie interesowali. Trzeci pacjent wyszedł ze szpitala na drugi dzień po przywiezieniu Ryszarda, było więc raczej wątpliwe, żeby od niego się dowiedział. Pozostawały

siostry; były pewne, że nic o tym nie wspominały, nie dawały mu żadnych gazet i nikt z zewnątrz też mu ich nie przynosił. Przychodziła do niego matka i Józefina, ale czy one właśnie o tym z nim rozmawiały? A poza tym przez pierwsze trzy dni Ryszard w ogóle nie był w stanie prowadzić jakiegokolwiek rozmowy.

Błądziłem po omacku. Choć byłem prawie zupełnie przekonany o kłamstwie Ryszarda, nadal nie wiedziałem, dlaczego skłamał. Tak samo jak ty, choć z innych względów, przypuszczałem, że zeznanie świadka, któremu wydawało się, że Ryszard sam wyskoczył, było jak najbardziej wiarygodne. Połączyłem z tym oświadczenie konduktora, że zna Ryszarda z widzenia, bo spotykał go na swojej linii, i rozumiesz chyba, do jakiego wniosku doszedłem: Ryszard parokrotnie jeździł do Sams, by zbadać, gdzie najbezpieczniej można wyskoczyć z pociągu. To już był grudzień, nie mogłem odbyć tej drogi w takich samych warunkach jak w sierpniu, by przekonać się, czy rzeczywiście dziesiąty kilometr jest najodpowiedniejszym miejscem dla wyskoczenia bez większego ryzyka; linia była już zelektryfikowana, pociągi jeździły z większą szybkością, no i wozy były inne, automatycznie zamykane. Zrobiłem coś innego; zapoznałem się z planami przebudowy linii do Sams. Wynik był fantastyczny: z końcem sierpnia pracowano właśnie na dziesiątym kilometrze, pociąg zwalniał w tym miejscu bieg. Jednej drobnostki Ryszard oczywiście nie przewidział: drezyny, która jeździła tym drugim, przebudowanym wtedy torem. To już było jednak wszystko, co odkryłem. Dalej nie posunąłem się ani o krok. Dziwisz się, że nie dostrzegłem związku między zwłokami podrzuconymi na dworcu a zniknięciem

Irmy? Pewne okoliczności, na które może Ryszard nawet nie liczył, sprawiły, że Irma poszukiwano co prawda, ale tylko w celu oskarżenia jej o sfałszowanie dowodu. Nikt nie zwrócił uwagi nawet na to, że bombę podrzucono 23 lipca, a 1 sierpnia Irma sprowadziła się do Ryszarda. Ale od chwili gdy byłem już pewny, że Ryszard coś ukrywa i że nadal liczy na ciebie, zaczął się najcięższy okres w moim życiu. Czułem, że coś ci grozi, i nie wiedziałem, co to jest, ani jak ustrzec się przed tym. Miałem wrażenie, że żyję pośród gęstej, nieprzeniknionej mgły, z której każdej chwili może mnie dobiec twoje wołanie o pomoc. Ta mgła rozdarła się nagle, gdy Ryszard przyszedł do Komendy...

– Nie, mgła trwa nadal, przynajmniej dla mnie – przerwałam Michałowi – tobie, sędziom, prasie mogą wystarczyć materialne dowody winy Ryszarda; nie zrozum mnie źle; gdybym nawet miała jakieś wątpliwości, czy Ryszard naprawdę popełnił te trzy potworne zbrodnie, jego samobójstwo jest przecież wystarczającym dowodem. Ale nie o to mi chodzi. Wzięliście wszystko pod mikroskop, nie tylko przedmioty i plamy krwi, czas też zmierzylście, wiecie, co robił niemal każdej sekundy tamtej nocy, znacie motyw zbrodni: chęć przywłaszczenia sobie cudzej pracy naukowej, i gdyby Ryszard nie pomyślał o wszystkim, to znaczy: gdyby nie ukrył pod podszewką kurtki cyjanku, moglibyście go z czystym sumieniem skazać na dożywotne więzienie i sprawiedliwości stałoby się zadość. Ale tylko wam dane było mówić, on nie mógł już niczego powiedzieć. A gdyby mógł, może powiedziałby coś, co ocaliłoby przynajmniej cząstkę wspomnienia o nim. Kiedy, jak to się stało, że zaczął myśleć jak zbrodniarz. I nigdy nie dowiem się tego, mgła trwa nadal, chwilami

wydaje mi się, że oszaleję, jeżeli nie znajdę z niej wyjścia. Całymi nocami myślałam o tym. Nie chodzi mi tylko o Ryszarda. To tyczy tak samo mnie, ciebie, wszystkich normalnych, uczciwych ludzi, którzy kochają swoich rodziców, pieszczą zwierzęta, chodzą na przechadzki, czytają w gazetach o przestępstwach, zbrodniach i nie rozumieją, jak można zabić człowieka, a potem pewnego dnia planują w najdrobniejszych szczegółach potworne zbrodnie. Gdzie jest granica, jak uchwycić ten moment, kiedy w człowieku rodzi się zbrodniarz? Ryszard, którego znałam, był najuczciwszym człowiekiem na świecie, wierz mi; kiedy przestał nim być? Czy wtedy w cukierni, gdy mi powiedział, że nie będziemy mogli widywać się przez dłuższy czas, był już potworem? I to jeszcze: mówisz, że znasz motywy zbrodni. Ale przyczyny powstania tych motywów?

– Tego właśnie najbardziej się bałam – powiedział Michał. – Że będziesz całymi godzinami myśleć o tym. Dlatego uważałem, że powinienem jak najszybciej zobaczyć się z tobą i wytłumaczyć ci pewne sprawy, o których nie mogłaś wiedzieć. Ale nawet to, co wiem, nie tłumaczy wszystkiego. To są najwyżej, jak powiedziałaś, przyczyny powstania tych motywów. Reszta... reszty nigdy nie poznamy. Jeszcze nikt nigdy nie uchwycił u drugiego człowieka momentu, kiedy tamten staje się zbrodniarzem... albo... albo szaleńcem. I wiesz, Mat, lepiej o tym nie myśleć. Mówię truizmy, pewnie... Wiem, że ty nie możesz zapomnieć i pewnie niełatwo otrząśniesz się z tych przeżyć. Najlepiej by było, żebyś już stąd wyszła i żebym mógł stale być przy tobie. Kocham ciebie dość mocno, by wyleczyć cię skuteczniej i szybciej niż doktor Kirch.

- Michale, po co ci chora żona?
- Będziemy mieć dość czasu wieczorami, żeby się nad tym zastanawiać. Zdaje mi się, że siostra, która idzie w naszą stronę, ma zamiar powiedzieć mi, żebym sobie poszedł. Strasznie krótko tu was trzymają.
- Czekaj, powiedz mi tylko jeszcze jedną rzecz: czy naprawdę wtedy w „Jaskółczym Dworze” byłeś zazdrosny o młodego człowieka, który puszczał zajaczki? Pewnie nie, pewnie tylko chciałeś mnie trochę pocieszyć? Prawda?
- Chytra jesteś, Mat! Taką rzecz miałbym ci zdradzić! Sama pomyśl i znajdź odpowiedź. A teraz, póki siostra nie widzi, szybko cię pocałuję.

XXXIII

– Pamiętasz, Mat, zapytałem cię kiedyś, czy Ryszard był odporny na niepowodzenia, a ty mi odpowiedziałaś, że on w ogóle nie wiedział, co to jest niepowodzenie. I widzisz: w moim pytaniu i twojej odpowiedzi zawarta jest cała tragedia Ryszarda. Był zawsze najzdolniejszym uczniem, w szkole powszechnej, w gimnazjum, na uniwersytecie, gdzie wprost mu mówiono, że jest genialny. Prawdopodobnie nie myłono się. W każdym razie nie miał kolegów, którzy by go w czymkolwiek przewyższali, a dorównywała mu tylko Maria Woytis. Ale za taką wyższość płaci się, oczywiście nie zawsze od razu, i zdaje mi się, że Ryszard stale oczekiwał chwili tej zapłaty. Wspomniałaś mi, że stronił od swoich kolegów, a raczej po prostu ich nie cierpiał. Rozmawiałem z adiunktami, profesorami i studentami jego wydziału, ich opinie były absolutnie zgodne: wybitny

pracownik naukowy, najlepszy kolega. Ci ludzie w najmniejszym stopniu nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo on nimi gardził, i byli pewni, że odplącał im taką samą sympatią czy przywiązaniem. Nie byli zawistni o jego uprzywilejowaną sytuację, o zażyłość z profesorem Woytisem; wydawało im się to zupełnie naturalnym skutkiem jego niezwykłych zdolności i pracowitości. Jeżeli więc byli oni Ryszardowi tak antypatyczni, to, poza pogardą dla ludzi mniej zdolnych od niego i przede wszystkim nie tak wytrwałych, przyczyna mogła być tylko jedna: Ryszard bał się, że nieprzerwany łańcuch osiągnięć, zaszczytów, powodzenia kiedyś przerwie się, że stanie się coś, co go zrówna z innymi pracownikami katedry i że oni wtedy odpląca mu za te lata, kiedy musieli pozostawać w cieniu. Jego życie musiało być jednym wielkim wysiłkiem zdążającym do zabezpieczenia się przed chwilą, która według wszelkiego prawdopodobieństwa musiała kiedyś nadejść. Dlatego zerwał zaręczyny z Marią Woytis; nie mógł znieść myśli, że jego własna żona mogłaby kiedyś w czymś go przewyższyć i być świadkiem jego niepowodzenia. Prawdopodobnie była jeszcze jedna przyczyna: ich charaktery były zbyt podobne. Ta sama energia, nieustępliwość, wytrwałość. Sądzę, że właśnie w tobie znalazł ideał kobiety: podziwiałaś go, a nigdy nie byłabyś w stanie ocenić rozmiarów jego niepowodzenia, po prostu nie zrozumiałabyś, na czym by ono polegało. A poza tym znalazł w tobie wszystkie swoje przeciwieństwa: łagodność, uległość. Nie śmieję się, Mat; terroryzowałaś zawsze tylko tych, o czyich uczuciach nie wątpiłaś: ciotkę, Małgorzatę, mnie. Tak zwykle bywa, na to nie ma rady. I mimo to on się z tobą nie ożenił; bał się, że przyjdzie chwila, kiedy

nawet przed tobą ucieknie. Było w nim coś rozżarzonego do białości, coś, co niszczyło w nim wszelkie ludzkie przywiązania i odruchy. Jeżeli była tym ambicja, to w każdym razie nie ten rodzaj ambicji, który dąży do zaszczytów, sławy, tytułów. Mógł przecież, tak samo jak Maria Woytis, habilitować się znacznie wcześniej, dostać katedrę na jakimś prowincjonalnym uniwersytecie. To go widocznie nie nęciło. Praca naukowa była dla niego celem samym w sobie. Mówił ci nieraz, że najchętniej zająłby się jakąś pracą fizyczną, by móc swobodnie myśleć i pracować. To też był rodzaj zabezpieczenia. Nosił w sobie jakiś ideał, od którego postanowił nie odstępować ani o cal, a gdyby coś temu ideałowi groziło, wiedział, że nie użyje żadnych środków, by go ocalić, raczej runie razem z nim w przepaść. Wszystko albo nic. Gdy odrzucono jego pracę habilitacyjną...

– Ależ nikt nie odrzucił jego pracy, co ty mówisz! Oszukano cię! – zerwałam się z ławki, na której siedzieliśmy tego popołudnia, pośród całkiem już złotych drzew szpitalnego ogrodu. – Przecież on właśnie dlatego odszedł z uniwersytetu, żeby móc ją napisać! Wszyscy o tym wiedzieli!

– Nie, Mat, nie masz racji. A że nikt nie znał prawdy o Ryszardzie, jest zasługą profesora Woytisa, który wolał narazić się na podejrzenia o intrygi w swoim zakładzie, na badania komisji ministerialnej i na gorsze jeszcze zarzuty niż zdradzić tajemnicę Ryszarda. Bał się, że to złamałoby go do reszty, a przywiązany był do niego znacznie więcej, niż może przywiązać się profesor do wybitnego ucznia. Mam wrażenie, że kochał go jak syna. Nie zapominaj, że ten człowiek, tak chorobliwie podejrzliwy i nieufny, nie miał żadnych

tajemnic przed Ryszardem. Zresztą sędzę, że i w przywiązaniu Ryszarda nie było ani odrobiny wyrachowania.

– Ryszard go uwielbiał! To nie było przywiązanie, to było naprawdę uwielbienie. Zresztą podziwiał profesora nie tylko jako naukowca, cenił w nim także szlachetnego człowieka.

– I właśnie ten uwielbiany profesor, jedyny, poza matką, człowiek, do którego Ryszard był naprawdę przywiązany, zadał mu tak straszny cios, a wszystko, co zrobił, by ten cios złagodzić, tylko rozjątrzyło urażoną ambicję. Maria Woytis powiedziała mi, że nigdy jeszcze nie widziała swego ojca w takiej rozpacz. A stało się to tak: pewnego dnia profesor zadzwonił do córki i zapytał, jak by rozwiązała pewne zagadnienie matematyczne. Marii Woytis w pierwszej chwili wydawało się, że kabel międzymiastowy zniekształcił słowa ojca, i poprosiła go, żeby jeszcze raz powtórzył pytanie. Profesor powtórzył, a Maria nie wiedziała, co myśleć, była przerażona; każdy student trzeciego roku odpowiedziałby bez namysłu na to pytanie. Jeżeli więc ojciec miał jakieś wątpliwości, musiał być bardzo chory. Postanowiła natychmiast pojechać do niego, ale zanim mu to powiedziała, on sam właśnie o to ją poprosił i wytłumaczył przyczynę owego dziwnego pytania: na tego rodzaju problemie potknął się Ryszard w swojej pracy. Profesor nie wiedział, jak to sobie wytłumaczyć, przesiedział kilka godzin nad tą stroną pracy, w końcu zaczęło mu się wydawać, że jest chory, że traci przytomność.

– To jest potworne! Przecież on mógł po prostu poprawić ten błąd i nawet nie wspominać o tym Ryszardowi!

– Nie, Mat, mówisz jak dziecko. Ten błąd w obliczeniach

przekreślał resztę pracy, jako opartą na fałszywej przesłance. Gdyby nie ten błąd, praca Ryszarda byłaby wielką rewelacją naukową, więcej nawet: profesor Woytis był przekonany, że sama jej teza, to znaczy, wniosek końcowy, mimo fałszywie przeprowadzonego udowodnienia, była prawdziwa i że Ryszard mógłby zyskać światową sławę, gdyby zechciał poświęcić rok czy dwa na udowodnienie swojej tezy.

– I wtedy Ryszard odszedł z uniwersytetu?

– Tak. Profesor błagał go, żeby tego nie robił, potem gdy już mieszkał na Henrietty, przychodził do niego i prosił, by cofnął swoją rezygnację. Maria też była u niego dwa razy. Daremnie. Powiedziała mi, że nigdy jeszcze nie widziała takiej pasji samounicestwienia. Wszystko temu służyło: sam rodzaj pracy zarobkowej, jaki sobie wybrał, dom przy Henrietty, na pół zrujnowany, pozbawiony wody i światła, absolutna samotność, dziwna atmosfera tej ulicy. Podczas swoich ostatnich odwiedzin u Ryszarda profesor zaproponował mu współpracę; chciał razem z nim przeprowadzić dowód tej tezy, którą uważał za prawdziwą i rewelacyjną, ale sądził, że pracę nad tym należy podzielić na dwa etapy i że potrwa ona kilka lat. Ryszard odmówił mu, pracował nad innym zagadnieniem, tamten temat już go nie interesował. Czy tak było w istocie, nie wiem. Przypuszczam, a Maria Woytis jest tego samego zdania, że Ryszard nic nie robił. Nie mógł już pracować, ideał doskonałości miał rysę, a więc nie był już ideałem, Ryszard stracił wiarę w swoje zdolności. Maria Woytis sądzi, że była jeszcze jedna przyczyna, która wstrzymywała go i nie pozwalała nawet myśleć o rozpoczęciu nowej pracy: Ryszard był ukochanym synem matki, a nie ojca. W dzieciństwie panicznie bał

się ojca, a choć później, gdy dorósł, wszystkim wydawało się, że kocha jednakowo oboje rodziców, uraz pozostał, a po niepowodzeniu z pracą profesor utożsamiał się dla Ryszarda z ojcem-prześladowcą. To paraliżowało jego wolę. Nie mógł zabrać się do pracy, którą miał kiedyś przedłożyć do oceny temu, kto w jego pojęciu był sprawcą niepowodzenia. Pozostawał jeszcze jeden krok: po ukaraniu samego siebie agresja wobec domniemanego prześladowcy. Przykład niemal klasyczny, znajdziesz podobne w każdym podręczniku psychopatologii. Nie zapominaj przy tym, że dwa zasadnicze aspekty tej zbrodni, jej bezcelowość: Ryszard nie mógł skorzystać z pracy profesora, i jej potworność: Ryszard zabił najbardziej oddanego mu człowieka, wyglądały całkiem inaczej w jego oczach; po pierwsze: był pewny, że nikogo by nie zdziwiło, gdyby po roku czy dwóch ogłosił pracę profesora jako swoją; zasadniczy temat czy, powiedzmy, kierunek jego pracy habilitacyjnej, identyczny z tematem pracy profesora, był przecież znany wielu osobom na uniwersytecie, po drugie: Ryszard działał w przeświadczeniu, że odbiera swoją własność, że mści swoją krzywdę. Pierwszy zamach nie udał się: profesor wyjechał kilka godzin wcześniej.

– Dlaczego jednak i za pierwszym razem, i za drugim on czekał niemal do ostatniej chwili, dlaczego nie zrobił tego wcześniej, miesiąc czy dwa przed wyjazdem profesora na zjazd?

– Z dwóch przyczyn. Ryszard znał doskonale przyzwyczajenia profesora i jego metodę pracy, wiedział więc, że w ciągu roku akademickiego profesor nie przepisze swoich notatek, a zrobi to dopiero podczas wakacji. Gdyby więc napadł na niego, powiedzmy, w końcu czerwca, prawdopodobnie zdobyłby jedynie kilka notatek, które

profesor mógł mieć przy sobie, albo nawet nie osiągnąłby i tego: profesor nie obawiał się o luźne notatki, nie nosił ich być może przy sobie, bo były zupełnie nieużyteczne dla niewtajemniczonych, a poza Ryszardem innych wtajemniczonych nie było. Pozostawało jedno: dokonać zamachu w ciągu kilku dni, które profesor miał spędzić w mieście po powrocie z nad morza, a przed wyjazdem do Oslo. Przed dwoma laty profesor wrócił do miasta 15 sierpnia wieczorem, Ryszard słusznie więc przypuszczał, że tego dnia już nie wyjdzie na nocną przechadzkę. 17 sierpnia wypadało w sobotę, czyli że i ten wieczór odpadał, tak samo jak niedzielny; profesor zwykle na sobotę i niedzielę wyjeżdżał na wieś do siostry. Ryszard miał więc do wyboru dwa dni: 16, piątek, i 19, poniedziałek. Otóż ze względu na ciebie wybrał 16, piątek.

– Ze względu na mnie?

– Tak, Mat. Już wtedy przeznaczył ci rolę najważniejszego świadka. Miałaś poświadczyć to, co nazwałbym „alibi przez sugestię”. Dlatego pewnie byłby wolał dzień 17 sierpnia, dzień, kiedy oczekiwałaś jego telefonu; byłaś specjalnie uczulona na ten dzień, wiesz o tym dobrze, a i on wiedział o tym doskonale. Przekonałaś się, że miał rację.

– Czy się nie mylisz? Wtedy, przed dwoma laty, on nie kazał mi przyjść na Henrietty. Byłam zresztą tak zaskoczona jego telefonem...

– Nie, Mat, to nie było zaskoczenie. Nie pocieszaj mnie. To było coś znacznie silniejszego, radość, wzruszenie, nie wiem, w każdym razie byłaś tak oszołomiona, że nie zapamiętałaś jego słów. Już wtedy powiedziałaś mi, że nie wiesz dokładnie, co on mówił, tyle

tylko rozumiałaś, że już niedługo zobaczy się z tobą albo skończy swoją pracę, co dla ciebie zresztą miało identyczne znaczenie. Nie kazał ci przyjść na Henrietty, oczywiście, jestem pewny, że tego nie powiedział. Ale... zamierzał powiedzieć. Po to tylko dzwonił. Wiedziałaś, dlaczego tylko zamierzał, gdybyś dokładniej przeglądała gazety sprzed dwóch lat. A ty przeglądałaś je, przynajmniej tak mnie zapewniła Stella, z furią.

– Po co ona wtedy poszła za mną do biblioteki? I skąd wiedziała, że ja to ja?

– Widziała nas kilka razy, a ciebie nietrudno zapamiętać, jesteś, że tak powiem, no... niebrzydka. A poza tym musiałem z kimś mówić o tobie.

– Często to robiłeś?

– Nie mogę ci zdradzać wszystkich moich tajemnic. A wtedy po bibliotece Stella dała mi dobrą radę: „Zostaw tę dziewczynę – powiedziała – ona zrobi ciebie na proszek. To furiatka”.

– Ach tak? Wobec tego mam czyste sumienie.

– A dlaczego miałaś nieczyste?

– Nie mogę ci zdradzić wszystkich moich tajemnic. Wytłumaczę ci to, kiedy ona wyjedzie za granicę na dłuższy czas. Ale dlaczego zgrywała się na kociaka-analfabetę?

– Nigdy nie wiadomo, co Stelli wpadnie do głowy. Chciała wiedzieć, co będziesz robić w bibliotece, i pewnie wydawało się jej, że w ten sposób nie wzbudzi w tobie żadnych podejrzeń.

– Genialne dziewczę. Tylko boję się, czy ona teraz nie zgrywa się na mężatkę.

– Nie, mąż jest autentyczny.

– Nie mówmy już o niej. Przyśnią mi się w nocy żmije.

– Więc widzisz: gdybyś zajrzała do wieczornej gazety z 16

sierpnia, zauważyłabyś, że na pierwszej stronie było zdjęcie profesora Woytisa na lotnisku i notatka o jego wyjeździe do Oslo.

– To niczego nie tłumaczy. Ryszard przecież nie mógł zobaczyć tej gazety właśnie w chwili, gdy rozmawiał ze mną. Czytał ją przedtem albo potem, ale nie w budce telefonicznej!

– Zapominasz, że przed dwoma laty nie było jeszcze automatu na placu przed teatrem. Ryszard mógł dzwonić tylko z budki znajdującej się o parę ulic za teatrem i postawionej w ten sposób, że jej oszklona ściana wychodzi na kiosk z gazetami. Ta budka stoi w tym miejscu do dziś i gdy po nakręceniu numeru telefonujący podnosi oczy znad tarczy, widzi gazety przybite na desce opartej o ścianę kiosku.

– Wiem. Dzwoniłam kiedyś z tej budki...

– Byłem tam o jedenastej w nocy. Najbliższa latarnia rzuca światło w ten sposób, że deska z gazetami jest poza jego zasięgiem. To znaczy, że przechodzień mógłby przeczytać tytuły tylko wtedy, gdyby specjalnie nachylił się nad deską. Ale światło z budki telefonicznej dociera do niej, ja w każdym razie mogłem przeczytać i nazwy gazet, i nagłówki, a nie jestem przecież dalekowidzem. Widocznie więc Ryszard rozmawiał już z tobą, kiedy wzrok jego padł na zdjęcie profesora. Nie mógł zawiesić słuchawki, pewnie poznałaś już jego głos, coś powiedziałaś.

– Tak, rzeczywiście tak było. Podeszłam do telefonu i zanim jeszcze podniosłam słuchawkę, wiedziałam, że to on dzwoni. Może on zapytał, z kim mówi, nie pamiętam, wydaje mi się, że to ja pierwsza powiedziałam: „Dobry wieczór, Ryszardzie”. Irma Slend już wtedy... nie żyła?

– Z pewnością. Wszystko miało odbyć się tak, jak to miało

miejsce tym razem. Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak straszliwa jest konsekwencja maniaków. Nic nie potrafi ich skłonić, żeby o krok zbczyli z raz wybranej drogi... Prawdopodobnie byłby ci powiedział: „Ta kobieta zdradzała mnie, groziłem, że ją zabiję, teraz mnie posądzą. Musisz pomóc mi ukryć jej zwłoki. Ale przysięgam ci, że to nie ja ją zabiłem”. A na drugi dzień przyszedłby po szóstej rano do Komendy i opowiedziałby tę samą historię o młodych ludziach, których spotkał na Składowej, i tak dalej. Oczywiście w jego zeznaniu byłyby pewne różnice: Irmę zastał już nieżywą, z nożem tkwiącym w plecach. Przyszlibyśmy na Henrietty i zastalibyśmy ślady jakiejś wypitki, zdjęlibyśmy czyjeś odciski palców i znaleźlibyśmy dwie kule tkwiące w ziemi gdzieś na prawo od domu. I tak samo jak teraz, wszyscy sąsiedzi zeznaliby, że nie słyszeli strzałów, bo on oczywiście strzelał w dzień, kiedy hałas maszyny pana Rose zagłusza wszystkie odgłosy. W nocy na odgłos strzałów zbiegłaby się cała ulica, a nie miał broni z tłumikiem, musiał więc strzelać w dzień i był pewny, że nikt nie usłyszy, nikt tego nie zobaczy, bo ta część ogrodu jest niewidoczna z ulicy.

– To był jego największy błąd. Z ogrodu nie widać okien tego domu po drugiej stronie ulicy, więc on pewnie myślał, że z tych okien jego ogrodu też nie można zobaczyć.

– Nie, Mat, to nie był jego największy błąd. Zgubiło go coś innego: alibi. Nie było mu potrzebne, niepotrzebna była śmierć Imy Slend i Teresy, niepotrzebna twoja obecność przy Henrietty, bo nikt, ale to nikt nie podejrzewałby go o zabójstwo profesora. Nie zapominaj, że nikt poza Marią Woytis nie wiedział, co go naprawdę

skłoniło do opuszczenia uniwersytetu. A ona... jestem pewny, że ona by go nie wydała.

– To niemożliwe! Mogłaby obawiać się zemsty z jego strony, ale gdyby go aresztowano...

– Źle mnie zrozumiałaś. Ona, zdaje mi się, a właściwie nie, jestem zupełnie pewny tego, ona go kochała...

– Och, rozumiem doskonale, że ona go kochała, choć porzucił ją! Ale kochać mordercę ojca!

– Świat jest trochę dziwnie urządzone. Już więcej niż trzysta lat temu napisano tragedię na ten temat i nikomu nie wydało się to nieprawdopodobne.

– Czytałam niedawno, że nasze sądownictwo jest zarażone literaturą. Okazuje się, że służba śledcza też nią nasiąkała.

– A jednak posłuchaj: Z Marią Woytis rozmawiałem na drugi dzień po śmierci ojca. Pytałem ją, czy kogoś podejrzewa, czy nie sądzi, że zbrodnię mógł popełnić ktoś znający przyzwyczajenia ojca, a pamiętaj, że wtedy nic jeszcze nie wiedzieliśmy, a więc i prasa nic nie podała, o człowieku z dwiema walizkami, czyli że wtedy nie istniała jeszcze hipoteza napadu rabunkowego, dokonanego na tak samo przypadkowo spotkanej ofierze jak w wypadku Edyty Piat. Maria Woytis odpowiedziała przecząco. Potem pytałem ją o Ryszarda, oczywiście tylko w związku ze śmiercią Teresy, bo o napad go jeszcze wtedy nie podejrzewałem. Zapewniła mnie, że Ryszard jest najuczciwszym i najszlachetniejszym człowiekiem na świecie.

– Ależ ona mogła tak myśleć! Przecież wtedy nic jeszcze nie wiedziała o zaginięciu rękopisu ojca!

– Boję się, że wiedziała. A z pewnością wiedziała, co znajduje się w safesie. Dlatego tak dokładnie przeszukiwała papiery ojca,

zapewne bez wielkiej nadziei. I zauważ to jeszcze: to Jan Vial, a nie ona, powiedział mi o sympatycznym atramencie.

– A jednak powiedziała ci, że ojciec nosił rękopis przy sobie!

– Tak, ale kiedy? Gdy znała już z gazet zeznania Battistiego i wydawało się jej, że Ryszard jest poza zasięgiem podejrzeń, no i oczywiście, gdy okazało się, że w banku był przechowywany czysty papier. To był błąd taktyczny, powinna była wcześniej powiedzieć.

– Może jednak naprawdę wierzyła, że w safesie jest rękopis?

– To mało prawdopodobne, skoro wiedziała, że przed dwoma laty ojciec też oddał nie zapisany papier do banku i że nieraz tak robił. Jego podejrzliwość datowała się od wielu lat.

– Kiedy ci to powiedziała?

– Po powrocie z Oslo.

– A o pracy habilitacyjnej Ryszarda?

– Także dopiero wtedy.

– Widzisz więc: kiedy Ryszard nie mógł już nic powiedzieć.

Pewnie, jej postępowanie można wytłumaczyć tak, jak ty to robisz. Ale można i inaczej! Całkiem inaczej! Nie znasz kobiet! Nie znasz ich słabości wobec mężczyzny, którego kochają. Ona jest bez ambicji, broniła Ryszarda, zeznawała fałszywie, póki on żył. Wiesz dlaczego? Bo gdyby go zwolniono, musiałyby ożenić się z nią, miałyby go w swoich rękach, każdej chwili mogłyby mu przypomnieć, co jej zawdzięcza! Tylko że on wybrał śmierć i milczenie. Wymknął się jej z rąk i wtedy ona się zemściła i opowiedziała ci tę historię o pracy habilitacyjnej, o której nikt poza nią nie słyszał. A może to nie było tak? Ryszard zamordował swego dobroczyńcę... A może to nie był dobroczyńca! I nigdy nie dowiemy się prawdy! Zawsze już będzie ta mgła!

– Nie mów tak, Mat. Nie wolno ci tak mówić. Ryszarda nic już nie mogło uratować, ani fałszywe zeznania, ani najlepszy adwokat. Ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę i na nic nie liczyła. Opowiem ci o tym innym razem.

– Dlaczego nie teraz?

– Nie mogę, naprawdę nie mogę. O pewnych sprawach tak trudno mi mówić.

– Michale, ty coś ukrywasz przede mną! Zbladłeś tak okropnie, zupełnie jak wtedy, kiedy pytałeś mnie, czego dotykałam na Henriety.

– Uspokój się, Mat, to naprawdę nic strasznego. Zresztą i tak muszę już iść. Nie lubię czekać, aż mnie wygonią. Siostry są co prawda bardzo miłe, ale strasznie energiczne.

– Nie puszczę ciebie! Nie boję się sióstr! Musisz mi powiedzieć! Zobaczysz, wyjdę za tobą na ulicę tak jak jestem: w pidżamie i szlafroku!

– Nie wyjdiesz, papucie spadają ci z nóg.

– Nie zbywaj mnie żartami! Powiedz choć jedno słowo!

– Ona kochała go... straszniej... tak, właśnie: straszniej niż ja ciebie.

XXXIV

Po odejściu Michała długo myślałam o tym, jak różnie ludzie kochają. Odkryłam coś, co nazwałam „progiem kochania”, bo po tym właśnie, czy ktoś może go przekroczyć, poznaje się ludzi, dla których poza miłością nic nie istnieje. Dla jednych tym progiem jest przeszłość osoby kochanej, dla innych własny obowiązek. Być może,

Maria Woytis należała do ludzi, którzy umieją przekroczyć ów próg nawet wtedy, gdy w oczach innych jest on niebotyczną przeszkodą. „Kochała go... straszniej” – jak dziwnie dźwięczał głos Michała, kiedy mówił te słowa!

Moje sąsiadki już spały, w pokoju paliła się tylko czerwona lampka; mogłam uśmiechnąć się do nieobecnego Michała i wyciągnąć rękę, by pogłodzić go po włosach. Wiedziałam, co miał na myśli mówiąc „straszniej”. Nie to, że Maria Woytis kochała mordercę swego ojca. Jak łatwo przeszedł nad tym do porządku! Dla niego „straszniej” znaczyło, że ona zrobiła dla Ryszarda to, czego on nigdy by nie zrobił dla mnie: nie spełniła swego obowiązku. Zeznawała fałszywie! Biedny Michał! Taki uczciwy, taki lojalny, tak przejęty swoim obowiązkiem! Nawet nie przyszło mu na myśl, że mógłby nic nie powiedzieć o mojej cygarnicze i że to jedno jedyne przemilczenie zaoszczędziłoby mi tyle przykrości. Tak strasznie było mi żal Michała: co on musiał wycierpieć przeze mnie! I tak bardzo chciałam, żeby był przy mnie i żebym mogła mu powiedzieć, że nigdy, nigdy w życiu nie zrobię niczego, co by było w sprzeczności z jego obowiązkiem. A z moim? Usiadłam na łóżku, sąsiadka z prawej strony coś powiedziała przez sen. Nic o sobie nie wiedziałam! Co było dla mnie „progiem kochania”? Nie wiedziałam, objęłam ramionami kolana i płakałam kryjąc twarz w atlasowej kołdrze z chryzantemami, którą doktor Kirch dał mi po to, żebym nie rysowała planu miasta. Ale on wyrwał mi się w pamięci i właśnie dlatego moim obowiązkiem było wyrzec się Michała. Musiałam przekroczyć ten ostatni próg: wyrzeczenie się. Nie wolno mi było obarczać Michała wspomnieniem ulicy Henrietty, wystarczyło, że ja nigdy się od tego

nie uwolnię. Myślałam o tym przez wiele nocy, ale dopiero wtedy zrozumiałam, że z nas dwojga to ja kocham „straszniej” i dlatego muszę znaleźć dość sił, by wyrzec się Michała. Nic już z tych sił nie zostało, kiedy o trzeciej, jak zwykle, przyszedł Michał i zeszedł do ogrodu.

Coś mu się jednak musiało wydawać nienaturalne w moim zachowaniu, bo sam też zachowywał się inaczej, nie zapytał nawet, jak się czuję.

– Opowiem ci dziś resztę – powiedział, gdy tylko usiedliśmy na naszej ławce pod lipą – i chciałbym już nigdy do tego nie wracać. Czy ci nie zimno? Może byśmy poszli na górę?

– Nie, tam tyle ludzi. I wcale mi nie zimno – odpowiedziałam.

– Ale ty drżysz.

– Zdaje ci się. Zresztą niewiele już ci pozostało do opowiedzenia. Sama domyśliłam się prawie wszystkiego. Wiklinowy kosz to był ten, w którym Józefina przywiozła mu pościel i bieliznę. Powinam była zrozumieć to jeszcze w Almond.

– Tak, a pochodził od tego samego niewidomego, który był sąsiadem Cypriana Basila. Cała okolica kupowała u niego kosze. Kiedy Ryszard przeczytał o podrzuceniu bomby w koszu na Dworcu Wschodnim i postanowił wykorzystać ten wypadek dla swoich celów, nawet się nie domyślał, że posłuży się identycznym koszem.

– Czy Ryszard nie zdawał sobie sprawy, że badanie mikroskopijne wykaże obecność sierści królików?

– Nie wiem, może nawet wiedział coś o metodach badania, ale nie zapominaj, że wybuch bomby zniszczył tamten kosz, i tylko dzięki temu, że Basil przywiozł jabłka do szpitala, udało nam się ustalić nie tylko podobieństwo, ale i różnicę między koszami. A to

stało się wiele tygodni później. W każdym razie Ryszard wykazał ogromną przytomność umysłu, kiedy podczas konfrontacji z Basilem stanowczo oświadczył, że to nie jego widział w pociągu. Może zresztą obawiał się jakiegoś podstępu ze strony Flinta; Basil na przykład mógł mieć absolutnie pewne alibi. A przecież Ryszard wiedział, że to człowiek nienormalny i że jego najbliższy sąsiad wyrabia kose. Tak łatwo było rzucić podejrzenie właśnie na niego! Ale Ryszard unikał łatwizn. Dlatego nie zniszczył ani garderoby Army, ani jej dowodu osobistego. Najprościej byłoby powiedzieć, że Irma uciekając zabrała wszystko ze sobą. Ryszard postąpił wprost przeciwnie: wszystko, co mogło posłużyć do identyfikacji zwłok, zostawił u siebie, a dowód oddał do biura meldunkowego. Trudno o lepsze miejsce. Człowiek, który planuje morderstwo, nie oddaje w ręce policji dowodu osobistego swojej ofiary, do tego ze zdjęciem.

– Ależ to jest zupełnie nielogiczne! Zastanów się: przecież początkowo on miał Irmę znaleźć u siebie w domu, zabita przez kogoś, kto wyskoczył przez okno! Nie mógł więc przypuszczać, że podrzuci jej zwłoki! Nie myślał w ogóle o żadnej identyfikacji!

– Nie, Mat, szaleńcy myślą o wszystkim: on opracował swój plan w dwóch wariantach. W razie jakiegoś niepowodzenia miał postąpić inaczej, tak właśnie, jak postąpił. Przypuszczam jednak, że jeżeli spodziewał się niepowodzenia, to nie z powodu nagłego wyjazdu profesora. To ciebie on nie był pewny. Śledził cię, wiedział wszystko o tobie i o mnie. Bał się, że nie przyjdiesz. Inaczej po co by jeździł do Sams i szukał odpowiedniego miejsca do wyskoczenia.

– To jest potworne! Chcesz przez to powiedzieć że on zabijając Irmę nie był jeszcze pewny, czy ja przyjdę, to znaczy, czy zabije profesora, to znaczy» że ja jestem wszystkiemu winna, że gdybym wtedy nie była poszła na Henrietty, on nie byłby zabił profesora!

. – Nie, nie, Mat! Wcale tego nie myślałem! On byłby i tak zabił profesora, musiał mieć jego pracę, ta myśl go prześladowała i nic nie było w stanie zmienić jego zamiarów. Ale byłby postąpił inaczej, musiał mieć jeszcze inny plan. Przed dwoma laty miał przecież przed sobą jeszcze 19 i 20 sierpnia, a teraz nawet jeden dzień więcej, bo 17 wypadł w poniedziałek, profesor nie byłby wyjechał z miasta przed odlotem do Oslo. I tym razem ryzykował znacznie mniej: nikt by się nie dziwił, gdyby Ryszard wrócił rano z dyżuru i zastał Teresę martwą.

– Michale, czy ja jeszcze kiedyś będę normalnym człowiekiem? Czy będę mogła cokolwiek robić tak jak inni ludzie, nie myśląc o ulicy Henrietty?!

– Będziesz musiała, Mat. Dla mnie.

– Jestem straszną egoistką. Dziś w nocy postanowiłam zrobić wszystko co możliwe, żebyś nie chciał się ze mną ożenić, i nic nie robię. Myślę tylko o sobie, a tobie przecież niepotrzebna żona z czymś pękniętym w środku.

– Tak, masz rację, na szczęście jesteś straszną egoistką.

– Nie lubię, kiedy tak o mnie mówisz. I skończmy z tamtą sprawą. Ona nie wiedziała, że jej dowód osobisty jest sfałszowany?

– Oczywiście, że nie wiedziała. Ryszard zrobił kilka nieudolnych i od razu rzucających się w oczy poprawek, bo bez tego zameldowano by Irmę i oddano mu dowód, a on przecież chciał, żeby ten dokument znajdował się naprzód w biurze meldunkowym, a potem

w wydziale dowodów osobistych Komendy Miasta, dokąd go odesłano właśnie z powodu tych poprawek. To było doskonale miejsce, równie doskonale jak depozyt aresztu śledczego dla rękopisu profesora.

– A czy on nie obawiał się, że ktoś z ulicy Henrietty pozna jej twarz na zdjęciu umieszczonym w gazecie, bo przecież musiał się spodziewać, że policja coś zrobi, żeby zidentyfikować podrucone zwłoki?

– Sąsiedzi z Henrietty pamiętali piramidę czarnych loków spiętrzoną nad niskim czołem, zdjęcie w gazecie przedstawiało kobietę o krótko przyciętych włosach i odsłoniętym czole. A poza tym gazety podały, że kobieta ta nie żyła od dwudziestu czterech godzin, czyli że zabito ją w piątek w nocy, podczas gdy przez całą sobotę z domu Ryszarda dochodziły odgłosy kłótni z Irma, która chciała pojechać do Sams w niedzielę. Dopiero z przypadkowo podsłuchanej rozmowy pani Rose, pamiętasz, wtedy gdy stałem za tobą, a ty nie wiedziałas o tym, bo też słuchałas, co ona mówiła do policjanta? Dopiero więc z tej rozmowy dowiedziałem się, że wszyscy słyszeli tylko głos Ryszarda. Nikogo to nie dziwiło, miał głos donośniejszy od Irmy, wszyscy mogli sobie wyobrazić, że Irma albo nic nie odpowiada, albo płacze, i potem wszyscy zeznali, że w sobotę słyszeli ich sprzeczkę. Ale to Ryszardowi nie wystarczało, musiał zwrócić na siebie uwagę w pociągu. Najprościej w takim wypadku zostać ofiarą wypadku. Przy swojej sprawności fizycznej nic nie ryzykował, najwyżej potłuczenie.

– Kiedy pokazałeś mi zdjęcie Irmy z dowodu osobistego i zapytałeś, czy kiedyś ją widziałam, myślałeś o zdjęciu z gazety, bo właśnie wróciłam z biblioteki, prawda?

– Tak, myślałem, że sama zrozumiesz. Wtedy byłem już pewny, że on zabił Irmę. Zrobiłem to, co powinienem był zrobić przed dwoma laty: porównałem odciski palców zamordowanej kobiety i Irmy. Bo ona była rejestrowaną prostytutką i Komenda posiadała jej odciski.

– Dlaczego nie zrobiłeś tego przed dwoma laty?

– Mówiłem ci już: zająłem się tą sprawą za późno. Z różnych względów za późno.

– Przede wszystkim z tego prostego względu, że porucznik Flint zdążył już wszystko sknocić.

– Przesadzasz jego możliwości. Stało się coś innego: jak ci już powiedziałem, Irmy poszukiwano oczywiście, ale tylko z powodu sfalszowanego dowodu, no i dlatego, że właściwie nigdzie nie była meldowana. Domyślasz się, w jakim środowisku ona przebywała, nie wiem jednak, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo solidarne jest to środowisko i jak trudno prowadzić śledztwo wśród ludzi, którzy bardziej niż policji, sądu i więzienia boją się pchnięcia nożem czy kuli rewolwerowej, bo te są nieomyłne i nieuniknione, gdy naruszy się kodeks panującej tam moralności. Irma miała oczywiście przyjaciela, którego utrzymywała ze swoich zarobków, ale miała go dopiero od kilku tygodni, przedtem był inny, który nie taił przed swymi znajomymi, że ta zniewaga będzie ją drogo kosztować. Ryszard za Irmę zapłacił prawdopodobnie dość drogo jej ostatniemu przyjacielowi, tak samo jak pośredniczce, która mu Irmę wyszukała i przeprowadziła całą tę transakcję. Ci ludzie oczywiście poznali jej zdjęcie w gazecie, ale rozumiesz sama, że woleli milczeć, przynajmniej póki nikogo z nich nie podejrzewano. Nawet jeżeli byli pewni, że

Ryszard ją zabił, a nie przyjaciel nr 1, to i tak mieli dość powodów, by nie wchodzić w kontakty z policją. Dlatego porucznik Flint mimo wszystko miał trochę racji, kiedy oświadczył, że środowisko, z którego pochodziła zamordowana kobieta, nigdy nie dopuści do jej identyfikacji. Póki chodziło tylko o to, oni milczeli, kiedy zaczęto poszukiwać Irmy, zrobili coś więcej: znaleźli się ludzie, którzy widzieli ją w Sams, i inni, którzy spotkali ją gdzieś indziej i którym zwierzyła się, że wyjeżdża ze swoim nowym przyjacielem za granicę. Znalazła się przyjaciółka Inny, która rzekomo poszła z jej upoważnienia do Ryszarda, żeby odebrać walizkę, ale nikogo nie zastała w domu. Osiemnastego sierpnia, kiedy wszedłem do ogrodu Ryszarda i zobaczyłem króliki, zrozumiałem, że te zeznania były fałszywe.

– Ale dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś? Tyle razy byłam już tak bliska odkrycia prawdy, wystarczyłoby jedno twoje słowo, a wszystko stałoby się jasne! Gdybyś mi był wtedy przypomniał, że króliki to także gryzonie...

– Zrozumiałabyś, tak, czy jednak byłabyś uwierzyła? Ale nie dlatego ukrywałem przed tobą prawdę. Podsuwałem ci ją, powiedziałem nawet to, czego nie wolno mi było mówić, że te kosze różniły się, pamiętasz? Byłem w takiej rozterce... Bałem się, Mat, nigdy w życiu tak się nie bałem jak wtedy, przez te kilka dni. Bałem się ciebie i o ciebie. Chwilami zdawało mi się, że byłoby lepiej, gdybyś sama wszystko zrozumiała, bo przecież kiedyś będziesz musiała poznać prawdę, myślałem więc, że lepiej ją zniesiesz, gdy sama powoli wszystko odkryjesz. A gdy już byłaś bliska jej poznania, dławiło mnie przerażenie, jak ty to zniesiesz, i odsuwałem ten moment. Pamiętasz tę chwilę, gdy powiedziałaś mi o sympatycznym

atramencie? Tylko, że to już był piątek, oswoiłem się ze strachem i przynajmniej wiedziałem, co ci może grozić. Najgorszy był wtorek, kiedy jeszcze nic nie wiedziałem, i środa, kiedy już wiedziałem dość dużo, a nie miałem wyników badań daktyloskopijnych. Właściwie źle się wyraziłem: „nic nie wiedziałem”, bo kiedy we wtorek po szóstej Ryszard przyszedł do Komendy, jednego byłem już pewny: na Henrietty jest jakiś ślad wskazujący, że byłaś tam tej nocy. Nie wiedziałem, dlaczego on zabił Teresę, po co była potrzebna komedia z cyjankiem, ale nie wierzyłem ani jednemu jego słowu. Od dwu lat czekałem na tę chwilę, kiedy wyjaśni się, dlaczego on ciebie o niczym nie zawiadamiał, a gdy ta chwila nadeszła, okazało się, że nie byłem przygotowany, dałem się zaskoczyć. I Flint mógłby wymyślić jeszcze bardziej nieprawdopodobną historię, a ja byłbym w nią uwierzył.

– Historię o mnie?

– Widzisz, Flint nie jest asem. Jest bardzo sumiennym pracownikiem, ale...

– Brak mu wyobraźni, inteligencji, poczucia humoru, dobrego wychowania, przyzwoitości i reszty.

– Wyobraźni? Mat! Zaraz się przekonasz, że ma jej raczej za wiele. Ale muszę ci wszystko po kolei opowiedzieć. Gdy weszliśmy do pierwszego pokoju, pierwsza rzecz, którą zobaczyłem, była twoja cygarniczka. Leżała koło nogi łóżka. W tej samej chwili zauważył ją Flint, schylił się, podniósł, oczywiście ostrożnie, żeby nie zamazać śladów, a ja nie musiałem brać jej do ręki i tak zrozumiałem, że sprawdziły się wszystkie moje najgorsze przeczucia.

– Ryszard wyjął cygarniczkę razem ze zdjęciem, prawda?

Wtedy gdy wrócił do tego pokoju po mój deszczowiec i torbę?

– Prawdopodobnie. Przedtem pewnie liczył, że wypalisz papierosa, wyjdiesz i zapomnisz o cygarniczce. Może dlatego kazał ci palić w pokoju. Nie jest jednak wykluczone, że zrobił to wcześniej, kiedy wyszedł po kawę.

– Bał się, że cygarniczka nie wystarczy?

– Przede wszystkim nie był pewny, czy jego sprawa dostanie się w moje ręce, choć oczywiście przypuszczał, że do szóstej rano ktoś znajdzie zwłoki profesora i że wezwą mnie do Komendy. A po drugie, mogło być i tak, że nigdy nie pokazałaś mi tej cygarniczki. Dlatego na wszelki wypadek zabrał i zdjęcie z pieczątką fotografa. Stało się tak, jak przypuszczał: gdy wróciłem do siebie z Henrietty, okazało się, że jeden z naszych pracowników był już u Małgorzaty w atelier i że wiedział, czyją własnością była ta fotografia. To jeszcze nie znaczyło, że zgubiłaś ją u Ryszarda w domu i tej właśnie nocy. Tę rzecz potwierdziła cygarniczka. Gdy zapytałem Ryszarda, skąd ma to zdjęcie i czyja to cygarniczka, odpowiedział, że nie przypomina sobie, kto mu to zdjęcie dał i że nie wie, kto mógł zostawić cygarniczkę u niego w domu. Poszliśmy do Beniamina Polly; twoje koleżanki opowiedziały historię o słomkowym kapeluszu, a także zapewniły mnie, że już od rana byłaś nieprzytomna i że wyszłaś o godzinę wcześniej z biura. Wiedziałem, jaki to był dzień, więc nie bardzo się dziwiłem. Gorzej było w gabinecie twego hipopotama. Przyjął mnie ogromnie uprzejmie, poczęstował cygarem, powiedział, że jesteś brylantem – to, że perłą też jesteś, dowiedziałem się dopiero w środę – i że w poniedziałek nie wiedziałaś, co się z tobą dzieje, że

nigdy jeszcze nie widział ciebie w takim stanie, z czego postanowił skorzystać i poprosić o twoją rękę, dotychczas bowiem nie miał odwagi, czekał więc na odpowiednią chwilę, która, jego zdaniem, nadeszła właśnie w poniedziałek. Około czwartej był już zupełnie duchowo przygotowany i miał zadzwonić po ciebie, ale ty go uprzedziłaś; weszłaś do gabinetu, aby poprosić o zwolnienie, co go zbiło z tropu. Mnie też, wyobrażasz sobie.. Innym razem byłbym się uśmieł ze złudzeń twego Beniamina, ale wtedy...

– Wiem coś o tym od Małgorzaty. Ale nigdy nie uwierzę, że mogłaś mnie posądzić o coś takiego. On jest o trzydzieści lat starszy ode mnie.

– I ma miliony. Zresztą uwierzyłem dopiero po rozmowie z Małgorzatą. Nie wiedziała, o której wróciłaś do domu, nie wiedziała, czy byłaś w domu o szóstej wieczór, kiedy ona wróciła, nic nie wiedziała, czytała Dantego. Wiedziała tylko jedno: że ktoś do ciebie dzwonił parę minut przed jedenastą, że z początku miał to być mąż twojej kuzynki, potem zagraniczny klient, któremu urodziły się bliźniaki, a okazało się, że Anna nie zmieniła mieszkania i Beniamin Polly nic nie wie o tym kliencie. I znowu: nie wie, nie wie, nie wie! Nie wie, o której wróciłaś, nie wie, czy masz zamiar wyjść za Beniamina Polly. Nagle wydało mi się, że jesteś kimś innym, że dotychczas nie znałem ciebie, że wszystko już jest możliwe, jeżeli pomogłaś w tym Ryszardowi. Wtedy wystąpił Flint ze swoją hipotezą: „Hipnoza”, powiedział.

– Przez telefon?

– Przez telefon, ale nie chodziło mu o ten telefon do ciebie do domu. Bo on tak to sobie wyobrażał: Ryszard chciał pozbyć się żony i wiedział, że najprościej da się to zrobić przygotowując ją o jakieś

gwałtowne wzruszenie, na przykład strasząc ją czymś. Sam nie chciał tego zrobić, to jasne, po co miał się narażać. Spotyka się więc z tobą albo raczej telefonuje do ciebie, pozbawia ciebie woli za pomocą hipnozy, każe ci udać się na Henrietty, wziąć z półki słoik cyjanku, łyżeczkę, wejść nagle do pokoju i powiedzieć do Teresy na przykład coś takiego: „Zabrałaś mi Ryszarda, a teraz ja ciebie zabiję”. Flint zresztą wymyślił ładniejszy przykład, ale już go nie pamiętam.

– Więc powiedziałaś Flintowi wszystko o mnie?

– Nie, Mat, ode mnie on dowiedział się tylko tego, że znam ciebie i że z pewnością jesteś niewinna. Ale kolega nasz, który był rano u Małgorzaty, w ciągu paru minut wydobył z niej wszystko, łącznie z wysokością czynszu za mieszkanie.

– Niesamowite! Ona mi się jeszcze do tego nie przyznała!

– Dziwisz się? Ludzie boją się ciebie.

– No pewnie, furiatka, medium. Ale ty przecież jesteś człowiekiem rozsądnym, chłodnym, opanowanym, masz porządek w głowie i w szafie. Powiedz więc, jak mogłeś przez ułamek sekundy wierzyć w takie bajki? Rozumiem doskonale, że mogłeś być zdenerwowany, znajomość z osobą wmieszaną w kryminalną aferę nie przynosi ostatecznie zaszczytu nikomu, a dla ciebie mogłaby być wprost kompromitacją, ale to jeszcze nie tłumaczy twojej naiwności. Słyszałeś już kiedyś, żeby ktoś kogoś zabił w hipnozie?

– Nie tylko słyszałem. A biedny Flint naciął się raz na mordercę hipnotyzera i o mało nie pokpił całej sprawy, bo nie wierzył w hipnozę.

– I od tego czasu wierzy już tylko w hipnozę?

– W każdym razie wszędzie ją węszy. Przeczytał wszystko, co napisano na ten temat, a ostatnio interesuje się hipnozą na odległość.

Rzekomo można telefonicznie hipnotyzować nawet przez ocean.

– Rzeczywiście, niesłusznie posądzałam go o brak wyobraźni. I z powodu tej hipnozy ośmielił się zarzucić mi kłamstwo! On ma tupet! Jeszcze nim weszłam do ogrodu, wyczułam, że on nie wierzy w człowieka w dżinsach, i to mnie tak speszyło.

– Nie zapominaj, że on miał jeszcze inne powody, żeby ci nie wierzyć.

– A jak on to sobie dalej wyobrażał? Jeżeli już byłam raz na Henrietty, to po co miałabym tam wrócić w nocy? I po co Ryszard mnie wzywał?

– Na podstawie samych odcisków palców, które by w takim razie znaleziono, identyfikacja byłaby dość trudna. Potrzebne mu były jakieś materialne dowody, żeby skierować podejrzenie na ciebie. I Flint przypuszczał, że właśnie wtedy piłaś rum.

– Coś tu nie klapuje. Trudno zresztą, żeby klapowało. Bo jeżeli Ryszard zahipnotyzował mnie, żebym popełniła morderstwo, a potem zadzwonił po mnie, żebym zostawiła jakieś materialne dowody, to po co by, do diabła ciężkiego!...

– Nie unos się, Mat.

– Przepraszam. Po co by, do licha ciężkiego, opowiadał całą historię o młodych ludziach ze Składowej, o człowieku, który wyskoczył oknem...

– Wszystko się Flintowi zgadzało, nie bój się.

– Jak facetowi z krzyżówką. To też był człowiek Flinta?

– Wyjątkowo nie. Tamten jechał z tyłu, nie koło ciebie. „Rozmawiała na tematy sportowe” – przeczytałam w raporcie.

– Więc jak się Flintowi zgadzało?

– Byłaś w spodniach, po ciemku ktoś mógł wziąć ciebie za młodego człowieka.

– To znaczy, że o dziesiątej miałam wyskoczyć oknem na ulicy Henrietty, a za pięć jedenasta już byłam w domu i odbierałam telefon Ryszarda?

– Nie zapominaj, Mat, że przynajmniej o jednej rzeczy Flint wiedział lepiej od ciebie: że z Henrietty na Podzamcze jest dość blisko i że nawet autobusem mogłaś zdążyć. No ale historia z hipnozą skończyła się, kiedy okazało się, że wszędzie były ślady palców Toma. Było prawie tak, jak zeznała jego matka; tylko niektóre szczegóły biedaczka zmieniała, żeby nie całkiem pogrzyźć syna. A on już przyznał się do wszystkiego. Był u Ryszarda w sobotę, był w poniedziałek, bez narzędzi oczywiście, Ryszard wiedział doskonale, że Tom nieprędko zabierze się do roboty. Szufładę otworzył na polecenie Ryszarda, pieniędzy nie tknął, to wszystko prawda. Już trochę mniej prawdy było w historii o butelce rumu. Wypili ją wtedy do dna; Tom zeznał, że Ryszard pił tyle samo co on, ale pewnie tak mu się tylko wydawało; Ryszard wypił najwyżej kieliszek czy dwa, a może w ogóle nic nie wypił i napełnił sobie tylko pierwszy kieliszek. Do domu Tom wrócił raczej śpiący, od razu się położył i wtedy z kieszeni wypadła paczka pieniędzy. Ani on, ani matka nic nie rozumieli. Tom przysiągł, że nie ukradł, to uspokoiło panią Kleebową, wierzyła synowi. Bała się tylko jednego: że Ryszard wytrzeźwieje dość szybko i zażąda zwrotu pieniędzy, zanim zdążą cokolwiek kupić. A tu jak na złość przerwa obiadowa. Tom chciał już jechać do miasta, do Domu Towarowego; pani Kleebową sprzeciwiła się: przez całe życie kupowała w firmie Toppie i Syn. Kupili, wrócili, Ryszard nie przyszedł, życie zaczęło im się uśmiechać. A we wtorek

katastrofa. Badają Toma, badają panią Kleebową. Tom na wszelki wypadek wszystkiemu zaprzeczył, nigdy w życiu nie był u Ryszarda w domu, nigdy nie widział jego żony. No a na wieczór miał zupełnie przyzwoite alibi. W środę przyszedł koleżka, zobaczył nowy krawat Toma, nowy płaszcz pani Kleebowej i zapytał, skąd to wszystko. Kazali mu przysiąc, że nic nikomu nie piśnie, i opowiedzieli o cudzie, w zamian za co koleżka wtajemniczył ich w sprawy daktyloskopii. Pani Kleebową natychmiast zapakowała płaszcz, buty i krawat, potem rozpakowała je i postanowiła oddać tylko pieniądze, a to, co brakowało, spłacić ratami. No i opowiedzieć oczywiście całą historię w komisariacie. Koleżka roześmiał się szatańsko. „Nie uwierzą wam”, powiedział. A Tom, który nie należy do osób najszybciej myślących, wyobraził sobie, że jeszcze nie wszystko przepadło i że gdyby tak pożar zniszczył dom razem ze śladami jego palców, to można by żyć spokojnie. Nic matce nie powiedział, a gdy wszyscy zasnęli, poszedł do ogrodu Ryszarda i znalazł tam coś, czego się w ogóle nie spodziewał: bańkę z naftą i bańkę z benzyną. Ryszard pewnie nie przypuszczał, że ktoś zrobi to, co jemu udaremniła ulewa, podpali jego dom, tak jak on miał zamiar to zrobić, rozumiesz chyba po co: podczas rewizji łatwo moglibyśmy się przekonać, że jego praca naukowa to mit. Poza tym nie wiedział przecież, że nastąpi oberwanie chmury i woda zaleje piwnicę, a musiał powiedzieć to zdanie: „Nie mam po co tam wracać”. Pożar miał oczywiście strawić tylko zawartość biblioteki; prawdopodobnie w chwili, gdy płomień zaczęłyby się wydostawać na zewnątrz, byłoby to widoczne ze Składowej i Ryszard sam wezwałby straż pożarną. Rozumiesz: dom nie

miał się spalić; cała sceneria: szalik, rum, twoja cygarniczka, komoda, musiała zostać nietknięta. A co do Toma, to był już w ogrodzie, kiedy nagle usłyszał jakieś głosy; uciekł, ale niedaleko, żeby jednak zobaczyć, kto idzie i po co. Poznał mnie natychmiast, a kiedy przekonał się, że najbardziej interesuję się krzakami agrestowymi koło wyrwy w płocie, podlał je także benzyną i podpalił. Na wszelki wypadek, jak powiedział. No a potem przestraszył się i uciekł. W czwartek szukaliśmy na cmentarzu rękopisu profesora, a biedna pani Kleebowa wyobraziła sobie, że to jej Toma szczuje się psami, i przybiegła z pieniędzmi. Toma znaleźliśmy dopiero w piątek.

– Żał mi pani Kleebowej.

– Wyjątkowo kochająca się rodzina. I wyobraź sobie, że Kleebowa wcale nie kłamała, kiedy powiedziała nam, że Tom zazwyczaj jest już o dziesiątej w domu. Ryszard też prawdopodobnie na to liczył. Pytał Toma, czy przyjdzie jeszcze tego samego dnia naprawić ramę okienną, a Tom zaczął obliczać, czy zdąży na szóstą do kina, z czego Ryszard wywnioskował, że po ósmej pójdzie na piwo, a najpóźniej o dziesiątej będzie w domu. Tak by zresztą było, ale Tom zmienił zamiar i poszedł do kina, w którym seans zaczyna się o siódmej. Gdyby nie ta okoliczność, wszystko potoczyłoby się tak, jak to sobie Ryszard wyobrażał: Tom albo byłby się wyparł wszystkiego, co by mu nic nie pomogło, albo byłby powiedział prawdę i nikt by mu nie uwierzył, bo nie miałby alibi.

– To rozumiem, ale dlaczego na tej butelce...

– Były dwie butelki rumu. Gdy wypróżniono jedną, z której Ryszard nalewał i Tomowi, i sobie, Tom był już dość zalany. Wtedy zjawiała się druga butelka, której Ryszard nie dotykał; pewnie ujął

ją przez serwetkę albo przez papier, wtedy mógł już śmiało to zrobić, Tom niczego nie widział, najlepszy dowód, że w ogóle nie przypomina sobie tej drugiej butelki, z której przecież sam sobie nalał, bo tylko jego palce pozostawiły ślady. Po odejściu Toma Ryszard sprzątnął pustą butelkę i swój kieliszek, pewnie wyrzucił je gdzieś na śmietnik, ujął przez papier inny kieliszek, przyniósł go z kuchni do pokoju i miał już gotową sceneryę. Oczywiście, na tym kieliszku też były ślady jego palców, ale znacznie dawniejsze i każdy człowiek biegły w daktyloskopii mógł stwierdzić, że na drugim kieliszku i butelce ślady palców Toma są znacznie świeższe. Tu właśnie Ryszard popełnił gruby błąd.

– Dlaczego, przecież mówiłam ci, że te kieliszki pewnie stały w kredensie jeden w drugim.

– Oczywiście, one tak stały, i gdyby Tom tylko przyniósł je do pokoju, pozostawiłby ślady wyłącznie na zewnętrznym kieliszku. Ale na stole kieliszki stały już osobno, jak więc Tom mógł wyjąć wewnętrzny kieliszek nie dotykając nigdzie jego powierzchni? Z pewnością nie przez papier, skoro cały czas nie troszczył się o zachowanie ostrożności.

– A papierosy i szalik?

– Papierosy prawdopodobnie Ryszard wyjął Tomowi z kieszeni, kiedy wkładał mu pieniądze, albo Tom rzeczywiście zostawił je na stole wychodząc pod dobrą muchą. A szalik Ryszard zdjął ze sznura. W nocy mógł to zrobić z łatwością. Nigdy natomiast nie dowiemy się, co było powodem śmierci Teresy. Może nawet niczym jej nie nastraszył; lekarz, który ostatnio ją leczył, powiedział mi, że dni jej były policzone i że mogła ją zabić ta dziwna pogoda przed burzą. W mieście tamtej nocy było kilka wypadków zawałów. To

byłby bardzo dziwny zbieg okoliczności, ale bywają dziwniejsze. Gdy Ryszard był już pewny, że ona nie żyje, zainscenizował tę historię z cyjankiem. Wiedział, że łatwo można sprawdzić, czy ona żyła jeszcze w chwili, gdy rozwierał jej usta łyżeczką. W takim wypadku powstałyby przy zadrapaniach i siniakach tak zwane podbiegi krwawe. Ich nieobecność i zwietrzały cyjanek bardzo zwiększały szanse jego uniewinnienia. Potem zdjął kurtkę, włożył szeroki, długi płaszcz, przepasał go rzemieniem, bo suto zmarszczone fałdy stwarzają pozór sylwetki dość tęgiego człowieka. I pomyśl, jakie to dziwne: im bardziej coś się rzuca w oczy, tym mniej się o tym myśli. Dlaczego nie zastanowiłem się od razu nad protezą Ryszarda? Powinien był ją dostać z ubezpieczalni, poza tym otrzymał znaczne odszkodowanie od zarządu kolei i mógł być sam ją sobie kupić. Ale nie, jemu zależało, żeby jego kalectwo rzucało się w oczy, żeby właśnie on nie mógł być w sposób oczywisty „człowiekiem z dwiema walizkami”.

– A jak było z walizkami?

– Tego nie wiem. Pewnie szedł pieszo, bo autobusy o tej porze są dość puste w jego dzielnicy, a on nie chciał, żeby go zauważono. Nie groziło mu to, kiedy wracał, pamiętasz; sama zauważyłaś, ile ludzi pobiegło ku przystankowi. Szedł więc pewnie pieszo i mała walizka była wtedy schowana w większej, a dopiero w budce telefonicznej umocował ją na pętli wszytej do lewego rękawa płaszcza. Dopiero tam miał ktoś zobaczyć człowieka z dwiema walizkami. Przed napadem na Edytę Piat to nie było potrzebne, wtedy sama ofiara miała powiedzieć, kogo spotkała przy skwerze. W budce Ryszard czekał na kogoś, kto by przeszedł koło automatu albo chciał

zatelefonować. Nastąpił pierwszy zawód: przedstawienie tym razem nie skończyło się o dziesiątej trzydzieści pięć. Nikt nie wychodził z teatru, nikt nie przechodził przez plac. Ryszard tej możliwości nie przewidział, inaczej z pewnością przeszedłby się po prostu koło postoju taksówek. Tam by z pewnością zauważył go jakiś szofer; człowiek, który niesie walizki i przechodzi koło postoju, zazwyczaj wsiada do taksówki. Gdyby tylko przeszedł i nie wsiadł, musiałyby to wydać się dziwne i ktoś by go zapamiętał. Kiedy zrozumiał, że spektakl się przeciąga, było już pewnie za późno, żeby przejść przez plac, skręcić w boczną ulicę, gdzie jest postój, przejść koło taksówek, wrócić do budki, zadzwonić do ciebie i zdążyć na skwer, zanim profesor przejdzie tamtędy pierwszy raz. Może też nie zrobił tego z innych względów: koło teatru jest bardzo jasno; jego chód i sposób noszenia walizek mogłyby wydać się nienaturalne, a budka stoi w miejscu słabo oświetlonym. I nie musiałyby wyjść z budki, przystanąć i wytrzeć pot z czoła, jak to zrobił przed napadem na Edytę Piat. Przed jedenastą zaczęli wychodzić pierwsi widzowie, zadzwonił do ciebie, wykręcił żarówkę i czekał. Tym razem powiodło się: przyszła Maria C. i zauważyła to, co trzeba ;było zauważyć. Nie za dużo – twarzy przecież nie zobaczyła – i nie za mało. Ryszard poszedł na skwer, ukrył się wśród topoli i czekał na profesora. Tu nic go nie zawiodło, przeciwnie, znalazł przy profesorze 750 dolarów, które lepiej mogły przyczynić się do zniknięcia walizek niż krew królika. Od razu wiedziałem, że nie była przeznaczona dla nas. Za inteligentnie wszystko było zrobione jak na człowieka, który by nic nie wiedział o krzepnięciu krwi i o grupach. Ale nie od razu domyśliłem się, kto był adresem. Dopiero kiedy przeczytałem zeznanie Battistiego,

rozumiałem, o co chodziło. On pochodzi z południowych Włoch, rozumiesz? Tam jeszcze wciąż są żywe pewne przesady związane z vendettą. Battisti miał zobaczyć na walizkach jakiś znak narysowany krwią zamordowanego, który by świadczył, że to nie było zwykłe morderstwo, lecz vendetta. W takich wypadkach Kalabryczyk nie wydaje nikogo policji. Sprawa honoru i... bezpieczeństwa osobistego. Tego, kto by wydał, też dosięgłaby ręka mściciela.

– Skąd wiesz o tym?

– Od Battistiego. Zresztą dość o tym czytałem w młodości. Ale Ryszardowi to już nie było potrzebne. Długo obserwował Battistiego i wiedział, że 750 dolarów jest wystarczająco silnym argumentem. Nie wątpił, że Battisti zabierze do domu i pieniądze, i sygnet, i zegarek, a walizki zniszczy. A gdyby zrobił to niezręcznie i wpadł – nic by to Ryszardowi nie zaszkodziło. Tak przynajmniej sądził. Nie wiedział, że pewien szczegół mógł wskazać na właściciela walizki. Do pewnego stopnia przewidywania Ryszarda, jak wiesz, sprawdziły się. Battisti wrzucił walizki do sadzawki, a zawartość zabrał do domu.

– Dlaczego Ryszard sam nie wrzucił ich do sadzawki?

– Nie byłby zdążył, tak przynajmniej sądzę. No i musiałby przeciąć główną aleję dość dobrze oświetloną. Może też bał się, że zostaną ślady stóp na trawie. Budka była idealnym miejscem: prowadzi do niej zwirowana ścieżka i jest położona o dwadzieścia metrów od kępy topoli. Poza tym sadzawki w parkach są zwykle dość płytkie; Ryszard pewnie nie wiedział, że tym razem przy jej budowie wykorzystano basen zburzonej łaźni i że ona miejscami ma trzy metry głębokości.

- Jak to się stało, że psy nic nie wyczuły?
- Psy wcale nie zawiodły, od razu poprowadziły do budki z narzędziami. Ale nie zapominaj, że wtedy nikt nie szukał walizek. Szukaliśmy śladów mordercy, a one prowadziły w stronę budki, która była zamknięta na kłódkę. Flint wybił okienko i oświetlił wnętrze, nikogo oczywiście tam nie znalazł, walizki – bo wtedy mała walizka była już zamknięta w dużej – też nie dostrzegł, zaślaniały ją narzędzia.
- W jaki sposób Ryszard tam się dostał?
- W bardzo prosty sposób: miał podrobiony klucz. Jeżeli coś się planuje przez dwa lata, to pamięta się o wszystkich szczegółach. Pewnej nocy, kiedy nie miał dyżuru i przyszedł na skwer, żeby obserwować profesora, odcisnął w mydle kształt zamka. Rano przychodził na skwer w innym celu: obserwował Battistiego. Po szóstej tam jest jeszcze dość pusto, później mógł już zetknąć się z profesorem albo z jakimś kolegą. Pewnego razu sfotografował go Joel. Prawdopodobnie Ryszard to zauważył, ale miał wytłumaczenie: niedaleko Domu Profesorów – wystarczy obejść go i zejść ulicą Pochyłą ku rzece – mieści się zarząd firmy, w której pracował. Mógł tam zająć pod byle pozorem. Joel nie pamiętał dokładnie, kiedy zrobił to zdjęcie; otóż byłem w zarządzie i sprawdziłem: Ryszard był u nich zaraz po dyżurze 15 sierpnia w sobotę i 13 sierpnia w czwartek.
- W takim razie Ryszard niepotrzebnie udawał, że nie był od lat koło Savoyu i że nic nie wie o Pasażu i o Skwerze Profesorów.
- Nie, Mat, on tego wcale nie udawał. To tylko ty tak wywnioskowałaś. Jest rzeczą naturalną, że człowiek bardzo zdenerwowany używa dawnych nazw placów, budynków czy ulic.

- Tak, masz rację. Ja też powiedziałam do szofera: „Savoy”.
- I jeżeli liczył, że powtórzysz jego słowa, to z pewnością tylko to chciał nam zasugerować, a nie swoją nieznajomość topografii. To, że dzwonił o jedenastej z dyżurki i mimo to nie pomyślał o podstemplowaniu karty, też miało świadczyć o zdenerwowaniu, albo przeciwnie: zdenerwowanie miało wytłumaczyć, dlaczego nie pamiętał o tej czynności. On zresztą dokądś rzeczywiście dzwonił, musiał mieć zarejestrowaną jedną rozmowę, której nikt poza tobą by nie poświadczył.
- Wiem, Jonatan Polder wytłumaczył mi tę sprawę.
- Tak, to wszystko grało jak w zegarku. Wszystko oprócz dewizki. Ona rzeczywiście wypadła Ryszardowi, nie wiem, czy z ręki, czy z walizki. Było tak ciemno i tak się śpieszył, że niczego nie zauważył. Battisti też nie od razu ją znalazł. Właściwie to nie on ją znalazł. Wiesz: on nie znosi dzieci, bo niszczą trawniki.
- Wiem, zabrał mi piłkę i przez trzy dni nie oddawał.
- To się zemściło. Zauważył jakiegoś chłopczyka koło budki z narzędziami. Biedaczek miał łopatkę i kopał w niedozwolonym miejscu. Battisti natychmiast skonfiskował wiaderko i łopatkę, wyrzucił ziemię z wiaderka, coś zabłysnęło, schylił się, to była dewizka od zegarka. W tej samej chwili nadeszła matka chłopczyka. Battisti oddał wiaderko, ale bał się, czy ona czegoś nie zauważyła. Zresztą słusznie obawiał się; ta kobieta tego samego dnia była w komisariacie. Po naradzie z żoną postanowił zwrócić dewizkę; historia o młodym człowieku i tęgim starszym panu to też jej pomysł, nienajgorszy zresztą. Wiedzieli przecież o mordercy tak mało: że raczej był tęgi.

O wieku gazety nie wspominały. Stąd dwóch panów w różnym wieku. Ale kiedy czytałem zeznania Battistiego, wiedziałem już od godziny, że to Ryszard był człowiekiem z dwiema walizkami, choć nie miałem pojęcia, dlaczego zabił profesora. To dziwne: zrozumiałem, że to był Ryszard w chwilę potem, jak zacząłem już wątpić o słuszności moich podejrzeń co do śmierci Teresy. Tak bardzo zasugerowałaś mnie tym człowiekiem w dżinsach, a raczej tak bardzo chciałem, żebyś miała rację. Parę minut później powiedziałaś, że morderca spóźnił się na autobus, potem powiedziałaś: „W ten sposób będzie mieć alibi”, a kiedy stanęliśmy na rogu Henrietty i Parkowej i usłyszałaś kroki, krzyknęłaś: „Tak samo on wtedy nadbiegł” – i zrozumiałem wszystko. Potem zdjąłem strzep rękawa z kraty: ślady igły były zupełnie wyraźne, on nie zdążył nawet wyprać nitki do końca. Jak wszyscy mężczyźni, szył grubą igłą i podwójną nitką. Wtedy pocałowałem cię, bo bałem się, że już nigdy tego nie będę mógł zrobić, że nigdy już nie zechcesz mnie zobaczyć, że za chwilę będzie za późno, zrozumiesz wszystko i nigdy mi nie wybaczysz.

- Gdybyś wiedział, o czym ja wtedy myślałam!
- Naprawdę nie wiem.
- To dobrze.
- Wiesz, że nie jestem domyślny.
- Pewnie, że nie jesteś. Ale kiedyś może ci powiem, co mnie wtedy gnębiło.
- Dobrze, poczekam. Wiem; że lubisz mnie dręczyć.
- A czy rozumiałaś, dlaczego Ryszard musiał biec?
- Oczywiście, sprawdziłem rozkład jazdy autobusów...

– No widzisz, a ja dowiedziałam się o przedłużonej linii nocnej od tego sekretarza, któremu...

– Któremu?

– Zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

– Dobrze, Mat. Myślę, że Ryszard zauważył ciebie, a może nawet czekał specjalnie, aż przejdiesz przez skwer. O przedłużonej nocnej linii pewnie wiedział, ale nie spodziewał się, że nie zdąży na ostatni autobus jadący wprost na Parkową. A taksówką nie chciał jechać, to jest zrozumiałe.

– Skąd on jednak wiedział, że posłucham go i pojadę najdłuższą drogą?

– Znał swój wpływ na ciebie. A zresztą nie zależało mu, żebyś koniecznie tamtędy pojechała. Nawet gdybyś go nie posłuchała i pojechała 107 spod Muzeum, to i tak miał dość czasu przed sobą. Z pewnością sprawdził, że o tej porze 107 kursuje co pół godziny i że taksówki rzadko przejeżdżają koło Muzeum. Ty jednak posłuchałaś jego najbardziej niedorzecznych wskazań. Jeżeli to nie była hipnoza, to w każdym razie coś w rodzaju fascynacji. A droga, którą ci wskazał, miała być najważniejszą częścią tego, co nazwałem „alibi przez sugestię”. Człowiek, który ma zamiar popełnić morderstwo w jakimś miejscu, nie posyła tam bliskiej osoby, to przecież jasne. Tak samo ktoś, kto przed chwilą usiłował otruć swoją żonę, przekonał się, że ona nie żyje, i chce jak najprędzej ukryć jej zwłoki, nie opuszcza domu i nie biegnie do śródmieścia, zwłaszcza gdy wie, że za chwilę przyjdzie osoba, która ma mu pomóc w wyniesieniu ciała. Sam w to wierzyłem, chociaż od pierwszej chwili wydała mi się podejrzana właśnie twoja droga. Pewnie nie chciał, żeby ktoś cię śledził, ale gdybyś pojechała normalną drogą, niebezpieczeństwo nie byłoby

większe, o ilebyś zmieniła taksówkę. A powinienem być zrozumieć, że coś jeszcze jest nie w porządku, kiedy powiedziałaś mi, że Ryszard był w płaszczu. Dlaczego nie w kurtce? Wtedy jeszcze nie padało. Zresztą to nie był deszczowiec.

– On nie zdążył się przebrać?

– Oczywiście, że nie. Musiał w biegu wypruć pętlę, to też było niełatwe. A do domu nie mógł już wstąpić, było za późno, każdej chwili mogłaś nadejść.

– To on szedł za mną na Parkowej?

– Nie, Mat. On pojechał aż do trzeciego przystanku na Składowej. Stamtąd miał znacznie bliżej do domu, przez cmentarz i tyły ogrodu. Ale nie jest wykluczone, że skrzywienie żwiru na skwerze to były jego kroki.

– Zdaje mi się, że masz rację. To była fascynacja. Tylu rzeczy domyślałam się, a jeżeli nie domyślałam się, to jakoś, nie wiem jak, może instynktownie, w każdym razie wyczułam, na przykład, że człowiek, który podrzucił zwłoki, i zabójca profesora to jedna osoba. Tyle zrozmiałam, a tylko ta droga z Podzamcza na Henrietty... jak bym miała bielmo na oczach. Dopiero w czwartek, kiedy wyszliśmy od tej staruszki z kosturami i kazałaś mi jechać prosto do domu, nagle zrozmiałam, że to dość blisko ode mnie, ale nawet wtedy nie podejrzewałam jeszcze, że to mogło coś znaczyć. I wiesz, chwilami wydaje mi się, że gdybym wtedy 17 sierpnia, kiedy wracałam podczas ulewy i tak szybko znaleźliśmy się w tunelu pod wiaduktem, gdybym wtedy mniej myślała o sobie, to może od razu zrozmiałabym, no, nie wszystko, ale przynajmniej część tej strasznej prawdy, a gdybym zrozmiała i wróciła na Henrietty...

- Co ty mówisz, Mat! Cóż byś pomogła! Już było po wszystkim.
- Nie Michale, jeszcze nie było po wszystkim. Ryszard jeszcze żył.
- Mat!
- Nie rozumiesz mnie. Gdybym wtedy była wróciła... Nie wiem... Może bym go skłoniła do przyznania się. Pewnie, jego zbrodnie były tak straszne, że to w niczym nie mogłoby zmienić wyroku. Ale nie byłoby tego zaskoczenia, kiedy przyszedłeś do niego do celi i zabrałeś mu notes...
- To nie ja, Mat! Notes odebrał mu naczelnik więzienia.
- Ale on i tak zrozmiał, że wszystko odkryto. A gdybym ja wtedy wróciła, może otrząsnąłby się, oddał pracę profesora i...
- I co, Mat? Zresztą prawdopodobnie raczej byłby cię zabił, niż oddał rękopis. Czy nie rozumiesz, że to był obłąd, szaleńcza mania?
- Nie wiem, nie wiem... Może byłby żył, bronił się, wytłumaczył...
- Mat, czy ty jeszcze wątpisz? Przecież to nie były żadne poszlaki, mieliśmy najbardziej oczywiste dowody winy!
- Tak, to prawda, dowody winy były. I w to, że on to wszystko zrobił, nie wątpię, mówiłam ci już, jakżebym mogła wątpić w coś tak oczywistego. Kiedy powiedziałam „bronił się”, nie myślałam, że broniłby się przed wymiarem kary, ale... Pomyśl, jakie to straszne: on słowa nie powiedział we własnej obronie. My go oskarżamy, słusznie oskarżamy, ale...
- Co, Mat?
- Mówiłam ci już, ta mgła. Objaśniłeś mi jego postępowanie z punktu widzenia psychologii. Ale to nic nie mówi! Nadal nie wiadomo,

jak to się stało, że uczciwy człowiek nagle stał się zbrodniarzem. Że był nim już na wiele miesięcy, na wiele lat przed popełnieniem zbrodni! I ja wciąż nie wiem, kiedy, w jakiej sekundzie, jakiego dnia on powiedział sobie „zabiję”. I może nie on sam był winien? A ja? Czy nie jestem winna? Czy wolno mi było zgodzić się wtedy w cukierni, żeby odszedł ode mnie i pogrążył się w takiej samotności? Mówisz: obłąd, szaleństwo... Ale skąd?... kiedy go znałam, był taki jak wszyscy! Co się w nim załamało? Może właśnie wtedy w cukierni przestał w coś wierzyć, w wierność, przywiązanie? Może właśnie wtedy pomyślał, że jeżeli tak, to wszystko wolno. Może ktoś jeszcze był winien? Czy profesor Woytis miał prawo kontynuować jego pracę? Zaproponował mu współpracę, tak, oczywiście...

– Och, Mat, nie wolno ci tak mówić o profesorze! Nawet jego córka nie wiedziała wszystkiego o nim. Profesor był u Ryszarda w szpitalu i przyniósł mu egzemplarz swojej pracy, niemal prosto z drukarni. Widziałem tę książkę, jest zadedykowana Ryszardowi, a w przedmowie profesor wyraźnie stwierdza, że jego zadaniem jest jedynie udowodnienie hipotezy postawionej przez Ryszarda. Jestem pewny, że celem odwiedzin profesora w szpitalu było skłonienie Ryszarda do współpracy przy drugiej części. A Maria nic o tej wizycie nie wiedziała.

– Może krzywdzę profesora. Wiem, że to był wyjątkowo szlachetny człowiek. Ale Ryszard też był szlachetnym człowiekiem! I z pewnością tak samo jak ja, jak ty, mógł pomyśleć o sobie: „Nigdy nikogo nie zabiję”, zresztą normalni ludzie tak nie myślą, o tym wie się bez myślenia. I czy normalny, uczciwy człowiek może położyć

się spać z myślą, że nazajutrz zbudzi się jak zwykle i że to będzie ten dzień, w którym on zabije innego człowieka? Czy ty przeżyłbyś taką noc? Dlaczego nic nie odpowiadasz? Nie rozumiesz mnie? Ja szukam... i nie wiem, czego mam szukać... Tych słów, które by Ryszard powiedział, gdybyście mu dali powiedzieć...

– Mat, czy nie sądzisz, że tak... jak się stało... że jednak dla Ryszarda to może lepiej?

– Nie wiem, Michale, może naprawdę lepiej. Proces, dożywotnie więzienie, może szpital, tak, to byłoby straszne, a jednak...

– Mat, a czy ty wiesz, dlaczego tak się przeraziłem, kiedy zobaczyłem walizkę Ryszarda u ciebie na stole, a ty powiedziałaś mi, że zamieniliście się walizkami w hotelu i że twoja też miała monogram w rogu?

– Błagam cię, nie przypominaj mi tego, nie mówmy o tym!

– Nie, Mat, muszę mówić. Bo ty jeszcze nie wiesz, gdzie znalazłem twoją walizkę! Ale póki nie wiedziałem o tej zamianie, nie pomyślałem, że to może być twoja walizka. Ta, którą Battisti znalazł w większej walizce!

– To niemożliwe!

– Jest w archiwum, możesz ją obejrzeć. Jedna litera twojego monogramu odleciała, ale został wyraźny ślad i z łatwością można było odczytać cały monogram. I czy zdajesz sobie sprawę, jakie pytania zadawano by ci na sali sądowej?

– Michale, to niemożliwe! Przecież on nie chciał, żeby mnie podejrzewano o zabójstwo profesora! Zresztą kobieta nie mogłaby zadać takiego ciosu!

– Oczywiście, że nie o to mu chodziło. Posłużył się twoją walizką, bo zapomniał, skąd ją miał. Ty też przecież zapomniałaś. Gdyby pamiętał, nie zrobiłby tego ze względu na własną skórę. Mat, nie chcę być okrutny, ale tak jak się stało, tak jest lepiej. I zapomnij o tym, Mat, błagam cię, nie wracajmy już do tego! Musisz to zrobić dla mnie!

– Ja chcę zapomnieć, Michale, ale... słyszę jego głos: „Zawsze trzeba mieć przy sobie cyjanek”, zasypiam, budzę się nagle i słyszę jego głos. Ja... naprawdę nie powinnam zostać twoją żoną.

– Musisz, Mat.

– Nie, nie chcę, żebyś miał żonę, która kiedyś nagle przez sen...

– Mat, on nie miał cyjanku przy sobie. Gdyby go miał... sędzę, że nie żyłby już w czwartek w nocy, kiedy prosto od ciebie pojechałem do więzienia, bo pomogłaś mi zrozumieć, gdzie jest rękopis. W piątek udało się go odczytać, ale Maria Woytis nie zdążyła już odlecieć. Odłożyła wyjazd do soboty. W sobotę rano sędzia śledczy pozwolił jej odwiedzić Ryszarda w celi. Powód był bardzo poważny: Maria Woytis podejrzewała, że oba notesy nie stanowią jeszcze całości rękopisu. Tak przynajmniej napisała w podaniu. Była u niego pięć minut. Wychodząc z celi zemdląca. A w kilka minut później...

– Chcesz, żebym uwierzyła, że to ona przyniosła mu cyjanek? Myślisz, że nie czytałam gazet? Z początku nie dawano mi nic do czytania, ale kiedy zaczęłam chodzić, postarałam się o kilka numerów. I wiem, że on miał to przy sobie! Zaszyte w kurtce! Dlatego nie odebraliście mu przy rewizji.

– Gazety napisały prawdę. Kurtka była nadpruta. Ale to ja

kazałem mu ją nadpruć! Zrozumiałem, po co Maria Woytis przyszła do Ryszarda, jeszcze zanim weszła do celi. To było napisane na jej twarzy. Ta kobieta zniosła spokojnie śmierć ojca, nic się nie odbiło na jej posągowych rysach. Kamienny spokój, cały czas kamienny spokój posągu. Dopiero przed wejściem do celi... Ona to rozumiała inaczej niż ty. Ona widziała w tym ocalenie. Bo ona go kochała, Mat, i jest z tej samej rasy kamiennych posągów co on. Z rasy ludzi gotowych na wszystko. Ale zemdląca, zajęto się nią, a ja miałem czas wejść do celi... On stał zwrócony twarzą do okna. Nie oglądnął się, gdy wszedłem. Stałem koło drzwi... To nie było łatwe, Mat, bo ja jestem słabym człowiekiem. A jednak powiedziałem: „Jeszcze nie, przedtem...” Nie dał mi skończyć, odwrócił się ku mnie: „Tak, oczywiście”, nie wiem, czy usłyszałem, czy tylko zrozumiałem z poruszenia jego warg, że powiedział te słowa. Rozpiąłem kurtkę, dałem mu szczyryk, poczekałem, aż nadpruje, i dopiero wtedy wyszedłem. Widzisz, że ja też muszę o czymś zapomnieć.

– Zrobiłeś to dla niej! Czy zdawałeś sobie sprawę, czym to ci grozi?

– Musiałem, Mat. Ona zrobiła dla niego to, co ja powinienem być zrobić dla ciebie. To, co musiałem zrobić. Ale ja wahałem się przez cały piątek, od chwili gdy zobaczyłem tę walizkę u ciebie na stole i rozumiałem, czym będzie dla ciebie proces, z jakim piętnem wyjdiesz z tego, przez cały piątek, Mat, wiedziałem, że jedyne wyjście to to właśnie, i nie mogłem zdobyć się na to. Nie dlatego, że musiałbym podać się do dymisji. Ale ja ani nie znałem tak dobrze jak ona charakteru Ryszarda, ani nie jestem z ich rasy, ja nie byłbym mógł dać mu tego tak po prostu... I ja znam tę chwilę, kiedy normalny, uczciwy człowiek kładzie się spać z myślą, że nazajutrz zbudzi się jak zwykle i że to będzie dzień...

- Nie, Michale, nie!
- Tak, Mat. Gdyby nie Maria Woytis, musiałbym nadpruć kurtkę na zwłokach, bo ja byłbym go otruił, ja byłbym mordercą! Zemdlałam.